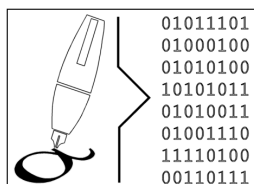


A.J. QUINNELL

# LOCKERBIE

Tłumaczył: Grzegorz Gortat



Tytuł oryginału:

*THE PERFECT KILL*

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1992 r.

*Dla Jane*

# PROLOG

Mężczyzna wyróżniał się spośród pozostałych, lekarz pracujący w zaimprovizowanej kostnicy zauważył to od razu. Nieznajomy spoglądał na oba ciała beznamietnym wzrokiem. Jego twarz nie ujawniała śladu cierpienia, nie uronił ani jednej łzy. Zatrzymał wzrok na czteroletniej dziewczynce, na której ciele nie widać było najmniejszej rany. Kiedy leżała tak na stole, mogłoby się zdawać, że mała pogrążona jest w głębokim śnie. Nawet jej długie ciemne włosy pozostawały wciąż starannie uczesane. Mężczyzna przeniósł spojrzenie na zwłoki kobiety, przykryte szczelnie aż po szyję prześcieradłem. Nachylił się i ściągnął przykrycie odsłaniając nagie, straszliwie zmasakrowane ciało.

— Mogę pana zapewnić, że śmierć nastąpiła bardzo szybko, to była kwestia sekund, proszę pana — wydusił z siebie lekarz.

Później sam się zastanawiał, co mu kazało zwrócić się do nieznajomego w tak ugrzeczniomy sposób. Nie leżało to przecież w jego zwyczajach. Tymczasem zjawił się policjant z notatnikiem w ręku. Spojrzał na zwłoki kobiety i zaraz odwrócił wzrok. Podał stojącemu obok mężczyźnie notatnik i pióro.

— Mogę pana prosić o podanie imienia i nazwiska?

Mężczyzna wpisał się na kartce, po czym skinął głową lekarzowi i policjantowi i odszedł, mijając długie rzędy ciał. Lekarz i policjant odprowadzali go wzrokiem. Był wysoki, mocno zbudowany, o krótko ostrzyżonych siwych włosach. Zwracał uwagę jego dziwny chód: kiedy szedł, stawiał na ziemi najpierw zewnętrzne krawędzie stóp. Patrzące pozornie bez wyrazu oczy osadzone były głęboko w grubo ciosanej twarzy. Chował je pod na wpół przymkniętymi powiekami, jakby w obronie przed dymem papierosowym, którego wcale nie było. Nad prawym okiem biegła pionowa blizna. Inna, głęboka i szersza, przecinała mu prawy policzek, ciągnąc się aż do brody. Lekarz poznał od razu, że to stare blizny.

Kiedy mężczyzna przekroczył próg drzwi, policjant odezwał się:

— Niewiele można było po nim poznać.

— Powiem więcej — poprawił go lekarz. — Nie okazał żadnych emocji.

Po czym naciągnął z powrotem prześcieradło na zmasakrowane ciało kobiety.

Mimo trudów rolniczego życia i szturchańców, jakich nie szczędził mu los,

Foster Dodd nie stracił nic z uczuciowej wrażliwości. W owym czasie wypasał owce na stu pięćdziesięcioarowym pagórkowatym pastwisku, rozciągającym się w pobliżu szkockiego miasteczka Lockerbie. Kiedy latający w barwach Pan Am Jumbo Jet eksplodował na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, wiele ciał wraz z niemal nie naruszonym nosem samolotu spadło wprost na pola Fostera między owcami. Tak właśnie zaczęła się owa straszliwa noc, której miał nie zapomnieć do końca swojego życia.

Nieznajomy zjawił się na farmie dwa dni później w towarzystwie młodego policjanta o twarzy pokrytej żalobą. Podobnie jak lekarz i policjant w kostnicy, również i Foster Dodd spostrzegł, że nowo przybyły wyróżnia się zachowaniem. Pozostali, a było ich niemało, nie potrafili ukryć szoku i szaleńczej rozpacz. Nie mogli powstrzymać się od łez, a Foster i jego żona wtórowali im w płaczu.

Nieznajomy nie uronił nawet łzy.

Policjant poznał ich ze sobą i poprosił Fostera:

— Pokaż panu, gdzie znalazłeś tamtą małą dziewczynkę, dobrze? Tę w jasnoczerwonym kombinezoniku.

Szli z kilometr po polach. Było zimno, wiał północny wiatr. Farmer i policjant mieli pod płaszczami ciepłe ubrania. Mężczyzna nosił szare sztruksowe spodnie, wełnianą kraciastą koszulę i dżinsową marynarkę. Sprawiali wrażenie, jakby jeszcze nie obudzili się ze snu. W oddali przesuwali się ustawieni w długi szereg żołnierze, którzy przeczesywali dokładnie każdą piędź ziemi.

Kiedy cała trójka dotarła do kępy krzewów, Foster odezwał się:

— Znalazłem ją tam, między tymi krzakami. Rzuciło mi się w oczy jej czerwone ubranie. — Ściszył nieco głos i dodał: — Zgon musiał nastąpić momentalnie, na pewno nic nawet nie poczuła.

Mężczyzna rozglądał się po ogromnym pastwisku.

— Pana owce musiały przeżyć niemały szok — mruknął pod nosem.

Tak rozpoczęła się rozmowa, która na zawsze zapisała się w pamięci Fostera Dodda. Dziesięć minut zeszło im na pogawędce o owcach i pracy na farmie. Mężczyzna wykazał się sporą wiedzą. W jego głębokim, spokojnym głosie pobrzmiewał lekki amerykański akcent. Foster obrzucił go kilka razy szybkim spojrzeniem: ciemnoszare, głęboko osadzone oczy przybysza nie oderwały się nawet na moment od kępy krzaków. Nagle Foster Dodd znów zobaczył plamę jaskrawej czerwieni. Przypomniał sobie, jak przedzierał się przez krzaki i znalazł dziewczynkę. Nie dostrzegając na jej ciele żadnych obrażeń pomyślał, że być może mała jeszcze żyje, chwycił ją więc na ręce i potykając się pognął przez pola do domu. Lekarz po zaledwie parusekundowych oględzinach pokręcił przecząco głową. Fosterowi utkwiła na zawsze w pamięci pogoda malująca się na twarzyczce dziecka. Na wspomnienie tej chwili łzy od nowa napłynęły mu do oczu i głos zaczął się łamać.

Nieznajomy położył mu rękę na ramieniu i odwrócił go łagodnym ruchem.

Ruszyli wolno w kierunku domu Fostera.

Tego samego wieczoru, leżąc już w łóżku, Foster odezwał się do żony:

— Gość starał się mnie jeszcze pocieszać.

— Kto taki? — nie rozumiała.

— Mówię o ojcu tej małej dziewczynki w czerwonym ubranku. Stracił żonę i dziecko, a mnie próbował pocieszać... I było mu bardzo przykro z powodu owiec, które straciliśmy.

Peter Fleming urządził tymczasowe biuro w pustej fabryce należącej do firmy chemicznej. Katastrofa samolotu Pan Am miała miejsce w jego obwodzie, stąd też właśnie jemu jako głównemu oficerowi powierzono kierowanie operacją. Przez ostatnie dwa dni udało mu się złapać zaledwie parę godzin snu. Czuł zmęczenie w całym ciele i mętlik w głowie. W obwodzie Fleminga, który mógł się poszczycić jednym z najniższych wskaźników przestępczości w całej Wielkiej Brytanii, panował zwykle sielankowy spokój; mimo to trudno byłoby znaleźć w całym kraju policjanta wykazującego większą determinację i nieustępliwość. Po raz kolejny przebiegał teraz wzrokiem kartkę za kartką: wykaz pasażerów, nazwiska najbliższych krewnych, identyfikacja zwłok. Podniósł oczy na widok policjanta, który podszedł do biurka prowadząc ze sobą nieznanego mężczyznę. Wstał i przywitał się z przybyszem.

— Serdecznie panu współczuję. Powtórzę tylko to, co już pewnie panu mówiono: wszystko nastąpiło tak nagle, że z pewnością niewiele zdążyło dotrzeć do ich świadomości.

Mężczyzna przytaknął.

Fleming wskazał mu krzesło. Gość usiadł i zapytał:

— Wiadomo już coś o przyczynie katastrofy?

Fleming pokręcił głową. — Na to jeszcze o wiele za wcześnie. Szczątki maszyny zostały rozrzucone na obszarze co najmniej trzystu kilometrów kwadratowych i upłynie niemało tygodni, zanim wszystko poodnajdujemy i poskładamy do kupy.

Głos, który dobiegł do niego ponad biurkiem, był zimny i stanowczy:

— Na pokładzie wybuchła bomba.

Uwagę Fleminga przykuła nie tyle treść uwagi, co głos rozmówcy: niski, głęboki, wibrujący, wyzbyty wszelkich wątpliwości. Patrząc mu w oczy Fleming odpowiedział:

— Tego jeszcze nie wiemy. Nie mogę niczego twierdzić przed poznaniem wszystkich faktów.

Mężczyzna skinął tylko głową i wstał.

— To była bomba — powtórzył. — Fakty w końcu tylko to potwierdzą.  
Fleming również podniósł się z miejsca.

— Jeżeli ktoś podłożył bombę, to moim zadaniem będzie wykryć sprawców i oddać ich w ręce sprawiedliwości.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Wreszcie Fleming przerwał milczenie:

— Mam nadzieję, że będzie pan mógł odebrać ciała w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. A tymczasem czy mogę być panu jeszcze w czymś pomocny?

— Chciałbym dostać pełną listę pasażerów oraz nazwiska i adresy ich najbliższych krewnych.

— Nie jestem pewny, czy wolno mi je panu udostępnić.

— Dlaczego nie?

Oficer wzruszył ramionami.

— Taki jest tryb postępowania. Wie pan, w moim obwodzie nigdy przedtem nic takiego się zdarzyło.

— I miejmy nadzieję, że więcej się nie powtórzy. W każdym razie z uwagi na załatwianie formalności ubezpieczeniowych najbliżsi krewni ofiar będą musieli zorganizować się w jakąś grupę i być ze sobą w kontakcie.

Policjant odpowiedział skinieniem głowy.

— Chyba ma pan rację. Dobrze, spróbuję zdobyć listę przed pana wyjazdem.

Podali sobie ręce, po czym Amerykanin odwrócił się i przeszedł między biurkami do drzwi.

Uwagę Fleminga zwróciła dziwna rzecz: w sali przy biurkach siedziało co najmniej z tuzin policjantów i policjantek, którzy obsługiwali centrum łączności radiowej; otóż wszyscy oni jak na komendę przerwali pracę i odprowadzali przybysza wzrokiem. Wrócili do swoich zajęć dopiero wtedy, kiedy za mężczyznę zamknęły się drzwi.

Fleming położył przed sobą listę najbliższych krewnych ofiar. Przesuwał palcem wzdłuż kolejnych pozycji, aż odnalazł szukane nazwisko. Skinął na swego asystenta i wręczając mu wykaz polecił:

— Zadzwoń do Jenkinsa z Wydziału Specjalnego. Poproś, żeby sprawdził tego gościa.

Policjant oddalił się, a Peter Fleming nadal stał wpatrując się w zamknięte drzwi. Przeszedł go lekki dreszcz. Nie ma rady, trzeba będzie zamówić więcej grzejników.

# 1

Było już ciemno. Dobermanka niczego nie dostrzegła, nie usłyszała i nie wyęszyła. Poczowała tylko ostry, przeszywający ból w boku. Zerwała się na cztery łapy wydając zdziwione warknięcie. Poczłapała parę kroków wzdłuż basenu, raptem ugięły się pod nią łapy i zwała się na bok. Przez pół minuty ciałem suki wstrząsały drgawki, po czym zastygła w bezruchu.

Trzydzieści metrów dalej odziana na czarno sylwetka ześlizgnęła się po linie ze szczytu wysokiego ogrodowego muru.

Przez kilka minut czarna postać czekała przykucnięta i wyężyła wzrok. Jedynym źródłem światła był słaby poblask odległych latarni ulicznych. Wreszcie podniosła się i zbliżyła do basenu. Tam zatrzymała się na chwilę, żeby sprawdzić psa, następnie przesunęła się na tyły pogrążonego w ciemności budynku.

Miguel oglądał w telewizji odcinek serialu „I Love Lucy”. Zachwycił go hiszpański akcent Desi Arnaza przypominający w przekonaniu Miguela jego własny. Śmiał się właśnie w najlepsze, kiedy do jego uszu doszedł hałas u drzwi. Odwrócił się zaskoczony i śmiech zamarł mu na ustach na widok ubranego na czarno mężczyzny. Zobaczył unoszącą się w jego stronę lufę pękatego pistoletu i usłyszał stłumiony trzask. Poczował ukłucie w klatce piersiowej. Poderwał się z przerażoną miną chwytając się za pierś. Sylwetka mężczyzny zaczęła mu się rozmazywać przed oczami. Dobiegł go głos, głęboki i wibrujący:

— Bez obawy, nic ci nie będzie. Trochę się tylko prześpisz.

Miguel zgiął się wpół. Zanim zwał się na dywan, był już pogrążony we śnie.

Kolacja była nudnym, acz nieodzownym obowiązkiem. Nie było mowy, żeby James S. Grainger, wieloletni senator ze stanu Kolorado, mógł się w rozsądny sposób od niej wykręcić. Kiedy gubernator wydawał kolację dla sekretarza stanu ds. obrony, obecność senatora była ze wszech miar oczekiwana.

Jak miało to miejsce ostatnimi czasy, również i dzisiaj senator nie wylewał za kołnierz. Kolację poprzedził zbyt wieloma szklaneczkami whisky, a do samego posiłku wychylił zbyt dużo lampek wina. Wiedział jednak, że nikt z tuzina gości zgromadzonych wokół stołu niczego nie pozna. Jedynie Harriot mogłaby go rozszyfrować, ale w końcu przy jej trzydziestopięcioletnim doświadczeniu to nic



trudnego.

James S. Grainger był człowiekiem inteligentnym i praktycznym. W ciągu całej kolacji niewiele się odzywał, ale żaden z gości nie oczekiwał niczego innego.

Jako pierwszy zebrał się do wyjścia, co nikogo nie zaskoczyło. Odprowadzając go do drzwi, gubernator ujął go pod ramię i poprosił:

— Rozważ to jeszcze raz, Jim. Naprawdę chciałbym, żebyś objął przewodnictwo komitetu finansowego.

Zatrzymali się w holu. Senator odpowiedział:

— Craig, daj mi jeszcze parę dni do namysłu. Taka praca to kupa obowiązków.

Gubernator obrzucił go współczującym spojrzeniem. Ale przez ostatnie kilka miesięcy wszyscy patrzyli na senatora w ten sposób.

— Jim, może właśnie nawał pracy będzie najlepszym lekarstwem.

Senator wzruszył ramionami.

— Może i tak... Daj mi parę dni. Słuchaj, Craig, trochę za dużo dziś w siebie wlałem. Mógłbyś poprosić kogoś ze swoich ludzi, żeby zamówił mi taksówkę? Nie byłoby chyba rzeczą wskazaną, żeby pan senator został zatrzymany przez patrol policji drogowej.

Gubernator uśmiechnął się szeroko i spojrzał na zegarek.

— Nie ma sprawy. Mój kierowca ma odwieźć sekretarza stanu na lotnisko, ale do jego wyjścia pozostały co najmniej godzina i kolejne cztery kieliszki brandy.

Senator otworzył drzwi i wszedł do domu, który gwoli ścisłości należałoby raczej nazwać pałacem. W młodszych latach zbił fortunę na handlu nieruchomościami; chociaż sam preferował prostotę, to Harriot, przy wszystkich jej zaletach, lubiła otaczać się splendorem. Przemierzając marmurowy hol po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy nie powinien sprzedać domu i kupić coś zdecydowanie mniejszego.

W tej samej chwili jednak odrzucił od siebie tę myśl. Harriot w jakimś sensie była nadal obecna w tym miejscu. Pracowała nad jego powstawaniem razem z architektem i budowniczymi, ten dom należał do niej. Jakże mógłby kiedykolwiek zamieszkać gdzie indziej. Otworzył drzwi do salonu. W pokoju paliło się światło, widocznie Miguel zapomniał je zgasić.

Eleganckie wnętrze urządzone było w stylu europejskim. Składały się na nie kryształowe żyrandole, ciężkie, wygodne fotele i kanapy, oraz biurko z czasów Ludwika XIV — Harriot nigdy nie pozwoliła mężowi na przeniesienie mebla do jego gabinetu. Pokój był duży, a w samym jego końcu — po poważnej sprzeczce z Harriot — udało mu się przeforsować postawienie mahoniowego barku z czterema czarnymi, obitymi skórą stołkami. Na jednym z nich siedział teraz nieznamy mężczyzna.

Przybysz był w średnim wieku, ale słusznej postury, nosił czarne spodnie i ko-

szulkę polo tegoż koloru. Trzymał w ręku kieliszek. Twarz przecinały mu blizny. Miał krótko przystryżone włosy.

Senator przebiegł wzrokiem pokój: wszystko na swoim miejscu. Momentalnie alkohol wywietrzył mu z głowy, wróciła czujność. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć lub wykonać jakikolwiek ruch, nieznajomy przemówił:

— Przepraszam, senatorze, za tę nieproszoną wizytę. Nie mam złych zamiarów. Zajmę panu z dziesięć minut i zaraz znikam.

Senator zerknął na telefon stojący na biurku. Mężczyzna podchwycił spojrzenie i wyjaśnił przepaszającym tonem:

— Odłączyłem aparat.

W głosie intruza pobrzmiwał lekki południowy akcent. Głos był głęboki i dobywał się wprost z przepony.

— Do diabła, coś pan za jeden? Miguel pana wpuścił?

— Miguel odpoczywa teraz wygodnie w swoim pokoju. Nie obudzi się wcześniej jak nad ranem.

James S. wiedział, co to strach. Z walk w Korei wyniósł rany i liczne odznaczenia. W pierwszej chwili widok nieznajomego przejął go lękiem, który teraz powoli zaczął mijać. Podchodząc do barku zapytał:

— Dlaczego nie umówił się pan normalnie na spotkanie?

— Trzy dni temu zadzwoniłem do pana sekretarki. Na jej pytanie o rodzaj sprawy wyjaśniłem, że rzecz jest natury osobistej. Kazała mi zostawić swój numer. Następnego dnia telefonowałem dwukrotnie powtarzając jej, że sprawa jest osobista i nie cierpiąca zwłoki. Wiem, że rano wylatuje pan do Waszyngtonu.

Senator zatrzymał się przy barku i oparł się łokciem o jego blat. Zgodnie z życzeniem gospodarza mebel był dopasowany do jego wzrostu. Stał teraz twarzą do przybysza.

— Jak się pan nazywa?

— Używam nazwiska Taylor.

Senator pokiwał z namysłem głową.

— Tak, chyba sobie przypominam, była jakaś wiadomość od pana. Kłopot w tym, że mam naprawę bardzo mało czasu.

— Ja również.

W głosie senatora pojawiła się nagle zdecydowana nuta.

— Jaki jest powód pańskiej wizyty?

— Rejs numer sto trzy linii Pan Am.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Senator był starszy o dziesięć lat. Miał włosy przyprószone siwizną, sylwetkę szczuplejszą i mniej postawną, ale wciąż wysportowaną. Każdego ranka pokonywał siedemdziesiąt długości piętnastometrowego basenu. Bez pośpiechu wszedł za barek i nalewając sobie dużą szkocką, zapytał:

— Jak się pan tutaj dostał?

— Muszę przyznać, senatorze, że ma pan bardzo nowoczesny system bezpieczeństwa. Przed wyjściem powiem panu, jak można go jeszcze bardziej usprawnić.

— Co z psem?

— Leży przy basenie. — Podniósł rękę i zapewnił: — Proszę się nie martwić, tylko śpi.

Senator spojrzął na kieliszek przybysza: był prawie pusty.

— Co pan pije?

Taylor wskazał brodą na półki za plecami senatora.

— Poczęstowałem się pańską wyśmienitą Stoliczną.

Gospodarz sięgnął po butelkę, nalał porządną porcję alkoholu, po czym zdjął pokrywę z pojemnika na lód i nałożył sobie lodu. Na barku stała mała butelka z wodą sodową. Taylor nalał jej do szklanki i podniósł kieliszek. Senator również wznosił kieliszek i zapytał:

— Co panu wiadomo o rejsie numer sto trzy?

— Leciła nim pańska żona.

— Zatem?

— Na pokładzie były także moja żona i córka.

Na moment zapadła cisza. Senator przerwał ją pierwszy.

— Ile lat miała pańska żona?

— Dwadzieścia dziewięć.

— A córka?

— Cztery.

Z niewiadomych dla samego siebie powodów senator zadał kolejne pytanie:

— Jak się nazywały?

— Nadia i Julia.

W pokoju znów zaległa cisza. W końcu senator przemówił zduszonym głosem:

— Moja żona miała na imię Harriot. Przeżyła sześćdziesiąt trzy lata. Byliśmy bezdzietni, nie mogliśmy mieć dzieci. Byliśmy tylko we dwoje...

Gość napełnił ponownie kieliszki i zaproponował:

— Wyjdźmy przed dom. Nad wodą jakoś lepiej mi się myśli.

Senator wziął swój kieliszek i rozsunął oszklone drzwi. Obeszli basen i zatrzymali się przy psie. Mężczyzna nachylił się, podłożył suce dłoń pod pysk i trzymał tak przez pół minuty. Podniósł się i orzekł:

— Nic jej nie będzie. Obudzi się o świcie, tyle że w dosyć kiepskim nastroju.

— A jak poradził pan sobie z Miguelem?

— W ten sam sposób. W końcu wszyscy jesteśmy zwierzętami.

Ruszyli razem wokół basenu. Nieznajomy zadał następne pytanie:

— Co zamierza pan zrobić w związku ze śmiercią Harriot?

Zrobili kolejne dwa okrążenia, zanim senator odezwał się:

— A co pan zrobi w sprawie śmierci Nadii i Julii?  
— Zabiję drani, którzy je uśmiercili.  
Przeszli dwa okrążenia w całkowitej ciszy.  
— Wejdźmy do środka — zaproponował senator. W chwilę potem uśmiechnął się blade. — Mam zamiar zrobić dokładnie to samo. Puściłem już piłkę w ruch.  
— W jaki sposób?  
Senator był nader akuratnym człowiekiem. Zanim odpowiedział, zerknął na datę na tarczy swojego Rolexa.  
— Przed trzema tygodniami wynająłem pewnego człowieka. To fachowiec...  
— Fachowiec od czego?  
— Od zabijania.  
— Amerykanin?  
— Tak.  
— Mogę poznać jego nazwisko?  
Senator pokręcił głową.  
— Przykro mi, ale nie. To jeden z punktów naszej umowy.  
Jego rozmówca westchnął.  
— W takim razie niech mi pan coś o nim opowie, zdradzi choćby parę szczegółów.  
— Niegdyś był najemnikiem.  
— Gdzie?  
— W Kongo, Biafrze, i w jeszcze paru innych miejscach.  
— A kogo planuje zabić?  
Senator wzruszył ramionami.  
— Rzecz jasna, cel nie został jeszcze w pełni określony. Dzięki moim znajomościom mam dostęp do wstępnych raportów FBI i CIA. Jednego są już pewni: za zamach odpowiedzialna jest jakaś grupa palestyńska. Może chodzić o Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny, Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, o grupę Abu Nidala czy nawet o Hezbollah. Ludzie z FBI i CIA spodziewają się, że zidentyfikowanie zamachowców to kwestia paru miesięcy.  
— Nad czym więc teraz pracuje pański ekspert od zabijania?  
— Przygotowuje operację infiltracji Libanu lub Syrii, w zależności od tego, kto okaże się ostatecznym celem.  
— Ma jakieś doświadczenie z pobytu na Bliskim Wschodzie?  
— Bardzo bogate.  
— Jak pan na niego trafił?  
— Sam mnie odnalazł.  
— Oczywiście dokładnie go pan sprawdził.  
Senator uśmiechnął się.  
— Za pośrednictwem FBI wyciągnąłem jego kartotekę z Interpolu, gdzie prowadzi centralny bank danych na temat wszystkich znanych najemników. Prawdę

powiedziawszy, jego historia jest rzeczywiście interesująca. Opowiedział mi ją jeszcze, zanim zadzwoniłem do FBI. Otóż jakieś pięć lat temu upozorował własną śmierć. FBI potwierdza, że został zabity. To naprawdę niezwykły facet, jeden z kilku Amerykanów, którzy służyli we francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

— Kiedy to było? — zapytał cicho Taylor.

— Nie wiem dokładnie, w każdym razie walczył w szeregach Legii w Algierii.

— W którym batalionie?

— Nie dysponuję szczegółowymi danymi, wiem tylko, że był to batalion spadochroniarzy.

— Ile mu pan zapłacił. . . Ile wziął zaliczki?

Po krótkiej chwili wahania senator odpowiedział:

— Cały kontrakt opiewa na milion dolarów: dwadzieścia pięć procent od razu do ręki, kolejne dwadzieścia pięć procent po rozpoznaniu celu, i reszta po wykonaniu zadania.

Nastała cisza. Przerwał ją spokojny głos senatora:

— Zamierzał pan przedstawić podobną propozycję?

Nocny gość potrząsnął przecząco głową.

— Niezupełnie. Chcę wykorzystać pańskie powiązania i dostęp do informacji.

Po zapoznaniu się z koneksjami i życiorysami wszystkich pasażerów feralnego samolotu stwierdziłem, że u pana znajdę to, czego mi trzeba: to znaczy pieniądze i władzę dającą dostęp do informacji za pośrednictwem CIA i FBI. Dysponuje sporym majątkiem, ale nie wystarczająco dużym. Tego rodzaju operacja pochłonie jakieś pół miliona dolarów. Ja wyłożę połowę, pan drugą.

— Chyba się pan nieco spóźnił ze swoją propozycją.

Rozmówca senatora pokręcił głową.

— Wcale nie.

— Co ma pan na myśli?

Przybysz wzruszył ramionami i odparł:

— Prawdą jest, że mężczyzna, którego pan scharakteryzował, służył w batalionie spadochroniarzy w Legii Cudzoziemskiej, a kiedy wyrzucono go po rewolcie generałów, został najemnikiem. Prawdą jest także, że brał udział w wojnach przez pana wspomnianych, oraz w innych. Zgadza się również i to, że przed pięciu laty upozorował własną śmierć.

— Zatem?

— Chcę powiedzieć, że człowiek, o którym mowa, nie jest tym samym, z którym pan rozmawiał, i któremu dał pan trzy tygodnie temu ćwierć miliona dolarów. Oszukano pana, senatorze.

Senator poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

— Co pan plecie, do diaska?

— Opisany przez pana człowiek siedzi na wprost pana po drugiej stronie barku, popijając pańską wyśmienitą wódkę. Byłem jedynym Amerykaninem, który

w czasie wojny w Algierii służył w batalionie spadochroniarzy w Legii Cudzoziemskiej.

Zaskoczony senator rozdziawił usta, ukazując złote plomby w tylnych zębach.

— Jakie jest pana prawdziwe nazwisko? — wydusił z siebie wreszcie.

— Creasy.

Senator zacisnął szczęki.

— Oczywiście może to pan udowodnić?

— Oszust zjawił się u pana osobiście; można założyć, że miał mniej kłopotów z obejściem pańskiej sekretarki niż ja. Proszę mi go opisać.

— Był mniej więcej w pańskim wieku, o dosyć długich, choć schludnie utrzymanych włosach siwiejących na skroniach. Miał wąsy, bliznę na czole, i szczupłą, mocno opaloną twarz. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ubrany był w elegancki garnitur wyglądający na robotę dobrego krawca.

— Z jakim mówił akcentem?

— Typowym dla Środkowego Zachodu, chociaż niezbyt wyraźnym. Coś jak pan, jak ktoś, kto wiele czasu spędził poza Ameryką.

Na twarzy mężczyzny pojawił się krzywy uśmiech.

— Człowiek, który był u pana, senatorze, to Joe Rawlings, zwykły oszust. Kiedy otrzymał od pana pieniądze, to powiedział, dokąd zamierza się udać?

Senator patrzył na niego ponuro.

— Do Brukseli — odpowiedział. — Miał się tam spotkać z paroma osobami i wybrać odpowiednich współpracowników. Według niego Bruksela była do tego celu stosownym miejscem.

— Odezwał się do pana od tamtego czasu?

— Nie, mówił, że zadzwoni za miesiąc. — Sprawdził datę na swoim zegarku.

— Czyli od dzisiaj za tydzień.

— Zostawił jakiś adres?

Senator odparł z pochmurną miną:

— Podał adres na poste restante w Brukseli i kolejny we Francji, dokładnie biorąc w Cannes.

— Został pan nabity w butelkę, senatorze. Mechanizm oszustwa jest prosty. Za tydzień Rawlings zadzwoni do pana z informacją, że przesyła panu tymczasowe sprawozdanie. Kiedy pismo do pana dotrze, okaże się, że zawiera spis wydatków, które, proszę mi wierzyć, będą całkiem niemałe, plus nazwiska wynajętych przez niego najemników, a także wykaz kosztownego sprzętu, jaki dotychczas nabył, wraz z odpowiednimi rachunkami. Kiedy zamachowcy odpowiedzialni za katastrofę samolotu zostaną ustaleni, pan zawiadomi go za pośrednictwem obu adresów na poste restante. W tym momencie cwaniak poprosi pana o kolejną ratę. W ciągu kilku dni otrzyma pan namacalny dowód na to, że mam rację.

Dodał wskazując pusty kieliszek:

— Na szkle zostały moje odciski palców — proszę ukryć je w swoim sejfie. Gdy za kilka dni znajdą się w pana posiadaniu odciski palców Joe Rawlingsa, niech pan każe sprawdzić jedne i drugie swoim przyjaciołom z FBI. W jakiś czas później dotrze do pana mój list. Proszę oderwać nie zapisany prawy róg w dole kartki i przesłać go znajomym z FBI. Skrawek zawierać będzie odcisk mojego kciuka. W ten sam sposób będzie pan sprawdzać wiarygodność wszystkich otrzymywanych ode mnie pism. Natomiast każdą rozmowę telefoniczną będę zaczynał od podania hasła, „Lockerbie” i daty sprzed dziesięciu dni.

Rozprostował plecy z wyrazem zmęczenia na twarzy. Nie mniejsze znużenie malowało się na obliczu senatora. Po chwili senator wyprostował się i wycodził przez zęby:

— Dostaniemy tych drani w swoje ręce. — Nagle przez głowę przeleciała mu pewna myśl. — Będzie pan działał w pojedynkę czy wynajmie którychś ze swoich dawnych kompanów?

Creasy odpowiedział mu przeczącym ruchem głowy.

— Nie, sprawa ma wymiar osobisty. Wprowadzę jednak dodatkowy element, który może okazać mi się niezbędny: dodam młodość. Potrzebny mi będzie młodzieniec, którego mógłbym ukształtować na własną modłę. Postaram się odtworzyć w nim jakąś część samego siebie z przeszłości i tym samym związać go ze sobą. Będzie to stanowiło pewnego rodzaju zabezpieczenie. Nie wiemy przecież, ile czasu upłynie, zanim zamachowcy zostaną wykryci. Mogą to być miesiące, a nawet całe lata.

Senator Grainger uśmiechnął się i zauważył, wzruszywszy ramionami:

— Chciałbym być w pana wieku i mieć pańskie doświadczenie. Bez namysłu dołączyłbym do pana. Dobry Boże, niczego bardziej nie pragnę.

— Od tej chwili stanowimy jedną drużynę — podkreślił Creasy. — Nie będzie już pan odczuwał dokuczliwej samotności, i to samo odnosi się do mnie. Od dzisiaj mam przyjaciela, z którym mogę dzielić swój ból.

Wyciągnął ręce i położył je na krótką chwilę na ramionach Graingera.

— Spróbuję odzyskać część pańskich pieniędzy, jeśli jeszcze coś z nich zostało. Teraz na mnie już czas. Rzucę tylko okiem na system bezpieczeństwa i podłączę telefon.

## 2

Boisko do piłki nożnej było małe i zakurzone. Na maltańskiej wyspie Gozo próżno by szukać trawy, w każdym razie nie porastała jej trawa typowa dla boisk futbolowych. Wiek chłopców wahał się od czternastu do siedemnastu lat.

Od czasu katastrofy samolotu Pan Am upłynęło pięć miesięcy. Zbliżał się koniec sezonu piłkarskiego.

Przybysz siedział obok księdza Manuela Zerafy na stopniach kościoła i przyglądał się grze. Ojciec Manuel Zerafa opiekował się miejscowym sierocińcem. Obaj mężczyźni znali się i przyjaźnili od wielu lat.

Kopnięta energicznie piłka poszybowała na środek pola. Zakotłowało się i z płataniny rąk i nóg wyłonił się ciemnoskóry chłopak z piłką u nogi. Gwałtownie przyspieszając wyminął dwóch obrońców i z zimną krwią ulokował piłkę w siatce obok bezradnego bramkarza. Ksiądz poderwał się, krzycząc radośnie i klaszcząc w dłonie. Był niski i pulchny. Jego szaleńczy entuzjazm wydawał się być nie na miejscu.

— O to właśnie chodziło — cieszył się zajmując z powrotem miejsce. — Chłopcóm z sierocińca nie udało się pobić drużyny z Sannat przez ostatnie siedem sezonów. — Zerknął na zegarek. — Jeszcze tylko dziesięć minut, za mało, żeby strzelili nam dwa gole. — Wskazał brodą na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie boiska i dorzucił ze złośliwym uśmiechem: — Ale się ojciec Joseph będzie wściekał!

— Co to za chłopak? — zainteresował się Creasy. — Pytam o tego, który strzelił bramkę.

— Nazywa się Michael Said — w głosie księdza pojawiła się ciepła nuta. — Najlepszy gracz, jaki nam się trafił w ciągu moich dwudziestu lat kierowania sierocińcem. Pewnego dnia zagra w reprezentacji Malty. Hamrun Spartans chcą, żeby od przyszłego sezonu grał w ich drużynie młodzieżowej. Zgodzili się przekazać na rzecz sierocińca trzysta funtów. Możesz w to uwierzyć, Uomo?

Z uwagi na mnogość występujących tam pospolitych nazwisk, na wyspie Gozo każdy nosił jakiś przydomek. Creasy nazywany był z włoska Uomo, co znaczy po prostu „Człowiek”.

— Ile ma lat?



— W ubiegłym tygodniu skończył siedemnaście.

— Od jak dawna przebywa w sierocińcu?

— Od urodzenia.

Creasy nie przestawał obserwować chłopca, który wyraźnie dominował na boisku. Chłopak nie był wysoki ani mocno zbudowany, ale poruszał się po piaszczystym boisku z wdziękiem i determinacją. Walcząc z dziką zaciętością pokonywał nawet wyższych od siebie przeciwników. Creasy nie spuszczał z niego oka.

— Powiedz mi o nim coś więcej, ojcie — poprosił.

Ksiądz obrzucił spojrzeniem swego postawnego rozmówcę. — Nigdy przedtem go nie widziałeś?

— Spotkałem go parę razy w wiosce, ale nigdy mu się specjalnie nie przyglądałem. Proszę, opowiedz mi o nim.

W spokojnym głosie Creasy'ego wyczuwało się napięcie. Ksiądz zerknął na niego jeszcze raz i zaczął, wzruszając ramionami: — To dosyć banalna historia. Matką chłopca była prostytutka z Gziry na Malcie. Z ciemnej karnacji wnoszę, że jego ojcem był Arab, w Gzirze zawsze ich było pełno. Matka nie chciała dziecka, wylądował więc u nas.

— Mówi po arabsku?

Ksiądz przytaknął i wyjaśnił z nieco skwaszoną miną: — Mówi, i to bardzo dobrze, tak przynajmniej twierdził nauczyciel z Kuwejtu, który pracował u nas przez dwa lata. Całkiem przyzwoity człowiek jak na Araba. A do tego dobry piłkarz — trenował juniorów z Qala. Michael zwrócił jego szczególną uwagę. Wraz z nastaniem nowego rządu język arabski został wprowadzony do szkół jako przedmiot fakultatywny. Dowcip polegał na tym, że równocześnie wszystkich nauczycieli arabskich odesłano do domów.

W tym momencie Michael wykiwał obrońców posyłając piłkę w stronę swojego kolegi, który wpakował ją do bramki. Ksiądz nie posiadał się z radości.

— Trzy do zera! — wrzeszczał. — Nigdy jeszcze nie pokonaliśmy drużyny z Sannat różnicą trzech bramek!

Zanosząc się głośnym śmiechem wykonał nieprzyzwoity gest pod adresem młodszego od siebie duchownego z przeciwnej drużyny. Tamten spojrzał na niego wilkiem. Ojciec Zerafa usiadł nie przestając chichotać.

— Jak z jego inteligencją? — rzucił pytanie Creasy. Ojciec Zerafa uśmiechnął się i odparł:

— Mówiąc między nami, ten księżulo to zupełny idiota. Nie mam pojęcia, jak udało mu się przebrnąć przez seminarium, jedynym wytłumaczeniem jest chyba tylko to, że ma kuzyna biskupa.

— Miałem na myśli chłopca — wyjaśnił Creasy z uśmiechem.

— Oczywiście, że jest inteligentny — padła natychmiastowa odpowiedź. — Ktoś, kto tak potrafi okiwać przeciwnika z pewnością nie narzeka na brak inteligencji. Zapewniam cię, pewnego dnia zagra w reprezentacji Malty.

— Poza arabskim i grą w piłkę nożną, jak sobie radzi z pozostałymi przedmiotami?

— Nie ma żadnych kłopotów.

— A jak z innymi sportami?

— Jest najlepszym tenisistą W całym sierocińcu, a mamy tu paru naprawdę dobrych zawodników. Poza piłką nożną, tenis jest dla nich w zasadzie jedyną formą rekreacji.

Creasy ani na moment nie spuszczał oczu z biegającego po boisku chłopca,

— A co można powiedzieć o jego charakterze? — dopytywał dalej.

Ksiądz rozłożył ręce. — Trudno za nim trafić, to typ samotnika. Większość spośród sześćdziesięciu ośmiu chłopców mieszkających w sierocińcu wydaje się łączyć w grupy wiekowe, ale z Michaelem jest inaczej. Ma kilku kolegów, ale nie jest to na moje oko zbyt zażyła znajomość.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, ojciec Zerafa wyczuwał rosnącą ciekawość u swego rozmówcy. Podjął więc dalej: — Jak wszyscy młodzi chłopcy, sprawia czasami kłopoty, ale mniejsze niż inni, zresztą teraz zdarza się to coraz rzadziej.

— Dopytywał się kiedyś o swoich rodziców?

— Tak, w swoje trzynaste urodziny zjawił się u mnie z tym pytaniem.

— I co mu ojciec powiedział?

— Prawdę.

— A on co na to?

— Nic. Podziękował mi za informację i wyszedł. Od tego dnia nigdy ani słowem nie nawiązał do tego tematu.

Po kolejnej chwili ciszy Creasy zadał kolejne pytanie: — Jest religijny?

Ksiądz smutno pokręcił głową: — Obawiam się, że nie.

— Ale na msze chodzi?

— Bo musi. Tak jak pozostali, i też bez specjalnego entuzjazmu.

Sędzia odgwizdał koniec meczu i chłopcy z sierocińca padli sobie w ramiona. Creasy i jego rozmówca wstali. Ksiądz otrzepał zakurzony tył sutanny.

— Mógłby go ojciec poprosić, żeby do mnie przyszedł?

Ojciec Zerafa nie ukrywał zaskoczenia.

— Chcesz go zaprosić? Do siebie do domu?

Creasy spojrział ponad boiskiem i niskimi budynkami wioski na ciągnący się szeroko łańcuch gór. Po lewej stronie pasma, wczepiony tuż poniżej najwyższego punktu wzniesienia, stał stary wiejski dom zbudowany z kamieni.

— Tak — przytaknął. — Niech przyjdzie do mnie dziś wieczorem około szóstej. Wspaniałe zwycięstwo, ojcze. Graliście wyśmienicie.

Mówiąc to klepnął lekko księdza w ramię i zszedł po stopniach kościoła do swojego dżipa.

Ojciec Zefara odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód. W chwilę potem otoczyła go gromadka chłopców z sierocińca.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy chłopak zaczął piąć się zakurzoną ścieżką w kierunku domu na wzgórzu.

Ojciec Zefara był jak zawsze lakoniczny. Po powrocie do sierocińca poprosił Michaela na stronę i oznajmił: — Pójdiesz dziś na szóstą do Uomo.

— Po co? — zaciekał się Michael.

Ksiądz wzruszył ramionami. — Nie wiem. Po prostu masz tam być.

Michael wiedział o Uomo wszystko, a w każdym razie tyle, co każdy z mieszkańców niewielkiej wysepki. Uomo znany tu był również pod maltańskim przydomkiem *Il Mejjiet*, co tłumaczyło się jako „Ten, Który Umarł”. Michael słyszał, że kilka lat temu Uomo spędził parę miesięcy na wyspie, po czym zniknął, by powrócić w nocy w kilka miesięcy później. Ojciec Zefara przykazał Michaelowi i innym chłopcom, by trzymali język za zębami i nie rozmawiali na temat przybysza. Michael wiedział jeszcze coś: wyspa Gozo, której ponad dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców uczęszczało do kościoła, uchodziła za najbardziej pobożną społeczność świata. I otóż pewnej niedzieli z ambon wszystkich kościołów popłynęły skierowane do wiernych te oto słowa:

— Nie rozpowiadajcie nikomu o człowieku zwanym Uomo, zwłaszcza obcym. On jest jednym z nas.

Oczywiście Uomo stał się na małej wysepce od razu tematem numer jeden. Rozmawiano o nim jednak tylko między sobą, nigdy w obecności obcych, choćby byli to Maltańczycy. Powtarzane w obrębie małej społeczności plotki rosły i przybierały na sile. Niezadługo Michael wiedział już, że Uomo wrócił w środku nocy na łodzi policyjnej, że następnie spędził wiele miesięcy w domu Paula Schembri nie wychodząc poza próg, że ożenił się później z córką Paula, Nadią, i że urodziła im się dziewczynka. Wiedział ponadto, że żona i córeczka Uomo zginęły w katastrofie samolotu Pan Am nad Lockerbie.

I jeszcze coś. Michael był zaprzyjaźniony z synem Rity, która prowadziła we wsi sklepik z artykułami spożywczymi. Mąż Rity, policjant, był członkiem elitarnego oddziału antyterrorystycznego utworzonego w ramach sił policyjnych. Właśnie ów kolega zdradził przed kilku laty Michaelowi, że Creasy pomagał w szkoleniu oddziału w zakresie taktyki i posługiwania się bronią. I nie było z pewnością sprawą przypadku, że dowódcą elitarnego oddziału był i jest do dzisiaj siostrzeniec Paula Schembri, zwykłego farmera.

Michael dotarł do domku nieco spocony i mocno zaciekawiony. Budynek

otaczał mur z łupka, który, chociaż wzniesiony przed kilku zaledwie laty, sprawiał wrażenie bardzo starego. Chłopak obserwował jednak z wioski jego budowę, a czasami podążał w góry i przyglądał się z bliska robotnikom, jak przebudowują posiadłość używając jedynie starych kamieni. Sam mur był szeroki na półtora i wysoki na jakieś trzy i pół metra. Obok osadzonych w nim szerokich drewnianych wrót, umocowany był staroświecki metalowy uchwyt dzwonka.

Chłopiec miał na sobie wytarte dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami. Wsunął ją głębiej w spodnie i pociągnął za rączkę dzwonka, czując ciekawość ilekćie zdenerwowanie. Po minucie drzwi otworzyły się.

Gospodarz ubrany był jedynie w kostium pływacki. Jego lewy bok i brzuch przecinały okropne blizny. Podobne blizny biegingy od prawego kolana znikaję pod spodenkami. Męczyzna wycięgnął rękę.

— Witam cię, Michael, wchodź.

Michael odwzajemnił uścisk dłoni, spostrzegając od razu brak małego palca. Jego uwadze nie uszły też wielobarwne, nieregularne blizny pokrywające wierzch dłoni. Męczyzna zwolnił uścisk i odsunął się na bok przepuszczając chłopca. Michael przekroczył wrota bramy i tuż przed sobą zobaczył szeroki pas kostki z wapienia otaczający niebieski prostokątny basen. Bładość wapiennej kostki ożywiały nieregularne barwne plamy. Do ścian domu przylegały palmy, tropikalne pnęcza i winorośl, które pięły się po drewnianej pergoli wyrastającej z obu skrzydeł budynku. W cieniu pergoli stał okrągły kamienny stół, a przy nim stare drewniane krzesła. Gospodarz zaprosił go do stołu.

— Siadaj. Czego się napijesz?

Michael wahał się z odpowiedzią.

— Masz za sobą niezłą wspinaczkę — zachęcał gospodarz. — Wolisz zimne wino czy piwo?

Kieszonkowe otrzymane z sierocińca było śmiesznie małe. Michael ostatni raz pił alkohol w czasie ubiegłorocznego święta wsi.

— Mogę poprosić piwo? — odważył się wreszcie.

— Bardzo proszę. Ja też sobie wezmę piwo.

Męczyzna wszedł do środka. Michael stojąc przy stole ogarniał spojrzeniem rozpościerającą się przed nim panoramę Gozo. W oddali wylaniała się wysepka Comino, a za nią Malta. O tej porze roku krajobraz stanowił szachownicę barwnych plam: zielone pola, granatowe morze i jasnoniebieskie niebo. Dom Uomo stał w najwyższym punkcie wyspy. Obiegając wzrokiem mury stolicy wyspy i starożytną cytadelę Michael doszedł do wniosku, że ma przed sobą najdoskonalszy zakątek jedyne go świata, jaki dane mu było dotychczas poznać.

### 3

Ojciec Manuel Zerafa nie należał do ludzi, których można by łatwo zadziwić. Nosił suknię duchowną od trzydziestu trzech lat, z których pierwsze dziesięć spędził w Somalii i północnej Kenii. Z niejednego pieca chleb jadł i świat nie miał przed nim tajemnic. Siedział teraz na balkonie baru „Gleneagles” w Mgarr i spoglądał na niewielki port i jaskrawo pomalowane tradycyjne łodzie rybackie. Obole niego siedział Creasy. Obaj trzymali w dłoniach opróżnione szklanki. Od kilku minut ksiądz trawił w sobie słowa, które dopiero co usłyszał. W końcu, nie odwracając się, zaczął posępnie:

— Musiałbyś się znowu ożenić, Uomo. Takie są przepisy... W grę wchodzić mogą tylko pary małżeńskie...

Uomo skinął głową.

— Wiem o tym.

Duchowny obrócił się raptownie w stronę rozmówcy. W jego oczach widać było zaskoczenie i szok.

— Chcesz się znowu ożenić w tak krótkim czasie?

Creasy przytaknął.

— Jak ojciec sam powiedział, to niezbędny wymóg.

Ksiądz pokręcił wolno głową.

— Tutejsi mieszkańcy mogą być zszokowani, a nawet urażeni. Wszyscy darzyli Nadię miłością. Wiedzą też, jak bardzo ją kochałeś... Upięknęło zaledwie pięć miesięcy... Na mszy za dusze Nadii i Julii kościół pękał w szwach, Nigdy przedtem nie zjawiało się tylu ludzi.

— Chodzi o związek czysto formalny, ojczy, małżeństwo zawarte dla spełnienia wymogów waszych władz.

Ksiądz nie przestawał kręcić głową.

— Kogo chcesz poślubić?

— Jeszcze nie wiem.

Ojciec Zefara podniósł gwałtownie głowę.

— Nie wiesz?! Prosisz o przeprowadzenie adopcji w jak najkrótszym czasie, a nie wiesz nawet, kogo weźmiesz sobie za żonę? — Ksiądz o mało nie wybuchnął śmiechem. — Przecież ta kobieta będzie musiała być zaakceptowana przez

komisję, która orzeknie po przesłuchaniu was obojga, czy odpowiadacie warunkom stawianym przed potencjalnymi rodzicami.

— Zaakceptują ją na pewno — burknął Creasy.

Ojciec Zefara westchnął.

— Ale po co ten pośpiech? Nie możesz poczekać choćby z rok? Twój krok będzie wtedy łatwiejszy do przyjęcia przez komisję i miejscową społeczność. Zresztą rozmawiałeś z chłopcem zaledwie raz.

— Wystarczy — zapewnił Amerykanin. Sięgnął po szklankę księdza i przeszedł do chłodnego, wysoko sklepionego baru. Postawił szklanki przed łysiejącym barmanem.

— Daj, Tony, jeszcze dwa piwa.

W rogu sali grupa miejscowych rybaków grała w lokalną grę karcianą zwaną *Bixla*, w której niezbędna była umiejętność oszukiwania we współpracy z partnerem. Trudno ich było w tym prześcignąć. Podczas gdy Tony napełniał szklanki, Creasy podziwiał zwodnicze triki i kontr-posunięcia graczy. Jeden z rybaków mrugnął do niego. Creasy był jedynym obcokrajowcem, który potrafił dotrzymać im kroku. Wziął napełnione szklanki i rzucił na odchodnym do barmana:

— Napij się na mój koszt.

Tony potrząsnął odmownie głową.

— Za wcześniej jak dla mnie.

Creasy czekał cierpliwie. Po dziesięciu sekundach barman, śmiejąc się od ucha do ucha, poddał się.

— Dlaczego nie? Strzelę sobie jedno piwko — Blue Label.

Creasy odwrócił się. Zawsze tak samo, pomyślał. Nie było dziełem przypadku, że barman obdarzony został przydomkiem: „Dlaczego Nie”.

Wrócił na balkon i podał księdzu szklankę.

Był wczesny wieczór. Duży biały prom odbijał od przystani, unosząc na pokładzie jednodniowych turystów powracających na Malte. W blasku zachodzącego słońca wapienne wzgórza przybierały kolor miedzi.

— Powiedział ojciec, że potrwa to sześć do ośmiu tygodni?

Ksiądz westchnął.

— Tak, ale przy ogromnym tempie oraz tylko dzięki temu, że biskup dobrze cię zna i że masz znajomości wśród władz państwowych.

Creasy pociągnął łyk piwa.

— Zatem jutro porozmawiam z chłopcem, a pojutrze wyjadę. Wrócę w ciągu czterech tygodni z żoną i kompletem wymaganych dokumentów. Na jak długo będzie musiała przyjechać?

Ojciec Zefara obrzucił go po raz kolejny zdziwionym spojrzeniem.

— Co masz na myśli?

— Chodzi mi o to, ile czasu przyszła żona będzie musiała mieszkać na Gozo? Z wolna w oczach duchownego zaczęło błyskać zrozumienie.

— A więc o to chodzi?

Prom wypływał z portu na otwarte morze. Creasy potwierdził cicho:

— Tak, ojcze, właśnie o to chodzi.

— Nie mniej niż sześć miesięcy — odpowiedział duchowny. — W przeciwnym razie sprawa będzie zbyt oczywista. Stracę twarz, nie mówiąc już o autorytecie komisji. Będzie musiała mieszkać w twoim domu, razem z tobą i chłopcem. — W jego głosie pojawiła się nagle ostra nuta. — Sześć miesięcy, Uomo.

Creasy opróżnił szklanekę i wstał.

— Zatem dobrze — zgodził się. — Sześć miesięcy. Porozmawia ojciec jutro z biskupem, a potem z chłopcem? I proszę przysłać go do mnie na szóstą... Pod warunkiem oczywiście, że będzie chciał przyjść.

Ksiądz przypuścił jeszcze jeden atak.

— A może lepiej poczekać parę miesięcy? Dlaczego nie adoptujesz młodszego chłopca? Mam kilku odpowiednich.

— Wcale w to nie wątpię, ojcze. Ale mnie zależy na Michaelu Saidzie, i chcę go mieć przy sobie w ciągu ośmiu tygodni.

Odwrócił się i wyszedł.

Po powrocie do sierocińca Michael Said zaszył się w rogu podwórka. Zatapiając niewidzący wzrok w trzymanym w ręku czasopiśmie nie przestawał myśleć o domu na wzgórzu i wydarzeniach ostatniego wieczoru.

W czasie dwóch godzin spędzonych przy stole w cieniu drewnianej pergoli wypił trzy piwa. Za którymś razem postawny Amerykanin poszedł do kuchni i wrócił stamtąd z dużym talerzem, na którym leżały cienkie płyty suszonego mięsa.

— W Ameryce nazywamy tę potrawę *jerky*, chociaż ja nauczyłem się przyrządzać ją w Rodezji. — Posłał chłopcu szybkie spojrzenie i zapytał: — Wiesz, jaką nazwę nosi teraz Rodezja?

— Zimbabwe — odparł bez namysłu chłopak.

Gospodarz skinął głową z aprobatą. Ugryzł kawałek wołowiny i dodał:

— W Zimbabwe ta potrawa nazywa się *biltong*. Sporządza się ją z upolowanej zwierzyny, najczęściej z mięsa gazeli. Soli się je obficie i zostawia na słońcu na kilka dni. Tak zakonserwowane mięso można przechowywać przez całe lata. Jednemu człowiekowi wystarcza do przeżycia dwóch tygodni jakieś pięć kilogramów *biltongu*.

Wskazał brodą na domy wioski i dorzucił:

— Mnie musi wystarczać wołowina, którą kupuję w sklepie mięsnym Johna. Spróbuj kawałek.

Chłopiec włożył do ust skrawek mięsa. Smakowało jak skóra. Zaczął żuć intensywnie, poczuł smak słonej skóry. Żuł dalej i po jakimś czasie poczuł smak

mięsa. Było naprawdę wyborne. W ciągu piętnastu minut opróżnili talerz.

Dużo rozmawiali. Amerykanin zadawał mnóstwo pytań. Michael doszedł do wniosku, że gospodarz bada sprawność jego umysłu; wcześniej w domu niczego takiego nie zauważył. Odpowiedzi przychodziły mu bez najmniejszego trudu. Po drugim piwie był już na tyle odprężony, by wypowiedzieć słowa, które powtarzał sobie przez całą drogę do domu na wzgórzu.

Patrząc postawnemu mężczyźnie prosto w oczy, zapytał:

— Jak mam się do pana zwracać?

— Creasy — padła swobodna odpowiedź. — Opuść „pana” przed nazwiskiem. Możesz też używać mojego przydomka. Wiesz, jak mnie nazywają?

Chłopiec potwierdził kiwnięciem głowy i zaczął prostymi słowami:

— Chcę powiedzieć, Uomo, jak bardzo mi przykro z powodu pańskiej żony i córki. Wszystkim nam jest przykro. Na Boże Narodzenie przynosiła do sierocińca prezenty, a czasami super jedzenie: mięso, chyba z farmy jej ojca, i mnóstwo owoców. Wszystkim jest nam jej bardzo brak.

Nie odrywał wzroku od oczu swego rozmówcy. Nie wykazywały ani śladu emocji; wespół przymknięte, niemal senne, odwzajemniały spojrzenie Michaela. Mężczyzna nagle skinął głową, wstał i udał się do kuchni po kolejne dwa piwa.

Słońce skryło się za ich plecami, a oni rozmawiali dalej. Michael czuł się teraz na tyle rozluźniony, że zaczął sam zadawać pytania. Pierwsze z nich brzmiało:

— Skąd wzięły się te blizny, Uomo?

— Pamiątka po różnych wojnach.

— Gdzie walczyłeś?

— Wszędzie. W północnej, południowej i zachodniej Afryce, w Azji, na Bliskim Wschodzie. Wszędzie.

Chłopiec poczuł się ośmielony.

— Byłeś najemnikiem? — zapytał.

— Każdy, kto pracuje za pieniądze, jest najemnikiem.

— Wielu ludzi zabiłeś?

Nastała długa cisza. Mężczyzna patrzył w dal, biegnąc wzrokiem ponad falistymi wzgórzami i wioskami Gozo, ponad błękitem wód otaczających wyspy Comino i Malte.

Wreszcie ledwo słyszalnym szeptem wydusił z siebie standardową odpowiedź:

— Nie pamiętam.

Zaraz potem podniósł się i spytał zmieniając temat:

— Potrafisz pływać?

— Oczywiście.

— To chodźmy popływać.

— Nie wziąłem kąpielówek.

Creasy uśmiechnął się.



— Po co ci. Ale jeśli masz się wstydzić, możesz pływać w majtkach.

Chłopiec ściągnął z siebie całe ubranie i zaczęli pływać. Basen mierzył dwa-  
naście metrów długości. W pewnej chwili gospodarz zaproponował:

— Ścigajmy się na dwie długości.

Michael był dobrym pływakiem, ale przegrał o dwa metry. Chwyając się brze-  
gu basenu wysapał:

— Masz krzepę, Uomo.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Codziennie rano zaliczam sto basenów. Trudno o lepsze ćwiczenie dla męż-  
czyzny.

Kiedy Michael zbierał się już do odejścia, gospodarz poinformował go ci-  
chym, poważnym głosem:

— Za kilka dni poproszę cię znowu do siebie na rozmowę. Potem będziesz  
mógł tu przychodzić, ilekroć zechcesz. Możesz korzystać z basenu, częstować się  
piwem. Ale pamiętaj, zawsze masz zjawiać się sam.

Michael nic nie odpowiedział. Był już w połowie drogi ze wzgórza, kiedy  
zatrzymał się i jeszcze raz obrzucił spojrzeniem dom. Minuty płynęły, a on wciąż  
stał bez ruchu i patrzył. Wreszcie podjął na nowo wędrówkę w dół zbocza.

## 4

Ojciec Zefara nie spał dobrze tej nocy. Właśnie miał kłaść się do łóżka, kiedy dopadła go natrętna myśl. Myśl ta zakłóciła sen i budziła go kilka razy.

Rankiem zadzwonił do sekretarza biskupa i umówił się na spotkanie na trzecią po południu. Teraz pozostało mu dopasować pozostałe punkty dnia. Dokładnie o trzynastej jechał swoim rozklekotanym dwudziestoletnim Hillmanem do domu Paula Schembriego położonego na stokach wzgórz ciągnących się do Nadur. Spodziewał się, że zwyczajem innych farmerów Paul Schembri wróci z pola w południe i teraz kończy solidny obiad.

Nie mylił się. Kiedy podniósł siatkę przeciw muchom wiszącą w otwartych drzwiach, farmer i jego syn Joey wycierali właśnie chlebem resztki sosu z talerzy. Przez drzwi kuchni dostrzegł żonę Paula, Laure, zajętą zmywaniem naczyń. Ostatni raz widział ich na mszy odprawionej za spokój dusz Nadii i Julii. Paul miał pięćdziesiąt kilka lat i był niewysokim, żylastym mężczyzną o ciemnej karnacji. Laura była młodsza i wyższa — natura nie poskąpiła jej urody. Joey pod względem urody wrodził się w matkę: tak jak ona był wysoki i przystojny, lecz o suchej, żylastej posturze jak ojciec. Wszyscy obrzucili wchodzącego księdza nieco zaskoczonym spojrzeniem.

Paul polecił z miejsca synowi:

— Skocz no, Joey, po wino dla ojca Manuela.

Wskazał ręką krzesło. Gość przyjął zaproszenie i usiadł.

— Jadł ksiądz obiad?

— Tak, dziękuję.

Korzystając z tego, że Joey bawił jeszcze w kuchni, ksiądz przeszedł do rzeczy:

— Chciałbym z tobą porozmawiać, Paul. W cztery oczy.

— O czym?

— O Creasym.

Paul Schembri znał ojca Manuela od wielu lat. Kiwnął głową, wziął do ust ostatni kawałek chleba i podnosząc się z krzesła krzyknął:

— Joey, weź dwie szklanki i wynieś wino przed dom.

Ksiądz i farmer usiedli w patio wychodzącym na morze. Rozmawiali przy-

szonymi głosami, opróżniając dużą butelkę wina domowego wyrobu z winogron wyhodowanych przez Paula.

Kiedy wreszcie wstali z miejsc, farmer zauważył:

— Myślę, że ma ojciec rację. Nie może chodzić o nic innego. Obaj dobrze wiemy, jaki jest naprawdę. Nie żeniłby się tak szybko, jeśli w ogóle kiedykolwiek pomyślałby o małżeństwie, gdyby nie ta przyczyna.

Na twarzach obu mężczyzn malował się posępny wyraz. Farmer pierwszy przerwał milczenie:

— Mam z nim porozmawiać? Jutro niedziela — w każdą niedzielę przychodzi do nas na obiad i siedzi do wieczora. Chce ojciec, żebym z nim pogadał?

Ksiądz z namysłem pokręcił głową.

— Nie, Paul, dziękuję.

Ojciec Manuel nie należał do ludzi, którzy często szukają rady u innych. Znając jednak dobrze Paula i doceniając zalety jego rozumu, zapytał:

— Dzisiaj o trzeciej będę się widział z biskupem. Jak sądzisz, Paul, czy mam podzielić się z nim naszymi spostrzeżeniami? Muszę otrzymać jego zgodę na przeprowadzenie adopcji, zanim jeszcze sprawa trafi pod obrady komisji opieki społecznej.

Po długiej chwili namysłu farmer odpowiedział z lekkim uśmiechem:

— Biskup to dobry i święty człowiek, ojciec. I bez tego ma zbyt wiele zmar-  
twień na głowie. W końcu na razie to tylko domysły.

Ksiądz opróżnił szklanekę i odstawił ją na stół.

— Robisz dobre wino, Paul.

Była czwarta po południu, kiedy ojciec Manuel Zerafa przybył do domu swego amerykańskiego znajomego. Odmówił poczęstowania go drinkiem i usiadł w cieniu obrosniętej zielenią drewnianej pergoli.

— Czy rozmawiał już ojciec z biskupem? — nie wytrzymał gospodarz.

Ksiądz przytaknął:

— Tak. Nie widzi problemu, nie powinno być żadnych przeszkód.

— A rozmawiał ojciec z chłopcem?

Manuel Zefara potrząsnął głową.

— Porozmawiam z nim po wyjściu od ciebie, jeśli będę usatysfakcjonowany tym, co od ciebie usłyszę.

Amerikanin siedział na wprost niego przy okrągłym stole i nie spuszczał z niego wzroku.

— Rozmawiałem za to dzisiaj z Paulem Schembrim — ciągnął ksiądz, — Paul zgadza się ze mną.

— Zgadza się z ojcem? Odnosnie czego?

Ksiądz westchnął.

— Że zamierzasz się chłopcem posłużyć.

— Niby do czego?

Manuel Zerafa potarł dłonią twarz.

— Do przeprowadzenia zemsty!

Amerykanin wstał, przeszedł do basenu i zatrzymał się ze wzrokiem wbitym w dół. Był bosy i odziany jedynie w kostium kąpielowy. Ksiądz wyprostował się na krześle i objął go spojrzeniem przebiegając oczami blizny. Westchnął ponownie, miał dzisiaj nad czym wzdychać. Przybierając łagodny ton, zaczął mówić do pokrytych bliznami pleców:

— Wiem, Uomo, czego dopuściłeś się przed laty we Włoszech. To był niegodny czyn.

Creasy nie odwrócił się. Stał nieruchomo, spoglądając w wodę basenu.

— Zemsta należy do Boga — nie ustawał ksiądz. — Zgadza się, to byli ludzie z gruntu źli, ale Bóg nie dał ci prawa ich zabijać.

Na te słowa Amerykanin odwrócił się twarzą do księdza.

— Jeżeli Bóg w ogóle istnieje, to niewykluczone, że od czasu do czasu udziela takiego przyzwolenia.

Ksiądz podniósł brwi.

— Komu? Bezbożnikom?

Amerykanin uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały poważne.

— A komu? — zapytał. — Jeżeli zepsuje się ojcu samochód, co będzie ojcu bardziej zaprzątało głowę: to, czy naprawiający go fachowiec jest bogobojnym człowiekiem, czy też to, czy jest dobrym mechanikiem?

Ksiądz zacisnął zęby. Jego Hillman, stary trup, często nawalał, i trafiał wtedy nieodmiennie do Paulu Zarba, najlepszego mechanika na Gozo, który znał samochód jak własne dziecko i zawsze potrafił go naprawić. Rzecz w tym, że Paulu Zarb był jednym z nielicznych mieszkańców Gozo, których noga nie powstała nigdy w kościele, a którzy jeśli by mogli, omijaliby go z daleka. Tak, Creasy orientował się doskonale, kto naprawia księdzu samochód.

Ojciec Manuel odpowiedział smutno, kręcąc powoli głową:

— Nic już nie przywróci życia Nadii i Julii.

Creasy podszedł do stołu i usiadł.

— Wiem. Ale poza wiarą w Boga, czy nie wierzy ojciec w sprawiedliwość?

— Zemsta nie oznacza sprawiedliwości.

— Moje prawo mówi inaczej — odparł twardo Amerykanin.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Wreszcie ksiądz przemówił pierwszy.

— Więc zamierzasz posłużyć się chłopcem jako narzędziem zemsty.

— Tylko jeśli to będzie konieczne.

— Ale chłopak ma zaledwie siedemnaście lat... Sam już się do tego nie nadajesz?

Pokancerowany bliznami rozmówca wzruszył ramionami.

— Starzeję się, prawda, chłopak ma dopiero siedemnaście, ale jeśli okaże się, że będzie mi potrzebny, to na pewno nie stanie się to w przyszłym miesiącu ani nawet w przyszłym roku. Zemsta... Cóż, sprawiedliwość też wymaga uzbrojenia się w cierpliwość! Na zidentyfikowanie celu potrzeba będzie czasu.

Ostatnia uwaga napełniła księdza nową nadzieją.

— A czy jesteś pewny, że zamachowcy zostaną kiedykolwiek wykryci?

Jego rozmówca błyskawicznie obrał właściwą strategię.

— Nie można mieć całkowitej pewności — odparł kręcąc głową. — Ta adopcja to jedynie zabezpieczenie na wypadek, gdyby wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót. Równie dobrze może mi to zabrać kilka lat.

— Ale chłopiec musi o wszystkim wiedzieć — zdecydował ksiądz. — Pójdę na ten układ tylko pod takim warunkiem.

Creasy skinął głową na znak zgody.

— Rozumiem księdza stanowisko. Proszę, może ojciec powtórzyć mi wszystko, o czym rozmawialiśmy. Sam ksiądz wie, to inteligentny chłopak. Jest już prawie mężczyzną, niech sam podejmie decyzję.

— Nie, Uomo, powiem mu jedynie, że chcesz go adoptować, ale powiem mu o tym tylko pod warunkiem, że ty sam przedstawisz mu motywy kierujące twoją decyzją o adopcji. Wtedy niech sam zdecyduje.

— Wierzysz w słowo bezbożnika?

Kierując się w stronę bramy ojciec Miguel odparł:

— Tobie wierzę. Porozmawiam z chłopcem i jeśli będzie chciał, przyślę go do ciebie.

Już w bramie odwrócił się i spojrzał uważnie na gospodarza.

— Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Kiedy Michael Said miał siedem lat, starało się o niego pewne małżeństwo z Malty. Bardzo mili ludzie, którzy nie mogli mieć dzieci. Otóż obowiązuje u nas przepis dopuszczający zerwanie umowy adopcyjnej przez rodziców lub wychowanka w ciągu pierwszego miesiąca. Upłynęły ledwie trzy dni, a przyprowadzili go z powrotem do sierocińca; nie potrafili przy tym, a może nie chcieli, podać powodu swojej decyzji. Próbowałem wypytać Michaela, ale tylko wzruszył ramionami. Z kolei kiedy chłopak skończył trzynaście lat, zjawiała się inna para z zamiarem adopcji. Kobieta była Włoszką, mąż bogatym arabskim biznesmenem zamieszkałym w Rzymie. Wcześniej adoptowali już dwoje dzieci: chłopca z Wietnamu i dziewczynkę z Kambodży. Oboje stanowili naprawdę udaną parę. Michael porozmawiał z nimi pięć minut i po prostu wyszedł z pokoju.

— Wdzięczny jestem ojcu za te informacje — rzekł gospodarz.

Creasy pracował w gabinecie położonym w starej części domu. Był to jedyny pokój na piętrze, przylegający bezpośrednio do ściany skalnej. Wysoki sufit miał

łukowaty kształt. Wzdłuż jednej ze ścian stał długi, stary stół obiadowy, na którym piętrzyły się stosy wycinków z gazet i czasopism. Przy przeciwległej ścianie ciągnął się rząd ciężkich stalowych szafek na kartoteki. Biurko ustawione było na wprost dużych łukowatych drzwi. Siedząc za nim mógł widzieć ponad murem okalającym posiadłość ścieżkę prowadzącą do domu. Przeglądał właśnie plik czasopism i wycinków, które przyszły tego ranka. Otrzymywał wycinki prasowe z Londynu, Nowego Jorku i Bonn. Przysyłano mu wszystko, co gazety i czasopisma pisały na temat Lockerbie. Zalew informacji zmalał znacznie w ciągu ostatnich trzech miesięcy, chociaż wciąż był na tyle duży, by dawać mu zajęcie na dwie, trzy godziny dziennie. W tej chwili czytał właśnie artykuł zamieszczony w tygodniku „Time”, w którym spekulowano na temat związku między zamachem bombowym, a arabskimi organizacjami terrorystycznymi działającymi w Niemczech i Skandynawii. Co jakiś czas robił notatki w leżącym obok notesie. Jednak co chwila przerywał pracę i podnosił głowę, by przebiec wzrokiem ścieżkę biegnącą od wioski, po czym spoglądał niecierpliwie na zegarek.

Upłynęła godzina od wyjścia ojca Miguela, gdy dojrzał w dali sylwetkę chłopca wspinającego się wytrwale ścieżką. Skupił ponownie uwagę na czytany artykule. Brama była otwarta, tak jak ją wcześniej zostawił.

W piętnaście minut później usłyszał odgłos zamykanej bramy. Wstał, obszedł biurko i wyrzął: chłopiec stał przy basenie. Miał na sobie dżinsy i koszulkę z nadrukiem Pink Floyd.

— Zejdę do ciebie za dziesięć minut! — krzyknął. — Zrób sobie drinka. W kredensie nad lodówką znajdziesz trochę suszonej wołowiny.

Wrócił za biurko i zajął się czytaniem artykułu.

Spacerowali wokół basenu. Wiał lekki południowo-zachodni wiatr szeleszcząc liśćmi palm. Krążyli tak już od pół godziny. Zatrzymali się wreszcie, spoglądając w stronę budynku.

— Kiedy umrę, ten dom stanie się twoją własnością. Wraz z nim otrzymasz dość pieniędzy, żeby go utrzymać.

Chłopiec patrzył przez dobrych kilka minut na dom, potem na widniejące w oddali wyspy i po dłuższej chwili powrócił spojrzeniem do Amerykanina. Skinął niemal niezauważenie głową i zaczęli dalej spacerować.

— Co to za historia z tą pierwszą parą, która chciała cię adoptować? — rzucił pytanie Creasy.

Chłopiec rozłożył bezradnie ręce.

— Nie mam pojęcia. Myślę, że mnie po prostu nie lubili.

— A ty?

— Byli całkiem w porządku. Jedzenie miałem lepsze niż w sierocińcu.

— A ta druga para, która zjawiała się, kiedy miałeś trzynaście lat?

— Facet był Arabem — odparł Michael ze wzruszeniem ramion.

Creasy zatrzymał się. Chłopiec przeszedł jeszcze kilka kroków, po czym stanął i odwrócił się. Patrzyli na siebie.

Michael uśmiechnął się i odezwał bezbłędnie po arabsku:

— Tak, Uomo, dokonałeś trafnego wyboru.

Ruszyli dalej. Rozmawiali teraz po arabsku, którego to języka Creasy nauczył się w czasie lat służby w Legii Cudzoziemskiej w Algierii.

— Dlaczego zdecydowałeś się zostać u mnie? — zainteresował się Creasy.

Tym razem chłopiec pierwszy przerwał marsz. Stał ogarniając ponownie wzrokiem dom i ścielącą się w dole panoramę.

Przechodząc z powrotem na angielski powiedział bez ogródek:

— Powinieneś wiedzieć, Uomo, że moja matka była dziwką.

Kiedy dotarli do bramy, Creasy wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i wręczył je Michaelowi.

— Wyjeżdżam jutro i nie będzie mnie przez jakieś dwa do czterech tygodni. Możesz korzystać z domu. Dopóki nie nadejdą wymagane papiery, spać będziesz musiał w sierocińcu. Potrwa to mniej więcej osiem tygodni. Kiedy wrócę, przywiozę ze sobą kobietę.

Podali sobie dłonie na pożegnanie. Michael ruszył ścieżką w dół, nie oglądając się ani razu. Amerykanin odprowadzał go wzrokiem, aż chłopiec zniknął wśród zabudowań wioski. Po powrocie do gabinetu zadzwonił na lotnisko, żeby dokonać rezerwacji. Następne dwie godziny spędził na przeglądaniu stosów czasopism i wycinków.

## 5

Była siódmą z czternastu kobiet, jakie przesłuchał poprzedniego dnia. Dzisiaj zaprosił ją na drugą rozmowę, w toku której miał wyjaśnić kandydatce jej przyszłą rolę i wszystkie szczegóły dotyczące pracy,

Siedzieli naprzeciw siebie przy stole w szarym pokoju przesłuchań w biurze agencji teatralnej, położonym tuż przy ulicy Wardour w londyńskim Soho. Miał przed sobą otwartą teczkę zawierającą typowe informacje o aktorce. Domyślił się, że zdjęcia pochodzą sprzed kilku lat. Zachowała surowy powab, a sposób chodzenia i postawa wskazywały, że musiała dbać o formę. Spojrzał jeszcze raz na nazwisko widniejące w górze te czki: Leonie Meckler. Ubrana była w elegancką dwuczęściową garsonkę i bluzkę w kremowym kolorze.

Zapisał jej wiek na teczce: trzydzieści osiem lat.

— Kiedy pani ostatni raz pracowała? — zapytał.

— Osiem miesięcy temu — odparła. — Miałam niewielką rolę w serialu telewizyjnym.

— A wcześniej?

— Trafiła mi się jakaś chałtura w ubiegłorocznym Festiwalu Edynburskim. — Na jej śniadej twarzy malowało się przygnębienie. Uśmiechnęła się ponuro. — Gdybym była aktorką rozrywaną na lewo i prawo, to bym tu dzisiaj nie siedziała.

— Dlaczego pani przyszła?

Kolejny ponury uśmiech.

— Mam mieszkanie w Pimlico, a przy dzisiejszym oprocentowaniu kredytów mogę je stracić, jeżeli nie znajdę szybko pracy. Mieszkanie i mocno sfatygowany Ford Fiesta to wszystko, co posiadam.

Spojrzał jeszcze raz w kartotekę: dane personalne były bardzo szczątkowe.

— Była pani kiedyś zamężna?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— Dzieci?

Ponowne skinienie.

— Syn.

— W jakim wieku?

— Miał osiem lat.



Sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę papierosów.

— Mogę?

— Bardzo proszę.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Zauważył na jej palcach plamy od nikotyny.

Wypuściła dym i zaczęła mówić rozżalonym głosem:

— Ojciec mojego synka był nałogowym alkoholikiem. Któregoś dnia odwoził go do domu ze szkoły po suto zakrapianym obiedzie. Jadąc autostradą uderzył w tył ciężarówki — dziecko zginęło.

— A jego ojciec?

— Przeżył.

— Gdzie teraz przebywa?

Potrząsnęła głową. Miała proste czarne włosy sięgające do ramion.

— Nie wiem. Zaraz potem rozwiodłam się.

Po chwili ciszy Creasy zadał następne pytanie:

— Ma pani problemy natury alkoholowej?

Znów potrząsnęła głową i zaprzeczyła zdecydowanie:

— Nie, i nigdy nie miałam. Ot, lubię sobie wypić kieliszek, dwa, białego wina, to wszystko.

Badał uważnie jej twarz. Na koniec przesunął w jej stronę notes z długopisem i oznajmił:

— Chcę pani dokładnie wyjaśnić, na czym będzie polegać ta praca. Przyjdzie mi to łatwiej, jeśli nie będzie mi pani przerywać. Może pani notować pytania i zadać mi je na samym końcu.

Mówił przez piętnaście minut. Kiedy skończył, notes leżący przed kobietą był nadal pusty.

— Ma pani jakieś pytania?

Podniosła wzrok.

— Tylko dwa. Po pierwsze, czy może mi pan podać szkicową charakterystykę chłopca?

Odpowiedział jej po chwili namysłu:

— Jak wspomniałem, ma siedemnaście lat. Jest inteligentny, ale niezbyt komunikatywny. . . Może to zresztą jego świadomy wybór. Jakby nie było, całe swoje życie spędził w sierocińcu, chociaż starają się otoczyć wychowanków prawdziwą troską, to przecież pobyt w sierocińcu czyni z dzieci odludków. Nie wydaje mi się, żeby mógł wzbudzić w kimś matczyne uczucia.

Uśmiechnęła się krzywo i odezwała:

— Drugie pytanie dotyczy oczywiście pieniędzy. Harry zapowiedział, że chodzi o sporą sumkę. Jak sporą?

Amerikanin zamknął teczkę, wstał i przeciągnął się.

— Podstawowym wymogiem, jak już mówiłem, jest czas trwania kontraktu: pełne sześć miesięcy, ani dnia mniej. W ciągu czterech najbliższych dni zadzwonię do pani i powiem, czy ma pani tę pracę. — Przerwał i spojrzał na nią. — Przez te cztery dni będę panią dokładnie sprawdzał. Bardzo dokładnie. . . Pani też będzie miała czas do namysłu. Jeśli sprawdzian wypadnie pomyślnie, a pani zdecyduje się przyjąć propozycję, pójdziemy do wybranego przez panią adwokata i sporządzimy umowy. Jednocześnie zapiszemy się do Urzędu Stanu Cywilnego. W tym momencie dostanie pani trzy tysiące funtów na osobiste wydatki, a ja zdeponuję u adwokata potwierdzony czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, który ten wyda pani po otrzymaniu oświadczenia od notariusza z Gozo potwierdzającego, że mieszkała pani ze mną na Gozo pełne sześć miesięcy. Przez cały ten półroczny okres będzie pani dostawać tysiąc dolarów miesięcznie. Będę oczywiście pokrywał wszystkie koszty utrzymania domu. Otrzyma pani do dyspozycji własny samochód. — Dodał z lekkim uśmiechem: — Tak się składa, że nie będzie raczej przypominał sfatygowanego Forda Fiesty. I jeszcze coś: proszę nie liczyć na prowadzenie niezależnego życia towarzyskiego.

Spostrzegł, że jego rozmówczyni dodaje w głowie wymienione sumy.

— Czy to pani wystarczy na spłacenie hipoteki? — zainteresował się.

Po raz pierwszy cała jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

— Tak, i jeszcze sporo zostanie. Mam nadzieję, że pomyślnie przejdę przez pana egzamin.

— Ja też. Zadzwonię za cztery dni, pani Meckler.

Miała na sobie prostą białą sukienkę z koronki, ciasno dopasowaną i kończącą się tuż przed kolanami. Zwężana w pasie, uwydatniała jej delikatne, kształtne krągłości. Jej towarzysz ubrany był w bawełniane beżowe spodnie, do których założył koszulkę polo koloru łososiowego i brązowe zamszowe buty.

Urzędnik doszedł do wniosku, że tworzą przystojną parę. Pomyślał również, że chodzi o małżeństwo z rozsądku.

Mając za sobą tysiące udzielonych ślubów nie mógł się mylić. Po pierwsze mężczyzna przyszedł bez obrączki. Na cierpką uwagę urzędnika stanu cywilnego, że chociaż obrączka nie jest nieodzownym, ale miłym dodatkiem, mężczyzna poszedł do jubilera na King's Road i wrócił z najtańszą chyba obrączką, jaka była w sklepie. Zgodnie z procedurą urzędnik musiał także zweryfikować kilka różnych dokumentów: świadectwa urodzenia obojga, dostarczone przez kobietę orzeczenie o rozwodzie, akt zgonu zmarłej żony mężczyzny. Uwagę urzędnika zwróciła data na ostatnim dokumencie: 21 grudnia 1988 roku, zaledwie sześć miesięcy temu. Tak, było to z pewnością małżeństwo z rozsądku, nie mógł jednak odgadnąć, co leżało u jego podstaw. Zwykle w takich wypadkach chodziło

o potencjalnego imigranta żeniącego się z Brytyjką dla uzyskania karty stałego pobytu.

Młoda para nie przyprowadziła nawet dwóch wymaganych świadków, musiał więc załatwić naprędce jednego z kancelistów i swoją sekretarkę. Kiedy krótka uroczystość dobiegła końca, nowo poślubieni nie pocałowali się, podali tylko ręce urzędnikowi i świadkom.

Znalazłszy się z powrotem na King's Road, Creasy zerknął na zegarek i oświadczył:

— Muszę złapać taksówkę i pędzić na Heathrow.

Przytaknęła z poważną miną i spytała:

— Kiedy zadzwonisz?

— Za jakiś tydzień.

Spostrzegła zniecierpliwienie na jego twarzy, mimo to ciągnęła uparcie:

— Kiedy wyjedziemy na Gozo? Zrozum, muszę to wiedzieć. Rzecz w tym, że gdybym mogła wynająć mieszkanie na czas mojej nieobecności, to przez te sześć miesięcy łatwiej by mi było spłacać hipotekę.

Zastanowił się nad odpowiedzią.

— Za dwa, trzy tygodnie licząc od dzisiaj. Zadzwonię do ciebie.

Odwrócił się i odszedł.

Stała na zatłoczonym chodniku i patrzyła za nim, jak lawiruje między pieszymi stawiając stopy na swój dziwny sposób. Wydawało się, że idąc dotyka ziemi najpierw zewnętrznymi krawędziami stóp.

Spojrzała na swoją sukienkę i nowe buty, i przez moment poczuła się jak przedmiot. Podniosła oczy i zobaczyła, że Creasy wraca. Po chwili był już przy niej.

— Ile jeszcze masz do spłacenia? — spytał.

— Trzydzieści tysięcy czterysta dwadzieścia funtów pięćdziesiąt siedem pensów.

— Na jaki procent?

— Siedemnaście i pół.

Liczył coś przez pół minuty. Na koniec sięgnął do kieszeni na biodrze i wyjął gruby rulon studolarowych banknotów. Odliczył kilka i włożył jej do ręki mówiąc:

— To powinno załatwić sprawę spłaty odsetek na najbliższe pół roku. Zadzwonię.

Stała ściskając pieniądze i odprowadzając go wzrokiem. Zatrzymał taksówkę i wsiadł. Ruszyła przed siebie, aż znalazła się przed winiarnią. Weszła do toalety, przeliczyła pieniądze i po dokonaniu własnych kalkulacji doszła do wniosku, że

ma w ręku co najmniej sto dolarów ponad to, co potrzebuje.

Sprawdziła swe odbicie w lustrze i przeszła do baru.

— Jaki macie najstarszy markowy szampan?

— Dom Perignon rocznik pięćdziesiąty dziewiąty.

— Poproszę butelkę.

Po chwili na stoliku w rogu stali zjawiała się butelka szampana w lodzie.

W godzinę później barman widział, jak kobieta wysącza ostatnie krople szampana. Następnie wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy z policzków.

Joe Rawlings nie żałował pieniędzy. A skoro płacił niemało, oczekiwał w zamian towaru pierwszej jakości. Znajdował się teraz w apartamencie hotelu „Carlton” w Cannes. Hotel był pierwsza klasa, ale dziewczyna pod nim na pewno nie, a przecież wywalił na nią kupę szmalu.

— Odwróć się — mruknął. Wykonała posłusznie polecenie. Spróbował wejść na siłę w odbyt. Wymamrotała coś po francusku i uwolniła się od niego.

— Cholera! — warknął. — Dałem ci już pięćset zielonych.

— Za taki numer chcę drugie tyle — odparła zdecydowanie.

Zaklął, lecz po chwili zgodził się.

— Niech ci będzie, dziwko!

Spróbował ponownie w nią wejść, ale znów mu się wywinęła.

— Pięćset dolarów do ręki — uparła się.

Posłał jej kolejne przekleństwo. Zwłóknął się z łóżka i przeszedł do łazienki. Po minucie wrócił trzymając w ręku pięć banknotów studolarowych. Leżała na brzuchu z uniesionymi pośladkami, wyciągając otwartą lewą rękę. Wcisnął jej forszę w dłoń. Przysunęła banknoty do oczu i obejrzała je dokładnie, tak jak to uczyniła z pierwszymi studolarówkami.

— W porządku — orzekła. — Możesz zacząć.

Wszedł w nią brutalnie, ale wszystko nie trwało długo. Nie silił się na choćby odrobinę delikatności. Kiedy skończył, przewrócił się na plecy wydając jęk zadowolenia.

W parę sekund pozbierała ubrania, chwyciła swoją okazałą torebkę i zniknęła w łazience. Wróciła po pięciu minutach kompletnie ubrana. Nie patrząc na niego wyszła do salonu, a stamtąd na korytarz. Trzasnęły drzwi.

Suka! — posłał w myślach pod jej adresem. W tej samej sekundzie stracił zupełnie zdolność myślenia. Ciężkie kasztanowate stopy zasłaniające balkon były rozchylone i stał w nich jakiś mężczyzna.

Joe Rawlings lubił uprawiać seks przy zapalonych światłach. Rozpoznał z miejsca intruza i serce podeszło mu do gardła.

Przybysz, ubrany w czarne spodnie i czarną koszulkę polo z golfem i długimi rękawami, zbliżył się i stanął nad nim.

— Witaj, Joe! — zaczął. — Czy może powinienem raczej powiedzieć: Witaj, Creasy!

W prawej ręce trzymał czarną torbę, jaką lekarze zwykli zabierać ze sobą na wizyty. Upłynęła cała minuta, zanim Joe Rawlings odważył się poruszyć. Usiadł wpółzgięty na brzegu łóżka.

— Przynieś je, Joe.

Oczy Joe Rawlingsa przypominały teraz oczy zagonionego węża, który widzi wbite w siebie spojrzenie mangusty.

— Co mam przynieść? — wydusił łamiącym się głosem.

— Pieniądze, Joe. To, co z nich zostało. Są w łazience.

— Jakie znowu pieniądze? — jęknął.

— Te, które ci dał senator James S. Grainger. . . , które otwierają ci drogę do babskiego tyłka. Przynieś je. Jeśli schowasz choćby centa, utnę ci fiuta. Coś mi się zdaje, Joe, że twoja dzisiejsza panienska chętnie by mi wtedy oddała w całości te tysiąc dolarów.

Joe Rawlings bardzo powoli i bardzo ostrożnie podniósł się z łóżka. Podeszedł do krzesła, na którym porozwieszał ubrania.

— Nic z tego, Joe. Ruszaj do łazienki nago.

Rawlings przeszedł się do drzwi łazienki. Plecy miał porośnięte kępkami czarnych włosów. Był już przy drzwiach, kiedy dobiegł go miękki, łagodny głos.

— I nie zapomnij przynieść też broni, tej małej *Beretty*, którą zawsze chomikujesz z innymi skarbami. Aha, a kiedy będziesz wychodził z łazienki, masz nieść w prawej ręce forszę, a w lewej *Berettę*, trzymaj pistolet za koniec lufy, między kciukiem a palcem wskazującym.

Rawlings miał już się ruszyć, kiedy znów go dopadł głos łagodny jak muzyka:

— Chociaż właściwie, gdyby jednak kusiło cię, żeby wziąć pistolet za kolbę, to bardzo proszę.

Wąż wślizgnął się do łazienki. Mangusta postawiła czarną torbę na podłodze, stanęła na rozstawionych nogach i wsunęła prawą dłoń w kieszeń spodni.

Po upływie minuty wąż wysunął się z łazienki. W prawej ręce ścisnął gruby plik studolarówek, w lewej mały oksydowany pistolet. Trzymał broń za koniec lufy, między kciukiem a palcem wskazującym.

— Rzuć to wszystko na łóżko, Joe — polecił Creasy.

Pieniądze i pistolet wylądowały na łóżku.

Creasy podniósł czarną torbę i wskazał drzwi do salonu.

Z palcem wskazującym lewej ręki poszło Creasy'emu jak z płatka. Cóż, jakby nie było, miał do pomocy piłkę chirurgiczną, a na brak krzepy też nie narzekał. Zastosował jedynie sporą dawkę miejscowego znieczulenia — przez następne dwadzieścia cztery godziny Joe Rawlings nie będzie miał czucia w dłoni i całym

lewym ramieniu. Siedzieli ramię w ramię. Na stole przed nimi leżał kwadratowy drewniany klocek o długości około trzydziestu centymetrów, mała srebrzysta piłka chirurgiczna, strzykawka, elektryczne żelazko, gaza i bandaże. Creasy pracował zręcznie i z wielką wprawą. Położył uszkodzony palec na drewnianym klocek, przypalił tkanki krwawiącego kikuta, obłożył go maścią i gazą, a na koniec obandażował całą dłoń.

Z czarnej torby wyciągnął niewielką, ciężką metalową kasetkę i otworzył ją. Ze środka wydobył się biały obłoczek. Umieścił odcięty palec w kasetce, wciskając go w suchy lód, i starannie ją zamknął. Pakując wszystkie przybory mówił dalej tym samym jedwabistym głosem:

— Spróbuj jeszcze raz podszyć się pode mnie, a nie umkniesz mi. Choćbyś skrył się w mysiej norze, zaszył się w bagnie, choćbyś wydawał tysiąc dolarów za każdą bezpiecznie spędzoną noc, i tak cię dopadnę.

Waż tkwił jak sparaliżowany, wpatrując się w obandażowaną rękę. Wreszcie wydusił z siebie:

— Myślałem, że nie żyjesz. . . Wszyscy tak myśleli. . .

— Bo ja nie żyję, Joe. A jeśli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, to ty też będziesz martwy.

Creasy wszedł do sypialni i wrócił stamtąd z plikiem pieniędzy. Wąż nie zmienił miejsca ani o milimetr. Creasy odliczył sto banknotów i położył je przed Rawlingsem.

— Tu jest dziesięć kawałków, Joe. Twoja „dola dla spłukanych”. Następnym razem baw się w partyjkę innego pokera.

Podniósł torbę i wyszedł na korytarz.

## 6

Michael obejrzał dokładnie cały dom. Myszkował po jego wnętrzach, jakby dom należał do niego. Towarzyszyło mu szczególne uczucie. Wiedział, że budynek był projektu Nadii, żony Creasy'ego, i że ona sama nadzorowała budowę nowego skrzydła i rekonstrukcję starego. Wszystkie pokoje były duże, o wysokich łukowatych sklepieniach. Creasy należał do ludzi, którzy lubili przestrzeń.

Budowlę wzniesiono w tradycyjny sposób, wykorzystując jako budulec wielkie płyty wapienia wydobywane z miejscowego kamieniołomu. Jednak okna odbiegały od przyjętego wzorca, były bardzo duże, o prostokątnych kształtach. Z każdego pokoju roztaczał się widok na inną część wyspy.

Przeszedł przez niewielkie patio do sypialni. Pokój miał własną łazienkę, a z jego okien można było zobaczyć latarnię morską w Ghasri i otwarte morze. Zdawał sobie sprawę, że za mniej więcej osiem tygodni miejsce to stanie się jego sypialnią.

Na ścianie wisiały dwa portrety olejne, jeden przedstawiał Nadię, na drugim widniała Julia w wieku dwóch lat. Pokazując mu oba obrazy Creasy zaznaczył:

— Kobieta, która tu zamieszka, pojawi się ze względów czysto praktycznych. Twoją prawdziwą rodzinę stanowią będą Nadia i Julia.

Wpatrywał się długo w portrety. Następnie wszedł do łazienki. Łazienka, podobnie jak reszta pomieszczeń, była ogromna. W jednym rogu zainstalowano prysznic z dużym staroświeckim mosiężnym sitkiem, w drugim stała wysoka drewniana wanna. Toaleta mieściła się w oddzielnej kabinie.

Przypomniawszy sobie, jak w czasie którejś z rozmów Creasy opowiedział mu o swojej pierwszej podróży do Japonii. Pewnego dnia bawił w typowym wiejskim zajeździe w towarzystwie Japonki. Podczas gdy kobieta napełniła wodą drewnianą wannę rozebrał się. Kiedy wszedł do wanny, japonka spojrzała na niego z przerażeniem.

— Jak można kąpać się we własnym brudzie? — dziwiła się. — W wannie powinno się tylko moczyć po kąpieli.

Opróżniła wannę i napełniła ją znowu. W tym samym czasie posadziła go na małym drewnianym taborecie i zaczęła namydlać i polewać wodą z małego wiaderka. Później weszli oboje do parującej wody w wannie i siedzieli w niej pół

godziny.

Creasy wyjaśnił Michaelowi, że ponieważ był to jego pierwszy dom, wszystkie trzy łazienki kazał urządzić w stylu japońskim. Najpierw prysznic, później kąpiel.

— Nadia też cię myła? — wyrwało się Michaelowi.

Creasy skinął posępnie głową.

— Zawsze. Był to rodzaj rytuału. I myła mi włosy szamponem.

Michael wyszedł przed budynek i dał nura do basenu. Przepłynął w równym tempie sześćdziesiąt okrążeń. Na koniec poczuł ból mięśni. Zanim gospodarz zawita z powrotem do domu, on, Michael, będzie pokonywał bez trudu ponad sto długości basenu. Creasy nie będzie miał z nim żadnych szans w wyścigu na dwie długości, cztery długości ani na żadnym innym dystansie.

Leonie Meckler wydała część pieniędzy przeznaczonych na osobiste wydatki. Od wielu już lat nie doświadczała gorączki prawdziwych zakupów. Po sprawdzeniu, że przez nadchodzące sześć miesięcy na Gozo dominować będą upały, kupiła zapas jasno-kolorowych sarongów, kostiumowych, kąpielowych, luźnych spodenek i koszulek do noszenia w ciągu dnia. Na porę wieczorową wybrała długie, fałdziste bawełniane suknie, niemal wszystkie z wycięciem na plecach, dopasowane w pasie. Potem udała się do stoiska z kosmetykami swojej ulubionej firmy Lancôme i kupiła zestaw kremów do twarzy i robienia makijażu, wybierając tylko naturalne kolory — brzoskwiniowy i beżowy.



## 7

W czasie pobytu w Waszyngtonie senator James S. Grainger zasiadał za biurkiem niezmiennie o ósmej rano i pracował bez przerwy do pierwszej po południu. Tego ranka dokładnie o dziewiątej rano rozległ się dźwięk telefonu. Dzwoniono na jego bezpośredni, prywatny numer. Usłyszał charakterystyczne dla rozmowy zagranicznej trzaski, a zaraz potem głos mówiący:

— Lockerbie, piętnasty maja.

Senator spojrział na tarczę Rolexa: datownik pokazywał datę dwudziestego piątego maja.

— Słucham.

— O dziesiątej do pana biura zawita z paczką niejaki Harry White, kurier firmy DHL. Będzie nalegał, by dostarczyć ją panu osobiście. Nadawcą paczki jestem ja. Proszę nie poddawać paczki normalnym procedurom kontrolnym. Może ją pan otworzyć, kiedy będzie pan zupełnie sam. W środku jest dowód, o który pan prosił, i jeszcze coś. Odezwę się za parę tygodni.

W słuchawce zaległa cisza. Senator zatelefonował do szefa ochrony.

Cztery minuty po dziesiątej zadzwoniła sekretarka senatora z wiadomością, że w sekretariacie czeka kurier DHL z adresowaną do niego paczką, w towarzystwie strażnika. Grainger nakazał ich wpuścić.

Kurier okazał się wysokim, postawnym mężczyzną. Dla kontrastu ochroniarz był niski i drobnej budowy.

— Sprawdziłeś jego tożsamość? — senator zwrócił się do drobnego strażnika.

— Tak, panie senatorze, nazywa się Harry White.

Kurier trzymał ciężką metalową walizeczkę. Postawił ją na szerokim blacie biurka przed senatorem, po czym położył na niej kartkę. Kiedy obaj mężczyźni wyszli, senator wziął kartkę do ręki. Widniało na niej sześć liczb. Zerknął na walizeczkę: wyposażona była w dwa trzycyfrowe zamki cyfrowe. Przysunął ją do siebie, ustawił kod i otworzył.

Wewnątrz znajdowały się dwa bardzo grube pliki studolarowych banknotów powiązanych gumką, mała metalowa kasetka oraz luźno leżąca kartka z tekstem napisanym na maszynie.

Podniósł kartkę i zaczął czytać:

Spotkałem się z Joe Rawlingsem i odzyskałem sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów z pańskich pieniędzy. Zostawiłem mu dziesięć tysięcy — to jego „dola dla sflukanych”. Jeżeli to określenie nic panu nie mówi, proszę zapytać jakiegokolwiek poważnego gracza w pokera, a panu wyjaśni. Powinienem był rozgnieść tę glistę, ale doprowadziłoby to do śledztwa, którego każdy z nas wolałby uniknąć. Załączam także dowód na potwierdzenie faktycznej tożsamości Rawlingasa. Niech pana koledzy z FBI przeprowadzą weryfikację dostarczonego materiału dowodowego, niech sprawdzą również moje odciski palców na kieliszku w pańskim sejfie oraz odciski palców znajdujące się na tej kartce.

List nie był podpisany.

Poza pieniędzmi i listem, walizeczka kryła jeszcze tylko małą metalową kasetkę. W jej zamku tkwił maleńki klucz. Senator uniósł kasetkę i momentalnie ją upuścił, była lodowato zimna. Przez moment zastanawiał się nad wezwaniem ochroniarzy, w końcu jednak otworzył zamek i szybko uchylił wieczko. Na widok białej mgiełki, która wypełniła walizeczkę, rzucił się do tyłu opadając na ciężki biurkowy fotel. Mgła powoli opadła, jedynie z samej kasetki unosiły się jeszcze nieliczne, drobne smużki. Senator zajrzał do środka: ujrzał kawałek białego materiału, a na nim palec. Materiał splamiony był krwią. Patrzył przez dłuższą chwilę jak sparaliżowany. Na koniec zatrzaskał wieczko i sięgnął po telefon.

Waszyngtońskie mieszkanie senatora było jeszcze jednym świadectwem zamiłowania Harriot do zbytku: ciężkie kontynentalne meble, perskie dywany, obrazy niedocenionych wielkich mistrzów z dawnych epok. Kilka dni temu postanowił, że sprzeda je i kupi coś mniejszego.

Curtis Bennett, zastępca dyrektora FBI, zjawił się dokładnie o szóstej po południu. Łączyła go z senatorem stara przyjaźń, Grainger ceniał go przy tym za niezwykłą sumienność. Obdarzony wysoką kościstą sylwetką, patrzył na świat z figlarnym błyskiem w oczach. Wszedł niosąc w ręku dyplomatkę.

Senator bez słowa zachęty nalał mu wytrawne martini.

Usiedli przed imitacją kominka z epoki Tudorów, na którym płonęły sztuczne bryły węgla.

— A zatem słucham, Curtis — odezwał się senator.

Bennett posmakował martini i cmoknął z zachwytem. Podniósł dyplomatkę i wyjął z niej biurową teczkę.

— Na kieliszku znajdowały się odciski Creasy’ego, najemnego żołnierza. Nieżyjącego już najemnika, pozwolę sobie dodać.

Stuknął palcem w teczkę i dodał:

— Mam tutaj przesłany faksem akt zgonu, wydany przez wybitnego specjalistę profesora Giovanniego Sattę. Rozmawiałem dzisiaj przez telefon z profesorem Sattą w szpitalu Cardarelli w Neapolu. Kilka lat temu osobiście opiekował się pacjentem, który zmarł na skutek śmiertelnych ran odniesionych w czasie strzelaniny z członkami rodziny mafijnej w Palermo na Sycylii. — Zerknął na senatora i dorzucił: — Wybitni lekarze nie mają zwyczaju kłamać, Joe.

Senator w odpowiedzi wzruszył ramionami. Bennett zajął miejsce przed nim i zapytał:

— Skoro więc facet umarł pięć lat temu, to jakim sposobem jego odciski palców znajdują się na całym kieliszku pochodzącym z kompletu, który podarowałem tobie i Harriot na Gwiazdkę dwa lata temu? Nasi ludzie z laboratorium twierdzą, że odciski są całkiem świeże, mniej więcej sprzed dwóch tygodni. O co tu chodzi, Jim?

Senator podniósł rękę,

— Wolnego, Curtis. Co powiesz o palcu?

Bennett uśmiechnął się niewyraźnie. Trącił w teczkę z papierami i wyjaśnił:

— Po pierwsze, pracownicy laboratorium zgodnie twierdzą, że palec został obcięty żywemu człowiekowi. . .

— Do kogo należał?

Bennett wyjął zteczki kartkę.

— Do niejakiego Josepha J. Rawlingsa, obywatela amerykańskiego, urodzonego pięćdziesiąt jeden lat temu w Idaho. Od wielu lat kręci się wokół najemników po Europie i Azji. Przede wszystkim to zwykły naciągacz, poszukiwany w Ameryce na podstawie trzech poważnych oskarżeń o oszustwo. Miejsce pobytu nieznane.

Zamknął teczkę i wrzucił ją z powrotem do dyplomatki. Wziął kieliszek z martini, upił porządny łyk i wbił wzrok w senatora.

— O co tu chodzi, Jim? — powtórzył pytanie.

Senator podniósł się i stanął zwrócony plecami do sztucznych płomieni.

— Nie pytaj o nic, Curtis. Jeszcze nie pora. W odpowiednim czasie powiem ci wszystko, co wiem.

Gość z FBI westchnął i, stukając palcem w dyplomatkę, podkreślił:

— Zdobyłem to, bo chodziło o ciebie i dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi. Użyłem nawet aprobatę dyrektora, co wymagało wielu podchodów, ale w końcu się zgodził. Rzecz w tym, że stary zadaje pytania — co mam mu powiedzieć?

Senator odparł z uśmiechem:

— Powiedz skurczybykowi, że doceniam jego pomoc. I przypomnij mu to, kiedy będzie zbliżał się moment głosowania w komisji nad budżetem FBI.

Tym razem Bennett uśmiechnął się.

— No dobrze, ale czy nie możesz zdradzić mi choć trochę, jak przyjaciel przyjacielowi?

Senator pokręcił przecząco głową.

— Cierpliwości, Curtis. Powiem, kiedy będę mógł.

Bennett wstał i podał gospodarzowi pusty kieliszek.

— W takim razie chociaż poczęstuj mnie jeszcze jednym martini. Dwie rzeczy potrafisz robić najlepiej: przyrządzać martini i trzymać buzię na kłódkę.

Senator wykrzywił usta w uśmiechu. Przygotowywał właśnie dla siebie martini zmieszane z Chivas i wodą, kiedy Bennett zapytał:

— Chodzi o Harriot, zgadza się?

Senator spojrzał na niego, ale nic nie odpowiedział.

Bennett westchnął.

— Wiem, Jim, jak bardzo ją kochałeś. Słowo „miłość” nie jest zresztą w stanie oddać tego, co do niej czułeś. Przypominam sobie publiczne oświadczenie George’a Busha, w którym stwierdził, że jeśli będziemy znali bez cienia wątpliwości sprawców zamachu nad Lockerbie, to Stany Zjednoczone doprowadzą ich przed oblicze sprawiedliwości. Nie ludźmy się jednak, to zwykła retoryka. Mogę się założyć, że ten, kto podłożył bombę — a jesteśmy coraz bliżej poznania prawdy — zabezpieczy się biorąc amerykańskich zakładników w Libanie. Tak więc oddanie sprawców w ręce sprawiedliwości jest prawie niemożliwe.

Senator bez słowa podał gościowi kieliszek i spróbował whisky.

Bennett westchnął ciężko.

— Nie ma rady, muszę bawić się w zgadywanek. Domyślam się, że zacząłeś działać na własną rękę. Mam tylko nadzieję, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

— Czy wyglądam na głupca, Curtis?

Bennett zrobił przeczący ruch głową.

— Wiem, że nie jesteś głupcem, ale człowiek pogrążony w bólu może popełniać głupstwa.

— To prawda — potwierdził senator poważnie. — Kilka tygodni temu rzeczywiście palnałem głupstwo. — Położył mu rękę na ramieniu i dodał: — Teraz w każdym razie z całą pewnością nie popełniam błędu... A jak przebiega śledztwo?

— Powinno przynieść rezultaty. Rozmawiałem z Buckiem Revellem, który utrzymuje łączność z policją szkocką. Odpowiedzialny za sprawę po tamtej stronie jest niejaki Peter Fleming. Wygląda na to, że ostro zabrał się do roboty. Gość jest uparty, zdecydowany, a przede wszystkim to piekielnie zdolny policjant. Wiemy już, że bomba została podłożona na pokład samolotu we Frankfurcie albo już tam przyleciała, domyślamy się nawet, jaki mógł być scenariusz wydarzeń.

Sądzę, że w ciągu paru miesięcy Fleming wykryje, o jaką grupę terrorystyczną chodzi i poprze to dowodami.

— A wtedy nasz prezydent wyśle piechotę morską.

Wzruszenie ramion gościa mówiło samo za siebie. Bennett dokończył drinka, sięgnął po dyplomatkę i oznajmił:

— No, na mnie już pora.

— Poczekaj jeszcze sekundę, Curtis. Wiem, że jesteś zapalonym pokerzystą; obito ci się kiedyś o uszy określenie: „dola dla spłukanych”?

Bennett odpowiedział mu zdziwioną miną.

— Znam je, a jakże. Używa się go wyłącznie w gronie zawodowych pokerzystów. Gracze wchodzą do gry wnosząc określoną stawkę, stawiają wszystko, co mają przy sobie, z wyjątkiem ubrań na grzbiecie. Pula jest jednakowa dla każdego, może wynosić setki, a nawet tysiące dolarów. Gracz, który traci swoją pulę, wypada z gry. W żargonie karciarzy nazywa się to „być spłukanym”, czyli innymi słowy zostać bez grosza. W takich wypadkach gracze pozostający w grze składają się na kupkę, żeby facet nie umarł z głodu. To właśnie kryje się pod określeniem „dola dla spłukanych”. Co, bierzesz się za pokera, Jim?

Grainger uśmiechnął się i odparł:

— Kto wie? Wielkie dzięki, Curtis. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

— Dla ciebie wszystko, i dobrze o tym wiesz.

Zmierzył senatora od góry do dołu i orzekł:

— Tracisz na wadze, Jim. Słabo się odżywasz. Wpadnij do nas w przyszłym tygodniu, Mary przygotuje twoje ulubione danie.

— Chętnie... Jeszcze jedno, Curtis.

Bennett odwrócił się. Senator zastanawiał się nad czymś, wreszcie zapytał:

— A co do tego Creasy'ego... Zakładając, że facet żyje, jak byś go określił?

Bennett odpowiedział mu po dobrym namyśle:

— Kiedy poprosiłeś mnie o informacje na jego temat, zająłem się tym osobiście. Zebrałem raporty z francuskiego Surete dotyczące jego służby w Legii Cudzoziemskiej, mam raporty od Belgów i Brytyjczyków o jego pobycie w Afryce, CIA przysłała mi analogiczny materiał o Wietnamie, Laosie i Kambodży. Niedługo spodziewam się sprawozdania od włoskich sił bezpieczeństwa odnośnie jego działalności we Włoszech w czasie, gdy zdaniem poczciwego profesora Satty już nie żył... Dam ci te raporty. Może i ja będę mógł niedługo oczekiwać czegoś od ciebie, na przykład jakiejś drobnej informacji... Żebym nie musiał czuć się jak chłopiec na posyłki. No to do przyszłego tygodnia, zadzwonię.

Kładł już rękę na klamce, kiedy zatrzymał go głos senatora:

— Przypuśćmy, że ten człowiek żyje... Jak byś go scharakteryzował w jednym zdaniu?

Bennett wpatrywał się w klamkę. Trwał tak nieruchomo przez pół minuty, w końcu otworzył drzwi, odwrócił się i rzekł:

— Jak już mówiłem, przestudiowałem kartotekę i raporty na jego temat. Facet niezupełnie odpowiada typowemu wizerunkowi najemnego żołnierza. Był najemnikiem przez większość swoich dni, to prawda, i prawdą jest też, że stanowi doskonałą maszynę do zabijania. Coś mi jednak mówi, że chociaż zarabiał wojowaniem, to pieniądze nie były nigdy jedynym motywem, który nim kierował.

— Określ mi go jednym zdaniem — upierał się senator.

Bennett wzruszył ramionami.

— Jeśli facet żyje... i jeśli postawił sobie jakiś cel... to lepiej nie spotkać takiego na swojej drodze.

Przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi.

## 8

Peter Fleming wyjechał na dwa dni z Lockerbie. Nie na wypoczynek jednak, choć z pewnością takiego potrzebował. Najpierw pojechał do Londynu, wyruszając zaraz wczesnym rankiem. Po pospiesznie zjedzonym obiedzie zjawił się w siedzibie New Scotland Yard, gdzie odbył rozmowy z kilkoma bardzo wysokiej rangi policjantami i z dwoma cywilami: jeden reprezentował wydział MI-5, drugi MI-6. Spotkanie trwało dwie godziny. Potem udał się do Fort Halstead w hrabstwie Kent, gdzie mieści się najlepsze chyba w świecie laboratorium kryminalistyczne. Na miejscu czekało na niego dwóch ekspertów FBI od kryminalistyki. Na jego pytanie zapewnili go, że miejscowy personel w pełni z nimi współpracuje.

W czasie trwającej godziny narady spostrzegł nie bez satysfakcji, że brytyjscy naukowcy i ich amerykańscy koledzy potrafią się bez trudu ze sobą dogadać. Nie zawsze tak było, jednak skala tragedii, jaka rozegrała się nad Lockerbie, usunęła w cień narodowe waśnie. Zaprezentowano mu drobne fragmenty plastiku, metalu i materiału, a następnie pokazano, w jaki sposób po wielu tygodniach żmudnej pracy udało się złożyć to wszystko w jedną całość, która kiedyś stanowiła walizkę umieszczoną w przedziale bagażowym.

Gospodarze poprosili, żeby został i zjadł z nimi kolację w pobliskiej restauracji. Był jednak zmęczony i nie miał ochoty na towarzystwo, podziękował im więc grzecznie.

Jakieś piętnaście kilometrów za Fort Halstead znalazł mały wiejski hotelik, sporo oddalony od głównej drogi. Hotel miał trzy gwiazdki i w pełni na to zasługiwał. Pokój, w którym się zatrzymał, miał staromodny, lecz wygodny wystrój.

Jedzenie było smaczne i nietuzinkowe, obsługa sprawna i dyskretna. Po kolacji wychylił w barze lampkę koniaku i poszedł spać.

Obudził się o siódmej wypoczęty i zaserwował sobie pełne angielskie śniadanie z wszystkimi przystawkami. Po jedzeniu wyruszył do Arsenału znajdującego się w pobliżu wioski Longtown.

Właśnie tam, w olbrzymim hangarze, technicy z Brytyjskiej Komisji ds. Badania Katastrof Lotniczych składali na powrót Boeinga 747 linii Pan Am, który nosił poetyckie miano „Pani mórz”.

Znalazszy się w hangarze stanął jak wryty. Nigdy jeszcze nie widział tak

ogromnej hali: niektórzy z pracowników korzystali nawet z rowerów, by przenieść się z jednego końca pomieszczenia w drugi. Pośrodku sali uwijali się technicy, którzy składali „Panią mórz” dosłownie część po części. Po jednej stronie leżał niemal nietknięty nos maszyny, po drugiej spoczywały części ogona. Po bokach samolotu leżały starannie ułożone fragmenty skrzydła, przy których pracowały tuziny odzianych w kombinezony i białe płaszcze fachowców.

— To wszystko przypomina jedną gigantyczną układankę — zauważył główny technik, kiedy zostali już sobie przedstawieni.

— Pańscy ludzie wykonali kawał dobrej roboty — pochwalił Fleming, wskazując na rzędy metalowych półek zastawione kawałkami metalu, przewodów, fragmentami siedzeń i innymi rzeczami.

— Jeszcze kilka tygodni i maszyna będzie złożona niemal do ostatniej śrubki, poza tym, oczywiście, co na zawsze przepadło.

— Godne podziwu — zaznaczył Fleming. — Może mi pan pokazać, w którym miejscu powinien znajdować się przedział bagażowy numer 14L.

Główny technik wskazał i wyjaśnił:

— Tam, tuż za kabiną pilota. Dlatego załoga nie zdążyła nawet sięgnąć po mikrofon i nadać sygnał Mayday. Samolot rozpadł się w ciągu paru sekund.

Spojrzał na Fleminga i zapytał:

— Czy jesteśmy bliżej wyjaśnienia zagadki, kto to zrobił?

Peter Fleming badał wzrokiem wrak maszyny. Skinął głową i odparł twardo:

— Tak. Już niedługo będziemy znali tych drani.

Leonie Creasy, dawniej pani Meckler, nie była nigdy na wyspach Malty i jej pierwsze wrażenia nie były najlepsze. Sama Malta przypominała jeden wielki plac budowy. Wzdłuż całego wybrzeża rozciągały się bloki mieszkalne i hotele, w gorącym powietrzu unosił się pył z wapienia.

Jej nastrój zmienił się jednak wraz z chwilą wkroczenia na pokład promu. Było późne popołudnie. Minęli małą wysepkę Comino i wtedy ujrzała przed sobą Gozo. Wyspa była bardziej zielona niż Malta i znacznie mniejsza. Pokrywały ją faliste wzgórza zwieńczone zabudowaniami wiosek, nad którymi dominowały wieże i kopuły kościołów. Leonie stała przy barierce i podziwiała widoki.

— Wygląda prześlicznie — rzekła, zwracając się do Creasy’ego.

— Taka jest Gozo — odparł Creasy.

Przez cały czas lotu Creasy okazywał rezerwę, prawie się nie odzywał. Podobnie zachowywał się w taksówce wiozącej ich na prom. Najwyraźniej coś zaprzątało mu myśli.

Zaczął mówić, gdy prom skierował się do wlotu portu Mgarr:

— Jesteś dobrą aktorką, Leonie. Wyrzebałem parę taśm wideo z kilkoma serialami telewizyjnymi, w których występowałaś. Na pierwszy rzut oka rola, którą



przyjdzie ci grać przez najbliższe pół roku, wydaje się łatwa, ale tak naprawdę przysporzy ci sporo trudności.

— Dlaczego?

Wskazał na wyspę.

— Mieszkańcy Gozo to najbardziej przyjaźni i gościnni ludzie, jakich świat widział. Wiodą proste życie, są głęboko religijni i mają duże rodziny. Mężczyźni upijają się na umór i lubią strzelać do każdego ptaka czy zająca, jaki im się nawinie. Nie przemęczają się specjalnie pracą, chyba że w grę wchodzi hobby. Prawie wszyscy przyjeżdżający cudzoziemcy zakochują się w wyspie i powracają, kiedy tylko mogą. Niektórzy wracają na zawsze. Z tobą będzie inaczej — szczerze znienawidzisz to miejsce.

— Niby dlaczego?

— Z powodu nienawiści, jaką będą ci okazywać tutejsi ludzie. — Dodał z westchnieniem: — W chwili, gdy zejdziemy z promu, ja również stanę się obiektem ich niechęci.

— Dlaczego? — spytała po raz trzeci.

— Przez całe lata mieszkałem wśród nich, ożeniłem się z tutejszą kobietą. Większość moich przyjaciół to mieszkańcy Gozo. Obrałem ich styl życia, jestem w pełni aprobowany. . . Ale to oznacza, że w myśl ich oczekiwań muszę szanować panujące zwyczaje. Mieszkaniec Gozo po stracie współmałżonka chodzi w żałobie co najmniej rok, niekiedy nawet pięć lat. To samo ma miejsce, kiedy umiera ktoś z rodziców, a także w przypadku śmierci wuja czy ciotki. Kobieta ubiera się na czarno i nie wychodzi z domu. Powoli się to zmienia, ale bardzo powoli. Nikomu nie mieści się w głowie, że ktoś mógłby ożenić się ponownie w pięć miesięcy po śmierci żony. Musisz być przygotowana, że będą patrzyli na ciebie krzywo. Kiedy będziesz szła na zakupy, kiedy wybierzemy się do kina, restauracji czy baru, towarzyszyć ci będą kamienne maski.

Wskazał budynek nad wodą, z wystającym długim balkonem, i objaśnił:

— Tam znajduje się bar „Gleneagles”. Bar i mieszczącą się pod nim restaurację prowadzą dwaj bracia, Tony i Salvu, z którymi łączy mnie wielka przyjaźń. Spędzam u nich mnóstwo czasu, na ich adres przychodzi moja poczta. Obaj na swój sposób kochali Nadię. Kiedy tam pójdziemy, zrozumiesz, co miałem na myśli.

Prom przybił do nabrzeża i rampa opadła z ogromnym hałasem. Podniósł jej nową walizkę firmy Samsonite, chwycił swoją sfatygowaną, płócienną torbę i podążył wraz ze swą towarzyszką i resztą pasażerów do wyjścia.

— Za barem „Gieneagles” czeka na nas mój dżip — oznajmił, gdy wspinali się po stoku wzgórza.

— Kiedy zobaczę Michaela?

— Dałem mu znać, będzie czekał w domu.

Do baru wiodła kładka. Dżip stał zaparkowany obok wejścia do baru. Rzucił walizkę i torbę na tył samochodu, po czym ujął jej rękę i powiedział:

— Od tego momentu zaczyna się twoja rola. Masz ją grać przez kolejne sześć miesięcy, choćby nie wiem co. Zachowuj się jak kochająca, nowo poślubiona żona, ale bez przesady.

Weszli do baru. W rogu sali kilku rybaków grało w *Bixlę*. Przy barze siedziało paru mężczyzn. Za ladą stał Salvu, młodszy od Tony'ego i obdarzony większą czupryną.

Creasy pomachał ręką pozdrawiając graczy. Odpowiedzieli mu jednym krótkim spojrzeniem.

Kiwnięciem głowy pozdrowił mężczyzn przy barze. Skinęli głowami w odpowiedzi. Salvu nie spuszczał wzroku z Leonie, którą Creasy wciąż trzymał za rękę.

— Salvu, to moja żona Leonie.

Z twarzą pustą jak maska Salvu wyciągnął rękę ponad barem. Ucisnęła ją. Był to naprawdę bardzo krótki uścisk dłoni. Jego głos był twardy niczym stal:

— Witamy na Gozo, Leonie.

— Bardzo dziękuję — posłała mu uśmiech. — Cieszę się, że tu przyjechałam.

Creasy wskazał mężczyzn przy barze i przedstawił ich podając ich przydomki:

— To Piła, Bandžo, Lancet i Wiston.

Cztery kolejne krótkie uściski dłoni, parę wymamrotanych pod nosem słów. Salvu przesunął na kontuarze kilka pakunków i kopert. Creasy wziął je i podziękował.

— Możesz zarezerwować mi stolik w restauracji na dwie osoby na jutro wieczór? — poprosił.

— Oczywiście.

Zapadła cisza. Wreszcie Creasy odezwał się do Leonie:

— Chodźmy, kochanie, pokażę ci dom.

Chwycił ją za rękę i wyszli.

Jechali w milczeniu do centrum wyspy. Leonie nie wytrzymała i pożałowała się:

— Miałaś stuprocentową rację. Czuję więcej zewsząd lodowaty chłód.

— Nie licz, że będzie lepiej.

Wskazał na masywną kopułę kościoła po swojej lewej stronie.

— Tam leży wioska Kewkija. Kopuła kościoła jest trzecią pod względem wielkości w świecie. Świątynia może pomieścić pięć razy więcej osób, niż cała wioska liczy mieszkańców.

— Po co taki kolos?

— Współzawodnictwo między wioskami. Wioski rywalizują ze sobą w każdej dziedzinie: w rozgrywkach piłkarskich, w liczbach fajerwerków puszczanych w czasie wiejskich świąt. Nawet księża z poszczególnych wiosek konkurują ze sobą. Jeszcze dwadzieścia lat temu powodem do wielkiego skandalu byłby ślub

młodych pochodzących z różnych wiosek. Musisz wiedzieć, że między wioskami występują nawet różnice w wymowie.

Jechali teraz przez Rabat, stolicę wyspy. Po drodze zwracał Leonie uwagę na sklepy i mijane budynki. Po paru minutach zatrzymał samochód na poboczu jezdni i pokazał górujący nad nimi łańcuch górski. Ujrzała dom przytulony pod szczytem góry.

— Tam będziesz mieszkać przez najbliższe sześć miesięcy.

— Ale tu pięknie! — westchnęła, lecz zaraz zmarkotniała. — Czy tam też otaczał mnie będzie lodowaty chłód?

— Nie, ten dom będzie twoim azylem. Tam możesz odpocząć i zapomnieć o udawaniu. Jedynymi osobami poza chłopcem mogą być zjawiający się z rzadka goście. Dwa razy w tygodniu z rana przychodzić będzie kobieta do sprzątanania.

— Znała Nadie?

— Oczywiście.

— W takim razie sama będę sprzątać.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie, to wdowa i potrzebuje pieniędzy.

— Będę jej płacić z własnej kieszeni.

— Nie przyjmie ich, jeśli nic nie będzie robić. To dumni ludzie. Zresztą to tylko kilka godzin dwa razy w tygodniu. Kiedy będzie miała przyjść, możesz w tym czasie iść na plażę.

Wrzucił jedynekę i dżip zaczął piąć się w górę.

## 9

Michael pływał w basenie. Znajdował się w połowie dystansu płynąc równym kraulem i nie słyszał, jak brama otwiera się, ani też nie widział, jak wchodzi. Creasy postawił torbę i walizkę, ujął swą towarzyszkę pod ramię i poprowadził ją do basenu. Chłopiec zrobił nawrót i płynął dalej. Stali i patrzyli na niego. Dopłynął do przeciwległego krańca i wykonał kolejny nawrót, wykazując już teraz oznaki zmęczenia. Przemierzając z powrotem basen spostrzegł gości, lecz nie zmienił tempa.

Dotarł do brzegu, na którym stali, i oparł łokcie na krawędzi ciężko oddychając.

— Ile okrążeń? — zaciekał się Creasy.

Chłopiec podniósł na niego wzrok. Widziała jego czarne włosy, ciemne oczy i śniadą cerę.

— Sto dwadzieścia — odrzekł. — Jutro cię pokonam, czy będą to dwie, pięć czy sto długości basenu.

Leonie odwróciła się i spojrzała na Creasy'ego. Po raz pierwszy na jego twarzy gościł uśmiech.

— Załóżmy się — zaproponował.

Chłopiec uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Zaglądałem do piwnicy pod twoim gabinetem, gdzie trzymasz wina: francuskie i włoskie marki, spisałem wszystkie etykiety. Pokazałem listę ojcu Manuelowi, który uchodzi za eksperta. Jego zdaniem każde z nich jest przedniego gatunku, ale najlepsze jest Chateau Margaux. Zapytał, z którego pochodzi roku, i kiedy następnego dnia powiedziałem, że z siedemdziesiątego pierwszego, rozbłyły mu oczy i oblizał wargi... Załóżmy się więc o butelkę Chateau Margaux rocznik siedemdziesiąt jeden.

— Sam wypijesz?

Twarz Michaela rozjaśniła się znowu w szerokim uśmiechu.

— Podaruję je ojcu Manuelowi. Ale jeżeli się ze mną nie podzieli, nigdy już się do niego nie odezwę.

Creasy pokiwał głową i przedstawił towarzyszącą mu kobietę:

— Poznaj Leonie... moją żonę.

Michael wyszedł z basenu ociekając wodą i wyciągnął rękę. Witając się z nim bąknęła pod nosem:

— Naprawdę przepłynąłeś sto dwadzieścia długości basenu?

Spojrzał jej prosto w oczy i odparł:

— Nigdy nie kłamię.

Creasy dostrzegł zmieszanie na jej twarzy. Wskazując na bagaże stojące przy bramie, poprosił:

— Michael, mógłbyś zanieść rzeczy do mojej sypialni? Chciałbym pokazać Leonie dom.

Ujął ją pod ramię i poprowadził.

Michael zszedł już do wioski, a oni siedzieli w cieniu oplecionej zielenią pergoli. Nagle Leonie zaczęła się zwierzać:

— Miałaś rację co do dwóch rzeczy. Ten dom przez sześć miesięcy będzie dla mnie prawdziwym schronieniem. Pokochałam go całym sercem. Twoja żona miała wspaniały gust. W pewien dziwny sposób czuję się tu bezpieczna. Nie obchodzi mnie, co mieszkańcy wyspy o mnie myślą. Mogą sobie myśleć, co im się żywnie podoba.

Popijała dżin z tonikiem. Creasy postawił przez sobą szklanekę z piwem.

— Nie myliłeś się też co do Michaela — ciągnęła. — Na pewno nie obudzi we mnie instynktów macierzyńskich. . . ani w żadnej innej kobiecie. — Uśmiechnęła się smutno. — Jest równie zimny, jak ty.

Creasy popijał piwo i milczał. Leonie spytała:

— Czy muszę spać w tym dużym łóżu razem z tobą?

— Tak. Kobieta, który przychodzi sprzątać, od razu by wszystko wykryła. Będzie szukać włosów na poduszce, zwracać uwagę na to, jak trzymasz ubrania w pokoju. Wykryje prawdę szóstym zmysłem. A jeżeli ona się dowie, wkrótce i pozostali będą wiedzieli. Kiedy już rada zgodzi się na adopcję, w parę tygodni później będziesz mogła przenieść się do innej sypialni.

Upił łyk piwa i kontynuował:

— Mówiłem ci wcześniej, że nie musisz się niczym niepokoić. Co by o mnie powiedzieć, nie jestem gwałcicielem.

Nie mogła powstrzymać się przed zadaniem mu kolejnego pytania:

— Nie jestem według ciebie atrakcyjna?

— Według mnie jesteś dobrą aktorką — odparł ze wzruszeniem ramion. — A przy okazji, umiesz dobrze gotować?

Podniosła głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem, w którym nie było jednak wesołej nuty.

— Potrafię gotować, a jakże. Mam opinię dobrej kucharki, chociaż nie każdy lubi to samo. Jakie są twoje ulubione potrawy?

— Nie mam wybrednego smaku. — Wskazał duży kamienny grill osadzony w ogrodowym murze i dodał: — Lubię steki, kotlety, wszelkie potrawy z rusztu. Lubię także pieczone mięso, zwłaszcza wołowinę. Pamiętasz, pokazywałem ci sklep mięsny w wiosce, możesz powiedzieć właścicielowi, że jeśli nie dostaniesz u niego najlepszej wołowiny na całej wyspie, to pofatyguję się do niego osobiście, obetnę mu jądra i usmażę na ruszcie.

— Mam wrażenie, że on już to wie.

W niedzielę Creasy poszedł jak zwykle do domu Schembrich, aby zjeść obiad z Paulem, Laurą i Joeyem.

Przekraczając próg czuł dziwny niepokój. Rodzina Schembri zajmowała w jego sercu szczególne miejsce, i to nie tylko dlatego, że byli krewnymi Nadii i że dwukrotnie przywrócili go do zdrowia. Darzył ich nieskończonym szacunkiem.

Mówili to, co myśleli — zwłaszcza Laura — a Creasy'emu podobał się ich sposób myślenia. Zdawał sobie teraz sprawę, że przyjeżdżając po pięciu miesiącach z nową żoną zadał im głęboki ból. Wiedział, że przyjaciele nie będą szczędzili im słów ubolewania, a rodzina Schembri, mając poczucie własnej siły, niechętnie odpowiadała na wyrazy współczucia.

Zachowywali się jednak tak, jakby nic się nie zmieniło. Rozmowa zesłała na wczesne zbiory pomidorów i politykę nowego rządu wobec rolnictwa. Nie padła najmniejsza wzmianka o jego nowej żonie czy o zbliżającej się adopcji. Można było odnieść wrażenie, że nic się nie stało.

Po późno zjedzonym obiedzie usiadł z Paulem i Joeyem na patio. Joeya traktował bardziej jak syna niż szwagra. Zaczął się z nim lekko drażnić przechodząc na temat dziewczyny, z którą Joey spotykał się od prawie roku. W myśl zasad tradycyjnej społeczności wyspy Gozo chłopiec powinien spotykać się z dziewczyną przez wiele miesięcy. Zaproszenie jej do domu lub udanie się z wizytą do niej jest znakiem, że sprawy przybierają nader poważny obrót. Po upływie kolejnych długich miesięcy młodzi zaręczają się, a to już jest wydarzenie ogromnej wagi, jako że mieszkańcy Gozo nie mają zwyczaju zrywać zaręczyn. Potem mija co najmniej rok i zaręczyny kończą się ogromną ucztą weselną.

— Co słyhać u Marii? — zapytał Creasy niby od niechcienia.

— Wszystko dobrze — odpowiedział młodzieniec wzruszając ramionami.

— Widziałem się wczoraj z jej rodzicami w Rabacie. Wychyliłem kieliszek z jej tatą. . . To dobrzy ludzie, wspinała rodzina.

Joey wzruszył znowu ramionami, nie mówiąc ani słowa.

— Mają naprawdę niezły dom. Widziałeś ich chałupę, Joey?

— Oczywiście.

— Byłeś w środku?

Joey poruszył się nerwowo na krześle.

— Nie.

Na twarzy Paula błąkał się lekki uśmiech. Creasy dolał sobie i Joeyowi wina, po czym ciągnął refleksyjnie:

— Wspaniały dom. . . I śliczna dziewczyna. . . Widziałem ją w piątek w „Gleneagles”, była z przyjaciółmi. Mario, ten policjant, wyraźnie smażył do niej cholewki. Znasz chyba Mario, co? To taki wysoki przystojniak z czarnymi włosami.

Joey chrząknął, wziął pusty dzbanek po winie i wszedł do kuchni.

Paul zaśmiał się cicho.

— Gdybym to ja powiedział, dałaby się na mnie przez wiele dni.

— To świetna dziewczyna, Paul, i z dobrej rodziny. Szkopuł w tym, że Joey myśli bardziej o nadchodzącym lecie i o tańcach z turystkami o blond włosach na dyskotece.

— Racja. W lipcu i sierpniu prawie go nie widzimy, a ojciec Marii nie wypuszcza jej z domu po dziesiątej. Masz jakiś pomysł?

Creasy zastanawiał się przez dobrą chwilę.

— Myślę o tym starym, zrujnowanym wiejskim domu na skraju twojej ziemi, który należał kiedyś do twojego wuja. Powiedz Joeyowi, żeby wziął się za jego naprawę. Chłopak ma smykałkę do robót w kamieniu i podobnie jak ja nie boi się fizycznej pracy. Napomknij mu, że nosisz się z zamiarem sprzedaży domu. Stare chałupy są w cenie i chętnie je kupują cudzoziemcy. Za naprawiony dom możesz dostać trzydzieści albo i więcej tysięcy. Ja mogę mu pomagać. Przypomnimy sobie dawne czasy, kiedy wspólnie pracowaliśmy na twojej farmie przy odbudowie kamiennego ogrodzenia.

Paul odpowiedział mu uśmiechem.

— I wtedy zaczniesz myśleć o założeniu rodziny.

Amerikanin przytaknął i dopowiedział ścisząc głos:

— Pora już, żebyś mógł znowu cieszyć się z Laurą wnukami.

Kiedy Creasy wyszedł w towarzystwie Joeya wypić drinka w „Gleneagles”, Laura usiadła na patio obok męża i nalała sobie pierwszy w tym dniu kieliszek wina.

— Ta kobieta dobrze gotuje, Paul.

Mąż obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

— Normalnie zjadłby u nas dwa razy więcej — dodała. — Musi go dobrze karmić.

— To już jest coś — mruknął.

— Tak — przytaknęła zdecydowanie. — To już jest coś.

## 10

Ahmed Jibril nie wyglądał na bezwzględnego przywódcę niezwykle sprawnie działającej grupy terrorystycznej. Przypominał raczej odnoszącego sukcesy agenta handlowego lub sprytnego pseudo-biznesmena żerującego na zaufaniu bogatych klientów.

Siedział teraz w swoim wspaniale umeblowanym, silnie strzeżonym biurze w sercu Damaszku. Był niski, krągły, o przesadnie schludnym wyglądzie. Miał na sobie nienagannie skrojone szare spodnie, dwurzędową niebieską marynarkę ze srebrnymi guzikami, kremową koszulę i krawat kasztanowego koloru.

Ahmed Jibril urodził się w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku w wiosce Yazur niedaleko Jaffy, na terytorium ówczesnej Palestyny. Całe swoje życie poświęcił temu, by móc któregoś dnia powrócić do rodzinnej wioski, która znajdowała się teraz w obrębie państwa Izrael. W wieku dziewiętnastu lat wstąpił do armii syryjskiej, gdzie pchany niepohamowaną ambicją i determinacją, awansował błyskawicznie do stopnia kapitana w Korpusie Inżynieryjnym. Nieprzypadkowo być może miał obsesję na punkcie materiałów wybuchowych i został ekspertem od działań minerskich.

W połowie lat sześćdziesiątych, kiedy Syria zaczęła nasilać swoje wypadki na teren Izraela, Syryjczycy poparli pomysł utworzenia kilku organizacji terrorystycznych. Włączono do nich wielu palestyńskich oficerów służących w armii syryjskiej, w tym również Ahmeda Jibrila. Ten przez krótki czas współpracował z George'em Habashem w Ludowym Froncie Wyzwolenia Palestyny, później jednak wyłamał się z szeregów organizacji, by utworzyć własną grupę nazwaną Naczelnym Dowództwem Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Obecnie miał żonę o imieniu Samira, która stała na czele kobiecej frakcji Frontu. Ich dwaj synowie, Jihad i Khaled, pełnili w organizacji czołowe funkcje.

Przy silnym finansowym poparciu Syrii i innych państw, Jibril w krótkim czasie zdobył sobie rozgłos ugruntowany spektakularnymi akcjami. Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny stało się najlepiej wyszkoloną i najbardziej fanatyczną grupą terrorystyczną na Bliskim Wschodzie.

To ono było odpowiedzialne za zamach bombowy na samolot Swissair lot numer trzysta trzydzieści odbywający rejs z Zurychu do Tel Awiwu. Członkowie



Frontu zdołali także podłożyć bombę na pokładzie samolotu austriackich linii lotniczych lecącego z Frankfurtu do Wiednia, pilotowi jednak udało się awaryjnie wylądować. Wybuch bomby na pokładzie lecącej maszyny lotnictwa cywilnego stał się swoistym znakiem firmowym Ahmeda Jibrila. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym ogłosił z dumą na konferencji prasowej, że żaden pasażer korzystający z usług amerykańskich i izraelskich przewoźników nie może czuć się bezpieczny.

W połowie lat osiemdziesiątych Jibril założył kilka przyczółków w miastach europejskich, w tym w Rzymie, Frankfurcie i na Malcie. Zwerbował również obywatela jordańskiego Merwana Kreashata, który okazał się być jednym z najlepszych w świecie konstruktorów bomb.

Jibril zajęty był właśnie przeglądaniem artykułów prasowych, kiedy na jego biurku odezwał się czerwony bezpieczny telefon. Sięgnął po słuchawkę i usłyszał głos pułkownika Jomaha, swego bezpośredniego łącznika z prezydentem Assadem. Jomah nie tracił czasu:

— Z naszą ambasadą w Paryżu skontaktował się informator utrzymujący, że ma dla ciebie wiadomość, która powinna cię zainteresować.

— Co za wiadomość?

— Tego nie powiedział, rzucił tylko hasło: „Lockerbie”. Dodał jeszcze, że jeśli to cię interesuje, musisz w terminie siedmiu dni zamieścić w kolumnie ogłoszeń osobistych „International Herald Tribune” informację tej treści: „Helen Woods proszona o jak najszybszy telefon do domu”.

Jibril namyślał się chwilę.

— A ty co sądzisz? — zapytał.

W głosie po drugiej stronie słuchawki wyczuł lekki sarkazm.

— Cóż, myślę, że takie ogłoszenie nie powinno kosztować więcej jak parę dolarów... Chcesz, żebym je zamieścił?

— Będę ci wdzięczny — odparł Jibril słodkim głosem.

— Świetnie. Odezwę się, jak coś się będzie działo.

W słuchawce zaległa cisza. Jibril odłożył ją na widelki i siedział przez kilka minut, wpatrując się w mały kryształowy pojemnik stojący na biurku. Naczynie zawierało czerwono-brązową ziarnistą substancję. Była to ziemia zebrana z pola w wiosce Yazur niedaleko Jaffy, którą dostarczył mu z należytym szacunkiem dwa lata temu jeden z jego bojowników.

# 11

Leonie odegrała swoją rolę bez zarzutu.

W skład rady wchodził biskup, ojciec Manuel Zerafa, jeszcze jeden starszy wiekiem kapłan oraz kobieta z wydziału spraw socjalnych. Siedzieli przy długim stole w budynku kurii mając przed sobą Creasy'ego i Leonie. Członkowie rady sprawdzili już wszystkie niezbędne papiery, włącznie z dokumentem potwierdzającym stan majątkowy Creasy'ego.

W toku przesłuchania biskup nawiązał delikatnie do zmarłego syna Leonie pytając, czy Michael Said ma stać się dla niej jego uczuciowym zastępcą. Zastanawiała się przez chwilę, następnie wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy z oczu. W tym momencie Creasy nabrał pewności, że adopcja stanie się faktem. Nie wiedział tylko, czy łzy były prawdziwe. Kiedy wyszli już z kurii, uznał, że nie będzie jej o to pytał.

Dopasowali się do codziennego rytmu. Michael zjawiał się każdego ranka o siódmej, pływał i ćwiczył z Creasym, podczas gdy Leonie przygotowywała im śniadanie. Jedli zawsze to samo: lekko smażone jajka, bekon z rusztu, zapiekane pomidory i porcję prawie spalonych tostów, do tego świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, filtrowaną kawę dla Creasy'ego i cytrynową herbatę dla chłopca. Leonie robiła sobie śniadanie godzinę po nich, a następnie jechała do Rabatu na zakupy. Creasy przez resztę ranka zajęty był pracą w swoim gabinecie, Leonie zaś w tym czasie leżała przy basenie i czytała, czasem pływała.

O dwunastej przyrządzała mu lekki obiad złożony z sałatek i zimnego mięsa. Po obiedzie ubrany w stare dżinsy i drelichową koszulę zniknął na dwie, trzy godziny. Jak jej wyjaśnił, chodził pomagać przyjacielowi przy budowie domu. Po powrocie zrzucał z siebie ubranie, szedł pod prysznic zamontowany w ogrodzeniu obok basenu, a potem przepływał kilka długości basenu.

Chłopiec przychodził około piątej po południu i rozmawiał godzinę, dwie z Creasym. Czasem siadali w cieniu pokrytej zielenią pergoli i popijali piwo, częściej jednak odbywali nie kończący się obchód wokół basenu. Najwięcej mówił Creasy. W tym czasie Leonie siadywała osobno, poza zasięgiem głosu, albo szła pracować do kuchni lub oglądała film na wideo. Często nastawiała telewizor na audycje z Włoch: postanowiła uczyć się włoskiego, żeby czas mijał jej szybciej.

Znała nieco język z wakacji spędzanych we Włoszech, poza tym kupiła kasety do nauki włoskiego. Przymknęła sobie, że zanim minie sześć miesięcy, będzie posługiwać się tym językiem całkiem dobrze.

Dwa lub trzy razy w tygodniu Creasy zapraszał ją na kolację. Odwiedzali różne lokale. Raz było to małe bistro w Xag-hra, gdzie serwowano niewyszukane miejscowe specjały, innym razem restauracja na parterze baru „Gleneagles”, z Salvu przygotowującym potrawy w otwartej kuchni. Byli również w restauracji noszącej zabawną nazwę „Różowa pantera”. Na tyłach lokalu, chociaż miał udawać angielski pub, znajdowała się cudowna sala jadalna na świeżym powietrzu.

Nocą kładli się razem do ogromnego łóżka, nie sypiali jednak ze sobą. Łoże miało dobre dwa metry szerokości i ani razu w ciągu tych wszystkich nocy nie zdarzyło mu się dotknąć jej, nawet niechcący.

Po siedmiu tygodniach nadeszły dokumenty adopcyjne i rytm dnia uległ zmianie. Leonie pojechała z Creasym dżipem do sierocińca, żeby zabrać chłopca. Obyło się bez jakichkolwiek ceremonii. Michael czekał u wejścia w towarzystwie ojca Zerafy, z małą sportową torbą zawierającą cały jego dobytek.

Odgrywając rolę dobrej matki Leonie pocałowała go w oba policzki i mocno uścisnęła.

Złożyła także pocałunki na policzkach księdza i szepnęła:

— Dziękuję ojcu za tak dobrą opiekę. Teraz ja będę się nim opiekować.

Na twarzy księdza nie pojawił się żaden wyraz. Chłopiec rzucił torbę do tyłu dżipa i wskoczył jej śladem.

Obserwowała go, jak wkracza później do swojej sypialni, w której wisiały portrety Nadii i Julii. Przez otwarte drzwi widziała, jak rzuca torbę na łóżko, rozgląda się po pokoju, podchodzi powoli do portretów i wpatruje się w nie.

Creasy bezzwłocznie wypisał chłopca ze szkoły i sam zajął się jego edukacją.

Po porcji ćwiczeń i pływaniu w basenie, kiedy zjedli już codzienne śniadanie, obaj znikali w gabinecie Creasy’ego i nie wychodzili zeń wcześniej jak przed obiadem. Po posiłku szli pomagać przy budowie domuprzyjaciela Creasy’ego. Wyjątkiem były dwa dni w tygodniu, kiedy Creasy szedł sam, a do chłopca przychodził starszy, kulturalny Arab, by uczyć go arabskiego. Lekcje prowadzone były ustnie, bez zapisywania. Arab przedstawił się jako Yussuf Oader. Leonie dowiedziała się o nim jedynie tyle, że na stare lata przybył na Maltę, pochodzi zaś z górskiej wioski w Libanie.

Zauważyła, że chłopiec traktuje sędziwego nauczyciela z dużym respektem.

Spostrzegła także, że między chłopcem i Creasym rozwija się duch rywalizacji. Wszystko zaczęło się następnego dnia po jej przybyciu. Chłopiec zjawił się po południu i zaproponował Creasy’emu:

— No to co, ścigamy się?

— Ile długości basenu?

— Niech będzie dziesięć — odparł Michael po namyśle.

Siedziała w cieniu przy stole i obserwowała ich. Pod koniec pierwszego odcinka chłopak wyprzedzał Creasy'ego o dobre pół metra. Pod koniec drugiego zwiększył różnicę do półtora metra. Kiedy kończyło się piąte okrążenie, wysforował się już o trzy metry. Leonie doszła do wniosku, że Creasy zbierze mocne cięgi i zastanawiała się właśnie, jak jego dumna natura pozwoli mu przełknąć porażkę, kiedy na szóstym odcinku chłopiec zaczął zwalniać. Creasy płynął stałym, rytmicznym krawlem, nie zmieniając ani na moment tempa. Wyprzedził Michaela na ósmym odcinku i ukończył cały wyścig dwa i pół metra przed nim. Wyszedł z basenu i usiadł z nogami w wodzie. Pomógł Michaelowi wyjść i kazał mu usiąść obok siebie. Siedzieli przez kilka minut i rozmawiali, najwięcej mówił Creasy. Ściszył głos, lecz mimo to mogła go słyszeć.

— Wiesz, jaki popełniłeś błąd?

Pierś chłopca poruszała się w szybkim oddechu.

— Na samym początku narzuciłem zbyt duże tempo — odrzekł.

— To był twój drugi błąd. Pierwszy polegał na tym, że rzuciłeś wyzwanie nie mając pewności, że wyjdiesz z próby zwycięsko. Nie rób tego więcej, czy w grę wchodzi wyścigi, czy życie. Nie zadawaj ciosu, jeżeli nie jesteś pewny, że walka będzie wygrana. Nie wszczynaj bitwy, dopóki nie będziesz wiedział na sto procent, że wygrasz wojnę. Nie uganiaj się za kobietą, jeżeli nie wiesz, czy zostanie twoją.

W zapadłej teraz ciszy Michael trawił usłyszane słowa. Naraz Creasy zapytał:

— Miałeś już kiedyś kobietę?

W odpowiedzi chłopca kryła się lekka nuta gorzkości:

— Nie. Miejscowe dziewczyny są bardzo praktyczne i wychowankowie sierocińca nie mają wielkich szans.

— Ale latem ściąga tu mnóstwo turystów.

— Prawda. Widuję te dziewczyny na plaży Ramla i na ulicach Rabatu, ale mam tylko pięćdziesiąt centów kieszonkowego. Słyszałem, że jeden drink w „La Grotta Disco” kosztuje właśnie pół dolara, a za samo wejście trzeba zapłacić siedemdziesiąt pięć centów.

Po chwili ciszy Creasy zapowiedział:

— Kiedy przyjdą papiery w sprawie twojej adopcji i wprowadzisz się tutaj, przestaniesz otrzymywać kieszonkowe. Dostawać będziesz dwadzieścia siedem funtów tygodniowo, co stanowi minimalne wynagrodzenie na Gozo. Nie będziesz ich jednak dostawał za nic, będziesz musiał pracować, i to jak nigdy przedtem.

Widziała, jak chłopak kieruje spojrzenie na Creasy'ego i kiwa z przekonaniem głową.

— Zasłużę na nie, Uomo.

— Znasz mojego szwagra, Joeya Schembri?

— Czasami go widuję. W czasie ostatniego święta postawił mi i innym chłopakom z sierocińca drinki. Zamieniłem z nim parę słów. Kiedyś grał w piłkę

w drużynie Ghainselum, ale kilka lat temu doznał kontuzji kolana. Był niezłym strzelcem.

— A zatem w pierwszą sobotę po przeniesieniu się do mnie pójdziesz z Joeyem do „La Grotta”. Nie musisz się wstydzić, że będzie twoim przewodnikiem, i nie próbuj go przechytrzyć. Nie podrywaj też żadnej z jego dziewczyn. Ma ciężką łapę, widziałem go w akcji.

W pierwszą sobotę po przeprowadzce Michaela Creasy zawiózł go do Rabatu, gdzie czekał na nich Joey. Następnie Creasy zaprosił Leonie na kolację do „Ta Frenc”. Kiedy wrócili o pierwszej w nocy, chłopaka jeszcze nie było.

O czwartej nad ranem usłyszała, jak wraca. Dobiegł ją rumor ciała wpadającego na drzwi sypialni, a potem odgłos upadku na podłogę. Zerwała się z łóżka, ale Creasy powstrzymał ją chwytając za rękę. Po raz pierwszy dotknął jej w łóżku.

— Zostaw go — polecił.

Rano znalazła go rozciągniętego na łóżku w pełnym ubraniu. Chrapał z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Mimo dokuczającego chłopcu ogromnego kaca Creasy zapędził go do basenu i kazał mu przepłynąć sto długości Przed śniadaniem.

Nastaly teraz piękne, długie letnie dni i wieczory. Leonie większość dnia przebywała na świeżym powietrzu, tam też najczęściej spożywali posiłki. Creasy nie jeden wieczór spędzał przy grillu, wykazując swe mistrzostwo w sztuce pieczenia na rożnie. Zawsze na noc marynował mięso w sobie tylko znanej, specjalnej marynacie, pozostawiając Leonie robienie sałatek. Uczył Michaela sztuki przygotowywania dobrego grilla i przyrządzania różnego gatunku mięs oraz ryb, które przywoził od zaprzyjaźnionych rybaków z „Gleneagles”. Poprosił także Leonie, żeby nauczyła chłopca przygotowywać sałatki i warzywa. Chłopak był bardzo pojętny i jak zauważyła, znajdował przyjemność w gotowaniu.

Któregoś dnia spytała go, jak było w sierocińcu. Wykrzywił twarz w grymasie i odpowiedział:

— Ładowali w nas żarcie, niczym benzynę w samochód, nie różniło się zresztą od niej w smaku.

Dni spędzane na słońcu w pięknej scenerii powinny być dla Leonii idyllą, jednak każda upływająca chwila wpędzała ją w coraz większą depresję. Przyczyna tego nie tkwiła w tym, że mieszkańcy wyspy traktowali ją nadal, jakby była nosicielką zaraźliwej choroby. Nie chodziło nawet o to, że czuła się coraz bardziej odizolowana, w miarę jak pogłębiała się więź duchowa między Creasym a Michaeliem.

Była inteligentną, doświadczoną kobietą o dużej wrażliwości. A poza gotowaniem, zakupami i wprowadzaniem chłopca w tajniki gotowania, niczego więcej od niej nie oczekiwano. Nie proszono jej nigdy o pomoc w rozstrzygnięciu jakiegokolwiek kwestii czy wyrażenie opinii. Mijały lipcowe dni. Lękała się porannych przebudzeń, wkrótce też zaczęła cierpieć na bezsenność. Leżała godzinami na

ogromnym łożu obok śpiącego mężczyzny słuchając jego oddechu i dochodzących z rzadka sennych pomruków, kiedy mówił coś przez sen.

Starła się skupić wszystkie myśli na spłacie hipoteki i swoim rozklekotanym Fordzie Fiesta.

Była trzecia po południu. Stojąc na patio w swym wiejskim obejściu Laura Schembri wypatrywała, jak w oddali jej syn i Creasy pracują przy budowie ogrodu wokół starego domu. Rano była na zakupach w Rabacie. Tej kuzynce to się buzia nie zamyka. . . Opowiedziała Laurze, że kobieta mieszkająca z Creasym — kuzynka starannie unikała nazywania jej jego żoną — robi niemal codziennie zakupy w supermarkecie. Dorzuciła przy tym z satysfakcją, że tak jak wszyscy pozostali traktuje ją jak powietrze.

— Nigdy z nią nie rozmawiam — pochwaliła się z uśmiechem. — Od dnia, gdy zjawiała się po raz pierwszy, nie zamieniłam z nią nawet jednego słowa.

Sprzedawczyni za ladą sklepu warzywnego mówiła to samo z równie dziką przyjemnością. Laura pobiegła wzrokiem w stronę dwóch mężczyzn pracujących w oddali. Jej syn wspinał się na szczyt ogrodu, a Creasy podawał mu duże bloki starego piaskowca. Przebiegła oczami pola zatrzymując spojrzenie na mężu, który orał ziemię za pomocą małego ciągnika.

Spojrzała na zegarek i podjęła decyzję. Weszła do domu, wzięła torebkę i kluczyki do Land Rovera, i napisała kartkę do Paula.

Leonie odpoczywała na leżance przy basenie, gdy rozległ się dźwięk staroświeckiego dzwonka u drzwi. Zerknęła na zegarek. Na Creasy'ego jeszcze za wcześnie. . . Michael i jego nauczyciel arabskiego byli zatopieni w rozmowie w cieniu pergoli. Kiedy szła do drzwi, nasunęła jej się myśl, że Creasy, edukując chłopaka w innych dziedzinach, mógłby również nauczyć go dobrych manier.

Otworzyła drzwi i stanęła twarzą w twarz z wysoką, solidnie zbudowaną kobietą o niemal posągowych kształtach. Nieznajoma miała ładne rysy i czarne jak heban włosy.

— Dzień dobry — przywitała się. — Domyślam się, że pani to Leonie. Nazywam się Laura Schembri.

Leonie poczuła pustkę w głowie.

— Jestem matką Nadii — ciągnęła kobieta.

Pustka w głowie przerodziła się w zamęt. Leonie nie mogła znaleźć słów. Kobieta uśmiechnęła się, miała ciepły, serdeczny uśmiech. Wyciągnęła do Leonie rękę.

— Cieszę się, że panią wreszcie poznałam.

Leonie uścisnęła wyciągniętą rękę.

— Zapraszam do środka — zachęciła.

Kobieta pokręciła głową.

— Innym razem. Dzisiaj mamy czwartek, a w czwartkowe popołudnia w „Astra Band Club” grywa się w bingo. Może ma pani ochotę wpaść tam razem ze mną? To coś w rodzaju towarzyskiego spotkania. Będzie mnóstwo miejscowych pań, przychodzą ich dosłownie setki. Wypijamy parę drinków, poznamy najświeższe plotki.

Spojrzała na Leonie badawczym wzrokiem. Leonie odwzajemniła spojrzenie, skinęła zdecydowanie głową i rzekła:

— Dziękuję za zaproszenie, chętnie z panią pójdę.

Laura Schembri nie grała w bingo od dwudziestu lat. Kiedy jednak znalazła się w wielkiej sali i gdy przebiegła wzrokiem dziesiątki stołów i setki kobiet, rozpoznała prawie każdą ze zgromadzonych pań sama została niemal przez wszystkie rozpoznana. Laura znana była ze swej silnej osobowości i porywczego charakteru, ostrego języka i niezależności. Wiedziano, że straciła dwie córki: jedna zginęła w wypadku samochodowym w Neapolu, druga w katastrofie samolotowej w Szkocji. Wiadomo było także, że w każdą niedzielę chodzi do kościoła. Mimo iż jej młodsza córka nie żyła zaledwie od ośmiu miesięcy, Laura zjawiała się w „Astra Band Club” nie w czarnym żałobnym stroju, lecz ubrana w jaskrawą, czerwono-niebieską sukienkę, a u jej boku kroczyła kobieta, która niedawno poślubiła męża jej zmarłej córki.

W przeciwnym krańcu sali na wysokim podium zasiadał mężczyzna, przed którym stał duży przezroczysty pojemnik zawierający ponumerowane piłeczki do ping ponga. Trzymając teraz jedną z nich wykrzykiwał do mikrofonu:

— Jedenaście, numer jedenaście.

Ale nikt nie słuchał. Twarze wszystkich były zwrócone ku wejściu. Na sali zaległa cisza, a po chwili przetoczył się po niej szmer szeptów.

Laura ujęła Leonie pod ramię, uśmiechnęła się i zaproponowała:

— Chodźmy najpierw do baru zamówić drinka, później przedstawię cię paru osobom.

Leonie odpowiedziała jej uśmiechem.

— Poznałam już chyba niektóre z pań.

Laura pokręciła stanowczo głową.

— Nie, dopiero je poznasz.

## 12

Joey Schembri wpadł w sobotę wieczorem, żeby zabrać Michaela na dyskotekę. Chłopiec ubierał się jeszcze w sypialni, strojąc się w nowo kupione dżinsowe wycierusy z dziurami na kolanach i w nową koszulkę z napisem Chris Rea. Leonie zajęta była w kuchni szykowaniem kolacji. Creasy wystawił na stolik w cieniu pergoli parę piw i zagadnął Joeya o dom, który wspólnie remontowali. Cały tydzień zszedł im na dobudowywaniu nowego skrzydła, gdzie miały mieścić się jadalnia i kuchnia. Nie mogli się zdecydować, czy przy budowie dachu zastosować sklepienie łukowe czy drewniane dźwigary. Zdążyli się nawet o to kilka razy pokłócić.

Joey upił połowę piwa i obrzucił Creasy'ego ostrym spojrzeniem.

— Podjąłem decyzję, Uomo, i nie chcę się już więcej sprzeczać.

— Jaką decyzję?

— Robimy łuki zamiast dźwigarów.

— Niby dlaczego?

— Bo łuki mi się podobają, są bardziej tradycyjne.

Creasy, wcale nie przekonany, wzruszył ramionami.

— Ale musisz pamiętać o prawach rynku. Większość domów kupują Anglicy lub, jak ostatnio, Niemcy. Nabywcy wolą drewniane belki, twierdzą, że są bardziej w wiejskim stylu. Powiedzmy sobie szczerze, Joey, przecież nie ty będziesz w nim mieszkał... Prawda?

Joey posłał mu spojrzenie spod zmrużonych oczu. Dopił piwo i wstał, przemierzył patio i krzyknął po maltańsku przez szerokie łukowate drzwi:

— Michael, jeżeli nie będziesz gotowy za dwie minuty, to jadę bez ciebie i twojej Szwedce pęknie z żalu serce.

Z wnętrza domu dobiegł krzyk:

— Już wychodzę!

Joey wrócił do stołu i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Coś mi mówi, że dzisiejszej nocy chyba mu rzeczywiście wyjdzie. Ta dziewczyna oszalała na jego punkcie.

— Nie pozwól tylko, żeby bęczał wypił za dużo!

Joey wzruszył ramionami.



— Umówiliśmy się, że zawożę go na tańce i z powrotem dostarczam do domu. Nie ma powodów do niepokoju. Już w ubiegłym tygodniu spędził pierwszą noc poza domem i nieźle się ubzdryngolił. Ja zresztą tak samo.

— Wolę nie pamiętać, ile razy sam się upiłeś.

Na twarzy Joeya znów wykwitł szeroki uśmiech, który zamarł jednak w chwili, gdy z kuchni dobiegł go brzęk naczyń.

— Póki pamiętam, matka prosiła, żebyś coś ci powtórzyć — zwrócił się do Creasy'ego.

— Słucham.

— Jutro niedziela. Kazała powiedzieć, że nie musisz się fatygować do nas na obiad, jeżeli nie zabierzesz ze sobą żony.

Creasy skrzywił się.

— Twoja matka potrafi zaleźć za skórę. Kiedy ostatni raz grała w bingo?

Joey rozłożył ręce.

— Nie miałem pojęcia, że w ogóle grywa w bingo. Masz rację, potrafi zaleźć za skórę.

Creasy ogłosił swoją decyzję w poniedziałek wieczór przy kolacji. Rano tego dnia odebrał korespondencję przychodzącą na adres „Gleneagles”; jeden z listów miał stempel pocztowy z Waszyngtonu.

Po południu nie poszedł pracować z Joeyem przy remoncie domu, lecz zaszył się w swoim gabinecie i odbył kilka zagranicznych rozmów telefonicznych i parę miejscowych.

— Jutro wyjeżdżam — oznajmił wieczorem. — Nie będzie mnie parę tygodni.

— Dokąd jedziesz? — zainteresował się Michael.

— W różne miejsca. Muszę coś załatwić.

Utkwił w chłopcu uważne spojrzenie i spytał:

— Znasz chyba niejakiego George'a Zammita? To bratanek Paula Schembri, kuzyn Joeya.

Michael skinął głową.

— Wiesz, czym się zajmuje?

Michael przytaknął po raz drugi.

— Rozmawiałem z nim dziś przez telefon — ciągnął Creasy — i poczyniłem pewne kroki. Od jutra, a później w każdy wtorek i czwartek, będziesz wsiadał na prom wypływający o siódmej rano, a potem przesiadał się na autobus kursujący do Valetty. Z dworca pozostanie ci dojść do Fort St. Elmo, gdzie George będzie na ciebie czekał.

— Co będę robił?

Creasy zastanawiał się chwilę, po czym zerknął na Leonie.

— Będziesz kontynuował swoją edukację — dokończył stanowczo, i dodał zwracając się do Leonii: — Wiem, że to wczesna pora, ale wolałbym, żebyś w czasie mojej nieobecności odwoziła go na prom.

— Nie ma sprawy.

## 13

Pierwszym celem jego podróży był Luksemburg, gdzie spędził godzinę w biurze niewielkiego prywatnego banku. Następnie udał się do Londynu i zamieszkał w hotelu „Gore” w Queensgate, małym, wygodnym hoteliku prowadzonym przez rodzinę. Zameldował się pod nazwiskiem Stuart. Poprosił recepcjonistkę o zarezerwowanie dla niego biletu na wieczorne przedstawienie „Ducha w operze”.

Do hotelu wrócił po północy. Nocny portier wpuścił go i poinformował, że w barze czeka na niego jakiś mężczyzna. Ponieważ barman dawno już wyszedł, nocny portier przygotował im drinki, po czym zostawił ich samych.

Mężczyzna był niskiego wzrostu, o nieco pulchnej figurze i słomkowych włosach. Zbliżał się do sześćdziesiątki.

— Pytano o ciebie — oznajmił Creasy’emu na powitanie.

— Kto taki?

Ściany baru obwieszane były obrazami, których autorem był jeden człowiek, przyjaciel właścicieli hotelu. Wszystkie wystawione zostały na sprzedaż, chociaż Creasy nie przypominał sobie, by za jego czasów któreś z dzieł znalazło nabywcę, jasnowłosy rozmówca wpatrywał się teraz w jeden z obrazów.

— Nie podobają mi się te malowidła, jakieś takie dziwaczne. A ty co o nich myślisz?

— Można się przyzwyczaić. Kto o mnie pytał?

— Przede wszystkim Peter Fleming, facet odpowiedzialny za śledztwo w sprawie katastrofy w Lockerbie. Zwrócił się do Wydziału Specjalnego, a oni przekazali pytanie nam. Wylądowało na moim biurku.

— A więc?

— No więc uszczęśliwiłem go jednostronicowym opracowaniem, które kończy się twoją śmiercią w Neapolu. W tydzień później przyszło kolejne zapytanie w tej sprawie.

— I co?

Niewysoki jegomość uśmiechnął się.

— Powiedziałem facetowi z Wydziału Specjalnego, że niczym więcej nie dysponujemy. Nie omieszkałem dodać, że jestem wystarczająco zajęty wydarzeniami w Europie Wschodniej, żeby jeszcze zaprzątać sobie głowę byłym najemnikiem,

który nie żyje od pięciu lat.

— Serdeczne dzięki.

Gość upił łyk whisky.

— Wszystko pięknie, ale potem wpłynęło pytanie od wysokich czynników z FBI.

— Jak wysokich?

— Bennett, wicedyrektor FBI.

Creasy przechylił się nad barem, zdjął pokrywę z pojemnika na lód i wrzucił kilka kostek do swojej szklanki.

— Domagał się konkretów?

— I to jak. W sprawę zaangażował się osobiście dyrektor generalny. — W jego głosie pojawił się przeproszący ton. — Musiałem uruchomić wszystkie przyciski na mojej małej konsoli i dać im wszystko, czym dysponujemy.

Creasy mieszał kostki lodu w szklance, wpatrując się zamyślonym wzrokiem w jej zawartość.

— I co się w końcu okazało? — zapytał.

W głosie rozmówcy brzmiała nadal przeprosząca nuta.

— Otóż okazało się, że trafiły do nas trzy raporty, których autorzy twierdzą, że widzieli cię w ciągu ostatnich pięciu lat, a więc w czasie, kiedy to byłeś rzekomo martwy. Ostatni raz widziano cię dwa miesiące temu na lotnisku Heathrow. Zostałeś rozpoznany przez obserwatora z oddziału antyterrorystycznego przy Wydziale Specjalnym. . . Powinieneś być poddać się operacji plastycznej.

— Można się było tego spodziewać, zwłaszcza ze strony FBI. Sam to zaaranżowałem.

Jego rozmówca nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Po co?

— Chciałem, żeby ktoś się dowiedział. Teraz już wie. Jak idzie śledztwo?

Jegomość uśmiechnął się ponuro.

— Bardzo powoli, jak zawsze w przypadku takiego dochodzenia. Ostatnia notatka służbowa, jaką widziałem w tej sprawie, pochodzi sprzed tygodnia, Fleming co prawda wygląda na nieustępliwego faceta, ale ma kłopoty z policją niemiecką. Zaczyna już nawet podejrzewać, że w grę wchodzić może chronienie czyjegoś tyłka albo kompletny bałagan. Niemcy bowiem chcą za wszelką cenę wykazać, że bomba nie pojawiła się we Frankfurcie i zwalają wszystko na Heathrow, z kolei ochrona na lotnisku Heathrow próbuje oczywiście przerzucić odpowiedzialność na Frankfurt. Sprawy przybrały tak drastyczny obrót, że ma się tym zająć Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii.

Creasy obrócił się na taborecie i zawołał:

— George, nalej jeszcze raz!

W barze pojawił się nocny portier, wyraźnie utykający na jedną nogę. Napełnił w milczeniu szklanki i pokuśtykał z powrotem.

— A co ty sądzisz? — zapytał Creasy.

— Moim zdaniem za zamachem stoi Abu Nidal albo Ahmed Jibril. Są finansowani przez Irańczyków i prawdopodobnie kryją się pod płaszczykiem innych grup. Jestem pewny, że Fleming dojdzie prawdy.

— Zwykły policjant?

— Nie taki znowu zwykły. Bardzo bystry i bardzo uparty. I, pomijając Niemców, nie może narzekać na brak chętnych do współpracy. Współdziałają z nim w pełni FBI, CIA oraz my. Z naszej strony pracuje nad tą sprawą cały zespół — osiem osób, z czego cztery w terenie.

— Kiedy śledztwo przyniesie wyniki?

— Myślę, że w ciągu roku. Mogłoby nabrać przyspieszenia, gdyby Niemcy zaczęli współpracować.

— Ale według ciebie w grę wchodzi Nidal albo Jibril?

Jego pulchny interlokutor wychylił do dna kieliszek i wstał. Creasy również podniósł się z miejsca.

— Trzeba poczekać na końcowe rozstrzygnięcie, Creasy. Nie zapominaj, że cholernie trudno się do nich dostać. Mossad próbuje bezskutecznie od lat.

Creasy potrząsnął przecząco głową.

— Mylisz się, Mossad tylko mówi, że się stara. Taka gadka-szmatka na potrzeby Amerykanów. Tak naprawdę Mossad uwielbia obu drani, przecież każdy ich zamach na życie niewinnych ludzi przyczynia się do pogorszenia sprawy palestyńskiej.

Upił drinka i zatopił spojrzenie w jednym z dziwacznych malowideł. Obraz przedstawiał grupę tubylców z Jamajki przy pracy w polu. Namalowane postacie miały dziwnie zdeformowane kształty.

— Nie zdziwiłbym się — zaczął z krzywym uśmiechem — gdyby to sam Mossad finansował obie kanale. — Wyciągnął rękę do swego rozmówcy. — Stokrotne dzięki, jestem twoim dłużnikiem.

Przybysz o skromnej posturze pokręcił przecząco głową i dodał bardzo cicho:

— Nigdy nie będziesz moim dłużnikiem, nawet za milion lat. Dobrze pamiętam tamtą noc, gdy zjawiłeś się tutaj w samą porę, by wyratować mnie z opresji. Byliśmy wtedy nieco młodsi. . .

Na twarzy Creasy'ego pojawił się szeroki uśmiech.

— Na pewno młodsi i chyba nieco mądrzejsi.

Mężczyzna przytaknął i dorzucił na pożegnanie:

— Jeżeli coś wyskoczy, będę z tobą w kontakcie. Nie wpakuj się w kłopoty, Creasy.

Michael wymiotł z talerza resztkę potrawki z kurczaka, spojrzął na zegarek i zerwał się z krzesła.

— Pójdę się przebrać, Joey przyjedzie po mnie za pięć minut.  
Był już prawie przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos Leonie. Mówiła cicho, lecz tonem nie znoszącym sprzeciwu:  
— Michael, wróć na swoje miejsce.  
Powrócił z ociąganiem i usiadł, zerkając znów na zegarek.  
— Smakowało ci?  
Zrobił zdziwioną minę.  
— Tak, bardzo.  
— A co powiesz o dzisiejszym obiedzie, o śniadaniu, o pieczonym jagnięciu, jakie przygotowałam wczoraj na kolację i o przedwczorajszej potrawce z królika?  
— Bardzo mi smakowało... A potrawka z królika to moje ulubione danie. Przymuszasz ją jak tutejsze kobiety.  
Pokiwała głową, nie spuszczając oczu z jego twarzy.  
— Właśnie, zjadłeś za dwóch. Przepis dostałam od Laury. Michael, wiesz może, jak mam na imię?  
Nie robił już zdziwionej miny. Wbił wzrok w stół.  
— Leonie — odparł prawie szeptem.  
— Dobrze, myślałam, że zapomniałeś. Teraz idź się przebrać.  
Wstał i podszedł do drzwi, lecz po chwili odwrócił się i spojrzał na nią. Nie powiedział ani słowa, po prostu przyglądał się jej przez jakieś pół minuty, a następnie wyszedł.

W dwie godziny później stał w barze w dyskotecie „La Grotta”, popijał Heinekena i omiatał spojrzeniem tańczących na parkiecie.  
Dobiegł go głos Joeya:  
— W przyszłym tygodniu będziesz musiał sobie radzić sam.  
Michael obrócił na niego zdziwiony wzrok.  
— Co masz na myśli?  
Joey uśmiechnął się smutno, kryjąc zażenowanie.  
— Zanim wpadłem dzisiaj po ciebie, pojechałem do Nadur, żeby zobaczyć się z Marią.  
— Zatem?  
— Zaszedłem do niej do domu, wypilem drinka z jej rodzicami.  
Michael zagwizdał cicho i mruknął:  
— A więc o to chodzi, tak?  
Joey nie odrywał oczu od parkietu, na którym tańczyły dziesiątki osób. Dziewczyny miały od szesnastu do trzydziestu lat. Przeważały zdecydowanie turystki, głównie ze Skandynawii, Niemiec i Anglii. Patrzył na nie, wreszcie odezwał się z westchnieniem:

— Dobrze wiesz, co to znaczy. Jeżeli wpadnę tu w przyszłym tygodniu, to będę w towarzystwie Marii. O północy będę musiał odwiedzić ją do domu, a potem sam iść grzecznie spać.

— Szczęściarz z ciebie — powiedział Michael bez zastanowienia. — To świetna dziewczyna.

# 14

Umówili się na kolację w restauracji położonej cztery przecznice od Kapitolu. Usiedli przy odizolowanym stoliku w tyle sali. Senator zamówił stek na ostro z cesarską sałatką na przystawkę. Creasy zażyczył sobie *coq au vin*, do tego młode ziemniaki i kalafior.

Kiedy kelnerka odeszła, zjawił się kelner od win z bardzo grubą kartą tych trunków.

— Lubi pan wino? — spytał senator.

— Tak.

Senator podał mu kartę.

— Proszę zamówić, co pan chce, byle tylko nie kosztowało więcej niż sto dziesięć tysięcy dolarów.

— Poważnie?

— Oczywiście.

Creasy studiował spis win przez kilka minut.

Wygląd kelnera idealnie pasował do jego profesji: wysoki, starannie przylizany, z cienkim jak drut wąsikiem. Zaglądając Creasy'emu przez plecy śledził jego wędrujący po wykazie palec.

Creasy zamknął kartę i oddał kelnerowi,

— Poprosimy Rothschilda rocznik czterdziesty dziewiąty.

Twarz kelnera rozbłysła radością.

— Czy życzy pan sobie, żebym je przelał do karafki?

— Bardzo proszę.

Creasy spojrział na swego towarzysza siedzącego po drugiej stronie stolika i zauważył:

— To zamówienie dokonało znacznego uszczerbku w pańskich stu dziesięciu tysiącach dolarów, senatorze.

Grainger uśmiechnął się.

— Mam nadzieję. Prawdę powiedziawszy sam nie bardzo znam się na winach. A pan zdobył tę umiejętność w Legii Cudzoziemskiej?

— Tam się to zaczęło — przytaknął Creasy. — Ludzie nie mają zbyt rozległej wiedzy o Legii. Najczęściej chodzą im po głowie romantyczne wizje o rycerskich



gestach i piaskach Pustyni. A prawda wygląda inaczej — Legia to bardzo nowoczesna formacja wojskowa. Jej niepowtarzalność leży również w tym, że legionista nie musi opuszczać jej szeregów, jeśli tego nie chce. Dla wielu jest czymś w rodzaju sierocińca. . . Legia posiada we Francji własne winnice i tłocznie. Legionista, który kończy służbę, może przejść do pracy w tłoczni albo do zakładów rzemieślniczych, które Legia także prowadzi. W żadnej armii świata nie karmią tak dobrze, i to zarówno oficerów, jak i zwykłych żołnierzy.

— Ale pan został usunięty? — wtrącił cicho senator.

— Tak, popadłem w niełaskę. Mieliśmy pułkownika, którego wszyscy uwielbiali. Najodważniejszy facet, jakiego kiedykolwiek znałem. Kochał swoich żołnierzy.

Senator widział w oczach Creasy'ego powracające wspomnienia.

— Pułkownik postanowił przyłączyć się do puczu generałów. Byliśmy nawet gotowi przeprowadzić desant spadochronowy na Paryż. — Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych wydarzeń.

— Po upadku puczu wysadziliśmy koszary w powietrze i wymaszerowaliśmy śpiewając za Edith Piaf, że niczego nie żałujemy. „Je ne regrette rien. . .” Jedni oficerowie poukrywali się, inni stanęli przed sądem wojennym, podoficerowie dostali kopa, a zwykłych legionistów porozmieszczano po różnych oddziałach.

Senator spytał ściszym głosem:

— Tak, czytałem o tym w pańskiej kartotece. Był pan podoficerem. . . Służyłby pan dalej, gdyby pana nie wywalili?

Creasy skinął głową po chwili zastanowienia.

— Chyba tak. Ale teraz bym już nie wojował, siedziałbym pewnie w jakiejś winnicy na północ od Marsylii, zbierałbym winogrona i robił wino. — Uśmiechnął się. — Chociaż niezupełnie takie samo jak to, które zaraz będziemy pić.

Kelner zjawił się z winem, trzymając butelkę jak pielęgniarzka nowo narodzone dziecko. Umieścił ją ostrożnie na stoliku na kółkach, wyciągnął korek, poruszył nim kilkakrotnie między palcami, po czym podniósł korek pod nos.

Skinął głową z zadowoleniem i odezwał się do Creasy'ego:

— Przedni gatunek, proszę szanownego pana. Doskonale się zachowało.

Położył korek na talerzu przed Creasym i zwrócił się do senatora:

— Przez te wszystkie lata nie zamówił pan ani jednej butelki podobnego wina.

Kiedy specjalista od win dokończył swego dzieła, Creasy potrzymał korek przez kilka sekund w palcach, a następnie powąchał go. Pokiwał z ukontentowaniem głową i rzekł do kelnera:

— Może pan poprosić szefa kuchni o wstrzymanie się na pół godziny z realizacją naszego zamówienia? Niech wino trochę się ustoi.

Kelner oddalił się z miną chirurga, który właśnie ukończył skomplikowaną, lecz zakończoną sukcesem operację.

Creasy ubrany był w ciemnoszary garnitur w delikatne prążki, kremową koszulę i kasztanowaty krawat. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął małą wizytówkę i podał ją Graingerowi.

— Znajdzie tu pan nazwę pewnego banku w Luksemburgu. Na odwrocie wizytówki widnieje numer konta. Prosiłbym pana o przelanie owego ćwierć miliona dolarów na podany rachunek w ciągu siedmiu dni. Proszę się nie spodziewać, jak to panu oferował Rawlings, wykazu kosztów. Na koniec, jaki by on był, dostanie pan zwrot należnej panu reszty. Na ten sam rachunek wpłynęło już moje ćwierć miliona. Jeżeli chce pan to sprawdzić, proszę zadzwonić do człowieka, do którego należy ta wizytówka, i podać szyfr: „Wschód pozostanie Wschodem, a Zachód Zachodem”. On powie panu wszystko, co powinien pan wiedzieć o owym koncie bankowym.

Senator spojrział na wizytówkę i odrzekł ścisząc głos:

— Od czasu, gdy otrzymałem od pana przesyłkę z palcem, postanowiłem nie zadawać więcej żadnych pytań natury osobistej. Będziemy, oczywiście, pozostawać w kontakcie i wzajemnie się o wszystkim informować. Chcę także wiedzieć o rozwoju wydarzeń i czy mogę być w czymś pomocny.

— W przyszłości pańska pomoc okaże się pewnie potrzebna — odparł Creasy. — A przy okazji, czy pański przyjaciel Curtis Bennett zdobył jakieś nowe informacje?

— Skąd zna pan Curtisa?

— Rozpytuje o mnie tu i tam.

— Ale skąd pan go zna?

— Pozwoli pan, senatorze, że zatrzymam to dla siebie.

Grainger skinął głową z poważnym wyrazem twarzy.

— Rozumiem. A propos, „senator” brzmi cokolwiek oficjalnie. Proszę mówić do mnie Jim — tak nazywają mnie przyjaciele.

— Z przyjemnością.

— A jak ja mam się do ciebie zwracać?

Creasy uśmiechnął się lekko.

— Po prostu Creasy.

— Aha, nie masz imienia. . . Ale nie, figuruje przecież w twoich danych. . .

Creasy uśmiechnął się szerzej.

— Mój ojciec musiał mieć poczucie humoru. Creasy w zupełności wystarczy. A zatem, co Bennettowi udało się dowiedzieć?

— Krąg poszukiwań wydaje się zawęzić do dwóch ugrupowań palestyńskich: grupy Abu Nidala i Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Może upłynąć kilka miesięcy, zanim będzie wiadomo, o którą chodzi.

— To pokrywa się z moimi informacjami — potwierdził Creasy. Pobiegł wzrokiem ponad plecami senatora i dorzucił szeptem: — Nie odwracaj się, Jim.

Przy stoliku za tobą siedzi samotna kobieta. Albo wpadłem jej w oko, albo pracuje dla kogoś. Przejdź się za parę minut do toalety i rzuć na nią okiem.

Wracając z toalety senator przeszedł obok siedzącej kobiety i posłał jej grzeczny ukłon. Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Nic groźnego — zakomunikował senator, zajmując z powrotem miejsce. — Znam ją. Wykonuje prace badawcze dla Komisji Sprawiedliwości przy Izbie Reprezentantów. Bardzo zdolna dziewczyna. Widziałem ją tu już kilka razy.

— Pracowników naukowych stać na bywanie w takich miejscach? — zdziwił się Creasy.

— Przy ich pensjach to raczej niemożliwe. Ta akurat pochodzi z bogatej rodziny osiadłej w Maryland.

Creasy obrzucił kobietę uważnym spojrzeniem. Miała około trzydziestu pięciu lat, była wysoka, o krótko ostrzyżonych czarnych włosach i wysmukłej, zgrabnej szyi. Jej twarz była odbiciem cechującej ją inteligencji. Kobieta była ładna, ale nie miała cukierkowej urody. Rzuciła okiem w jego stronę kolejny raz i na moment ich spojrzenia spotkały się. Uciekła z miejsca wzrokiem.

Zjawili się jedzenie, a wraz z nim kelner od win. Podniósł kieliszek Creasy'ego i nalał dwa centymetry wina.

Creasy pociągnął łyk i przymknął oczy smakując trunek. Kelner skinął z godnością głową i nalał wino do kieliszka senatora, po czym dolał wina do kieliszka Creasy'ego.

— Proszę przynieść jeszcze jeden kieliszek — zarządził Creasy.

Kiedy kelner wykonał polecenie, Creasy napełnił do połowy przyniesiony kieliszek i podał go kelnerowi.

Wszyscy trzej skosztowali wina. Kelner westchnął na znak zadowolenia.

— Dziękuję panu, życzę smacznego.

Z kieliszkiem w ręku pomaszerował do kuchni. Creasy domyślił się, że zamierza poczęstować szefa kuchni.

Senator wstał od stołu pierwszy. Dochodziła dopiero dwudziesta druga. Przepraszając wyjaśnił, że zaraz z samego rana ma spotkanie w Izbie i musi wcześniej położyć się spać.

— Zostanę jeszcze trochę — odparł Creasy. — Wypiję jeszcze jedną kawę, może koniak.

— Życzę powodzenia — senator mrugnął do niego okiem. — Jest naprawdę ładna.

— Nie o to chodzi — Creasy zaprotestował energicznym ruchem głowy. — Powiedzmy, że interesują mnie badania nad wymiarem sprawiedliwości.

Postanowił zamówić koniak w barze. Znał już od senatora nazwisko kobiety, mijając więc jej stolik przystanął, nachylił się i zaproponował:

— Panno Parkes, jeżeli ma pani ochotę na wieczornego drinka, to czekam w barze.

Odszedł, nie dając jej czasu na odpowiedź.

Cały bar miał mahoniowy wystrój. Głębokie, wbudowane w ściany, wyścielane sofy oświetlał przyćmiony blask lamp o abażurach zdobionych frędzlami. Creasy usiadł na sofie w rogu sali i zamówił koniak. Kiedy kelner przyniósł trunek, Creasy sięgnął do kieszeni po pieniądze, lecz kelner pokręcił przecząco głową.

— W dowód szacunku od pana Henry’ego... naszego kelnera od win.

— Proszę przekazać panu Henry’emu moje podziękowania.

Panna Parkes opanowała do perfekcji sztukę zjawiania się w odpowiednim czasie. Po dziesięciu minutach Creasy spojrzął na zegarek i postanowił, że jeśli nie pokaże się w ciągu dwóch kolejnych minut, to może już o niej zapomnieć. W dwie i pół minuty później weszła do baru.

Była wyższa, niż mu się wydawało — około metr siedemdziesiąt sześć wzrostu. Kiedy szła, robiona na drutach wełniana sukienka podwijała się jej na łydkach. Czarne zamszowe pantofle na wysokich obcasach doskonale pasowały do czarnej zamszowej torebki. Stawiając zgrabnie długie nogi zbliżyła się do sofy i usiadła. Nie obok niego, lecz w odległości około półtora metra. Patrzyli na siebie w milczeniu czekając, aż nadejdzie kelner. Zamówiła kieliszek Drambuie i odezwała się:

— Musi pan być kimś ważnym.

— Skąd ten wniosek?

— Senator Grainger bardzo sobie ceni swój czas, nie lubi tracić go na próżno. Creasy odpowiedział uśmiechem.

Zjawił się kelner z kieliszkiem Drambuie i znowu podziękował grzecznie Creasy’emu za pieniądze. Panna Parkes upiła łyk trunku i spytała:

— Czy senator powiedział panu, jak mam na imię?

— Tak: Traccy.

Miała niski, niemal gardłowy głos. Uniosła rękę i odsunęła włosy opadające jej na oczy. Przeciągnęła dłonią po włosach i poruszyła się nieznacznie na sofie. Język gestów.

— A pan jak się nazywa?

— Creasy.

— To imię czy nazwisko?

— To jedyna forma, na którą reaguję.

Uśmiechnęła się.

— Zajmuje się pan polityką?

— Nie, i nigdy tego nie robiłem. Skończyłem już z zawodową działalnością.

— A co pan robił?

— Byłem najemnikiem.

Przyjrzała mu się uważnie i zadała mu nieuniknione pytanie:

— Zabijał pan ludzi?

— Nie pamiętam.

Powiedział jej, że zatrzymał się w hotelu „Hyatt”. Odparła, że zajmuje mieszkanie zaraz za rogiem ulicy. Poszli do niej.

W sypialni ściągnęła sukienkę, a Creasy zdjął garnitur. Obejrzała mu blizny na ciele, popatrzyła na szramy na twarzy, a następnie spojrzała mu w oczy.

— Powinnaś chyba wiedzieć — zaczął — że nie jestem w najmniejszym nawet stopniu sadystą.

Uśmiechnęła się z na wpół przymkniętymi oczami.

— A ja — szepnęła — chociaż nie jestem masochistką, to lubię, kiedy bierze się mnie ostro. Nie na siłę, ale ostro.

Miała jędrne piersi i długie uda.

Dochodziła jedenasta, kiedy w nią wszedł — ostro.

\* \* \*

Uwzględniając różnicę czasu, na Gozo była czwarta rano. Michael drugi raz w swoim życiu kochał się z kobietą. Tym razem to on kontrolował sytuację. Za pierwszym razem, czyli trzy godziny wcześniej, inicjatywa należała do niej. Mówiąc do niego miękko szeptem wprowadzała go w arkana miłości.

Ucząc go sztuki pocałunku dowiedziała się ku swemu zaskoczeniu, że nigdy przedtem nie całował dziewczyny, ani razu nie dotknął dziewczęcej piersi. Roześmiała się; nie śmiała się z niego, ale razem z nim. Sprawiała, że sam zaczął się śmiać. Całowała go po całym ciele, wzięła go w usta, ale tylko na krótko.

Potem wysunęła się spod niego i usiadła, wpuszczając go do środka.

Wszystko trwało krótko, ale było cudowne. Przywarł do niej, przyciągnął ją tak mocno, że straciła oddech.

Kiedy leżeli już później obok siebie, zapytał w ciemności:

— Zawsze jest tak samo... tak krótko?

Roześmiała się.

— W przypadku niektórych mężczyzn — tak, ale nie w twoim. Następnym razem będzie znacznie dłużej.

Pocałował jej piersi i zapadł w głęboki sen. Pozwoliła mu przespać się trzy godziny, po czym obudziła go pocałunkiem.

Creasy leżał na ogromnym zabytkowym łóżu z baldachimem w mieszkaniu w Waszyngtonie. Obserwując twarz kobiety, przyspieszył rytm. Zgodnie z zycze-

niem Tracey pokój był jasno oświetlony. Ścisnął jej piersi i kciukami wepchnął brodawki do środka. Wygięła się w łuk i wydała głęboki pomruk. Widział, że zaciska powieki i otwiera usta. Pocałował ją w otwarte usta wsuwając w nie język. Poczuł, jak jej ciało zaczyna spazmatycznie drgać. Jej długie palce wbiły mu się w plecy.

Wiedział, kiedy przestać. Orientował się doskonale, w którym momencie przyjemność przeradza się w dyskomfort. Pozostał w niej, wciąż twardy, zmniejszył jednak napór swego ciała. Wciąż nie odrywał wzroku od twarzy leżącej pod nim kobiety. Otworzyła oczy i posłała mu uśmiech. Jej wypielęgnowane palce muskały mu plecy niczym motyle. Dotknęła blizny na jego policzku. Poruszała się teraz lekko, delektując się smakiem spełnienia. Delektując się wypełniającym ją męczyzną.

— Nie było ci jeszcze dobrze — szepnęła.

— Zaraz będzie... Nie przestawaj się tylko tak ruszać... nie musisz robić nic więcej.

Poczuł, jak jej mięśnie w środku zwierają się i ściskają go. Nie musiał się wcale ruszać. Przez kolejne kilka minut patrzyli na siebie z twarzami oddalonymi dosłownie o centymetry.

Zobaczyła jego rozszerzające się źrenice i poczuła, jak męczyzna przywiera klatką piersiową do jej piersi. Były to jedyne ruchy, jakie przez cały ten czas wykonał ze swojej strony. Zaraz potem poczuła wlewający się w nią płyn.

Dziewczyna w mieszkaniu w Marsalforn spojrzała na Michaela i poprosiła:

— Pomyśl o czymś, czego bardzo nie lubisz... czego nie cierpisz...

Na jego twarzy odbiło się zdziwienie. Poruszał się rytmicznie, wchodząc w nią i wychodząc. Poruszała się razem z nim, szybko oddychając.

— Dlaczego?

Również gwałtownie oddychał. Miał wrażenie, że zamiast penisa ma tykającą bombę.

— Myśl o czymś, czego nie cierpisz — ponagliła go szeptem. — Prędeej...

Obejmowała go ramieniem trzymając niczym w imadle. Drugą rękę zacisnęła na jego pośladkach, próbując wbić go jeszcze głębiej w siebie.

Pomyślał o szpinaku. Nienawidził szpinaku całym sercem. W sierocińcu zmuszali go do jedzenia tego paskudztwa więcej razy, niż był w stanie zapamiętać. Bez szpinaku nie mógł liczyć na dostanie deseru.

Myśl o szpinaku dała mu dodatkowo jakieś trzy minuty, ale tyle wystarczyło. Dziewczyna zaczynała dochodzić. Wyczuł skurcze jej brzucha, poczuł jak jej długie nogi oplatają go i ściskają, jej dłonie przywarły do niego z całej siły, Zaraz potem sam poczuł wzbierającą rozkosz.

— Tak to właśnie powinno wyglądać — powiedziała mu w chwilę później.

Leżąc w łóżu z baldachimem w swoim waszyngtońskim mieszkaniu kobieta patrzyła, jak Creasy się ubiera.

— Powinniśmy to powtórzyć — orzekła.

Zapinał guziki koszuli. Zerknął na zegarek i odparł:

— Za pięć godzin wylatuję z Waszyngtonu, a w trzy godziny później opuszczam Stany.

— Ale jeszcze wrócisz?

— Możliwe. Ale chyba nie na długo.

— Jeżeli przyjedziesz, to do mnie zadzwonisz.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

— Możesz na mnie liczyć — przytaknął, biorąc się za wiązanie krawatu.

Uśmiechnęła się, zaraz jednak spoważniała. Przeturlała się na łóżku, żeby być bliżej niego. Podniosła oczy i powiedziała:

— Pod względem fizycznym było wspaniale, po prostu fantastycznie. Udało ci się dotrzeć w jakiś przedziwny sposób do każdego nerwu w moim ciele. . . Ale nie było w tym zbyt wiele uczucia.

Skończył wiązać krawat. Popatrzył na nią spod nabrzmiątych powiek w pokrytej bliznami twarzy i odrzekł bardzo cicho:

— Dzisiaj wykorzystaliśmy się nawzajem i było całkiem przyjemnie. Z pewnością powtórzymy to kiedyś i będzie także przyjemnie. Nie doszukuj się jednak żadnego uczucia. W moim życiu kochałem tylko jedną kobietę. Umarła przed paroma miesiącami, a wraz z nią umarły moje uczucia. Jeżeli pragniesz, by pobudzić w tobie każdy nerw, jestem właściwym mężczyzną. Ale jeżeli oczekujesz uczucia, musisz skierować się gdzie indziej.

Wyciągnęła ręce i objęła go mocno dłońmi w kolanie. Nie spuszczać z niego zadumanego spojrzenia zapytała:

— Gdzie mieszkają najemnicy?

Uśmiechnął się do niej ciepło. Polubił ją.

— Najemnicy mieszkają w norach, Tracey. Są jak gryzonie i gady.

— Dam ci mój numer.

Wkładał właśnie na siebie marynarkę.

— Nie potrzebuję. Jeżeli wrócę, odszukam cię.

Leonie spała w swoim łóżku, gdy obudził ją hałas jadącego samochodu. Przez otwarte okno dosłyszała słowa krótkiej rozmowy. Spojrzała na budzik: właśnie minęła szósta. Budzik był nastawiony na siódmą, kiedy zazwyczaj wstawała, by przygotować Michaelowi śniadanie. Namyślała się przez chwilę, czy powinna po-

zwolić Michaelowi poleżeć dzisiaj dłużej, ale doszła do wniosku, że lepiej nie. Creasy, gdyby tu był, i tak postawiłby chłopaka na równe nogi i zmusił do przepłynięcia jak co dzień stu długości basenu. Przewróciła się na drugi bok, poprawiła poduszkę i zapadła z powrotem w sen.

O siódmej zadźwięczał budzik. W pół minuty później usłyszała pukanie do drzwi i głos Michaela:

— Nie śpisz, Leonie?

— Nie, już nie śpię.

— Mogę wejść?

— Proszę.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Michael z tacą w ręku. Postawił ją na stoliku przy łóżku. Na tacy znajdował się kubek z herbatą, talerzyk z dwiema grzankami posmarowanymi masłem oraz słoik z marmoladą. Całe jej codzienne śniadanie.

— Po co to wszystko? — zdziwiła się.

— Twój poranny posiłek, zgadza się?

— Owszem, ale...

Uśmiechnął się do niej i zapowiedział:

— Posłuchaj, Leonie, od dzisiaj ja będę szykował śniadanie.



## 15

Creasy przyleciał do Brukseli nocnym lotem z Nowego Jorku. Po przejściu odprawy paszportowo-celnej udał się ze swą płócienną torbą do automatów telefonicznych i wykręcił numer pewnego baru. Chociaż była dopiero siódma rano, miał pewność, że bar będzie otwarty. Jego wyjątkowość polegała na tym, że był czynny przez całą dobę, podłogi czyszczono między nogami gości.

Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. Creasy rozpoznał głos, sam jednak pozostał incognito.

— Mam wiadomość dla Korkociąga. Przekaż, że dzwonił C i kazał powiedzieć: „Dziś, dziesiąta wieczorem”.

Odłożył słuchawkę, wyszedł z hali lotniska i wsiadł na tylne siedzenie taksówki.

— Do Pappagal — polecił taksówkarzowi. — Wie pan, gdzie to jest?

— Jasne — odparł kierowca. — Ale o tej porze nic się tam nie dzieje. Chyba że któraś będzie akurat wychodzić.

— Mogę poczekać.

Po czterdziestu pięciu minutach dotarli do nie rzucającego się w oczy burdelu w bocznej uliczce, niedaleko głównej siedziby Uni Europejskiej. Ciężkie drewniane drzwi otworzyła stara sprzątaczką.

— Zamknięte — poinformowała. — Proszę przyjść wieczorem po ósmej.

— Powiedz Blondyneczce, że przyszedł Creasy.

Spojrzała mu w oczy i odsunęła się.

— Będę czekał w kuchni — zapowiedział.

Ruszył korytarzem, stąpając po grubym strzyżonym dywanie. W połowie drogi zajrzał do jednego z pokoi. Wnętrze kapało przepychem: głębokie kanapy, ciężkie zasłony, żyrandole i niewielki bar. Pokój był pełen mebli, ale pozbawiony ludzi. Poszedł dalej, dochodząc do drzwi po lewej stronie korytarza.

Robił sobie akurat kawę, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Blondyneczka. Miała na sobie przepisową nocną koszulę. Czarne jak węgiel włosy były nawinięte na wałki. Na twarzy sześćdziesięcioletniej kobiety, pozbawionej pokrywającej ją zwykle grubej warstwy makijażu, odbijało się teraz bezdenne zdumienie. Tuż za nią postępował wysoki mężczyzna o śniadej twarzy. Jego prawa

ręka była ukryta pod rozpiętą marynarką. Oczy mężczyzny patrzyły bez wyrazu.

Kobieta zrobiła znak krzyża na dużych piersiach i wymamrotała kilka słów modlitwy po włosku. Dodała już po francusku:

— Słyszałam, że nie żyjesz.

Creasy uśmiechnął się. Był to uśmiech pełen uczucia.

— Przepraszam cię, Blondyneczko, ale nie mogłem cię powiadomić. To było konieczne.

Rzuciła przez ramię do stojącego za nią mężczyzny:

— Wszystko w porządku, możesz już iść. Zamknij za sobą drzwi.

Kiedy drzwi zamknęły się, podeszła do Creasy'ego, objęła go i trzymała przez długą chwilę w mocnym uścisku. Potem wymierzyła mu siarczysty policzek. Uderzenie było tak silne, że głowa odskoczyła mu do tyłu.

— Nie rób tego więcej — syknęła. — Poszłam do kościoła, modliłam się za twoją duszę, na wypadek, gdybyś ją miał. Zapaliłam świece w twojej intencji, wylewałam za tobą łzy...

Teraz też zanosła się płaczem. Przyciągnął jej głowę do piersi i szepnął:

— Przepraszam, Blondyneczko, ale to było nieodzowne.

Odsunęła głowę, wytarła rękawem oczy i bąknęła:

— Domyślam się... Czego teraz potrzebujesz?

— Najpierw filiżankę kawy, potem coś do zjedzenia, i wreszcie chcę porządnie się wyspać.

— Jak długo zostaniesz?

— Dwa, może trzy dni.

Zaczęła krzątać się żwawo po kuchni — matka na zawołanie.

— Idź do swojego pokoju, zaraz ci przyniosę kawę i jedzenie. I nie mów mi, co jadasz na śniadanie, bo dobrze wiem.

Obrzuciła go surowym spojrzeniem i zapowiedziała:

— Ale zanim położysz się spać, musisz mi o wszystkim opowiedzieć... Wynagrodzisz mi moje modlitwy, zapalone świece i przelane łzy.

— Obiecuję — odparł uroczyście.

Za piętnaście dziesiąta wszedł do baru. Rozpoznał twarze niektórych obecnych, ale sam nie został przez nikogo rozpoznany. Blondyneczka była mistrzynią charakteryzacji, spędziła całą godzinę zmieniając mu kształt twarzy, powiększając brwi i dodając wąsy.

Bar mieścił się w dużej sali z długim kontuarem na końcu. Wszystko w nim było proste i podyktowane względami praktycznymi. Podłoga była posypana trocinami.

Zamawiając piwo spostrzegł, że Wensa, barman, w ciągu tych lat prawie się nie postarzał. Przeszedł z piwem do odosobnionego stolika w odległym kącie sa-

li. Dla każdego bywalca baru było oczywiste, że goście, którzy chcą omawiać interesy, zajmują ten lub bliźniaczy stolik w przeciwległym rogu.

Bar stanowił swoiste biuro maklerskie dla przedstawicieli przestępczego podziemia. Tu szukano informacji i tu ich udzielano, tutaj zawierano umowy i zlecano wykonywanie wyroków.

Korkociąg zjawił się punktualnie o dziesiątej. Miał wygląd sześćdziesięcioletka, chociaż w rzeczywistości był znacznie starszy. Towarzyszył mu młodszy od niego mężczyzna. Korkociąg obiegnął wzrokiem salę i zatrzymał spojrzenie na Creasym. Wszystkie wysiłki Blondyneczki okazały się niewystarczające, by wyprowadzić go w pole. Powiedział coś do swego młodszego towarzysza, i ten ruszył do kontuaru z trunkami.

Leciwy przybysz zbliżył się do stolika i odezwał do Creasy'ego:

— Przedtem zdarzyło się to tylko jeden raz.

— Co takiego?

Mężczyzna uśmiechnął się ukazując szczerbate uzębienie. Miano „Korkociąg” nadano mu z uwagi na to, że potrafił wślizgiwać się wszędzie niczym robak i zawsze bezpiecznie wypełzał na powierzchnię.

— Powstanie z martwych — wyjaśnił.

Creasy nie próbował nawet postawić mu drinka. Korkociąg pił wyłącznie wodę, a do tego nigdy w barach. Był również nader oszczędny w słowach.

— O co chodzi? — zapytał Creasy'ego bez żadnych wstępów.

— O robotę. Skomplikowaną, ale dobrze płatną.

— Jak dobrze?

— Trzysta tysięcy. — Nie musiał określać waluty, ponieważ umowy zawierane w tutejszym barze opiewały zawsze na franki szwajcarskie. — Nie będzie to praca non stop: nie częściej niż cztery, pięć dni w miesiącu przez następny rok, może dwa lata.

— Gdzie?

— Potrzebne mi będą dwie kryjówki: jedna w Damaszku, druga w Algierze. Całkowicie bezpieczne. Niewielkie mieszkania w tętniących życiem okolicach, najlepiej gdzieś w pobliżu bazarów. Raz w miesiącu przez kilka dni muszą być zamieszkane, żeby nie wywoływać komentarzy. Będziesz potrzebował dla siebie dobrej przykrywkę i solidnych papierów, najlepiej udawaj kupca. Będę także chciał, żebyś sprowadził do Damaszku i Algieru trochę sprzętu i ulokował wszystko w obu kwaterach.

— Ciężki sprzęt? — dociękał Korkociąg.

Creasy zaprzeczył ruchem głowy.

— Półciężki i lekki. Parę granatników przeciwpancernych *RPG-7*, kilka pistoletów maszynowych, najlepiej *Uzi*, kilka pistoletów, na przykład *Colt 1911*. Do tego dwa karabiny snajperskie z tłumikami i noktowizorami. No i ze trzydzieści granatów: rozpryskowych i fosforyzujących. Plus oczywiście amunicja. Cztery

pociski do każdego *RPG-7*, po osiem magazynków do każdego *Uzi* i po tyle samo do *Coltów*. Wszystko musi trafić na miejsce nie później niż w sześćdziesiąt dni, chociaż mogą równie dobrze minąć dwa lata, zanim z czegokolwiek skorzystam. W obu kryjówkach mają znaleźć się też kompletne zestawy pomocy medycznej. No jak, da się zrobić?

Korkociąg potrząsnął głową.

— Nie.

— Pracujesz akurat nad czymś?

— Nie, przeszedłem na zasłużony odpoczynek. W ubiegłym roku skończyłem siedemdziesiąt lat!

Creasy westchnął z irytacją.

— To czemu mi tego od razu nie mówisz, tylko pozwalasz, żebym robił z siebie durnia?

Korkociąg dał znak mężczyźnie przy barze, w którego towarzystwie się zjawił. Ten podszedł i usiadł przy stoliku. Miał około czterdziestki i był tak chudy, że przypominał raczej szkielet. Całości dopełniały głęboka łysina czołowa i grube szkła bez oprawy. Niczym więcej się nie wyróżniał, nikt z pewnością nie zwróciłby na niego uwagi po raz drugi.

— Mój syn zajmie się tą robotą — oświadczył Korkociąg.

Przez głowę Creasy'ego zaczęły przelatywać pytania. Miał je już na końcu języka, ale rozmyślił się. Korkociąg nie przedstawiałby przecież swojego syna, gdyby ten nie nadawał się w pełni do proponowanego zadania. Na pewno sam go wyszkolił do prowadzenia rodzinnego interesu.

— Jak pana nazywają? — spytał.

— Korkociąg Dwa — odparł młodszy z kamienną twarzą.

— Ma pan żonę?

— Tak, i dwóch synów: Korkociąga Trzy i Cztery.

Creasy zwrócił się teraz do seniora rodu:

— Mam go wprowadzić w temat?

— Nie trzeba, sam mu wszystko opowiem. Jeszcze tylko parę pytań. Po pierwsze: mieszkania mają być wynajęte czy kupione?

— Kupione. Nie muszą być luksusowe, w każdym razie powinny być odpowiednie dla kogoś, kto prowadzi skromny biznes.

— Finansowanie?

— Masz wciąż to samo konto bankowe w Luksemburgu?

— Tak.

— Do jutra do końca godzin urzędowania znajdzie się na nim sto tysięcy. Tyle powinno wystarczyć na wydatki: nabycie mieszkań i sprzętu. Jeżeli to nie wystarczy, dasz mi znać. Trzysta tysięcy jako honorarium będzie wpływało w miesięcznych ratach po trzydzieści tysięcy; w przypadku wcześniejszego wykonania zadania, reszta sumy zostanie wypłacona jednorazowo w całości.

Wyjął kartonik z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył rozmówcy.

— Informacje możesz mi przysyłać pod ten adres. W nagłych wypadkach dzwoń pod podany tu numer. Jeżeli mnie nie będzie, zostaw wiadomość Michaelowi Creasy'emu.

Twarz Korkociąga po raz pierwszy ożywiła się.

— Nie masz przecież braci ani synów — stwierdził bez cienia wątpliwości.

— Mam syna — poprawił go Creasy. Wskazał ręką młodszego z mężczyzn i dodał, nie spuszczać jednak wzroku z seniora rodu: — Podobnie jak ty, staram się prowadzić rodzinny interes.

Creasy wrócił do Pappagal tuż po północy. Drzwi otworzyła mu sama Blondyneczka.

— Mam kłopot — zaczęła bez wstępów. — Raoul zachorował i musiałam odesłać go do domu, a gość, który go zwykle zastępuje, jest na urlopie.

— Żadna sprawa — oświadczył. — Zajmę się tym.

Podążył za nią korytarzem. Przechodząc obok otwartych drzwi po prawej stronie ujrzał kilku mężczyzn w oficjalnych strojach siedzących przy barze. Dziewczęta na wpół leżały na sofach i obserwowały ich. Czekwały. Wszystkie były elegancko ubrane, młode i bardzo piękne. Blondyneczka prowadziła dom publiczny wysokiej klasy. Czasami tylko pojawiały się kłopoty, zwłaszcza z dyplomatami z krajów Trzeciego Świata. Zdarzało się, że przekonani o mocy immunitetu dyplomatycznego nabierali zbyt wielkiej pewności siebie.

Idąc za gospodynią wszedł do kuchni. Kabura leżała na stole z wystającą czarną kolbą pistoletu. Zdjął marynarkę i założył szelki z kaburą, po czym wyjął *Berrettę* i sprawdził, że magazynek jest pusty. Odciągnął zamek: komora nabojoya była również pusta. Schował broń z powrotem do kabury. W myśl niepisanego porozumienia między Blondyneczką a policją, pistolet był zawsze nie naładowany i miał służyć jedynie dla postrachu. Założył marynarkę i wyszedł z kuchni.

— Przyniosę ci trochę kawy — zaproponowała Blondyneczka.

Pappagal składał się z dwunastu pokoi, z których jedenaście zajmowały dziewczęta, a jeden należał do Raoula i jego zastępcy. Pokoje dziewcząt były bogato wystrojone i pełne luster. Pokój Raoula natomiast miał spartański wygląd: pojedyncze łóżko, stół, dwa krzesła i kolorowy telewizor dla odpędzenia nudy. Nad telewizorem rozciągał się rząd żarówek z numerami od jeden do jedenaście. W przypadku kłopotów z klientem dziewczyna naciskała przycisk ukryty w wezgielciu łóżka, a wtedy w pokoju Raoula zapalała się odpowiednia żarówka. Creasy włączył telewizor i nastawił na CNN. W pięć minut później weszła Blondyneczka z tacą, na której stał duży dzbanek do parzenia kawy, filiżanka i napełniony do połowy kieliszek koniaku. Nie musiał sprawdzać, by wiedzieć, że kieliszek zawiera Hennessy Extra. Postawiła tacę na stole i spytała:

— Jesteś głodny? Pokręcił przecząco głową.  
— Już jadłem. Możesz spokojnie zająć się swoimi sprawami.  
— Mogą być kłopoty z jednym klientem: attache wojskowy ambasady chilijskiej, ma przyjść o pierwszej. Typowy macho, czasem trochę mu odbija. Zamówił Nicole na pierwszą. Dziewczyna zajmuje siódmą.

Creasy pił kawę, sączył drobnymi łyżkami koniak i oglądał pokazywany przez telewizję obraz umierania świata i panującego w nim chaosu: Bejrut, Zachodni Brzeg, Kaszmir, Etiopia, Sri Lanka. Do czterech ścian po spartańsku urządzonego pokoju napływały przekazy ze wszystkich zakątków świata.

O pierwszej trzydzieści zapaliła się lampka oznaczająca pokój numer siedem. W ciągu sześciu sekund znalazł się na miejscu. Otwierając drzwi usłyszał zduszony krzyk. Nicole leżała na brzuchu z twarzą wciśniętą w poduszkę, a na niej siedział okrakiem mężczyzna.

Creasy zamknął za sobą drzwi i rozkazał:

— Koniec zabawy!

Mężczyzna odwrócił się. Na twarzy miał wyryte uczucie żądy, która zaraz ustąpiła miejsca wściekłości. Był postawny, mocno owłosiony. Czarne włosy porastały mu plecy, klatkę piersiową, nogi i ramiona. Creasy wsunął rękę pod marynarkę.

— Zejdź z niej! — polecił. — Ubieraj się i zmiataj!

Mężczyzna zaklął na niego po hiszpańsku. Creasy odpowiedział mu w tym samym języku.

— Dla mnie twój immunitet dyplomatyczny nic nie znaczy.

Z tymi słowami wyciągnął *Berette*.

Mężczyzna zaklął ponownie i stoczył się z dziewczyny. Obróciła się na plecy: miała długie nogi, smukłe ciało i długie czarne włosy. I nienawiść w oczach, gdy patrzyła na stojącego nad nią napastnika.

— Co się stało? — zapytał Creasy.

— Chciał mi dodatkowo zapłacić — wyjaśniła — za sadystyczny numer. Tysiąc franków. Odmówiłam, ale i tak zrobił, co chciał. Drań dobrze wiedział, że jutro wyjeżdża i już nie wraca.

Mężczyzna ubierał się, obrzucając ją wszelkimi możliwymi epitetami. Wezbrała w niej wściekłość. Zrywała się już z łóżka, ale powstrzymał ją głos Creasy'ego:

— Nie ruszaj się, zostań gdzie jesteś.

Zatrzymała się pod wpływem jego władczego tonu. Mężczyzna skończył wiązać krawat i założył marynarkę.

Zbliżał się do czterdziestki i wyglądał na bardzo wysportowanego.

Podszedł do Creasy'ego, spojrzał mu w oczy i warknął:

— Słuchaj, alfonsie, gdybyś nie miał broni, to połamalbym ci te rączki!  
Creasy otworzył drzwi, rzucił *Berettę* na dywan wyściełający korytarz, zamknął na powrót drzwi i wyciągnął ramiona.

— Czuj się jak u siebie w domu.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Widzę, że nie trzęsiesz portkami.

— A ty zamiast portek nosisz sukienkę.

Zobaczył, jak oczy przeciwnika błyskają nienawiścią. Zbliżając się milimetr po milimetrze do Creasy'ego, znów zaczął mówić. Jego głos ociekał słodyczą.

— W porządku, nie chcę żadnych kłopotów. Ta ździra nie jest tego warta. — Uśmiechnął się i podniósł otwarte dłonie. — Zawrzyjmy pokój, co?

— Jak sobie życzysz.

Creasy dostrzegł, jak prawa dłoń mężczyzny zwija się w pięść. Zauważył obrót bioder napastnika. Odchylił się nieco w lewo do tyłu i pięść śmignęła mu koło twarzy. Chilijczyk rzucony siłą rozpędu do przodu nadział się na błyskawiczne proste pchnięcie zadane usztywnioną w palcach dłonią. Zwalił się na podłogę jak worek kartofli. Creasy kopnął go w twarz. Mężczyzna przewalił się nieprzytomny na plecy, z nosa i z ust ciekła mu krew. Creasy przykleknął, podniósł lewe ramię napastnika, i chwytając za nadgarstek oparł je sobie na prawym kolanie. Rąbnął kantem dłoni.

Ze swego miejsca na łóżku Nicole usłyszała trzask pękającej kości. W pięć sekund później doszedł ją drugi trzask towarzyszący łamaniu prawego ramienia.

Creasy podniósł oczy i spojrzał na dziewczynę. Miała twarz bladą jak alabaster. Przeżegnała się, mamrocząc coś pod nosem.

— Przyrowadź Blondyneczkę — polecił. — Powiedz jej, że mamy bagaż do oddania.

Dziewczyna narzuciła na siebie czerwony aksamitny szlafrok. Przeszła nad leżącym mężczyzną kierując się do drzwi, lecz nagle odwróciła się i spojrzała na niego. Nachyliła się i napluła mu w twarz. Przenosząc wzrok na Creasy'ego odezwała się z uśmiechem:

— Na pewno nie pojedzie jutro do domu.

Creasy położył się do łóżka dopiero o trzeciej nad ranem. Po upływie piętnastu minut rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Nicole mając wciąż na sobie czerwony szlafrok. Przysiadła na skrajku łóżka i popatrzyła na Creasy'ego. W pokoju było ciepło i Creasy przykryty był tylko do połowy prześcieradłem, spod którego wyłaniał się jego nagi tors. Przesunęła dłonią po bliznach na klatce piersiowej. Potem wstała i zrzuciła szlafrok.

Spoglądając na niego szepnęła:

— Blondyneczka mówiła, że szkoda mojego czasu, że nie kochasz się z dziwkami.

Przyjrzał się jej uważnie. Odsunął prześcieradło i klepnął miejsce obok siebie. Kiedy się położyła, zgasił światło. W kilka minut później już spała z głową na jego ramieniu i z ręką zarzuconą na jego piersi. Blondyneczka miała rację. Ale Nicole była teraz spokojna. Intymność najwyższego rodzaju: móc ze sobą spać bez konieczności uprawiania seksu.



## 16

Pułkownik Jomah zwykle wzywał Ahmeda Jibrila do swego biura w wywiadzie lotnictwa wojskowego, tym razem jednak postanowił, że sam odwiedzi go w jego bazie. Wcześniej zadzwonił i uprzedził o swej wizycie.

Kiedy wiozący go czarny, nie oznakowany Mercedes podjeżdżał do bramy wjazdowej, pułkownik dostrzegł na ulicy ludzi z ochrony. Było ich około dwunastu: część z nich stanowiło osłonę pułkownika, reszta reprezentowała Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Pułkownik wiedział także, że w dwóch pokojach na drugim piętrze budynku naprzeciwko bramy wjazdowej rozmieszczeni są jeszcze dwaj agenci uzbrojeni w pistolety maszynowe i granatniki.

Mercedes zatrzymał się przez wjazdem na dziedziniec. W jednej chwili wyłoniło się dwóch ludzi z ochrony. Zajrzeli w tył samochodu i, rozpoznawszy momentalnie pułkownika, przepuścili samochód dalej. Po dziedzińcu kręciło się więcej solidnie uzbrojonych strażników.

Na schodach wiodących do wejścia pojawił się sam Jibril ubrany we włoski wizytowy garnitur. Objął serdecznie pułkownika i, wzięwszy go za rękę, poprowadził po stopniach do środka.

Kiedy tylko usiedli w gabinecie Jibrila, pułkownik oznajmił:

— Mój człowiek w ambasadzie w Paryżu znowu się do mnie odezwał.

Jibril nie mógł nie zauważyć złych manier gościa: Arab nigdy nie wyluszcza powodu swej wizyty przed wypowiedzeniem zwykłych grzecznościowych formułek.

Nie okazał jednak irytacji. Nie mógł sobie pozwolić na obrazę pułkownika. Dał znak sekretarzowi stojącemu w drzwiach, żeby przyniósł kawę.

— Ma więcej informacji? — zapytał.

— Tak, dysponuje nazwiskiem potencjalnego informatora.

— Kto to taki?

— Joseph Rawlings.

Ahmed Jibril słynał z niebywalej pamięci. Przymknął oczy i zastanawiał się przez minutę. Wreszcie potrząsnął głową.

— Nic mi to nie mówi.

— Mnie też nie. — Pułkownik wzruszył ramionami. — Ale mamy informatora we francuskim SDECE. Wyciągnął teczkę o Rawlingsie, bardzo cienką zresztą. Otóż facet jest byłym najemnikiem albo ma kontakty w kręgach najemników. Amerykanin, działa głównie w Europie. Nasz człowiek w ambasadzie umówił się z nim na spotkanie.

W tym momencie zjawił się sekretarz z kawą na tacy. Pułkownik odczekał, aż sekretarz obsłuży ich i wyjdzie, po czym ciągnął dalej:

— Rawlings okazał się facetem około pięćdziesiątki, bardzo pewnym siebie. Twierdzi, że zna nazwisko człowieka — bardzo niebezpiecznego człowieka — którego wynajęto do zabicia organizatora zamachu bombowego na pokładzie samolotu Pan Am.

Jibril uśmiechnął się.

— Chce pan powiedzieć, pułkowniku: „Geniusza, który podłożył tę bombę”.

Pułkownik również się uśmiechnął i skinął potakująco głową.

— To był prawdziwy majstersztyk.

— Co jeszcze mówił?

— Cały pomysł jest finansowany przez pewnego bardzo majątnego Amerykanina, którego żona leciała tym samolotem. Amerykański krezus wynajął człowieka, który zdaniem Rawlingsa jest jedną z najbardziej niebezpiecznych istot na naszej planecie.

— Podał jego nazwisko?

— Nie. Za ujawnienie nazwiska zabójcy i za nazwisko finansującego go Amerykanina żąda stu tysięcy dolarów amerykańskich.

Jibril zastanowił się, w końcu na jego twarzy ponownie wykwitł uśmiech.

— Przecież nikt nie łączy mojej osoby z zamachem.

— Jak dotąd jeszcze nie — zgodził się pułkownik. — Ale nasz informator w SDECE uważa, że śledztwo zawęziło się obecnie do dwóch osób: Jibrila Ahmeda i Abu Nidala. — Rozłożył ręce w wymownym geście. — Możemy założyć, że Rawlings zwrócił się z tą samą ofertą do Abu Nidala za pośrednictwem ambasad algierskiej w Paryżu. W ciągu kilku dni będę miał tego potwierdzenie.

Jibril wpadł znowu w zadumę.

— To co robimy?

— Cóż, Ahmedzie — zaczął pułkownik jedwabistym głosem. — Dostałeś na to zadanie pięć milionów dolarów. Chyba wszystkiego nie wydałeś?

— Jeszcze nie — odparł i dodał szczerząc zęby w uśmiechu: — Dałem tym kretynom Libijczykom tylko po pięćdziesiąt tysięcy na łebka. A jakby nie było, to oni musieli nadstawiać karku.

— Masz zatem dwie możliwości: płacisz albo każesz swoim ludziom z organizacji — czy może raczej jej resztek pozostałych w Europie — żeby złapali gościa w Paryżu i wydusili z niego to nazwisko. Na moją pomoc nie możesz liczyć, wolimy się teraz nie rzucać zbytnio w oczy. Tak się złożyło, że mój człowiek

w ambasadzie w Paryżu umówił się z Rawlingsem na spotkanie za cztery dni, żeby przekazać mu twoją odpowiedź. A jeśli zdecydujesz się płacić, to jesteśmy, naturalnie, gotowi służyć jako pośrednicy.

— Zastanawiam się, jak postąpiłby Abu Nidal — myślał głośno Jibril — gdyby rzeczywiście otrzymał taką samą propozycję.

Pułkownik potrząsnął głową.

— Na pewno by nie zapłacił. Po pierwsze, wie, że to ty stałeś za zamachem. Po drugie, wypadł teraz z łask, w związku z czym cierpi na brak gotówki, a po trzecie, nie leży to w jego charakterze. Nie lubi, żeby ktoś zmuszał go do płacenia.

Głos pułkownika znów ociekał słodyczą.

— Ale ty jesteś inny, Ahmedzie. Masz więcej oleju w głowie niż Nidal, ostatnio wszystko ci się lepiej układa, a co za tym idzie, posiadasz więcej pieniędzy.

Jibril był próżnym człowiekiem. Na jego twarzy pojawił się uśmiech samozadowolenia.

— Pułkowniku — zaczął — będę wdzięczny, jeśli pański człowiek w ambasadzie w Paryżu zaakceptuje na następnym spotkaniu przedłożoną propozycję. Bezzwłocznie zbiorę wymaganą sumę. Pozostaję pańskim dłużnikiem.

Telefon w domu Creasy'ego na wyspie Gozo zadzwonił we wtorek o trzeciej po południu. Leonie podniosła słuchawkę aparatu w kuchni.

— Wszystko w porządku? — usłyszała głos Creasy'ego.

— Jak najbardziej.

— A jak Michael?

— Świetnie.- W tej chwili jest jeszcze na Malcie, odbieram go z promu o szóstej.

— Dobrze się zachowuje?

— Oczywiście. Codziennie rano przynosi mi herbatę i grzanki, zmywa naczynia po każdym posiłku i pilnie się uczy. Czyta wszystkie książki, które kazałeś mu przeczytać. Do tego co rano przepływa swoje sto długości basenu, nawet wtedy, gdy wraca późno z dyskoteki.

Po drugiej stronie słuchawki na moment zapadła cisza. Potem usłyszała rozbawiony głos Creasy'ego.

— Może stracił dziewictwo?

Roześmiała się.

— Tak mi się zdaje. Dwa tygodnie temu odwiozła go do domu jakaś Angielka o szóstej nad ranem.

— Jak wyglądała?

— Nie wiem. Nie widziałam jej, tylko słyszałam. W głosie Creasy'ego pojawiła się ostra nuta:

— Przyprowadził ją do domu?

— Nie. Kiedy już odjeżdżała, słyszałam, jak jej dziękuje. Odkrzyknęła mu, że nie ma za co.

— To mówi samo za siebie.

Leonie uśmiechnęła się.

— Równie dobrze mógł jej dziękować za podwiezienie do domu.

— Szczerze wątpię.

— A przy okazji — przypomniała sobie — Michael musi teraz sam chodzić na dyskotekę.

— Nie razem z Joeyem?

— Nie. Kilka tygodni temu Joey był z wizytą w domu Marii i wychylił kieliszek z jej rodzicami. Mówi, żebyś szybko wracał i pomógł mu w wykończeniu domu.

Tu nastąpiło coś niebywałego: Creasy się roześmiała.

— Powiedz mu, że będę za pięć, sześć dni — wyjaśnił. — I że może robić łuki zamiast dźwigarów. Ktoś do mnie dzwonił?

— Niejaki Bob Dines. Telefonował dziś rano. Prosił, żebyś się z nim skontaktował.

— Bardzo dobrze.

Podśpiewując pod nosem wróciła do przyrządzania potrawki z królika na dzisiejszą kolację. Przestała już liczyć dni, jakie muszą jeszcze upłynąć, zanim będzie mogła wyjechać: życie na Gozo zaczynało jej się podobać. Przed kilkoma dniami weszła do supermarketu, żeby zrobić zakupy. Obok kasy stały pojemniki z jajkami. Wzięła tuzin jaj, kiedy nagle sprzedawczyni zagadnęła ją:

— Tych niech pani nie bierze, proszę wziąć z tamtych — pokazała ręką, mrużąc do niej porozumiewawczo. — Są świeższe, właśnie je dostaliśmy.

Z kolei ekspedientka w sklepie spożywczym nadszkwiała jej tak długo, aż upewniła się, że Leonie dostała najlepsze warzywa. Przyniosła jej nawet z zaplecza ziemniaki, które według jej słów były przeznaczone dla specjalnych klientów.

W czasie, gdy Creasy bawił poza domem, chodziła na niedzielne obiady z Michaeliem do Schembrich. Laura została jej dobrą przyjaciółką. W pierwszą niedzielę Joey przyprował swoją sympatię, Marię. Była to jej pierwsza wizyta w domu rodziców Joeya i dziewczyna nie potrafiła ukryć nieśmiałości i zdenerwowania. Joey zresztą tak samo. Leonie zauważyła, jak Paul i Laura starają się ją uspokoić. Paul opowiedział jej o wspólnych młodzińskich eskapadach z jej ojcem, a ponieważ był urodzonym gawędziarzem, szybko doprowadził ją do śmiechu.

Na koniec przyniósł z sypialni Biblię i kazał jej uroczyście przysiąc, że nie powie ojcu nic z tego, co usłyszała.

W drugą niedzielę, po zjedzonym obiedzie, Laura zaprowadziła Leonie do

remontowanego domu. Rozglądały się po wnętrzach i rozmawiały. Laura zaczęła opowiadać o swoich dwóch córkach: starszej z nich, Julii, która wyszła za Włocha, przyjaciela Creasy'ego, i zginęła w wypadku samochodowym, i o Nadii, która poniosła śmierć w wyniku zamachu bombowego na pokładzie samolotu Pan Am.

Mówiła spokojnie i bez widocznej emocji do czasu, aż Leonie zadała pytanie dotyczące Creasy'ego.

— Jeżeli chcesz się o nim czegoś dowiedzieć, musisz sama go o to zapytać — zaznaczyła i uśmiechnęła się dla złagodzenia tych słów. — Obudował swoje prywatne życie bardzo twardą skorupą, przez którą niełatwo się przebić. Ale kto wie... Może kiedyś...

## 17

Creasy przyleciał ostatnim rejssem z Luksemburga do Londynu i tuż przed północą zameldował się w hotelu „Gore”. Czekala tam na niego wiadomość: Bob Dines przybędzie do baru o wpół do pierwszej. Zaniósł torbę do pokoju, włączył telewizor na CNN i maksymalnie nastawił głoś. Biorąc prysznic nasłuchiwał telewizyjnych wiadomości. W dwadzieścia minut później był już w barze.

Umówiony z nim niewysoki mężczyzna o słomkowych włosach zjawił się pięć minut przed czasem; zawsze przychodził pięć minut przed umówioną porą. W ręku trzymał teczkę.

W rogu sali siedziała młoda para ściskając się za ręce i obdarzając się niestrużeniem miłosnymi czułościami. Bob Dines obserwował ich uważnie przez dłuższą chwilę, po czym doszedł do wniosku, że młodzi z całą pewnością nie przyszli tu ich szpiegować. Uspokojony zwrócił się do Creasy’ego:

— Dla mnie duża whisky z wodą sodową, miałem dziś ciężki dzień.

Creasy zamówił whisky, a dla siebie Remy Martin. Kiedy nocny portier oddał mu się, Dines zaczął ściszone glosem:

— Wygląda na to, że pojawiło się parę nowych rzeczy w sprawie zamachu nad Lockerbie.

— To znaczy?

— Mówiłem ci wcześniej, że Peter Fleming jest policjantem o nieprzeciętnych zdolnościach — do tego bardzo wytrwałym. A chłopcy od kryminalistyki, którzy zajmują się rekonstrukcją samolotu i jego zawartości, należą chyba do najlepszych na świecie i najbardziej skrupulatnych. Odkryli już, w której walizce znajdowała się bomba i w którym miejscu ładowni bagażowej była złożona. Doszli do tego wszystkiego na podstawie bardzo drobnych fragmentów. FBI, które wysłało swoich własnych ekspertów, było pod ogromnym wrażeniem. Udało się zidentyfikować część ubrań, które zawierała walizka. Peter Fleming zdołał określić źródło pochodzenia odzieży, którym okazała się Malta: ubrania zostały wyprodukowane w jednym z tamtejszych zakładów. Dotarł nawet do sklepu, który je sprzedaje: sklep znajduje się w Sliemie i nosi nazwę „U Mary”. Sprzedawca pamięta, że ubrania kupił jakiś Arab na kilka tygodni przed zamachem nad Lockerbie.

— Malta... — mruknął Creasy. — Blisko rodzinnych stron.

— Właśnie — przytaknął Dines. — Ma to swoją wymowę. Wiadomo nam przecież od jakiegoś czasu — wie o tym zresztą także niemieckie BND — że na Malcie działa komórka Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Malta pod rządami premiera Mintoffa utrzymywała bardzo przyjazne stosunki z Libią, do dzisiaj Libijczycy udający się na Maltę nawet nie potrzebują wizy. Nic więc dziwnego, że Malta stała się naturalnym punktem postojowym dla grup w rodzaju Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Otrzymują tam wsparcie ze strony działających na Malcie libijskich siatek.

— Front wciąż ma tam swoją komórkę? — zainteresował się Creasy.

— Tak, chociaż się nie uaktywniają. Domyślamy się, gdzie znajduje się siedziba Frontu. — Trącił palcem teczkę. — Mam w środku raport. Przeczytaj go później i zaraz potem zniszcz. W każdym razie wszystko zdaje się wskazywać coraz wyraźniej na Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i Ahmeda Jibrila.

— Najwyraźniej — mruknął Creasy w zamyśleniu. — Ale mówiłeś, że rewelacji w sprawie Lockerbie jest kilka.

Rozmówca przytaknął.

— Chodzi o syryjski wywiad lotnictwa wojskowego, który stanowi najpotężniejsze odgałęzienie całego wywiadu syryjskiego. Jest przy tym bardzo blisko związany z samym prezydentem Assadem. Jak nam wiadomo, Syryjczycy prowadzą nader ścisłą współpracę z Naczelnym Dowództwem Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny na terenie Europy. Wykorzystują ich do swojej brudnej roboty. Nasi ludzie oraz pracownicy niemieckiego BND i francuskiego SDECE zidentyfikowali kilku ich agentów. Jak się okazuje, najczęściej operują z terenu ambasad syryjskich. Obserwujemy ich przez okragłą dobę. Dzięki temu wiemy, że agent ulokowany w Paryżu, występujący jako attache handlowy Merwad Kwikas, odbył niedawno dwa spotkania w paryskim bistro z pewnym Amerykaninem. Pierwsze miało miejsce sześć dni temu i było jedynie luźną rozmową. W czasie drugiego, które nastąpiło cztery dni później, Kwikas wręczył Amerykaninowi pakunek, w zamian otrzymując kopertę.

— Wiesz, kim jest ten Amerykanin?

— Wiem — potwierdził Dines. — Ty też go znasz. Udało nam się sfotografować pierwsze spotkanie.

Ustawił kombinację zamka szyfrowego na teczce, otworzył ją i wyjął zdjęcie. Podał je Creasy'emu. Ten rzucił okiem i mruknął:

— Joe Rawlings. Dałem temu draniowi jego „dołę dla splukanych”... Wiesz, gdzie teraz jest?

— Tak, od pierwszego spotkania mamy go na oku. Pomiędzy pierwszym a drugim spotkaniem mieszkał w pozałowania godnym hotelu w zakazanej części Montparnasse. A zaraz po drugim spotkaniu wymeldował się i wprowadził do

„Plaza Athenee”.

— Tak, to do drania podobne. . . — mruknął Creasy ze złością. — Trzymacie go wciąż pod obserwacją?

— Tak.

— Można by ją pod jakimś pozorem przerwać na parę godzin, na przykład jutro wieczorem?

Bob Dines potrząsnął głową.

— Sprawą zajmuje się nasza paryska placówka. Nie mogę się wtrącać, zwłaszcza gdyby na przykład po odwołaniu obserwacji pan Joseph Rawlings miał nieść się pożegnać z tym światem.

Po powrocie do swojego pokoju Creasy zadzwonił do Brukseli. Słuchawkę podniósł Raoul.

— Daj mi do telefonu Blondyneczkę.

— To ty?

— A któż by inny.

— Dzięki za złamanie rączek, ten kutas zasłużył sobie na to.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

W minutę później w słuchawce rozległ się głos Blondyneczki.

— Potrzebuję zaraz Nicole — oznajmił jej. — Ma być w Paryżu, i to już jutro.

— Czyżby sprawy zaszły aż tak daleko? — zdziwiła się.

— Nie, i dobrze o tym wiesz. Jest mi potrzebna do zwabienia pewnego faceta. Niech weźmie ze sobą ciuchy, w których będzie wyglądać elegancko, tak żeby mogła wejść do każdego hotelu i restauracji w Paryżu, i być traktowana jak dama z towarzystwa. Powinna być gotowa na podjęcie ryzyka. Przekaż jej to.

— Gdzie ma się zjawić?

— Będzie miała rezerwację w hotelu „Plaza Athenee”. Zamelduje się pod fałszywym nazwiskiem i z fałszywym paszportem; tym ostatnim zajmie się Korkociąg. Trzeba jej załatwić bilet na następny dzień na ranny lot numer czterysta dwadzieścia dwa Iberii do Barcelony. Tam przeczeka trzy dni, zanim wróci do Brukseli. A w Paryżu niech weźmie z lotniska taksówkę, pojedzie do hotelu i czeka na mnie w swoim pokoju. Jeśli będzie czegoś chciała, niech dzwoni do obsługi pokoi, tylko niech nie wychodzi. Skontaktuję się z nią jutro wieczorem. Proszę, załatw jej bilety lotnicze i daj trzy tysiące dolarów w gotówce. Później się z tobą rozliczę.

— Przyjedzie na pewno.

Joe Rawlings przekroczył próg baru w „Plaza Athenee” o ósmej. Należał do ludzi, którzy doceniają znaczenie luksusu i potrafią z niego korzystać, gdy tyl-



ko mają ku temu okazję. Na dzisiejszy wieczór miał jasno wytyczony program. Najpierw kilka drinków w barze, następnie kolacja w „La Poupoule”, potem przejażdżka do „Crazy Horse” na nocną rewię dla zaostrzenia apetytu, i wreszcie wizyta w „Babette”, gdzie wybierze sobie najatrakcyjniejszą z tamtejszych dziwek.

Bar był pełny szykownie ubranych gości: mieszanka miejscowych krezusów i zasobnych w gotówkę turystów. Jego oczy błyskawicznie wyłowiły samotną kobietę, która siedziała w końcu baru. Przywołując w pamięci linijkę z „My Fair Lady”: „Zbrojny w siłę swego czaru, ruszył krokiem pełnym wiary”, podkraść się niczym jaszczurka i wślizgnął się na barowy stółek tuż obok niej.

Zamówił u barmana dwudziestopięcioletnią Macallan Scotch. Ze stroju i biżuterii noszonej przez kobietę momentalnie odgadł, że ma do czynienia z reprezentantką wyższych sfer. Nieznajoma ubrana była w wieczorową suknię z niebieskiego jedwabiu. Wiedząc co nieco o szlachetnych kamieniach Rawlings bez trudu policzył, że nefrytowy wisiołek między jej kształtnymi piersiami wart jest cały majątek. Spostrzegł także, iż brylantowa bransoleta zdobiąca jej lewą dłoń zawiera czystej wody brylanty bez jednej choćby skazy. Co najmniej dziesięć karatów, lekko licząc pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Włączając najwyższy bieg zaczął szybko myśleć. Postanowił nie tracić ani chwili czasu.

— Jest pani sama — zagadnął — czy czeka pani na kogoś?

— Czekam na męża — odparła chłodnym tonem. — Niestety, ma przyjechać dopiero jutro.

Zauważył jej obcy akcent i spytał:

— Jest pani Francuską?

— Belgijką.

— Zatrzymała się pani w tym hotelu?

— Tak. Zwykle mieszkamy u „Ritza”, ale tym razem nie było miejsca: zajęty przez Arabów.

Minęło pół godziny, zanim udało mu się ją poderwać. W każdym razie myślał, że ją poderwał. Zaspokajając jej ciekawość przedstawił się jako wybitny międzynarodowy prawnik, dodając przy tym, że obecnie pracuje z ramienia IBM nad sprawą o prawo patentowe. Zaraz potem pozwolił sobie na małą dygresję:

— Kiedy podróżuję w interesach, wolę zwykle jadać samotnie. Jestem wierny powiedzeniu Gulbenkiana, że idealną liczbą do kolacji jest dwa: ja i kelner.

Uśmiechnęła się i wyznała z lekkim przygnębieniem:

— Nie cierpię samotnie jedzonych posiłków.

Poszli na kolację do „La Poupoule”. Od czasu do czasu dotykał jej dłoni i ramienia, kilka razy odważył się musnąć stopą jej nogę ukrytą pod stolikiem. Zanim podano kawę, był już pewny zwycięstwa. Powiedziała mu, że małżonek jest wiceprezesem potężnej korporacji przemysłu stalowego i jest od niej dwadzieścia

pięć lat starszy. Czuł narastającą atmosferę erotyzmu i postanowił dolać oliwy do ognia.

— Wybierałem się na nocną rewię do „Crazy Horse” — zaczął dotykając jej dłoni — ale może to dla ciebie zbyt pikantne?

Potrząsnęła z uśmiechem głową.

— Sama bym tam nie poszła. . . Ale lubię odrobinę pikanterii.

Wypełniony oszałamiającą atmosferą przedstawienia w „Crazy Horse” i porwany urodą tancerek, Joe Rawlings dałby się poprowadzić dosłownie wszędzie. Powiodła go do swojego pokoju w „Plaza Athenee” — zgodnie z własnym życzeniem. Jak mu wyjaśniła w holu hotelowym swoim słodkim głosem, po kochaniu woli nie wychodzić z łóżka.

Otworzyła drzwi i wprowadziła go do środka szepcząc miękim, śpiewnym głosem:

— Myślałeś, że zanosি się dzisiaj na niezłe pieprzonko, co? I owszem, ale nie takie, jakiego się spodziewałeś.

Drzwi zamknęły się za jego plecami. Ujrzał duże podwójne łóżko, na którym siedział Creasy z wymierzonym w niego pistoletem z tłumikiem.

Przez pokój przebiegły wypowiedane niespiesznie, tchnące śmiercią słowa:

— Dostałeś ode mnie swoją „dole dla splukanych”, Joe. . . I mimo wszystko to zrobiłeś?

Joe Rawlings czuł, że strach ściska mu gardło.

— Co niby takiego zrobiłem, Creasy?

Creasy cisnął w jego stronę fotografię o wymiarach osiem na dziesięć. Trafiła Rawlingsa w kolano i upadła obok niego na podłogę. Spojrzał na zdjęcie: rozpoznał na nim siebie i Merwada Kwikasa siedzących w restauracji.

Wiedział, że już po nim.

— Wolisz szybko czy boleśnie, Joe? Mamy przed sobą całą noc.

Joe Rawlings chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Nie mógł oderwać oczu od lufy pistoletu.

— Zdradziłeś im moje nazwisko? — usłyszał głos Creasy’ego.

Skinął głową.

— I nazwisko senatora?

Znów przytaknął.

— Kontaktowałeś się z Abu Nidalem?

Przytaknięcie.

— Zgodził się zapłacić?

Rawlings potrząsnął przecząco głową.

W głosie Creasy’ego pojawiła się refleksyjna nuta:

— Czyli zdradziłeś im wszystko, co wiesz. . . A skoro Jibril zapłacił ci za informacje, dał mi tym samym dowód swojej winy. Pieniądze, jak sądzę, ukryłeś w łazience?

Rawlings kiwnął głową. Stał przykuty do miejsca widokiem lufy i wbitych w niego oczu.

Pistolet wystrzelił z cichym plaśnięciem. Pocisk trafił go między oczy.

Creasy otworzył drzwi. Nicole stała po drugiej stronie korytarza. Dał jej znak. Weszła do pokoju i popatrzyła na ciało leżące na podłodze. Creasy zawiesił na zewnętrznej klamce kartkę z napisem: „Proszę nie przeszkadzać” i zamknął drzwi.

— Masz może jego klucz? — zwrócił się do Nicole.

— Jest w jego kieszeni.

Schylił się, przeszukał kieszenie i odnalazł klucz. Wręczył go jej ze słowami:

— Idź do jego pokoju i przeszukaj łazienkę. Znajdziesz tam rulon banknotów, najpewniej gdzieś za klozetem. Przynieś mi je.

Wróciła po pięciu minutach z grubą kopertą. Ciało okryte było długim białym ręcznikiem, w którego jednym końcu wykwitła czerwona plama. Creasy przeliczył pieniądze: siedemdziesiąt osiem tysięcy dolarów w używanych banknotach pięćdziesięciodolarowych. Odliczył z nich dwadzieścia tysięcy, wsadził do koperty i wręczył Nicole.

## 18

Po wejściu do znanej sobie restauracji w Waszyngtonie senator James Granger dostrzegł Creasy'ego w kącie sali w towarzystwie innego mężczyzny. Podszedł i przysiadł się do nich.

— Frank Miller — Creasy przedstawił swego towarzysza.

Senator przyjrzał się uważnie nieznanemu. Mężczyzna miał dobrze po czterdzieście i był zupełnie łysy. Mała głowa osadzona była na potężnym ciele. Miał okrągłą, puciołową twarz, o niemal cherubinkowatej urodzie, i oczy osadzone między niskim czołem i tłustymi policzkami. Ubrany był w ciemny garnitur, nieskazitelnie czystą, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat. Przywodził na myśl ideał dobrego wujaszka. Zamówili kolację, a senator poprosił Henry'ego, kelnera od win, o podanie na stół tego samego wina, co poprzednio.

Ubiegłego wieczoru senator otrzymał telefoniczną wiadomość o nowych wydarzeniach. Dzisiejsza kolacja była następstwem owej rozmowy.

— Zatem co nowego się pojawiło? — zwrócił się do Creasy'ego, rzucając ostrożne spojrzenie na jego towarzysza.

Obawy senatora nie uszły uwadze Creasy'ego.

— Przy Franku możemy spokojnie rozmawiać — podkreślił. — Znam go od dawien dawna... Posłuchaj, Jim, popełniłem błąd. Mam tylko nadzieję, że to ostatni raz. Powinienem skończyć z Rawlingsem już w Cannes, ale zamiast tego dałem mu jego „dolę dla splukanych”. Sądziłem, że kupię jego milczenie... Stało się jednak inaczej... Rawlings sprzedał nas obu Ahmedowi Jibrilowi z Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. To, że Jibril mu zapłacił, dowodzi — przynajmniej ja tak uważam — że to właśnie Jibril jest odpowiedzialny za podłożenie bomby. Teraz Jibril już wie, że go ścigam, wie także, na co mnie stać. Ale nie ma pojęcia, gdzie mnie szukać. Za to doskonale się orientuje, gdzie może znaleźć ciebie — tobie trudniej się ukryć. Jest rzeczą prawie pewną, że Front ma swoją siatkę w Stanach i że będą próbowali dobrać się do ciebie. Chcą cię dostać w swoje ręce i wydusić z ciebie wszystko, co wiesz.

Wskazując ręką na Millera, wyjaśnił:

— Przyprowadziłem go ze sobą, żeby mieć pewność, że do tego nie dojdzie.

Senator zerknął na Millera i oznajmił:

— Mam odpowiednią ochronę, jak wszyscy senatorowie.

Creasy pokręcił na te słowa głową.

— Odpowiednia to nie to samo co wystarczająca, Jim. Będziesz musiał mieszkać razem z nim i jego dwoma kolegami do czasu, aż sprawa się zakończy. Nie chodzi tylko o twoje bezpieczeństwo, ale i o moje. Będą przy tobie przez okrągłą dobę, nie dalej niż kilka metrów od ciebie, nawet w drodze do toalety. Przez całą dobę, Jim, nie ma innej rady, i to tak długo, aż operacja dobiegnie końca — a to może potrwać miesiące, rok albo i więcej.

Senator zapytał, jak gdyby Frank Miller w ogóle nie istniał:

— Co to za jeden?

Creasy również odpowiedział w taki sposób, jakby Frank Miller nie siedział pomiędzy nimi:

— To Australijczyk, były najemnik. Ponieważ było coraz trudniej o chleb z żołnierki, zajął się ochroną. Spędził parę lat w Niemczech i Włoszech czuwając nad bezpieczeństwem przemysłowców, którzy byli obiektami ataków grup terrorystycznych w rodzaju Czerwonych Brygad. Jest najlepszy. Nigdy nie stracił klienta.

Senator popatrzył na Australijczyka.

— I potrzebuje do pomocy dwóch ludzi?

Creasy machnął ręką.

— Przecież musi kiedyś spać... Musi sobie od czasu do czasu znaleźć jakąś kobietę albo poprosi ciebie o pomoc w znalezieniu. — Wykrzywił usta w uśmiechu. — Nie martw się Jim, nie trzeba ich wyprowadzać za potrzebą. Słuchaj ich we wszystkim. Chodzi o twoje życie. I o moje.

— Ich opieka pewnie słono kosztuje — zauważył senator.

— Nie inaczej, najlepsi zawsze kosztują. Ale sytuacja przypomina nieco aferę Irangate — jak na ironię, to Jibril ich finansuje.

Senator wyprostował się na fotelu, nie kryjąc zaskoczonej miny. Creasy pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Jibril zapłacił Rawlingsowi kupę forsy za zdradzenie naszych nazwisk. Odzyskałem część tych pieniędzy. Wystarczą przez kilka miesięcy na opłacenie Franka i jego chłopców.

Podano jedzenie, a Henry przelał wino do karafki. Obskakiwał Creasy'ego niczym ojciec witający marnotrawnego syna.

Senator spostrzegł, że Australijczyk nie zamoczył nawet ust w winie, pił jedynie wodę mineralną. Nie mówił też za wiele, tylko omiatał bezustannie wzrokiem salę obserwując wszystkich wchodzących i wychodzących gości. Kiedy podano kawę, ochroniarz odezwał się do Creasy'ego po francusku. Creasy odpowiedział mu w tym samym języku i zwrócił się do senatora.

— Frank i ja zauważyliśmy, że ktoś nas obserwuje. Facet jest sam, siedzi tam w kącie. Nie oglądaj się. Moim zdaniem to ktoś z FBI. Czy twój przyjaciel Bennett

roztoczył nad tobą opiekę?

— Całkiem możliwe. Może chce sprawdzić, co planuję albo martwi się o mnie.

— Mógłbyś go poprosić, żeby odwołał opiekę i trzymał się z daleka? To ważne.

— Bardzo ważne — wtrącił Australijczyk. — Nie chcę, żeby w pobliżu kręcili się jacyś obcy.

Senator podniósł palec i po chwili kierownik sali stał już przy nim.

— Przynieś mi telefon — polecił krótko.

W minutę później wybierał numer na przenośnym aparacie. Po drugiej stronie podniesiono słuchawkę. Senator odezwał się:

— Posłuchaj, Curtis, jeśli wiesz, gdzie jem kolację, to znaczy, że poddałeś mnie obserwacji. W takim razie żądam, żebyś ją natychmiast odwołał. Jeśli tego nie zrobisz, mogę być nieprzyjemny. — Oddał telefon czającemu się w pobliżu kierownikowi sali.

Upłynęły trzy minuty i do restauracji wszedł nowy gość. Podeszedł do mężczyzny, który spożywał samotnie kolację w rogu sali, i szepnął mu coś do ucha. Mężczyzna poprosił o rachunek i zapłacił. Zaraz potem obaj wyszli, nie rzucając nawet jednego spojrzenia na senatora.

— Tak już lepiej — orzekł Australijczyk. — Jeżeli od tej chwili ktoś będzie się przy panu kręcił, to będę wiedział, z kim, mam do czynienia.

— Jesteś pewny, że to Jibril? — spytał senator Creasy'ego.

— Przecież nie wywalałby tyle pieniędzy na próżno. Jibril jest tym, którego szukam.

— Kiedy zaczynasz?

— Już zacząłem.

— Jak długo to może potrwać?

Creasy wzruszył ramionami i upił łyk wina.

— Muszę działać bez pośpiechu i bardzo ostrożnie. Szkopuł w tym, iż Jibril wie, że na niego poluję. Damaszek nie jest łatwym miastem. Jibril otoczony jest tam szczelną ochroną, zarówno własną, jak i ze strony wywiadu syryjskiego. — Upił kolejny łyk wina i dopowiedział patrząc senatorowi prosto w oczy: — Ale tak czy inaczej, Ahmed Jibril jest już zimnym trupem. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby dobrze naostrzyć broń. . . Będzie się pocił ze strachu i czekał. Obiecuję ci, Jim, że ostatnimi słowami, jakie usłyszysz przed śmiercią, będą imiona Harriot, Nadii i Julii. Będzie wiedział, dlaczego umiera.

Senator dopił kieliszek i rzekł ścisłym głosem:

— Nigdy przedtem nie darzyłem nikogo nienawiścią. Było wielu takich, których szczerze nie cierpiałem, nigdy jednak nie żywiłem do nikogo prawdziwej nienawiści. Ale teraz nienawidzę. Całym sercem nienawidzę Jibrila i nienawidzę Joe Rawlingsa. Naciągnął mnie, oszukał, a potem sprzedał.

Creasy pokręcił głową.

— Zapomnij o Rawlingsie. Nie ma sensu zaprzętać sobie głowy trupami.

Senator podniósł na niego zdziwiony wzrok.

— Przeniosłeś go na tamten świat?

— Strzałem między oczy.

Senatora Graingera czekało kolejne poranne spotkanie.

— Najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek wymyślono w Ameryce — westchnął.

Kiedy wstał zbierając się do wyjścia, Frank Miller powstrzymał go.

— Chwileczkę.

Australijczyk podniósł się i wyszedł na ulicę. Wrócił po dwóch minutach i dał Graingerowi przyzwalający znak.

— Jest bardzo ostrożny — stwierdził senator.

— Teraz on jest twoim ojcem i matką — podkreślił Creasy i dorzucił żartobliwie: — Przedstaw go swojej dobermance, na pewno zostaną dobrymi kumplami. Ale nie próbuj z nim żadnych sztuczek. Jeżeli dasz nogę, to tak jakbyś pożegnał się ze mną. I wiedz jeszcze jedno: chociaż Jibril zatrudnia chyba z setkę doskonale uzbrojonych ochroniarzy, to byłby znacznie bezpieczniejszy, gdyby zamiast nich miał przy sobie jednego Franka Millera.

Podali sobie ręce i senator wyszedł. Za nim krok w krok postępował Australijczyk. Henry zjawił się z dużym kielichem wypełnionym Hennessy Extra i postawił go przed Creasym.

— Zapraszam pana do odwiedzenia nas przynajmniej cztery razy — odezwał się z uśmiechem. — Pozostały mi już tylko cztery butelki Rotschilda rocznik czterdziesty dziewiąty.

Creasy podziękował i poprosił o telefon. Wybrał z pamięci numer.

— Tracey, będę u ciebie za dwadzieścia minut. Rozbierz się.

— Jestem rozebrana — usłyszał w odpowiedzi.

Najlepiej ocenić urodę kobiety, kiedy pogrążona jest we śnie. Znikają wszelkie sztuczki, udawanie także zapada w sen. Jeżeli prawdą jest, że wino wyzwala prawdę, to sen wydobywa piękno.

Był wczesny poranek. Po wyjściu z łazienki rozsunął zasłony i słoneczne promienie rozświetliły pokój, odbijając się od białych ścian i padając na twarz kobiety. Przysiadł na skraju łóżka i obserwował jej oblicze. Patrzył jak drapieżnik, który nie wie jeszcze, na co poluje. Spała głęboko, zaspokojona w swych pragnieniach. Jej twarz przypominała buzię dziecka. Pomyślał o własnym dziecku, o Julii. Pomyślał o swoim życiu i tym, co na zawsze utracił.

Zadał sobie pytanie, co robi i dlaczego. Wszystko to robił już przecież nie raz. Miał przez chwilę uczucie, że porusza się jak w kieracie w drodze do nikąd. Zaczął się zastanawiać nad przeszłością Michaela i nad jego przyszłością. Próbował

odpowiedzieć sobie na pytanie, co o nim sądzi, ale na próżno. Pomyślał z kolei o senatorze Jamesie Graingerze, o Franku Millerze, Korkociagu i jego synu. I o tym, co on sam robi i dlaczego.

Nie, nie było w nim cienia wątpliwości.

Był jedynie żar, który rozpalał go od środka. Rozpalał mu trzewia, ale nie docierał do głowy. Umysł miał lodowato spokojny, pomagał mu w tym obraz elegancko ubranego Araba. Pomyślał o Nadii — kobiecie, i Julii — dziecku. Przesunął się na łóżku i położył dłoń na policzku kobiety o dziecięcych rysach.

Kobieta obudziła się i zaczął ją kochać.



## 19

Tym razem Jibril udał się do pułkownika. Nie został nawet poczęstowany kawą. Pułkownik po prostu wręczył mu kartkę papieru, na której zapisane były dwa nazwiska.

— Oto, co kupiłeś za swoje sto tysięcy.

— Co o nich wiadomo?

— Obaj mieli krewnych na pokładzie samolotu Pan Am lot sto trzy. Grainger jest senatorem ze stanu Kolorado, bardzo bogatym senatorem. Drugi z nich, o nazwisku Creasy, to także Amerykanin, były najemnik. Dziwne w tym wszystkim jest to, że Creasy został ponoć zabity pięć lat temu we Włoszech. Jego śmierć jest udokumentowana.

— Chcesz powiedzieć, że tamten drań sprzedał mi nazwisko nieboszczyka?

— obruszył się Jibril.

Pułkownik wstał i przeciągnął się. Podszedł do okna i odparł obserwując ruch uliczny:

— Nie wydaje mi się. Dwa dni temu Joseph Rawlings został znaleziony martwy w jednym z paryskich hoteli. Może naraził się spotykając mojego człowieka w Paryżu. Możliwe, że ktoś go śledził. A może tamten Creasy jednak żyje...

Spojrzał na Jibrila i dodał z lekkim uśmiechem:

— Jeżeli żyje, to czekają cię kłopoty, Ahmed. Bardzo poważne kłopoty.

— Ze strony jednego człowieka?

Pułkownik powrócił do biurka i wzięwszy biurową teczkę, podał ją Jibrilowi.

— Jeden, za to wyjątkowy. Dziś rano zwróciłem się z prośbą o informacje na jego temat do Interpolu, gdzie prowadzą rejestr wszystkich znanych najemników. W tej teźce znajdziesz dane, które otrzymałem za pośrednictwem naszej policji. Przeczytaj.

Pułkownik znów podszedł do okna. Stał tam przez piętnaście minut, wpatrzony w ruch uliczny.

Kiedy się odwrócił, Ahmed Jibril czytał przesłane faksem dokumenty po raz drugi z rzędu.

Pułkownik zasiadł za biurkiem i odezwał się przyjaznym tonem:

— Podobnie jak ja, masz bardzo dobrą ochronę, Ahmed. Ale uwierz mi, nie

chciałbym mieć tego człowieka przeciwko sobie. Pamiętając zwłaszcza, co nim kieruje i jakimi funduszami rozporządza dzięki udziałowi Graingera.

Mówił z miną człowieka, który z nieukrywaną przyjemnością informuje swego rozmówcę o nadciągającym końcu jego dni. Jibril powstrzymał wzbierającą w nim irytację i zapytał:

— Wiadomo coś o miejscu ich pobytu?

Pułkownik wzruszył ramionami.

— Z Graingerem nie powinno być kłopotu. Ma dwa domy: w Waszyngtonie i w Denver w stanie Kolorado, w których mieszka na zmianę. Co się zaś tyczy Creasy'ego, to według dostępnych informacji zmarł od ran postrzałowych w szpitalu w Neapolu pięć lat temu. Tyle mówi ostatnia informacja, którą znajdziesz w tej teczce. Nikt nie wie, gdzie może teraz przebywać. — Jego twarz znów skrzywiła się w uśmiechu. — Osobiście jednak sędzę, że przedwczorajszej nocy bawił w Paryżu.

## 20

Creasy wylądował na lotnisku Luqa na Malcie tuż po południu. Oczekiwał go znajomy policjant George Zammit, który podwiózł go do Cirkewwa, gdzie Creasy miał wsiąść na prom płynący na Gozo. Po drodze Creasy pytał go o osiągnięcia Michaela.

— To urodzony talent — odparł George. — Sam zapędza się do roboty. Jest jak gąbka, wchłania w siebie wszystko, co usłyszysz.

— Jak z posługiwaniem się bronią?

— Zaczął dopiero przed trzema tygodniami, a już teraz przy strzelaniu z *Colta 1911* z odległości dwudziestu metrów osiąga rozrzut nie większy jak siedem centymetrów. Wczoraj wystrzelał cztery magazynki, i żadna z kul nie wyszła poza piętnastocentymetrowy obszar skupienia.

Policjant spojrzał z uśmiechem na swego pasażera i dorzucił:

— Czyli niewiele gorzej od ciebie, a przecież pierwszy raz wziął broń do ręki trzy tygodnie temu.

— Jak sobie radzi z innymi rodzajami broni?

— Znowu powtórzę, że ma wrodzone zdolności. Z pistoletem maszynowym jest już za pan brat. Zupełnie jakby wyssał talent z mlekiem matki.

— Może to niedalekie od prawdy — mruknął Creasy pod nosem. — A jak mu idzie z karabinem snajperskim?

— Jak na razie jest nieco zbyt niecierpliwy. Sam wiesz, że snajper musi wykazywać nieskończoną cierpliwość. Najlepsze wyniki osiąga się na tym polu w starszym wieku, kiedy człowiek jest bardziej dojrzały. Michael to jeszcze młodzik i reaguje impulsywnie. Ma zadatki na doskonałego strzelca wyborowego, ale to jeszcze potrwa.

— A walka wręcz?

— Wenzu mówi, że będzie z niego raczej uliczny zabijaka. Opanuje, oczywiście, wszystkie sztuczki, ale ma duszę ulicznego zabijaki. Będzie bardzo niebezpieczny.

— Dobrze.

— Tak przy okazji, ma chłopak sporo odwagi. W ubiegłym tygodniu wziąłem cały oddział do nieczynnego kamieniołomu i kazałem im ćwiczyć opuszczanie się

na linie po cholernie stromej stumetrowej ścianie skalnej. Podczas gdy większość chłopaków z dużymi oporami powierzała swe życie cienkiej linie, Michael bez jednego słowa przekroczył brzeg przepaści. Skąd go wytrzasnąłeś?

— Widziałem, jak strzelił gola w meczu piłkarskim.

George Zammit obrzucił go szybkim spojrzeniem, by po chwili znów skupić uwagę na ruchu ulicznym. Wreszcie cicho zapytał:

— Co zamierzasz z nim zrobić?

— Może nic, może któregoś dnia będzie osłaniał mi plecy, a może użyję go przeciwko komuś.

Dalszą drogę do Cirkewwa przejechali w milczeniu. Zanim Creasy wysiadł, policjant odezwał się:

— Wiem, co planujesz, Creasy. Chcę, żebyś mi coś obiecał.

— Co?

— Rozumiesz chyba moje położenie jako szefa tutejszych sił bezpieczeństwa. Obiecuj, że będąc na Malcie nie zrobisz nic bez wcześniejszego powiadomienia mnie.

— Słowo.

— Obiecuj mi jeszcze coś.

— Rozerwał ci się worek z prośbami? O co chodzi?

— Jeżeli chłopak przeżyje, wstąpi do policji. . . Do mojego oddziału.

— Mogę obiecać, że będę go do tego nakłaniać, ale ostateczna decyzja należy do niego.

Creasy wysiadł już z samochodu, kiedy George zawołał za nim:

— Jeszcze jedno musisz mi przyrzec.

Creasy odwrócił się rozdrażniony.

— Co tym razem?

— W przyszłą środę Stella będzie obchodzić swoje czterdzieste urodziny. Urządzam na jej cześć domowe przyjęcie. Przyjdiesz?

— Jasne.

— Przyjdź z Michaelem.

— W porządku.

— I z żoną.

Creasy wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem i oddalił się.

Wszedł z torbą do „Gleneagles” i zamówił piwo. Zamówił również po jednym dla Piły i Bandzo, którzy jak zwykle podpierali ściany w barze. Na koniec zwrócił się do Tony’ego:

— Wypij na mój koszt.

— Na mnie za wcześniej — odparł Tony.

Upłynęło parę minut i Tony stwierdził:

— Chociaż właściwie, dlaczego nie. — Nalał sobie piwa.  
Bóg był na swoim miejscu i życie na Gozo toczyło się normalnym rytmem.  
Po kilku następnych kolejkach Creasy zadzwonił do Leonie i poprosił o odwiezienie do domu. Podczas krótkiej jazdy poinformowała go:  
— Podałam mojemu agentowi „Gleneagles” jako adres wysyłkowy. Wczoraj przyszedł do mnie list.  
Zerknął na nią i wycedził:  
— Nie powiesz mi chyba, że dostałaś rolę. Nie chcę nic słyszeć o zrywaniu kontraktu.  
Potrzęsnęła głową.  
— Tego bym nie zrobiła... Chodzi o moją przyjaciółkę Geraldine, to moja najlepsza, może nawet jedyna przyjaciółka. Jest przekonana, że pracuję na Malcie nad serialem telewizyjnym. Przylatuje w piątek i zatrzyma się przez tydzień w hotelu „Suncrest”. Mogłabym się z nią zobaczyć? Jeśli tak, to co mam jej powiedzieć?  
— Wolalbym, żebyś się z nią nie spotykała. Nie zapominaj, że taki był punkt w naszej umowie: żadnych gości.  
Jechali dalej w milczeniu. Gdy wysiadali z samochodu Creasy widząc jej minę, powiedział raz jeszcze:  
— Taki był punkt naszej umowy, Leonie.  
— Wiem. Trudno, nieważne. — Zaczęła się oddalać.  
Wyciągnął torbę z tylnego siedzenia i zawołał za nią:  
— Poczekaj.  
Odwróciła się i nie spuszczała z niego wzroku. Wreszcie odezwał się:  
— W porządku, należy ci się chwila odpoczynku. Nie miałaś tu lekkiego życia. Tak się składa, że dyrektor hotelu „Suncrest” jest moim znajomym. Za przystępną cenę wynajmie ci pokój na tydzień. Znam ten hotel, sam się w nim zatrzymywałem, trochę za dużo w nim turystów, ale poza tym niczego sobie. Mają tam doskonałą restaurację pod nazwą „Koralowa Rafa”. Naciesz się swoją przyjaciółką, zrób sobie wakacje.  
— Co jej mam powiedzieć? — spytała powtórnie.  
Wzruszył ramionami.  
— Powiedz jej, że budżet na kręcenie serialu został wstrzymany, zwykle tak się zresztą dzieje. Możesz powiedzieć, że ci płacą, ale jak na razie siedzisz na tyłku i czekasz. Tylko ani słowa o Gozo, o mnie czy o Michaelu. Obiecuj mi to.  
Uśmiech rozjaśnił jej twarz.  
— Obiecuję.  
— Przy okazji, w przyszłą środę będziesz musiała wyrwać się wieczorem od swojej przyjaciółki. Wymyśl coś, na przykład że jesteś umówiona na kolację z producentem.  
— O co chodzi?

— Pojedziemy na Maltę na przyjęcie urodzinowe żony mojego przyjaciela. Podjadę po ciebie do hotelu o ósmej.

— Dobrze. A co będziecie jedli, kiedy ja wyjadę? Może ugotuję parę rzeczy i wstawię do zamrażarki?

— Nie ma potrzeby, nas także nie będzie w domu.

— Dokąd się wybieracie?

Jego głos stał się nagle oschły.

— Tam, gdzie Michael będzie mógł kontynuować swą edukację.

## 21

Creasy nie mógł nie zauważyć ponurego nastroju Joeya. Pracowali wspólnie nad remontem domu. Michael, jak w każdy czwartek, pojechał na Malte do Fort St. Elmo. Obaj mężczyźni wznosili właśnie mur z kamieni, który miał otaczać mały ogródek.

— W czym problem? — zapytał wprost Creasy.

Joey dźwignął kamień i odwrócił się w jego stronę. Obaj pracowali w upalnym słońcu bez koszul i łał się z nich pot.

— Dlaczego nie ja? — wyrzucił z siebie Joey.

— Co „dlaczego nie ty”?

Joey dołożył kolejny kamień na szczyt ogrodzenia.

— Dlaczego nie chcesz mnie wyszkolić do tego zadania?

— Jakiego zadania?

— Wiesz cholernie dobrze, o jakie zadanie chodzi. Nie jestem głupi, Creasy. Zdaję sobie sprawę, czemu w tak krótkim czasie ożeniłeś się powtórnie. Wiem, jak bardzo kochałeś Nadię, spostrzegłem to już jako mały chłopak. Mam nadzieję, że ja sam będę mógł darzyć Marię równie silnym uczuciem. . . Wiem, do czego byłeś zdolny we Włoszech, i wiem, co chodzi ci teraz po głowie. Nie ma mowy, żebyś puścił wolno drani, którzy zabili Nadię i Julię. Tylko że się nieco zestarzałeś, postanowiłeś więc wyszkolić Michaela na pomocnika. Jeździ przecież dwa razy w tygodniu na Malte do Fort St. Elmo.

— Sam ci to powiedział?

— Nie musiał. Mam przyjaciela w oddziale George’a Zammita. Poza tym George Zammit to mój kuzyn.

— Czyli on to wypaplał?

— Nie. Kiedy go spytałem, po prostu nie zaprzeczył. Nie chciał o tym rozmawiać.

Dołożyli następne kamienie.

— Dlaczego nie ja? — Joey spytał ponownie z goryczą. — Dlaczego Michael? Jestem młody, sprawny i mam prawdziwy powód: w Nadii i Julii straciłem siostrę i siostrzenicę. Kochałem je nie mniej niż ty. Dlaczego nie ja?

Schylił się, żeby podnieść leżący u jego stóp ciężki kamień. Creasy zbliżył

się, chwycił kamień i położył na szczyt budowanego ogrodzenia. Odwrócił się i popatrzył roześmiany na swego młodszego kolegę.

— Czyli starzeję się, tak?

Joey nie odpowiedział mu uśmiechem. Powtórzył uparcie z ponurą miną:

— Dlaczego nie ja?

— Prawda, nie jesteś głupi, spróbuj więc dla odmiany posłużyć się mózgiem, a nie fiutem, to sam sobie odpowiesz.

Wytarł ręką pot z czoła i powrócił do wznoszenia ogrodzenia.

Pracowali w milczeniu przez pięć minut. Joey miał wciąż zaciętą minę.

Wreszcie Creasy zaczął mu cicho wyłuszczać:

— Twoi rodzice mieli dwie córki, syna i wnuczkę. Stracili obie córki i wnuczkę, tylko ty im zostałeś. Całą swoją miłość skupili na tobie, a teraz zaczynają darzyć podobnym uczuciem Marię.

Dźwignął kolejny kamień i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Posłuchaj więc, palancie. Za jakieś dwa miesiące dom będzie ukończony. Ponieważ ja postąpiłem wbrew tutejszej tradycji i tylko dzięki twojej matce jakoś mi się upiekło, ty w przyszłym tygodniu masz się oświadczyć Marii. W miesiąc później ożenisz się z nią, a po dziewięciu miesiącach ona urodzi ci dziecko.

Chrząknął i uniósł sporo ważący głaz.

— Jeżeli tak nie zrobisz — dodał — to osobiście urwę ci fiuta.

Budowali bez słowa przez kilka minut. Na koniec Creasy przemówił łagodniejszym głosem:

— Wiesz, kim są dla mnie twoi rodzice. Nie miałem nigdy licznej rodziny, a teraz wszyscy moi najbliżsi odeszli. Paul i Laura to jedyna rodzina, jaka mi jeszcze pozostała. . . No i ty.

Joey uśmiechnął się słabo.

— A Michael? Teraz to przecież twój syn.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Pełni tylko rolę narzędzia. W każdym razie za pół roku będzie się do tego nadawał.

— I to wszystko?

— Wszystko.

— Chcesz powiedzieć, że nic do niego nie czujesz?

— Nic.

— A do Leonie?

— Absolutnie nic. Po prostu jest mi potrzebna.

Zajęli się w milczeniu pracą. Ciszę przerwał refleksyjny głos Joeya.

— Przywiązałeś mnie na dobre do tej chałupy. Dobrze wiedziałeś, że kiedy już ją odbuduję, to będę chciał w niej zamieszkać. Wciskałeś mi różne głupoty w rodzaju, jakie zbudować sklepienie, kłóciłeś się, gdzie ma być kuchnia, a gdzie



główna sypialnia. Prowokowałeś mnie do sprzeczki, wszystko po to, żebym się tylko zaangażował. Nie ma co, wiedziałeś, co robisz.

Creasy otarł pot z twarzy i zapytał śmiejąc się:

— Czujesz się nieszczęśliwy z tego powodu? Jakby nie było, to naprawdę świetna dziewczyna. Powiedziałbym nawet, że dla ciebie zbyt dobra. Właściwie lepszą partią dla niej byłby policjant Mario: przystojniejszy od ciebie, no i ma stałą pracę.

— To zwykły palant — burknął Joey i po chwili dodał z uśmiechem: — Nie, nie czuję się nieszczęśliwy, i zrobię tak, jak mi radzisz. Za tydzień w sobotę zaręczyny, a po miesiącu ślub. Dzisiaj wieczorem złożę wizytę jej rodzicom i poczynię odpowiednie starania.

— Jesteś pewny, że przyjmie twoje oświadczenia? — spytał Creasy poważnym tonem.

Joey tylko błysnął zębami w uśmiechu i chwycił kolejny kamień.

Upłynęło kilka minut, zanim Creasy zwrócił się do Joeya:

— W przyszłym tygodniu nie będę ci mógł pomagać. Leonie jedzie na Malte, żeby spotkać się z przyjaciółką, a ja zabieram Michaela na Comino.

— Będziecie mieszkać w hotelu? — w głosie Joeya słychać było zdziwienie.

Creasy pokręcił głową.

— Nie, zamieszkamy po drugiej stronie wyspy.

— Ale tam nic nie ma! Istna pustynia!

— Właśnie. Pokażę mu, jak żyć żywiąc się darami ziemi i morza, jak odróżnić rośliny jadalne od trujących. Nauczę go, jak przeżyć pod gołym niebem nie mając nic poza kilkoma żyłkami wędkarskimi i nożem.

— Ale tam nie ma prawie roślin! — dziwił się dalej Joey. — Wszędzie skały i piaskowiec.

— Roślin jest mnóstwo — zaznaczył Creasy — tylko ich nigdy nie zauważyłeś. Poza tym jest morze i ryby. Człowiek, który wie, jak przeżyć, może tam doczekać sędziwego wieku. Nie zapominaj, że na Comino są także zwierzęta: króliki, myszy, szczury, węże, no i koniki polne.

Na twarzy Joeya odbiło się osłupienie,

— To znaczy, że jadłbyś szczury, myszy, a nawet koniki polne?

Creasy przytaknął skinieniem głowy.

— Gdyby to było konieczne. Dla mnie to nie pierwszozna. W niektórych krajach afrykańskich szczur z różną uchodzi za wielki przysmak, a pieczony konik polny jest prawdziwym smakołykiem.

Joey był szczerze zaintrygowany.

— Chcesz powiedzieć, że nie bierzecie ze sobą nic poza kilkoma żyłkami wędkarskimi i nożem?

— Zgadza się.

— I nic więcej?

— Nic więcej. Tylko ubrania na grzbiecie.

— A woda? Jedyne źródło pitnej wody na wyspie to butelki w barze w hotelu „Comino”.

— Znajdziemy wodę.

Joey wybuchnął śmiechem.

— Przecież rząd od lat próbuje tam zlokalizować wodę! Hotel musiał zbudować własną stację odsalania wody. W kilka dni umrzecie z pragnienia.

Creasy zapytał z powagą w głosie:

— Jesteś farmerem, Joey, skąd roślinność na Comino czerpie wodę potrzebną do życia?

— W czasie pory deszczowej z ziemi, i magazynuje potrzebne zapasy na okres pory suchej. — Zadarł głowę i spojrzawszy w przejrzyste błękitne niebo, dodał:

— A porę deszczową mamy już za sobą. Do września, października nie spadnie pewnie nawet kropla.

— A skąd króliki zdobywają wodę? Przecież tam żyją. Skąd czerpią wodę szczury, myszy, węże i koniki polne?

Joey pomyślał i zapytał:

— No skąd?

— Z roślin, które magazynują wodę. Zwierzęta doskonale się orientują, które rośliny najlepiej magazynują wodę i jak się do niej dostać. Poza tym osoby wtajemniczone znają sposoby spożywania wody morskiej.

Joey uniósł kolejny kamień i umieścił go ostrożnie na ogrodzeniu. Wznoszenie kamiennego ogrodzenia bez użycia zaprawy przypomina poniekąd układankę: każdy kamień musi być idealnie wpasowany. Pobiegł wzrokiem ponad kamienną piramidą w stronę oddalonej o trzy kilometry wyspy Comino.

— Mogę pojechać z wami? — poprosił.

Creasy obrzucił go szybkim spojrzeniem i odpowiedział:

— Jeżeli planujesz za tydzień zaręczyny, to będziesz miał kupę roboty. Poza tym Paul potrzebuje cię tutaj.

— Nie wiem, czy wiesz, że według tutejszych zwyczajów przyjęcia zaręczynowe i ślubne są przygotowywane od początku do końca przez matki młodej pary. Gdybym próbował się wtrącać, oberwałoby mi się od obu pań. Co do pracy na farmie, mam kumpla chwilowo bez zajęcia, który może pomóc tacie. Oddam mu te nędzne grosze, jakie dostaję od taty za niewolniczą harówkę przez dwanaście godzin na dobę.

— Nędzne grosze? Masz dwa konie, które w święta wystawiasz do wyścigów, motor Hondę 250, przed paru miesiącami kupiłeś Toyotę. — Wskazał na niemal ukończoną budowę: — I nie ma cienia wątpliwości, że w kilka dni po zaręczynach Paul zapisze ci ten dom. A lekko licząc, jest wart trzydzieści tysięcy. Nie wciskaj mi więc kitu o nędznych groszach.

Joey rozjaśnił twarz w uśmiechu, lecz zaraz znowu spowaźniał.

— To mogę pojechać z wami? — poprosił ponownie.

Creasy zrozumiał, że młodzieniec za wszelką cenę pragnie okazać się pomocny. Położył mu rękę na ramieniu i zaczął, starannie dobierając słowa:

— Tak, możesz. Michael bardzo by tego chciał, ja także. Posłuchaj, Joey, kiedy zabawa rozkręci się na dobre, twoja pomoc może okazać się naprawdę nieodzowna. Chciałbym, żebyś w czasie mojej i Michaela nieobecności, a może nas nie być przez wiele miesięcy, przeniósł się do mnie i założył coś w rodzaju bazy operacyjnej. Będą tam napływały meldunki z różnych zakątków świata. Na Comino zapoznam cię z aktualną sytuacją i powiem ci wszystko, co wiem. W miarę rozwoju wydarzeń będę cię na bieżąco informował, niczego przed tobą nie ukrywając.

Zdjął rękę z ramienia Joeya i klepnął go lekko po policzku.

— Będiesz nieodłącznym elementem mojego planu, Joey, moim człowiekiem na Gozo. Bardzo ważnym, a nawet kluczowym elementem. Z całą sprawą może się wiązać pewne niebezpieczeństwo. Ludzie odpowiedzialni za podłożenie bomby na pokładzie samolotu Pan Am wiedzą już, że na nich polują. Na razie nie mają pojęcia, gdzie przebywam ani gdzie mieszkam, ale gdy to wyniuchają, mój dom stanie się celem ich ataków. Będziesz musiał przedsięwziąć odpowiednie środki bezpieczeństwa.

— Kim oni są? — spytał Joey z gniewnym błyskiem w oczach.

— Opowiem ci o tym na Comino — obiecał Creasy. — Zapoznam cię też ze środkami bezpieczeństwa, jakie będziesz musiał podjąć. A teraz powiedz mi — zmienił temat — co ten twój przyjaciel z oddziału George'a Zammita mówił ci o Michaelu?

— Że jest piekielnie zdolny — odparł Joey. — Interesuje się nim osobiście sam George i inni instruktorzy.

— A co ty o nim sądzisz?

Młodzieniec odrzekł po chwili skupienia:

— Lubię go. Chłopak niełatwo nawiązuje przyjaźnie, i podobnie jest ze mną, coś mi jednak mówi, że mamy szansę zostać dobrymi przyjaciółmi. Ma sporo oleju w głowie i jest typem samotnika. — Uśmiechnął się i dodał: — Coś jak ty. Zdaje sobie sprawę, w co się pakuje?

Creasy przytaknął.

— Wie doskonale, co może go czekać. Chociaż niewykluczone, że nie będzie musiał ruszyć nawet palcem. Może ja sam wykonam całą robotę. Nie jestem jeszcze taki stary.

Joey zaśmiał się i poprosił:

— Zgodzisz się zostać moim drużbą?

Creasy kiwnął głową z namaszczeniem.

— Będę zaszczycony. I dam ci osobiście kopa w tyłek, jeśli nie wybierzesz mnie na chrzestnego swojego pierwszego dziecka.

— Umowa stoi. Poproszę też Michaela, żeby był świadkiem na moim ślubie. Będziesz musiał kupić mu garnitur. . . A przy okazji, Michael stracił już dziewictwo.

— Tak też myślałem.

Joey patrzył w zamyśleniu na zarys wyspy Comino.

— Znosi się na interesujący tydzień — mruknął.

— Z pewnością — zgodził się Creasy. — Wybij sobie tylko z głowy jakiegokolwiek pomysły o wymykaniu się nocą do hotelowego baru.

## 22

Wieczorem w dwa dni później Leonie wspólnie z Geraldine delectowały się świeżo złowionym homarem w luksusowych wnętrzach restauracji „Rafa Korolowa”.

Creasy, Michael i Joey jedli czarnego węża na wschodnim klifie wyspy Comino.

Nie musieli posilać się wężem, ponieważ po południu złowili dwa tuziny różanek w Zatoce Santa Maria. Różanka, uchodząca za ogromny rarytas, przypomina solę, lecz jest znacznie mniejsza. Nie poławia się jej masowo, dlatego jest na stołach taką rzadkością. Michael i Joey oblizywali się już na myśl o kolacji, kiedy wczesnym wieczorem, w drodze powrotnej do obozowiska, Creasy wypatrzył czarnego węża. Kazał Joeyowi i Michaelowi zająć go od tyłu i zagonić w jego stronę. Wąż wślizgnął się w szczelinę piaskowca. Zebrali kawałki suchego drewna, z których Creasy rozpałił ognisko obok skalnej rozpadliny. Następnie dołożył do ognia trochę suchego mchu tworząc mnóstwo dymu. Zaczaił się nad rozpadliną i przykazał Michaelowi napędzać dym do rozpadliny. Upłynęło może pół minuty i wąż wypadł z kryjówki. Creasy złapał go tuż za głowę. Metrowe cielsko owinęło mu się wokół ramienia. Creasy przybliżył łeb węża do ust i chwycił zębami zaciskając je za oczami gada. Towarzyszący mu młodzieńcy patrzyli w niemym osłupieniu. Pamiętali, że wąż jest jedyną odmianą występującą na wyspach maltańskich i nie jest jadowity. Według słów legendy, kiedy statek, na którym płynął św. Paweł, rozbił się u brzegów Malty, taki właśnie wąż — wówczas jeszcze śmiertelnie jadowity — ukąsił świętego. Jak głosi legenda, św. Paweł nie umarł, ponieważ wydobyl z węża jad i złożył truciznę na językach maltańskich kobiet. Maltanki do dziś są niepoprawnymi plotkarkami.

Po zabiciu węża powrócili do rozbitego na klifie obozowiska.

Na obóz składał się prosty, nie osłonięty od góry, szałas. Z uwagi na porę roku nie musieli obawiać się deszczu, niemniej Creasy nauczył ich wznosić szałas odpowiednio dla różnych warunków klimatycznych. Dowiedzieli się wszystkiego o ciekach wodnych i najczęściej wiejących wiatrach.

Poznali, jak zachować ciepłotę ciała i jak niewiele jedzenia oraz wody potrzeba człowiekowi do przeżycia. Nauczył ich, jak wzniecić ogień bez użycia zapalek:

poprzez pocieranie o siebie dwóch kawałków suchego drewna.

— A gdyby było naprawdę zimno — dopytywał Michael — a nie starczyłoby drewna na podtrzymywanie ogniska przez całą noc?

— Przypominacie sobie amerykański zespół rockowy „Three Dog Night” — „Noc na trzy psy”? — odpowiedział Creasy pytaniem na pytanie.

Młodzi mężczyźni skinęli głowami.

— Wiecie, skąd wzięła się ich nazwa?

Tym razem zaprzeczyli.

— No, więc tak — zaczął Creasy. — Pasterz przebywający w zimną noc na pustkowiu kładzie się do snu przytulony do psa pasterskiego, który ogrzewa go ciepłem swego ciała. Jeśli noc jest bardzo zimna, śpi w towarzystwie dwóch psów ułożonych po obu jego bokach. Z kolei kiedy szaleje mróz, ma wokół siebie trzy psy: po jednym z każdej strony i trzeciego w charakterze kołdry. Stąd właśnie wzięło się powiedzenie: „Noc zimna na trzy psy”.

— Nie mamy przecież psów — zauważył Michael.

— Ale mamy siebie — skontrował Creasy.

Wskazał ręką ziemię i dodał:

— Moglibyśmy wykopać zagłębienie na pół metra z hakiem i wyłożyć je liśćmi i mchem. W takim dole ludzie mogą spać jeden obok drugiego, przysypawszy się najpierw warstwą ziemi. Z początku jest bardzo zimno, ale po jakiejś pół godzinie naturalna temperatura naszego ciała powoduje przyrost ciepła.

Pokazał im, jak należy odzierać węża ze skóry i jak go wypatroszyć. Następnie posiekał mięso i tak przygotowane kawałki wrzucił do ogniska. Z gałązek sporządził trzy zestawy pałeczek i nauczył ich posługiwać się nimi. Ostrzegł przy tym, że mięsa nie powinno się zbyt długo opiekać, by nie straciło wartości odżywczej.

Po minucie wsadził pałeczki w żar ogniska, wybrał kawałek węża, włożył do ust i zaczął z ukontentowaniem przeżuwać. Obaj młodzieńcy wpatrywali się w płomienie z nieopisanym niesmakiem.

— Wyobraźcie sobie, że jecie węgorza — poradził. — Przecież tak naprawdę wąż to nic innego jak węgorz żyjący na łądzie.

Najpierw Michael, a po nim Joey wyjął z ogniska kawałek węża. Joey miętolił w ustach swoją porcję przez kilka sekund, nagle zakrztusił się i wypluł wszystko na ziemię. Michael niestrudzenie żuł swój kawałek, a następnie połknął go.

— Nigdy nie było mi dane skosztować węgorza, ale to smakuje lepiej niż niektóre z potraw, jakimi nas raczono w sierocińcu — orzekł. Po chwili uśmiechnął się tajemniczo i dodał: — A już na pewno lepiej niż szpinak.

Creasy spoglądał na Joeya, który nie spuszczał wzroku z różanek leżących w dwóch rzędach przy ognisku. Wreszcie młodzieniec westchnął, potrząsnął głową i sięgnął po drugi kawałek węża. Tym razem udało mu się go przełknąć.

Creasy poczuł, że mięknie.

— Wsadź ryby do ognia, Joey — polecił. — Jutro na pierwsze danie będą pieczone koniki polne, a po nich, jak się uda, pojemy sobie królika. O świcie pokażę wam, jak tropić i zastawiać pułapki na króliki.

## 23

Przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin Stelli Zammit stanowiło punkt zwrotny. Creasy, który bardzo lubił Stellę i George'a, kupił jej w prezencie przepiękny dzbanek z ceramiki wypatrzony przez siebie w sklepie z antykami w Rabacie. Leonie spostrzegła, że od czasu ich pierwszego spotkania nigdy jeszcze nie wydawał się tak odprężony.

W drodze do Sliemy zapytał:

— Dobrze się bawisz?

Uśmiechnęła się.

— Z Geraldine jest naprawdę wesoło, mogę się przy niej śmiać całymi godzinami. Wczoraj wieczorem wybrałyśmy się nawet na dyskotekę.

— Spotkałaś kogoś interesującego?

— Raczej nie. Ale zabawa była przednia. Geraldine poznała bardzo sympatycznego faceta z Malty. Dzisiaj idzie z nim na kolację. Jak na mój gust jest nieco playboyowaty, ale i ona jest podobnego pokroju.

— Co to za jeden?

— Joe Borg. Z początku zmartwiłam się trochę na wieść, że prowadzi na Gozo interesy, ale skoro nigdy przedtem go nie spotkałam, to facet nie ma zielonego pojęcia, że coś mnie z tobą łączy.

— Znam go — rzekł Creasy. — Porządny z niego gość.

Po chwili jazdy w milczeniu Leonie spytała:

— A jak tobie minął tydzień?

— Niczego sobie. — Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i ciągnął dalej: — Wybrałyśmy się na Comino: ja, Michael i Joey.

— Do hotelu?

— Nie — pokręcił przecząco głową. — Zamieszkaliśmy po drugiej stronie wyspy. Spędziliśmy pod gołym niebem kilka dni. Wzięliśmy ze sobą tylko żyłki wędkarskie i po jednym nożu. Żywiliśmy się darami ziemi i morza. Chłopcy całkiem nieźle znieśli tę eskapadę. Byłem zaskoczony, jak szybko się zaadoptowali. Niech mnie licho, pod koniec nie chcieli nawet słyszeć o powrocie na Gozo. — Przybrał refleksyjną nutę. — Wiesz, czasem dobrze jest przeżyć ponownie coś takiego. Wspaniale mi zrobiło, że mogłem pokazać dwóm młodym facetom, jak



można wyżyć w trudnych warunkach.

— Kiedy ostatnio?

— Kiedy co?

— Kiedy ostatni raz żywiłeś się darami ziemi?

Zastanowił się i odparł:

— Trudno powiedzieć. Myślę, że w jakimś sensie zawsze żywiłem się tym, co rodzi ziemia.

Przetrawiła to w myślach, po czym spytała:

— Czy na przyjęciu będzie ktoś, kogo znam?

— Tak. Przyjedzie Paul z Laurą i Joeyem, przywiozą także Michaela. Na pewno polubisz George'a i Stellę. Przyjęcie urodzinowe jest na jej cześć. Będą góry jedzenia i morze trunków.

Przyjęcie miało bardzo rodzinny charakter i Leonie rzeczywiście dobrze się na nim bawiła. W pewnym momencie znalazła się przy zaimprovizowanym barze blisko Michaela.

— Słyszałam, że koczowaliście pod gołym niebem na Comino — zagadnęła go.

Rozbłyły mu oczy.

— Było fantastycznie! Nawet jedliśmy węża!

— Węża?!

— Tak, i koniki polne. Zastawialiśmy pułapki na króliki i schwytaliśmy mnóstwo ryb. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Ja złapałem największej!

Odwzajemniła mu uśmiech i orzekła:

— Brzmi to bardziej zachęcająco niż przykłady mojej sztuki kulinarnej.

Potrząsnął energicznie głową.

— Ależ nie, Leonie, twoja kuchnia jest wspaniała... ale to było coś innego.

Wydawał się w jakimś sensie starszy, a jednocześnie jakby młodszy.

Zanim Creasy i Michael odwieźli ją do hotelu, była już lekko wstawiona. Wyśiadła z samochodu, gdy Creasy poinformował ją, że wyjeżdża nazajutrz na jakieś dziesięć dni.

— A co z Michaeliem? — zatroszczyła się. — Miałam wracać dopiero w piątek, ale jeśli chcesz, mogę przyjechać jutro.

Michael wygramolił się z tylnego siedzenia, pocałował ją w policzek i odpowiedział:

— Nie martw się, potrafię o siebie zadbać przez jeden dzień i jedną noc. W piątek wieczorem przygotuję ci królika. Ale to musi być dziki królik, jutro spróbuję schwycić jakiegoś w pułapkę. Przyrządzę go na grillu.

Pocałowała go w policzek.

— Przyplynie tym promem o piątej — zapowiedziała.

Pomachała Creasy'emu ręką i weszła do hotelu.

W recepcji zauważyła, że klucz Geraldine wciąż spoczywa w przegródce. Postanowiła wpaść do baru i wychylić ostatniego drinka przed pójściem spać.

Bar był niemal wyludniony, przebywała w nim tylko jedna, starsza wiekiem para. Leonie wsunęła się na stołek barowy i zamówiła koktajl z szampana. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś musiało się wydarzyć. W czasie przyjęcia obserwowała skrycie Creasy'ego i z całą pewnością nigdy jeszcze nie widziała go tak odprężonym i beztrosko uśmiechniętym. Być może w twardej skorupie udało jej się dostrzec drobną cząstkę jego ludzkiej natury.

## 24

Korkociąg Dwa przekroczył próg baru krótko przed północą. W odróżnieniu od swego ojca od czasu do czasu pozwalał sobie na parę łyków alkoholu. Zamówił koniak i podszedł z kieliszkiem do narożnego stolika, gdzie siedział Creasy. Podobnie jak to miał w zwyczaju Korkociąg senior, przystąpił z miejsca do interesu.

— Zgromadziłem już cały sprzęt — zaczął — z wyjątkiem *Uzi*. Powinny nadejść z początkiem przyszłego tygodnia.

— Odwołaj kwaterę w Algierze — polecił Creasy. — Zdobyłem pewność, że miejscem docelowym jest Damaszek.

— Masz szczęście — mruknął Korkociąg Dwa. — W środę wybierałem się do Algieru, żeby sfinalizować kontrakt i ukryć sprzęt... Uniknąłeś niepotrzebnych wydatków.

— A co z Damaszkiem?

— Miałem jechać tam zaraz po Algierze. Wypatrzyłem mieszkanie z jedną sypialnią tuż przy alei Jamhuriya, obok bazaru.

— Dobrze. Teraz posłuchaj: skoro znam już miejsce docelowe, potrzebna mi będzie jakaś zapasowa kryjówka w okolicy. Nadmorska Latakia byłaby do tego celu idealna: ruchliwe portowe miasto, przez które przewija się mnóstwo obco-krajowców, daje możliwość pozostania nie zauważonym. A sprzęt, który miałeś przesłać do Algieru, trzeba by wysłać do Latakii.

Uśmiech Korkociąga Dwa był jak ostrze żyletki.

— Nic nie stoi na przeszkodzie — odparł. — Sprzęt przeznaczony do Damaszku miał i tak jechać przez Latakę.

— Ile czasu ci to zabierze?

— Trzy, cztery tygodnie. Wszystko będzie jak należy. Ja będę legitymował się koncesją na prowadzenie handlu i będę realizował kilka niewielkich transakcji eksportowo-importowych. Wydrukujemy papier firmowy. Ty natomiast będziesz występować jako wiceprezes firmy, pan Henry Yessage. Na tyle biegle mówisz po francusku, by uchodzić za Francuza nieokreślonego pochodzenia.

— Nie bardzo podoba mi się to nazwisko — mruknął Creasy.

Korkociąg Dwa wzruszył tylko ramionami i jego usta znów przeciął chłodny

uśmiech.

— Tym gorzej, bo zdobyłem autentyczny francuski paszport na to nazwisko, któremu towarzyszy prawdziwa biografia. Jutro będą mi potrzebne zdjęcia paszportowe, wtedy też zapoznam cię z twoim nowym życiorysem.

— Będzie mi potrzebny jeszcze jeden paszport dla dziewiętnastoletniego Palestyńczyka, studenta archeologii na Sorbonie, oficjalnie zamieszkałego w Bejrucie.

— Czyli trzeba przygotować fałszywy.

— Ale dobry?

— Oczywiście, najlepszy. Tyle że będzie sporo kosztował, około trzydziestu tysięcy.

Creasy skinął głową i wstał. Nie podali sobie rąk.

— Odezwę się za trzy tygodnie — zapowiedział Creasy. — Gdyby przez ten czas coś się działo, kontaktuj się ze mną przez Blondyneczkę.

Telefon zadzwonił we wtorek tuż po czternastej. Leonie podniosła słuchawkę i usłyszała głos George'a Zammita:

— Michael miał wypadek.

— Wypadek?

— Tak, poważny. Przebywa w szpitalu św. Łukasza na oddziale intensywnej opieki.

— Co się stało?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Wreszcie George odezwał się:

— Lepiej przyjedź tu jak najprędzej, możesz zdążyć jeszcze na prom wypływający o trzeciej. W Cirkewwa będzie czekał na ciebie samochód policyjny, który zawiezie cię wprost do szpitala. Będę tam czekał. Weź ze sobą trochę ubrań, możesz zatrzymać się u nas.

— Ale powiedz mi, co się stało.

— Nie spóźnij się na prom — przypomniał. Zaraz potem usłyszała trzask odkładanej słuchawki.

Pobiegła szybko do sypialni i zapakowała ubrania. Spojrzała na zegarek, do odplynięcia promu miała jeszcze mnóstwo czasu. Ogarnął ją bezsilny gniew na myśl, że musi tyle czekać, a nie wie, co się stało.

W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu. Pobiegła do kuchni, dzwoniła Laura. Kochana, praktyczna Laura.

— Właśnie się dowiedziałam — zaczęła Laura. — Chcesz, żebym podjechała po ciebie i zawiozła cię na prom?

— Czego konkretnie się dowiedziałas?

— Wiem tylko tyle, że Michael miał wypadek i leży w szpitalu św. Łukasza, a ty masz złapać prom wypływający o trzeciej.

— Nic więcej? Nie wiesz, co to za wypadek?

— Nie wiem, Leonie — głos Laury brzmiał uspokajająco. — George nie chciał niczego zdradzić. Powiedział jedynie o wypadku i że możesz potrzebować pomocy. Chcesz, żebym po ciebie przyjechała?

— Tak, proszę... Stokrotne dzięki.

Do szpitala dotarła tuż po czwartej. W minutę później, po raz pierwszy od wielu lat, straciła zupełnie panowanie nad sobą.

George Zammit czekał na nią przy wejściu. Kazał kierowcy zawieźć jej torbę do siebie do domu.

— Co się stało? — spytała od razu. Spojrzał na nią z bezbrzeżnie smutną miną.

— Michael miał wypadek — zaczął. — Przebywa nadal w sali operacyjnej.

— Co za wypadek?

Wzruszył ramionami.

— Bardzo poważny. Przykro mi, Leonie. Lekarz daje mu pięćdziesiąt procent szans.

Budynek szpitalny był w stylu wiktoriańskim, jego architektura przywodziła na myśl czasy Dickensa. Stali w przestronnym korytarzu wejściowym.

— Co to za wypadek? — dopytywała uparcie.

Wzruszył ponownie ramionami i rzekł przeproszającym głosem:

— To sprawa policji, Leonie. Ma, niestety, tajny charakter.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem przez kilka sekund, wreszcie wybuchnęła:

— Tajny! — krzyknęła mu w twarz. — Chodzi o mojego syna — jeżeli nie w sensie naturalnym, to w każdym razie prawnym — a ty mi mówisz, że sprawa ma tajny charakter!

Rozejrzał się po szpitalnym korytarzu pełnym spieszących się dokądś ludźmi. Wziął ją pod rękę i poprosił:

— Na górze mamy komendę policji, przejdźmy się tam i poczekajmy na rezultat operacji. Powiedzieli mi, że to potrwa jakieś pół godziny. Zamówię dla ciebie herbatę.

Wyrwała mu ze złością rękę.

— Nigdzie nie idę! — warknęła. — Chyba że powiesz mi, co zaszło.

— Spróbuję ci wyjaśnić, ile tylko będę mógł, ale na osobności. To sprawa policji, Leonie.

— Mówisz to do matki! — obruszyła się. — Albo powiesz mi wszystko, albo jadę prosto do Valetty poszukać prawnika.

George Zammit spotkał się z Leonie tylko przelotnie na przyjęciu urodzinowym swojej żony. Wiedział doskonale, w jakiej roli występuje, teraz jednak widząc jej pełne determinacji spojrzenie uznał, że być może źle ją ocenił. Powziął postanowienie.

— Chodźmy na górę — poprosił łagodnie. — Powiem ci, co się stało.  
Na początek zamówił dla niej filiżankę herbaty. Siedzieli w skromnie urządzonej sypialni. Leonie popijała herbatę drobnymi łyżkami.  
— Wiesz, kiedy Creasy wraca? — spytał.  
— Za jakiś tydzień.  
— Będzie dzwonił do domu?  
— Tak, telefonuje co dwa, trzy dni. Ostatnio dzwonił wczoraj wieczorem. Może odezwie się znowu w czwartek lub piątek.  
— Wyznaczę jednego z policjantów, żeby siedział u was przez okrągłą dobę. Jeżeli Creasy zadzwoni, policjant przekaże mu, że ma zatelefonować do mnie. — Pokręcił ponuro głową. — Creasy mnie zabije!  
Leonie przeszły nerwy, ale niepokój pozostał.  
— George, wyjaśnij mi wreszcie, co się stało?  
George Zammit westchnął, wstał i zaczął krążyć po pokoju.  
— Wiesz, na czym polega moja praca? — zapytał w końcu.  
— Wiem tylko tyle, że jesteś wysokiej rangi policjantem. Inspektorem, zgadza się?  
— Owszem, ale to nie wszystko. Odpowiadam również za bezpieczeństwo kraju i stoję na czele naszego oddziału antyterrorystycznego. W Fort St. Elmo mamy zaplecze szkoleniowe: podziemne strzelnice, sale gimnastyczne i tak dalej.  
Upiła kolejny łyk herbaty nie czując nawet jej smaku i śledziła wzrokiem swego rozmówcę, który krążył po pokoju: po cztery kroki do przodu i z powrotem.  
Przystanął i patrząc na nią spytał:  
— Orientujesz się, po co Michael przyjeżdżał tu w każdy wtorek i czwartek?  
Potrząsnęła głową.  
— Wiem jedynie, że jeździł do Fort St. Elmo... czyli do ciebie.  
George rozpoczął ponownie marsz po pokoju.  
— Właśnie — zaczął. — Michael brał udział w ćwiczeniach mojego oddziału antyterrorystycznego: posługiwanie się bronią, walka wręcz i tym podobne.  
— Ale po co?  
— Na specjalne życzenie Creasy'ego.  
— W jakim celu? — nie ustępowała.  
— Mogę ci powiedzieć, co się wydarzyło, ale na ostatnie pytanie nie oczekuj ode mnie odpowiedzi. Tylko Creasy może na nie odpowiedzieć.  
— Opowiedz mi zatem o wypadku.  
George Zammit westchnął i pokręcił głową.  
— Tego rodzaju szkolenie zawsze niesie ze sobą pewien element ryzyka, nie mogą to być przecież ćwiczenia symulowane. Mniej więcej dwa lata temu również mieliśmy wypadek. Procentowo nie wygląda to więc tak źle, jeśli uwzględnić, że oddział istnieje sześć lat.

— Może usłyszę wreszcie, co się stało! — w jej głosie brzmiała na powrót niecierpliwość.

— To było na strzelnicy — przystąpił do wyjaśnień. — Michael wraz z dwoma innymi kolegami ćwiczył strzelanie z pistoletu kalibru 9 mm. Jednemu z tamtych dwóch zaciął się magazynek. Zamiast odejść na bok, jak właśnie powinien był postąpić, próbował odblokować zamek pozostając wciąż na strzelnicy. W komorze nadal tkwił nabój. Chłopak był świeżym rekrutem bez doświadczenia. Michael ruszył, żeby mu pomóc. Wtedy pistolet wypalił i pocisk trafił Michaela w klatkę piersiową, bardzo blisko serca. Wypadek zdarzył się tuż po pierwszej, a za dwadzieścia druga Michael był już na sali operacyjnej. — Spojrzał na zegarek. — Na razie żyje. Jeżeli przetrzyma operację, to za piętnaście, dwadzieścia minut znajdzie się na oddziale intensywnej opieki. — Przystanął i spoglądając na nią powiedział: — Ale na to pytanie odpowiedzieć może tylko Bóg. I czas.

## 25

Po przeniesieniu Michaela na oddział intensywnej opieki medycznej pozwolono jej pozostać przy jego łóżku. Siedziała na krześle i przez całą noc nie spuszczała z chłopaka oka. Leżał podłączony do respiratora, z maską tlenową przylegającą mu do ust i nosa. Bezbarwne plastikowe rurki odchodziły od kroplówek, łącząc się z nadgarstkami pacjenta. Całe łóżko osłonięte było przezroczystym plastikowym namiotem. Przy biurku w rogu pokoju siedziała pielęgniarka i czytała jakiś romans. Co kilka minut podnosiła oczy na rząd ustawionych przed nią monitorów.

Wczesnym wieczorem Leonie spytała pielęgniarkę, co należałoby zrobić w razie nagłej potrzeby. Pielęgniarka wskazała przycisk na biurku i wyjaśniła:

— Wystarczy wcisnąć ten guzik i w parę sekund zjawiają się lekarze.

W ciągu nie kończącej się nocy pielęgniarka naciskała przycisk czterokrotnie. Za każdym razem Leonie wycofywała się w kąt pokoju, podczas gdy lekarze zajmowali się Michaeliem. Pracowali szybko i z wprawą, wymieniając uwagi ściszonymi głosami.

Wcześniej rano przybył chirurg. Leonie i tym razem usunęła się w kąt pokoju. Chirurg zapoznał się z kartą choroby, odbył rozmowę z lekarzami i przystąpił do zbadania pacjenta. Wreszcie opuścił z powrotem zasłone plastikowego namiotu i podszedł do Leonie.

Miał minę urodzonego pesymisty, która, jak się zdaje, stanowi nieodłączny atrybut reprezentantów jego profesji. Tym razem jednak na jego ustach gościł lekki uśmiech.

— Chłopak jest młody i bardzo sprawny — zaczął. — Gdyby było inaczej, nie miałby najmniejszej szansy na przeżycie nocy. Jego życiu wciąż zagraża wielkie niebezpieczeństwo, ale jeśli przetrzyma dzisiejszy dzień i noc, to wyjdzie z tego.

Poczuła łzy napływające do oczu i spytała lekko drżącym głosem:

— Czy będzie inwalidą?

Chirurg potrząsnął głową.

— Nie. Jeżeli przeżyje kolejne dwadzieścia cztery godziny, to ma szansę na całkowite wyzdrowienie. Będzie to oczywiście kwestia wielu tygodni. — Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. — Przespała się pani chociaż trochę?

Odpowiedziała mu przeczącym ruchem głowy.



— W takim razie powinna pani to zrobić — podkreślił. — Lada moment zjawi się George Zammit z żoną. Można ją poprosić, żeby posiedziała przy chłopcu, a pani zdrzemnie się parę godzin.

Znowu potrząsnęła głową.

— Nie ruszę się stąd przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Lekarz zbadał dokładnie wyraz jej twarzy, po czym wzruszył ramionami i powiedział coś po maltańsku do pielęgniarki. Ta podniosła słuchawkę telefonu na swoim biurku, a lekarz zwrócił się ponownie do Leonie:

— Około południa powinienem wyjść z sali operacyjnej. Zajrzę wtedy do pacjenta. W tym czasie będzie przebywał pod dobrą opieką. — Odwrócił się i, patrząc na Michaela, dodał: — Miał szczęście. Gdyby kula poszła choćby trzy, cztery milimetry bardziej w prawo, umarłby w ciągu kilku minut.

Wyszedł, a po pięciu minutach drzwi otworzyły się i stanął w nich pracownik obsługi szpitalnej, pchając przed sobą wąskie łóżeczko na kółkach. Ustawił je wzdłuż szerokiego łóżka, na którym leżał Michael. Chłopak był młody i pogodny.

— Życzy pani sobie herbaty czy kawy? — zapytał.

— Poproszę herbatę.

— Może coś pani zje?

— Nie, dziękuję.

Popijała herbatę siedząc na łóżeczku i spoglądając na twarz Michaela widoczną za przezroczystą zasłoną. Zwykle sprawiał wrażenie o kilka lat starszego, teraz jednak wydał jej się bardzo młody. Po prostu mały chłopiec. Oczami wyobraźni ujrzała nagle, że Michael jest niemal w tym samym wieku co jej nieżyjący synek. Łzy znów napłynęły jej do oczu. „Na pewno nie obudzi we mnie instynktów macierzyńskich” — przypomniała sobie własne słowa wypowiedziane do Creasy’ego przed wieloma tygodniami.

W godzinę później przyszli George i Stella. Uściskali ją serdecznie, po czym Stella powiedziała:

— Widzę, że zamierzasz tu zostać kolejną dobę. Przyniosłam ci ubranie na zmianę, szlafrok i coś do zjedzenia. Zdaje się, że karmią tu nie najlepiej.

— Nie jestem głodna, w każdym razie dziękuję .

W głosie Stelli dominowała stanowcza nuta:

— Musisz dbać o siebie, powinnaś jeść.

George stał w nogach łóżka i spoglądał na Michaela.

— Creasy dzwonił? — zainteresowała się Leonie.

— Jeszcze nie — odparł George i odwrócił się w jej stronę. — Na pewno nie pamiętasz żadnego adresu czy telefonu, pod którym moglibyśmy go znaleźć?

— Nie, nie pisał ani słowa.

George westchnął.

— Kiedy taki jak on chce zniknąć, to mu się to piekielnie dobrze udaje.

Stella wróciła w południe z torbą i wiklinowym koszykiem przykrytym serwetą.

— Jak się czuje? — spytała z miejsca.

Leonie leżała na łóżku, ale nie spała. Spuściła nogi na podłogę i odparła:

— Na razie bez zmian, ale lekarze mówią, że to dobry znak.

Stella postawiła torbę i koszyk na łóżku.

— Tu masz ubrania i przybory toaletowe — oznajmiła. Kiedy ściągnęła serwetę z koszyka, Leonie poczuła w jednej chwili zapach świeżej potrawy.

— Paszтет rybny — oświadczyła Stella z uśmiechem. — Dwadzieścia minut temu wyjęłam go z piecyka, jest jeszcze ciepły. Zrobiłam go z pierwszych w tym sezonie lampuk.

Leonie momentalnie poczuła głód. Zaczęła jeść, Stella tymczasem mówiła dalej ściszym głosem:

— George kazał cię przeprosić, ale zjawi się dopiero wieczorem. Rozpoczęło się wewnętrzne śledztwo i George zagrzebał się po same uszy w raportach. Zawsze tak się dzieje w przypadku rany postrzałowej. Obecna sprawa jest zresztą bardzo skomplikowana, bo Michael nie był nawet członkiem formacji policyjnej i prawdę powiedziawszy nie powinien się być nigdy pojawić w Fort St. Elmo.

— Czy George będzie miał z tego powodu jakieś kłopoty?

— Nie sądzę. Jest w zażyłych stosunkach z komisarzem, tym, którego spotkałaś na moim przyjęciu urodzinowym. To samo można powiedzieć o Creasym.

— Creasy już dzwonił?

Stella potrząsnęła głową.

— Jeszcze nie, ale George posłał do was swojego człowieka. Siedzi w kuchni przy telefonie i nawet w nocy nie rusza się z miejsca. Powiadomią nas, jak tylko Creasy zadzwoni.

## 26

Michael przeżył pierwsze dwadzieścia cztery godziny.

O ósmej rano chirurg przebadał go dokładnie, zapoznał się z kartą choroby, przeprowadził naradę z dwoma młodymi lekarzami odpowiedzialnymi za oddział i na koniec pokiwał z zadowoleniem głową.

Zbliżył się do Leonie i oznajmił:

— Oczywiście nie mogę twierdzić niczego na pewno... Komplikacje zawsze mogą się pojawić, ale jak już mówiłem, chłopak jest wysportowany i młody. Wygląda na to, że wyjdzie z tego.

Słuchała bez słowa. Patrzyła na młodzieńca leżącego na łóżku i nie była w stanie się odezwać. Lekarz spostrzegł to i dodał łagodnym tonem:

— Wiem od pielęgniarki, że w nocy niewiele pani spała. Proszę spróbować teraz się przespać. Po południu odłączymy respirator i tlen, i przeniesiemy go do normalnej sali dla rekonwalescentów.

Odzyskała wreszcie głos i spytała:

— Kiedy odzyska przytomność?

Lekarz odpowiedział po chwili namysłu:

— Prawdopodobnie dzisiaj wieczorem albo w nocy. Kiedy trafi do pokoju dla rekonwalescentów, przestaniemy dawać mu lekarstwo, po którym cały czas spał.

— Chcę być przy nim, kiedy się obudzi.

Lekarz skinął głową i odparł uśmiechając się:

— Zgoda. Nie wydaje mi się, żeby udało nam się wyciągnąć stąd panią nawet dźwigiem.

Michael otworzył oczy o drugiej nad ranem.

Wbił wzrok w sufit, następnie zamknął oczy i leżał tak przez jakieś pół minuty. Kiedy je znowu otworzył, zamiast sufitu ujrzał oblicze pochylającej się nad nim Leonie. Wpatrywał się w twarz kobiety i jej pełne niepokoju oczy. Poczuł, jak ściska mu rękę i usłyszał jej głos:

— Michael, to ja, Leonie! Słyszysz mnie?

— Tak, Leonie... — wystękał.

Poczuła słaby uścisk jego dłoni.

W chwilę później na twarz Michaela zaczęły kapać jej łzy.

Creasy przyleciał następnego dnia po swoim telefonie. Z uwagi na pełnię sezonu turystycznego wszystkie loty na kilka dni z rzędu były w stu procentach wypełnione. George Zammit zadzwonił do prezesa Air Malta i załatwił Creasy'emu bilet na ranny lot o dziesiątej.

Wyjechał po Creasy'ego na lotnisko i w trakcie jazdy do odległego o kwadrans drogi szpitala św. Łukasza zapoznał go z aktualną sytuacją. Creasy słuchał w milczeniu. Kiedy przejechali bramę szpitala zadał tylko jedno pytanie:

— Ile trzeba czasu, żeby stanął na nogi i mógł się w pełni poruszać?

— Lekarze mówią, że będzie musiał pozostać w szpitalu co najmniej przez dwa tygodnie. Kilka kolejnych tygodni zajmie rekonwalescencja w domu, ale chłopak wyjdzie z tego. Bez najmniejszego szwanku.

Zatrzymali się przed drzwiami wejściowymi. Creasy miał właśnie wysiąść z samochodu, kiedy poczuł, jak przyjaciel ściska mu ramię i usłyszał wypowiedziane cichym głosem „przepraszam”.

— To nie twoja wina — odparł. — Nie możesz być przecież wszędzie jednocześnie. Będziesz miał przez tę sprawę jakieś kłopoty?

— Nie, utrzymaliśmy wszystko w tajemnicy, prasa o niczym nie wie. Komisarz oznajmił ministrowi, że udzielił mi zgody na pobyt Michaela w St. Elmo. Takie przyjacielskie kłamstwo. . .

— Oberwało ci się od komisarza?

George uśmiechnął się smutno.

— Trochę. Ale zapewniłem go, że pewnego dnia Michael będzie najlepszym członkiem mojego oddziału.

— Porządny z niego gość — mruknął Creasy i wysiadł.

## 27

Dwa tygodnie później Creasy przyplłynął z Gozo przywożąc ze sobą dżipa i podjechał do szpitala po Michaela.

Od dziesięciu dni Michael przebywał na oddziale ogólnym mieszczącym się na trzecim piętrze. Creasy, który przez całe dwa tygodnie nie był ani razu u adoptowanego syna, musiał prosić o wskazanie drogi. Odnalazł w końcu oddział i wszedł na salę. Spośród dwunastu stojących w niej łóżek jedno było wolne. Michael siedział obok wolnego łóżka w fotelu na kółkach. Miał na sobie dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami. U jego stóp leżała mała plastikowa torba. Creasy podszedł bliżej i zapytał:

— I jak, dobrze się czujesz?

Michael uśmiechnął się.

— Owszem, i czekam, żeby się stąd wyrwać. Ludzie są tu nawet mili, ale żarcie do niczego. Wolałbym już chyba wcinąć codziennie czarnego węża.

Creasy nie odwzajemnił uśmiechu. Rzucił tylko krótko:

— No to idziemy.

Michael sięgnął ponad łóżkiem, żeby wcisnąć przycisk.

— Powiedzieli mi, żebym zadzwonił po pracownika obsługi, kiedy przyjdiesz — wyjaśnił.

— Nie dajesz rady iść?

— Owszem, ale...

— Ale co?

— Kazali mi zadzwonić po kogoś, kto pomoże zaprowadzić mnie do samochodu.

Creasy pochylił się w jego stronę i powiedział cichym, dobitnym głosem:

— Posłuchaj mnie dobrze. Do szpitala przynieśli cię na noszach, bo byłeś na tyle durny, żeby wchodzić pod lufę naładowanej broni. Ale kiedy stąd odejdiesz, to o własnych siłach, nie na wózku, jak jakiś cholerny kaleka. W przeciwnym razie pozostaniesz tu tak długo, aż będziesz chodził samodzielnie.

Michael popatrzył na niego i oderwał dłoń od dzwonka. Dźwignął się na nogi, chwycił torbę i wyszedł z sali. Creasy podążył za nim.

\* \* \*

Drogę do Cirkewwa odbyli w zupełnym milczeniu. Kiedy dojeżdżali do zatoki św. Pawła, Michael zerknął na swego starszego towarzysza i pierwszy przemówił: — Jesteś na mnie zły.

— Nie jestem na ciebie zły.

— Właśnie że tak. To nie w porządku.

Creasy nie odrywał wzroku od ścielącej się przed nim drogi.

— Mówiłem ci już w szpitalu — mruknął. — Musiałeś chyba zdumieć, żeby pakować się pod lufę naładowanej broni.

Opuszczali zatokę św. Pawła w milczeniu. Przerwał je znowu Michael:

— To znaczy, że sam musiałeś zachować się kilka razy jak dureń.

Jechali dalej bez słowa aż do Meliehy. Wreszcie Michael wyrzucił z siebie z goryczą:

— Ani razu nie przyszedłeś mnie odwiedzić! I nie pozwoliłeś Leonie na odwiedzin. Była gotowa przychodzić codziennie z jedzeniem. Stelli Zammit też zabroniłeś przychodzenia do szpitala. Zjawiła się tylko raz, zaraz po tym, jak pozwolili mi przejść na stały pokarm. Obiecała mi wtedy, że przyniesie pasztet z lampuki, a potem przygotowuje potrawkę z królika... Tyle że już nie przyszła. Nietrudno odgadnąć, komu to zawdzięczam. Dlaczego?

Creasy zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Przekręcił kluczyk w stacyjce i oparł ręce na kierownicy. Siedział tak przez dłuższą chwilę nie mówiąc ani słowa. Michael nie wytrzymał.

— Jedzenie w szpitalu było gorsze niż to w sierocińcu — poskarżył się.

— Jednak jakoś przeżyłeś.

— Tak, ale o mało nie umarłem. Czemu to robiłeś?

— A dlaczego pojechaliśmy na Comino i sami zdobywaliśmy pożywienie, chociaż zaledwie kilometr spacerkiem dzielił nas od hotelu, gdzie w restauracji mogliśmy się najeść po królewsku?

Na twarzy Michaela odbiło się zaskoczenie. — Ale ja byłem naprawdę w ciężkim stanie — powtarzał uparcie. — Lekarz powiedział mi, że tylko cudem przeżyłem.

Creasy pokręcił głową. — Cuda nie istnieją — zaprzeczył. — A sztuki przycia może nauczyć się wyłącznie ten, komu śmierć zagląda w oczy.

Michael trawił to przez chwilę, po czym wyrzucił z siebie tym samym, pełnym goryczy, tonem:

— A więc to była po prostu jeszcze jedna lekcja... Powiesz mi chyba zaraz, że całe nasze życie to jedna wielka lekcja.

— Nie, powiem tylko, że śmierć jest ostatnią lekcją — odparł Creasy.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, zerknął we wsteczne lusterko i nacisnął pedał gazu.

— Jak to jest, że wszyscy jesteście tacy starzy?

Frank Miller przełknął kawałek steku.

— Starzy? — zdziwił się.

Senator machnął widelcem w jego stronę.

— No tak, w każdym razie w średnim wieku. Ile na przykład pan ma lat?

Frank Miller patrzył z mocno zaafektowaną miną. Siedzieli w eleganckim pokoju jadalnym w domu senatora w Denver.

— Czterdzieści cztery — odparł. — Ale co to ma do rzeczy?

— A Maxie i Rene? — nie ustępował senator Grainger.

Maxie MacDonald służył dawniej w szeregach elitarniej formacji Selous Scouts w armii rodezyjskiej, później zaś wybrał karierę najemnika. Belgijczyk Rene Callard spędził piętnaście lat w Legii Cudzoziemskiej, którą wreszcie opuścił, by zarabiać prawdziwe pieniądze jako osobisty ochroniarz. Obaj wspólnie z Millerem dbali przez okrągłą dobę o bezpieczeństwo senatora Jamesa Graingera. Była to inteligentna i dająca się lubić trójka, która w trudnych chwilach potrafiła zachować się z pełną dyskrecją. Mówili, kiedy senator miał ochotę rozmawiać, milczeli zaś, kiedy pragnął ciszy. Senator przebywał w ich towarzystwie trzy tygodnie i nagle dzisiaj, przy kolacji z Millerem, uderzyło go, że wydają się być nieco za starzy jak na wykonywane przez nich zajęcia.

— W jakim wieku są Maxie i Rene? — powtórzył pytanie.

Miller wzruszył ramionami i odrzekł:

— Chyba w tym samym wieku, co ja. . . Ale dlaczego?

Senator uśmiechnął się, żeby załagodzić drażliwość sytuacji.

— Ta praca zdaje się pasować do ludzi młodych — zauważył. — Wszyscy znani mi ludzie z Ochrony Białego Domu ledwie dobiegają trzydziestki albo dopiero co ją przekroczyli.

— Oczywiście — odparował Miller z ironicznym uśmiechem. — I bez wątplenia wszyscy są posiadaczami czarnych pasów w karate, przebiegają sto metrów w czasie poniżej dziesięciu sekund i z odległości pięćdziesięciu metrów potrafią przestrzelić komarowi oko.

— Coś w tym rodzaju — przytaknął senator.



Miller przełknął soczysty kawałek mięsa i chrząknął z aprobatą. Podniósł oczy na senatora i zauważył:

— I ci sami faceci pozwalają, by zamachowiec zbliżył się na parę kroków do prezydenta Reagana i oddał do niego kilka strzałów. Prezydent miał szczęście, że przeżył.

— To prawda — przyznał Grainger ze wzrastającym zainteresowaniem. — Co w takim razie sprawia, że wy jesteście lepsi?

Miller spostrzegł, że senator nie ma już wina. Wziął karafkę i napełnił pusty kieliszek.

— Dziękuję, Frank — powiedział uprzejmie senator. — Wróćmy do mojego pytania.

Miller popijał wodę mineralną. Upił jeszcze jeden łyk i spytał:

— Jak długo sprawuje pan urząd senatora?

— Trzy kadencje, czyli osiemnaście lat.

— W czasie pierwszej kadencji radził pan sobie równie dobrze, jak w drugiej?

Senator pokręcił z uśmiechem głową.

— Oczywiście, że nie. Senator, jak każdy inny człowiek, uczy się przez zdobywane doświadczenie.

— Ano właśnie — podchwycił ochroniarz i włożył do ust ostatni kawałek steku.

Miguel zjawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i pozbierał talerze.

— Może deser? — zaproponował senator.

— Nie, dziękuję.

— Napijesz się kawy?

— Chętnie, panie senatorze.

Gospodarz dał znak Miguelowi, który oddalił się z tacą i senator podjął przerwany wątek:

— Różne zajęcia wymagają różnego rodzaju wiedzy. Domyślam się, że w twoim zawodzie nabyta wiedza odgrywa pierwszoplanową rolę.

Miller potrząsnął głową.

— Wcale nie, senatorze, prawda jest inna. — Przerwał i dodał po chwili zastanowienia: — Życie ochroniarza pilnującego kogoś, kto żyje w stałym zagrożeniu, przypomina stan ciągłej walki. Każdy generał wie, że żołnierz, który po raz pierwszy dostaje się pod ostrzał, traci głowę, bez względu na to, jak dobrze i jak długo byłby szkolony. Dopiero pod gradem kul staje się w pełni świadomy sytuacji. Symulacja działań bojowych w warunkach szkoleniowych nie może nigdy zastąpić rzeczywistego pola walki. To zresztą jedna z przyczyn przegrania przez was wojny w Wietnamie. Mówię o ciągłej wymianie zbyt wielu nowicjuszy w zbyt krótkich odcinkach czasu; zanim jedni zdążyli zahartować się w boju, wędrowali już do domu, a na ich miejsce przybywała kolejna grupa doskonale wyćwiczonych

nowicjuszy. Cały dowcip polega więc na tym, że chociaż agenci Ochrony Białego Domu są wspaniale wyszkoleni, to żaden z nich nie przeszedł prawdziwego chrztu bojowego, z wyjątkiem tych, którzy wtedy chronili Reagana. A prezydent i tak został postrzelony. . .

— Faktycznie — zgodził się Grainger. — Ale nie mają przecież za wiele okazji, żeby okrzepnąć na polu walki. Kiedy pojawia się zagrożenie, jest już za późno.

— Właśnie — przytaknął Miller. — Z natury rzeczy są zatem skazani na bycie nowicjuszami.

Zjawił się Miguel niosąc na tacy kawę. Po jego wyjściu senator zwrócił się do Millera:

— A pan nie jest?

— Nie jestem kim?

— Nowicjuszem.

Miller pokręcił głową.

— Skądże, większość dorosłego życia spędziłem na polu walki, podobnie jak Maxie i Rene.

— Zabił pan wielu ludzi?

— Nie pamiętam — odparł Miller bez chwili zastanowienia.

Senator uśmiechnął się.

— To samo powiedział Creasy. Wszyscy zawsze tak samo odpowiadacie?

— Wszyscy z wyjątkiem gnojków.

— Od dawna znasz Creasy'ego?

Miller zmrużył oczy w namyśle.

— Jakież osiemnaście lat — obliczył w końcu.

Senator nachylił się i spytał ścisząc głos:

— Naprawdę jest tak dobry, jak o nim mówią?

— A co o nim mówią?

— Że jest śmiertelnie niebezpieczny.

— To najtrafniejsza opinia. — Miller spojrzął na zegarek i dopił resztkę kawy. — Za pięć minut Maxie przyjdzie mnie zluzować. Proszę mnie teraz dobrze posłuchać, mając w pamięci naszą rozmowę o wieku i doświadczeniu: czy pańska sytuacja napawa pana obawą?

Senator uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Ależ skąd, Frank, wcale.

— A powinna.

Bezpośredniość ostatniej uwagi sprawiła, że senator podniósł raptownie głowę. Miller mówił dalej:

— Musi pan być w pełni świadomy powagi chwili. Nie znam wszystkich szczegółów, ale wiem od Creasy'ego, że Ahmed Jibril chce sobie z panem pogawędzić — osobiście lub przez kogoś. A to może być nieprzyjemne i w ostateczności fatalne w skutkach. Jibril to człowiek bez skrupułów i ma masę pieniędzy.

Ma ich dosyć, by móc kupić sobie tu, w Ameryce, najlepszych ludzi i nasłać ich na pana. Jest więc czego się obawiać.

— Nawet mając ochronę w postaci ciebie i twoich dwóch pomocników?

Australijczyk potwierdził zdecydowanym ruchem głowy.

— Tak. Powinien pan sam zachowywać maksymalną ostrożność i czujność. Jest pan człowiekiem o niemałej inteligencji. Jeżeli tylko spostrzeże pan lub usłyszy coś niepokojącego, proszę bezzwłocznie powiadomić o tym któregoś z nas trzech. Creasy nie zleciłby nam tego zadania, gdyby nie był absolutnie pewny, że coś się wydarzy. Jedynym plusem w pana sytuacji jest to, że Jibril chce rozmowy, a nie pańskiej śmierci. Gdyby chciał pana zabić, ochranianie pana byłoby dziesięć razy trudniejsze. Tak naprawdę lepiej by wtedy było schować się do mysiej dziury i poczekać, aż Creasy zrealizuje swój plan.

— A wie pan, co Creasy planuje?

— Nie, ale nietrudno zgadnąć. A jeśli moje domysły są trafne, to nie chciałbym znaleźć się w skórze Jibrila.

Wstał i podszedł do drzwi. Zrobił w nich szczelinę i wyjrzał ostrożnie, po czym otworzył je do końca i wpuścił Maxiego MacDonalda. Maxie skinął głową na powitanie.

— Dobry wieczór, senatorze.

— Witaj, Maxie. Masz ochotę na kawę?

— Dziękuję, właśnie wypłem jedną w kuchni. — Po tych słowach Maxie zwrócił się do Millera: — Posłuchaj, Frank, w ciągu ostatnich dwóch godzin niebieski Pontiac przejechał dwukrotnie spacerowym tempem obok rezydencji. W środku było dwóch mężczyzn.

— Macie numery?

— Tak, sprawdziliśmy je przy pomocy biura Curtisa Bennetta. Samochód został wynajęty dziś rano na lotnisku w Denver dokładnie na dwa dni na zlecenie firmy z Los Angeles. Należność uregulowano gotówką. Firma nie jest zarejestrowana.

— To może być zwiad — mruknął Miller w zamyśleniu. — O której godzinie lecimy jutro do Waszyngtonu? — zwrócił się do senatora.

— Najlepiej będzie wczesnym wieczorem — odparł Grainger. — Następnego dnia z samego rana muszę być na Kapitolu, a przedtem chciałbym jeszcze trochę popracować.

— Jest pan majątnym człowiekiem, to jasne — zaczął Australijczyk. — Może mi pan powiedzieć, jak bardzo majątnym?

— Mam jakieś sto dwadzieścia milionów — wyznał senator z tą dziwną otwartością, z jaką Amerykanie zwykli rozmawiać o stanie osobistego konta.

Na twarzy Millera nie drgnął ani jeden muskuł.

— W takim razie, senatorze, do przelotów między Denver i Waszyngtonem, jak również na innych kierunkach, będziemy wybierać prywatne odrzutowce. Za

każdym razem skorzystamy z usług innego towarzystwa czarterowego. Wybierać je będziemy na zasadzie losowej i na krótko przed odlotem.

Senator wstał. Na jego twarzy malowała się powaga.

— Zajmę się tym — zapowiedział.

— Proszę tylko nie załatwiać tego za pośrednictwem swoich biur w Denver i Waszyngtonie — ostrzegł Miller. — Ma pan chyba w Denver sporo przyjaciół od interesów?

— Owszem, niemało — przyznał senator. — I nie tylko w Denver.

— Świetnie. Proszę więc przez nich załatwiać czartery. Za każdym razem niech pan się zwróci do kogoś innego. Pańskie nazwisko nie może się pojawiać. Pozwoli pan, że pójde się przespać. Dobranoc, senatorze.

— Dobrej nocy, Frank.

Senator okrążył stół i odezwał się z uśmiechem do Maxiego:

— Strzelę sobie lampkę koniaku. Dotrzymasz mi towarzystwa sącąc swój ulubiony, wysokooktanowy sok pomarańczowy?

Maxie odwzajemnił uśmiech i rzekł:

— To będzie dla mnie więcej niż przyjemność.

## 29

Tego ranka, gdy Michael wrócił ze szpitala, doszło do kłótni. Nie była długa, ale zaciekła. Leonie podała Creasy'emu i Michaelowi śniadanie, a kiedy skończyli jeść, Creasy polecił chłopakowi:

— Przebierz się w kąpielówki i wchodź do basenu.

Leonie, która zmywała właśnie naczynia, spojrzała na Creasy'ego zbaraniałym wzrokiem.

— Co?! — krzyknęła.

Creasy nie spuszczał oczu z Michaela.

— Nie wskakuj do wody, ale zejź po schodkach — ciągnął spokojnym tonem. — Przepełnij wolno cztery długości, a potem posiedź w basenie jeszcze pół godziny zanurzony po szyję w wodzie.

Leonie zbliżała się do stołu z mokrymi od wody rękami.

— Oszalałeś?! — krzyknęła.

— No, ruszaj — ponaglił Michaela. — Dołączę do ciebie za minutę.

Chłopak wstał i wyszedł z kuchni.

Leonie stanęła przed Creasym i podparwszy boki mokrymi rękami patrzyła na niego z mieszaniną niedowierzania i gniewu.

— Czyś ty oszalał? — powtórzyła. Creasy westchnął i podniósł na nią oczy.

— Jesteś może lekarzem?

— Nie.

— Wykwalifikowaną pielęgniarką?

— Nie.

— Miałaś kiedyś do czynienia z ranami postrzałowymi?

— Nie, nie miałam — syknęła. — Ale wczoraj po waszym wyjściu ze szpitala rozmawiałam przez telefon z doktorem Grechem. Wyraźnie zapowiedział, że Michael powinien mieć całkowity spokój i nie wolno mu się przemęczać.

— To doskonały lekarz, ale nie ma prawie żadnej praktyki w leczeniu ran postrzałowych.

— Aha! — zaśmiała się szyderczo. — Czyli jesteś lepszy od lekarza?

— W tym wypadku chyba tak — przyznał opanowanym głosem.

— Ale ja do tego nie dopuszczę — podkreśliła dramatycznie i ruszyła do kuchennych drzwi.

Później przyszło jej długo pamiętać szybkość, z jaką zareagował. Nie zrobiła jeszcze dwóch kroków, gdy poczuła na ręce powyżej łokcia uścisk jego dłoni, na tyle mocny, że ją zabolalo.

— Nie wtrącaj się. — Obrócił ją do siebie i dodał, wciąż nie podnosząc głosu: — Spróbuj się jeszcze raz wtrącić, to zaraz pożegnasz się z tym domem, z Gozo i twoja noga więcej tu nie postanie. Pewnie wiesz, co to oznacza? Wyjedziesz stąd nie otrzymawszy pisma od notariusza, a pamiętasz chyba warunki naszej umowy?

Przez długą chwilę patrzyła na niego oczami pełnymi nienawiści. Wreszcie wybuchnęła jadem słów:

— Śmierdzący drań, łajdak bez serca! Dlaczego tak go traktujesz?

— Dla jego własnego dobra — odparł bez cienia emocji i wyjaśnił wskazując wolną ręką: — Basen napełniony jest morską wodą, a morska woda przyspiesza proces leczenia się ran. Ćwiczenie nie jest forsowne, ja zaś dopilnuję, żeby pływał bardzo wolno. Każdego dnia będzie pokonywał parę metrów więcej i w ciągu miesiąca odzyska pełną sprawność. Zaufaj mi, znam się na tym.

— Po co ten pośpiech? — zachnęła się. — Dlaczego nie pozwolisz mu trochę odczekać?

— Rana postrzałowa — zaczął z westchnieniem — nie jest podobna do innych ran: wpływa nie tylko na zdrowie fizyczne, ale i na psychikę. Jeżeli będzie wylegiwał się beczynn timer i rozmyślał jedynie nad sobą, to wykończy się psychicznie.

— A w ogóle po co to wszystko? — spytała z goryczą. — Dlaczego uczysz go posługiwania się bronią i innych rzeczy? Przecież to w końcu jeszcze chłopiec.

— Nie jest już chłopcem! — podniósł gniewnie głos. — Ale na pewno znów nim będzie, jeśli zaczniemy go teraz rozpieszczać.

— Rozpieszczać! — zaśmiała się ironicznie. — Dobry Boże, przecież nawet nie pozwalałeś mnie ani nikomu innemu odwiedzać go w szpitalu. Co ty szykujesz dla tego chłopca, do diaska?

— To już mężczyzna — zripostował. — I nie zapominaj o warunkach umowy: żadnych pytań.

— Prawdziwy z ciebie łajdak — powtórzyła. — I zadajesz mi ból.

Zwolnił uścisk ręki i cofnął się.

— No to się zdecyduj: albo przestaniesz się sprzeciwiać, albo natychmiast wyjeżdżasz.

— Nie wyjadę — rzuciła zaciekle. — Za to przeprowadzę się do osobnej sypialni. Nie zniosłabym przebywania z tobą w tym samym pokoju, nie mówiąc już o spaniu w jednym łóżku, mimo iż nigdy nawet nie próbowałeś mnie tknąć.

Odwróciła się i wymaszerowała z kuchni.

Przeniosła swoje ubrania do osobnej sypialni, po czym wyszła na patio. Michael siedział w basenie zanurzony po szyję. Creasy siedział blisko niego na brzegu basenu z nogami w wodzie. Zajęci byli cichą rozmową.

Podeszła do nich i poinformowała krótko:

— Wychodzę. Wrócę, żeby przygotować lunch.

Michael podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Nie musisz się martwić, przepłynąłem cztery długości i czuję się świetnie. Creasy nie odezwał się ani słowem, nie odrywając wzroku od wody.

Laura myślała właśnie posadzkę w salonie, kiedy wpadła Leonie roztrzającą siatkę na muchy.

Widząc wyraz jej twarzy Laura spytała z miejsca:

— Co się stało?

— Nienawidzę tego łajdaka! — wyrzuciła z siebie Leonie. — Nie gniewaj się, Lauro, ale jesteś jedyną osobą na tej cholernej wyspie, z którą mogę porozmawiać. — W chwilę potem wybuchnęła płaczem.

Kilka minut potem siedziały już na patio. Laura nalewała kawę, a Leonie wlewała swoje żale.

Laura słuchała w milczeniu. W ten sposób poznała całą historię: agencja teatralna, umowa małżeńska opiewająca na sześć miesięcy, wreszcie ślub cywilny. Dowiedziała się również, że między Creasym i Leonie nie doszło nigdy do fizycznego kontaktu.

— Creasy zabije w końcu tego chłopca — zakończyła Leonie ze złością. — To drań bez odrobiny serca.

— A ja ci zaręczam, że ma serce — zapewniła ją łagodnie Laura. — Tylko prawie zawsze trzyma je pod kluczem.

Leonie prychnęła gniewnie.

— A klucz dawno już wyrzucił. Gdyby nie Michael, wyjechałabym jeszcze dzisiaj. Nawet gdyby to miało oznaczać utratę mojego londyńskiego mieszkania. Do licha, jakie plany ma Creasy względem tego chłopca?

— Nie wiem — przyznała Laura. — W każdym razie Michael na swój sposób bardzo przypomina Creasy'ego. — Wzruszyła ramionami i dodała: — Nie zauważyłam, żebyś przed wypadkiem Michaela okazywała wobec niego jakiegokolwiek uczucia. Najwyraźniej musiało się coś zmienić, bo inaczej by cię tu nie było. Spytaj zatem sama siebie, jakie uczucia żywisz względem niego.

Po tych słowach zapadła cisza. Leonie przebiegała wzrokiem wyspę. Wreszcie zaśmiała się krótkim, gorzkim śmiechem.

— Macierzyńskie — mruknęła. — Z trudem przychodzi mi w to uwierzyć, ale faktycznie darzę go macierzyńskimi uczuciami.

Laura uśmiechnęła się i dołała kawy do filiżanek.

— To całkiem naturalne — orzekła. — Siedziałaś przez dwie noce przy chłopcu, który mógł umrzeć. Powiedz mi: rozplakałaś się, kiedy ci powiedziano, że będzie żył?

— Tak.

— A kiedy odzyskał przytomność, siedziałaś przy jego łóżku nie licząc upływających godzin i trzymałaś go za rękę?

— Zgadza się.

— Więc nie ma czemu się dziwić. Dostrzegasz w nim chłopca, który być może zastępuje ci utraconego syna. Creasy z kolei widzi w nim mężczyznę i dlatego pewnie tak go nienawidzisz.

— To co mam zrobić? — spytała żałośnie Leonie.

— Przede wszystkim — zaczęła Laura z ożywieniem — dotrzymasz swojej sześciomiesięcznej umowy. I nie będziesz ingerować w to, w jaki sposób Creasy przeprowadza fizyczną rehabilitację Michaela. Uwierz mi, na tych sprawach zna się rzeczywiście najlepiej. Dwukrotnie zdarzyło mi się go pielęgnować, kiedy znajdował się na krawędzi śmierci. Właśnie tutaj, w tym domu. Być może „pielęgnować” to za dużo powiedziane, po prostu gotowałam mu smaczne i zdrowe posiłki, i patrzyłam, jak dochodzi do zdrowia. Creasy zna granice wydolności ludzkiego organizmu.

— Przebywanie z nim pod jednym dachem to będzie istne piekło — pożałowała się Leonie.

Laura pokręciła stanowczo głową.

— Tylko wtedy, jeśli bardzo się o to postarasz. Znam Creasy’ego i wiem, że będzie zachowywał się tak, jakby nie doszło między wami do żadnej kłótni. Życie potoczy się tak samo, jak przed wypadkiem Michaela, pod warunkiem, że sama też się do tego przyłożysz.

— Gdybym jednak mogła coś więcej o nim wiedzieć — westchnęła gorzko Leonie. — Byłoby mi znacznie łatwiej. Sam o sobie nigdy nic nie mówi, a od innych też niczego nie można wydobyć, jakbym miała do czynienia z jakimś cholernym robotem.

Laura poklepała ją po ramieniu i zapewniła:

— To już niedługo. Nie wspominaj Creasy’emu, że mówiłaś mi o waszej umowie małżeńskiej. — Uśmiechnęła się i dodała: — Ale jeśli zapyta, to powiedz, że w rozmowie ze mną nazwałaś go łajdakiem. Będzie wiedział, o co chodzi.

Leonie odpowiedziała jej bladym uśmiechem.

— Twoja córka musiała go bardzo kochać — szepnęła. — Albo miała więcej cierpliwości niż każda ze znanych mi osób.



— To prawda, bardzo go kochała — przyznała Laura. — Co zaś do cierpliwości, to możesz mi wierzyć, że nie miała jej więcej niż ja. A jak powszechnie wiadomo — uśmiechnęła się — nie grzeszę cierpliwością. Rzecz w tym, że Creasy darzył ją takim samym uczuciem, a jeśli Creasy już coś robi, to robi to na sto procent.

Podniosła się ze słowami:

— Muszę brać się z powrotem za domowe porządki — westchnęła. — Panami tej wyspy są nadal mężczyźni.

Leonie również wstała i pocałowała ją w policzek.

— Stokrotne dzięki — odezwała się ciepło. — Spróbuję posłuchać twojej rady.

Laura odprowadziła ją do drzwi wyjściowych.

— Zatem do zobaczenia w sobotę wieczorem.

— Co jest w sobotę? — zdziwiła się Leonie.

Laura wyjaśniła z miłym uśmiechem:

— W domu rodziców Marii w Nadur odbędzie się przyjęcie zaręczynowe Joyeya. Zanosi się na udany wieczór.

## 30

Niewiele było rzeczy, które mogłyby przyprawić Creasy'ego o drżenie serca. Do jednej z nich zaliczał się niewątpliwie zły humor Laury Schembri. Było to trzeciego dnia po powrocie Michaela ze szpitala. Po lunchu Michael i Leonie wylegiwali się w słońcu przy basenie, Creasy tymczasem wybrał się, by pomóc Joeyowi przy remoncie domu.

Po dwóch godzinach mozołu w gorących promieniach słońca ujrzeli na ścieżce zbliżającą się Laurę. Niosła pojemnik z lodem i cztery butelki piwa. Creasy obserwował jej nadejście ze swego miejsca na murze. Cofnął się myślami o pięć lat i zamiast Laury widział teraz poznaną zaledwie kilka dni wcześniej Nadię. Owego dnia pracował z Paulem przy naprawie muru z wapienia, a Nadia szła do nich tą samą ścieżką i niosła ten sam pojemnik z zimnym piwem w środku. Tak to się wszystko zaczęło.

Wspomnienia jednak odpłynęły, gdy tylko Laura dotarła na miejsce. Postawiła pojemnik i rzuciła obcesowo do Joeya:

— Idź sobie popływać. I nie musisz się spieszyć.

Młodzieniec popatrzył na minę matki i odszedł bez słowa.

Creasy zeskoczył z ogrodzenia i powiedział prosto z mostu:

— Proszę, nie zaczynaj gadki o Michaelu. Nasłuchałem się już dosyć tych bzdur od Leonie. Dobrze wiem, co robię, powinnaś to rozumieć.

Posłała mu spojrzenie, które byłoby w stanie zamienić w ciągu sekundy wrzątek w tafłę lodu. Swoją tyradę rozpoczęła od słów:

— Tak się składa, że jesteś nie tylko nieczułym, głupim, bezmyślnym, gruboskórnym, tępym łajdakiem, ale również moim zięciem. Nie odzywaj się więc i słuchaj.

Słuchał jej przez następne dziesięć minut, oparty o mur, z opuszczoną głową. Zakończyła słowami:

— Czy ty naprawdę jesteś pozbawiony jakichkolwiek uczuć?

Podniósł powoli głowę i spojrzał na nią.

— Zgadłś. Moje uczucia odeszły wraz ze śmiercią Nadii i Julii. Pozostała jedynie nienawiść.

— Nienawidzisz wszystkich?

— Nie, tylko tych, którzy są winni ich śmierci.

— Chcesz powiedzieć, że nikogo nie darzysz żadnym ciepłym uczuciem? — pytała uparcie.

— Nie wiem, co masz na myśli — odrzekł stanowczo. — W moim słowniku nie ma takiego słowa.

W tym momencie z twarzy Laury zniknął gniew, a pojawiło się przygnębienie.

— A ja? A Paul i Joey? — spytała.

— Jesteście moją rodziną — odparł krótko.

— Ale co to oznacza?

Znowu zwiesił głowę i patrzył pod stopy. Odezwał się ledwo słyszalnym głosem:

— To znaczy, że was kocham... Słuchaj... dobrze wiesz, że gadanie nie jest moją mocną stroną.

Stał przed nią zakłopotany, nie mogąc opanować drżenia. Zbliżyła się i zarzuciła mu ręce na ramiona. Przytuliła twarz do jego policzka i powiedziała ledwo słyszalnym głosem:

— My też cię kochamy. Wiem, co zamierzasz, i z całego serca pragnę, by ci się udało, bo zdaję sobie sprawę, że jeśli ty tego nie zrobisz, ta banda niegodziwców nigdy nie stanie przed obliczem sprawiedliwości. Posłuchaj mnie dobrze i nie denerwuj się. Byłam wściekła i powiedziałam ci parę okropnych rzeczy, ale nie kierowałam mną jedynie złość, po prostu chciałam, żebyś usłyszał kilka słów prawdy. Teraz dorzucę do tego jeszcze jeden cierń: gdyby Nadia żyła i widziała twoje pozbawione skrupułów traktowanie tej kobiety, spaliłaby się za ciebie ze wstydu.

Trwali oboje w bezruchu, niczym zamarłe na scenie teatralne postacie. Wreszcie Laura odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy: odbijała się w nich niewypowiedziana boleść. Przytuliła znów twarz do jego policzka. Wziął ją w objęcia i po chwili poczuła łzy na swoim policzku. Nie były to jej łzy.

## 31

Zmiana była trudna do uchwycenia i Leonie nie od razu ją dostrzegła. Dopiero przyjęcie zaręczynowe Joeya unaocznilo ją w pełni.

Z początku nie chciała na nie iść, przekonana, że w ściśle rodzinnym gronie gości czułaby się jak piąte koło u wozu.

— Może pójdziesz sam z Michael'em? — zaproponowała Creasy'emu.

Potrząsnął zdecydowanie głową.

— Nie. Joey będzie niepocieszony, jeśli nie przyjdiesz.

— Niepocieszony? — powtórzyła zaskoczona.

— Nie mówiąc już o Laurze — podkreślił. — Zanoszą się na udane przyjęcie.

— Uśmiechnął się nieznacznie i dodał: — Jest jeszcze jeden powód: dziś wieczorem muszę się obowiązkowo upić. Joey i Pepe, ojciec Marii, już o to zadbają. Przyjęcie przeciągnie się z pewnością do późna w nocy i Michael może być zmęczony, pomyślałem więc, że pojedziemy dwoma samochodami i w razie potrzeby odwieziesz go wcześniej do domu. Zgadzasz się?

Pojechali więc razem. Trzeba przyznać, że przyjęcie było rzeczywiście udane. Wśród gości były zarówno niemowlęta, jak i dostojne babcie.

Uroczystości zaręczynowe na Gozo przypominają raczej ceremonię zaślubin w innych częściach świata: młodzi wręczają sobie obrączki, a ksiądz udziela im błogosławieństwa. Same prezenty dla Marii i Joeya zajmowały kilka stołów. Dom był duży, z rozległym ogrodem.

Kiedy podziwianie prezentów dobiegło końca, wszyscy wylegli do ogrodu. Po jednej jego stronie zainstalowano bar, który obsługiwało dwóch przyjaciół Joeya.

Laura dotrzymywała towarzystwa rodzinie Marii, Michael zaś rozmawiał ze swymi rówieśnikami.

Leonie stała na uboczu i zaczynała już czuć się nieswojo, kiedy wyłonił się przy niej Creasy. Ujął ją pod rękę i poprosił:

— Pozwól ze mną, chcę cię z kimś zapoznać. — Trzymając ją delikatnie, poprowadził ją przez tłum gości i zatrzymał się przed księdzem. — Przedstawiam ci ojca Louisa. Poznaliśmy się dwadzieścia lat temu w ówczesnej Rodezji.

Posłał księdzu szeroki uśmiech i dopowiedział:

— Ojciec Louis był misjonarzem. Nawracał tubylców na alkohol.

Ksiądz odpowiedział mu uśmiechem i zrewanżował się:

— A ten oto bezbożnik był moją prawą ręką. — I zwracając się do Leonie dodał: — Mógłbym pani opowiedzieć kilka niezłych historyjek z tamtych czasów.

I wtedy nieoczekiwanie Creasy rzucił pogodnym głosem:

— Wyśmienity pomysł. Ja tymczasem przejdę się i poszukam Paulu Zarba. Drań dwa tygodnie temu obiecał, że zamontuje w moim dziepie radio, i od tego czasu jakoś go nie widziałem.

Creasy wtopił się w tłum pozostawiając Leonie z księdzem. Uznała, że nadarza się doskonała okazja do zadania paru pytań.

— Jak ojciec poznał Creasy'ego?

W tym momencie nastąpiło kolejne zaskoczenie: ksiądz odpowiedział na jej pytanie.

— Prowadziłem niewielką misję w Eastern Highlands, niedaleko Mozambiku. Wojna o niepodległość wkraczała właśnie w decydującą fazę. Misja mieściła się w niebezpiecznym, odległym terenie. W pobliżu obozował oddział Selous Scouts, który pełnił dwa zadania: miał chronić misję oraz robić wypadki na obozy rebeliantów po drugiej stronie granicy. Creasy dowodził tym oddziałem.

— Selous Scouts?

— Tak. To doborowy oddział armii rodezyjskiej.

Leonie miała zdziwioną minę.

— Przecież Creasy jest Amerykaninem.

Duchowny skinął głową.

— Owszem, ale wówczas armia rodezyjska znajdowała się w beznadziejnej sytuacji i werbowała do swoich szeregów obywateli innych krajów.

Zastanawiała się przez moment, na koniec spytała:

— To znaczy, że Creasy był najemnikiem?

— Tak — odparł. — W owym czasie w armii rodezyjskiej walczyło wielu najemników. Można powiedzieć, że była to, dzięki Bogu, ostatnia prawdziwa wojna, w której najemnicy odegrali poważną rolę.

Ważyla przez chwilę w głowie kolejne pytanie.

— A jednak został ksiądz jego przyjacielem — zauważyła.

— O, tak — uśmiechnął się. — I to bardzo serdecznym.

Leonie poczuła nagle do księdza przyływ sympatii.

— Było bardzo niebezpiecznie? — zapytała.

Skinął z powagą głową i odrzekł w niewymuszony sposób:

— Tak. To, że żyję, zawdzięczam pani mężowi. Dlatego może być pewny, że jeśli się dzisiaj upije, odwiozę go do domu. — Zaraz się uśmiechnął i dodał: — A że się upije, to rzecz pewna. Chodzą słuchy, że to on właśnie wmanewrował Joeya w te zaręczyny. Joey weźmie na nim odwet.

Spojrzał w kierunku stołu, który zdobiły wymyślne dekoracje kwiatowe, duży różowy tort i butelki szampana. Do stołu zbliżali się już Joey i Maria.

— Wzywają mnie obowiązki — oznajmił i westchnął z nieszczęśliwą miną.  
— Życie nie jest proste. Jeżeli nie wypiję przynajmniej połowy butelki szampana, obie rodziny poczują się śmiertelnie urażone.

Członkowie obu rodzin zgromadzili się przy stole. Pośrodku stanęli Joey i Maria, a ksiądz pomiędzy nimi. Leonie spostrzegła, że Creasy stoi w towarzystwie Paula i Laury. W pewnej chwili dał znak Michaelowi, który znajdował się po drugiej stronie w gronie rówieśników. Michael obszedł stół i podszedł do Creasy'ego. Leonie znowu zaczęła czuć się obco, ale teraz czekała ją trzecia z kolei niespodzianka. Creasy nachylił się i szepnął coś Michaelowi, który w odpowiedzi skinął głową i uśmiechnął się. Zaraz też okrążył stół, przemierzył ogród i zbliżywszy się do Leonie ujął ją za rękę i poprowadził do kręgu rodziny Schembri.

Ojciec Louis pobłogosławił obrączki, które już po chwili zdobyły palce Joeya i Marii. Pokrojono tort, strzeliły korki od szampana, rozbłyły światła lamp błyskowych.

Leonie stojąc u boku Creasy'ego spytała go z mieszaniną strachu i podziwu:

— Czyli jesteś najemnikiem?

Pokręcił głową.

— Raczej byłem. Zerwałem z tym dobrych parę lat temu.

— Dlaczego? — wyrwało się jej.

Ale znów ją zaskoczył.

— Nie lubię wspominać tamtych czasów — przyznał Creasy. — Ale Laura wie prawie wszystko. Zapytaj ją, to ci opowie.

— Nie sądzę. Próbowалам ją kiedyś skłonić do rozmowy o tobie, ale nie chciała nic mówić.

— Teraz odpowie na każde twoje pytanie.

W sekundę później spotkała ją następna niespodzianka: Creasy wypowiedział słowo, którego nigdy nie spodziewałaby usłyszeć z jego ust.

— Przepraszam — zaczął. — To był dla ciebie ciężki okres. Wcale nie musiało tak być.

Zanim zdobyła się na jakąkolwiek odpowiedź, nadszedł Paul i wtrącił się do rozmowy:

— Zauważyłem, że Michael wypił dwie lampki szampana. Chyba będzie miał już dosyć.

— Zgadza się — przytaknął Creasy. — Bierze wciąż lekarstwa.

Zaczął przeczesywać wzrokiem tłum gości w poszukiwaniu Michaela. Leonie położyła mu dłoń na ramieniu i zaproponowała:

— Odszukam go i przypilnuję. Daj mi znać, kiedy uznasz za stosowne, żebym odwiozła go do domu.

Creasy zaskoczył ją kolejny raz z rzędu.

— Sama zadecydujesz, kiedy go odwieźć — odparł.

Wiadomość dotarła do Ahmeda Jibrila za pośrednictwem pułkownika Jomaha. Sygnał pochodził od syna Jomaha pracującego w ambasadzie syryjskiej w Waszyngtonie. Według otrzymanej informacji próba uprowadzenia senatora Jamesa S. Graingera miała nastąpić za mniej więcej trzy tygodnie. Z uwagi na wysoką pozycję celu ataku cena za wykonanie zadania wyniosłaby pół miliona dolarów, nie licząc siedemdziesięciu pięciu tysięcy już zapłaconych za miesięczną obserwację obiektu.

Jibril zaklął i czytał dalej. W ciągu pięciu dni powinien zjawić się w Denver „śledczy” Jibrila. Dla potrzeb zadania zostanie przygotowany bezpieczny dom. Jeżeli Jibril życzy sobie, aby po przeprowadzonym śledztwie senator został usunięty, wówczas cena wzrośnie o kolejne sto tysięcy. Gdyby natomiast chciał trzymać go jako więźnia, tygodniowy koszt takiej operacji wyniesie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Potrzebna była natychmiastowa odpowiedź.

Jibril wezwał swojego szefa sztabu Dalkamouniego i razem z nim przedyskutował treść otrzymanej informacji. Na koniec doszli do wspólnego wniosku, że dopiero po zapoznaniu się z wynikami przesłuchania postanowią, czy senator zostanie wyeliminowany, czy jedynie przetrzymany kilka tygodni w charakterze zakładnika.

— Słono sobie liczą — orzekł Dalkamouni. — Może powinniśmy byli wysłać naszych ludzi?

— W Ameryce mieliśmy tylko jednego odpowiedniego człowieka — Jibril pokręcił głową. — Wysłanie tam większej grupy zajęłoby nam całe miesiące. Potrzebowaliśmy wielu lat, żeby utworzyć nasze siatki w Europie. — Trącając palcem kartkę z informacją dodał: — To najlepsi fachowcy w całej Ameryce.

— Zwykli kryminaliści — zauważył Dalkamouni. — Ich jedynym motywem działania są pieniądze.

— Zgadza się, kryminaliści — przyznał Jibril. — Ale bardzo zdolni i dobrze zorganizowani. Poza tym, jak obaj dobrze wiemy, trudno o lepszą motywację niż pieniądze.

\* \* \*

W dwa dni później do biura senatora Jamesa Graingera przybył Curtis Bennett. Otworzył mu belgijski ochroniarz senatora, Rene Callard, który następnie zamknął drzwi za gościem i zajął z powrotem krzesło przy wejściu.

Senator siedział za dużym biurkiem z orzecha włoskiego i czytał dostarczone mu sprawozdanie. Podniósł oczy na widok przybysza i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Jak się masz, Curtis. Weź sobie krzesło, zaraz się tobą zajmę.

Dokończył stronę, zanotował coś na kartce żółtego notatnika i zapytał:

— No więc słucham, co się pali? — Zerknął na zegarek. — Tylko się streszczaj, za dziesięć minut mam obrady komisji.

— Nie zajmę wiele czasu — uspokoił go Bennett. — CIA udało się złamać częściowo kod używany w wymianie informacji między Ministerstwem Spraw Zagranicznych Syrii a ambasadami syryjskimi na całym świecie. Jak wiesz, Syria udziela aktywnego wsparcia kilku palestyńskim i nie tylko palestyńskim organizacjom terrorystycznym. Najważniejsza z nich to Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny mające swą siedzibę w Damaszku. Syryjczycy pomagają im poprzez sieć własnego wywiadu, którego najważniejszym elementem jest wywiad lotnictwa wojskowego dowodzony przez pułkownika Jomaha. Sam Jomah jest blisko związany z prezydentem Assadem. CIA zdołała zidentyfikować sygnały wysyłane przez pułkownika Jomaha i te, które do niego przychodzą. Wiemy już, że Jomah działa pod kryptonimem Jastrząb i rozsyła mnóstwo depech do syryjskich ambasad w Europie, zwłaszcza do Bonn, Londynu, Sztokholmu i Rzymu. Wiemy, że w tych miastach Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny ma swoje siatki.

Bennett zapalił papierosa i ciągnął dalej:

— Nagle w ubiegłym tygodniu Jastrząb zaczął zalewać depechami ambasadę syryjską w Waszyngtonie. Wydało się to nam bardzo niezwykle. CIA próbowała rozpracować depeche, a my wydzieliliśmy specjalną grupę do obserwacji wszystkich podejrzanych pracowników tutejszej ambasady. I właśnie cztery dni temu jeden z nich — tak się składa, że akurat attache lotnictwa wojskowego — odbył spotkanie z pewnym mężczyzną w parku Lafayette. Zrobiliśmy zdjęcia i po ich komputerowym powiększeniu zidentyfikowaliśmy owego mężczyznę jako Joe Morettiego z Chicago. Moretti wraz z dwoma braćmi kieruje działającą w tonie rodziny Moretti grupą specjalistów od zabójstw i porwań na zamówienie. W przeszłości pracowali głównie dla dyktatur w Ameryce Południowej, które chciały się pozbyć kłopotliwych uciekinierów przebywających w naszym kraju.

Zaciągnął się papierosem i obrzuciwszy senatora twardym spojrzeniem dokończył:



— Dziś rano, Jim, CIA przekazała nam wstępny raport na temat serii depech do i od Jastrzębia. Ich analiza wskazuje, że bracia Moretti zostali wynajęci do zabicia lub porwania jakiejś ważnej osobistości naszego kraju.

— Bardzo interesujące — zauważył senator enigmatycznie.

Bennett nachylił się, zgasił papierosa i odparł cicho:

— Ano, interesujące... Zwłaszcza, że tą ważną osobistością jesteś najwyraźniej ty.

— Skąd ta pewność?

Jego znajomy z FBI westchnął.

— Przecież nie jestem idiotą, Jim. Po pierwsze, Harriot zginęła w wyniku zamachu na samolot Pan Am, a głównym podejrzanym o dokonanie tego barbarzyńskiego aktu jest Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, które z kolei jest ściśle powiązane z syryjskim wywiadem lotnictwa wojskowego, a zatem z Jastrzębiem. Ty natomiast zadajesz się z różnymi dziwnymi typami: najpierw zjawia się oszust z pogranicza świata najemników, a potem — martwy czy też żywy — najemnik uważany za jedną z najlepszych maszyn do zabijania.

Bennett westchnął ponownie i zapalił następnego papierosa. Był najwyraźniej poruszony, co odbiegało od jego normalnego stanu. Podjął dalej wątek:

— Wreszcie wynajmujesz trzech ochroniarzy i prosisz mnie o zdjęcie rutynowej obstawy. Jasna rzecz, że ich sprawdziłem. To mój obowiązek — usprawiedliwił się. — Zarówno względem służby, jak i wobec przyjaciela.

Senator skinął przyzwalająco głową. Bennett kontynuował:

— No i okazało się, że cała trójka to byli najemnicy... Prawdziwi twardziele... Wszyscy trzej, jak sądzę, są uzbrojeni?

— Zgadza się, Curtis. I mają pozwolenie na broń, czego z pewnością również nie omieszkałeś sprawdzić.

W głosie jego gościa z FBI pojawiła się twarda nuta.

— Nie mylisz się. A teraz posłuchaj mnie uważnie: rodzina Moretti nie jest zwykłą mafijną rodziną. W przeciwieństwie do niektórych innych rodzin, jej członkowie nie tworzą ogromnej organizacji, niemniej dysponują jakimś tuzinem „żołnierzy” i są wysokiej klasy profesjonalistami. Wiemy, czym się zajmują, nigdy jednak nie udało nam się znaleźć na nich haczyka, nawet najmniejszego. Jak rozumiem, w swojej niewiedzy wynająłeś tego oszusta Joe Rawlingsa, żeby pomóc śmierć Harriot. — Uśmiechnął się ponuro i dokończył: — Tak się składa, że Joe Rawlingsa pod koniec ubiegłego miesiąca znaleziono martwego w pokoju paryskiego hotelu. Dostał kulkę w głowę. Policja francuska nie dysponuje żadnymi poszlakami na temat sprawcy. Co zaś do Creasy’ego, który oficjalnie nie żyje, myślę, że nie mógłbyś dać się oszukać dwa razy w ciągu jednego miesiąca. Co więcej, odciski palców na szklance, którą ci kiedyś sprezentowałem, są bez wątpienia autentyczne, co prowadzi mnie do wniosku, że Creasy żyje i dostał od ciebie zlecenie rozpracowania Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu

Wyzwolenia Palestyny. Tyle że Palestyńczycy z Frontu jakimś sposobem dowiedzieli się o tym i teraz sami chcą się z tobą rozprawić rękami rodziny Moretti, a to oznacza, że znalazłeś się w ogromnym niebezpieczeństwie.

Senator obrzucił go kpiącym spojrzeniem i zerknął na zegarek.

Bennett westchnął z rozdrażnieniem. Wstał, oparł się dłońmi o blat biurka i pochylając się w stronę senatora rzucił ostro:

— Spójrz prawdzie w oczy, Jim. Zagrożenie jest bardzo poważne. Ochronia cię co prawda trzech twardzieli, ale to za mało. . . Do tego faceci mają dobrze po czterdzieście, są więc moim zdaniem nieco za starzy.

— Jestem z nich zadowolony — stwierdził senator z lekkim uśmiechem.

Bennett nachylił się jeszcze bardziej.

— A ja, jeśli mam być szczery, wcale nie. Tuż przed moją wizytą u ciebie przedstawiłem moje spostrzeżenia dyrektorowi, a ten z miejsca wydał rozkaz przydzielenia ci pełnego zespołu do ochrony przez okrągłą dobę. Będzie cię pilnować dwunastu doskonale wyszkolonych ludzi, młodych ludzi. Przystąpili już do wykonywania zadania. Rozumiem, Jim, że to może być kłopotliwe, ale nie ma innego wyjścia.

Grainger potrząsnął głową.

— Doceniam twoją troskę, Curtis, ale nie życzę sobie ich opieki. Powiedz dyrektorowi, żeby ich odwołał.

— Tego nie zrobię. Uprzedziłem go, że będziesz się sprzeciwiał, na co kazał ci powtórzyć, że zgodnie ze złożoną przysięgą ma obowiązek zapewnienia ochrony każdemu z amerykańskich kongresmanów i senatorów. Nie ma więc o czym mówić, Jim. — Przeciągnął się i spojrzął na zegarek. — Masz jeszcze dwie minuty, żeby zdążyć ze zwykłą sobie punktualnością na obrady komisji.

Senator podniósł na niego oczy, następnie wyciągnął rękę nad biurkiem i nacisnął przycisk konsoli telefonicznej.

— Jane — zaczął — połącz mnie z Białym Domem. Chciałbym rozmawiać z prezydentem, jeśli to możliwe. Jeżeli nie, to będę rozmawiał z jego osobistym sekretarzem.

W minutę później omawiał już szczegóły spotkania z prezydentem na wieczór tego samego dnia. Bennett przyglądał mu się z pełnym niedowierzaniem.

— Myślisz, że prezydent będzie interweniował? — zdziwił się.

— Wiem to na pewno — odrzekł senator i dorzucił lekko uśmiechając się: — Jestem mu potrzebny.

Curtis Bennett wyszedł nie kryjąc wściekłości i zawodu. Mijając drzwi sekretariatu odwrócił głowę i popatrzył na mężczyznę siedzącego przy drzwiach do gabinetu senatora. Mężczyzna odpowiedział mu nieruchomym spojrzeniem.

Bennett nie trzasnął drzwiami wyjściowymi, zamknął je jednak ostentacyjnie głośno.

Siedząc za swoim biurkiem senator jeszcze raz wcisnął przycisk konsoli telefonicznej.

— Jane, zadzwoń do sali posiedzeń komisji — polecił — I uprzedź ich, że się spóźnię jakieś dziesięć, piętnaście minut. Przepraszam ich w moim imieniu. I poproś do mnie pana siedzącego przed moim gabinetem.

Callard wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi po czym omiół dwukrotnie wzrokiem pokój. Dopiero wtedy skupił spojrzenie na senatorze.

— Gdzie Frank? — spytał Grainger.

— Niedaleko.

— Możesz go odszukać?

Belg sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnąwszy stamtąd małe metalowe pudełeczko nacisnął dwa razy przycisk. W pięć sekund później rozległ się potwierdzający sygnał.

— Będzie tu najpóźniej za dwie minuty — oznajmił Callard.

Frank Miller zjawił się po upływie niecałej minuty. Obrzucił spojrzeniem gabinet, trzymając rękę blisko rozpiętych połów okrywającej go luźno marynarki.

— O co chodzi, panie Grainger?

Senator wskazał im krzesła przed biurkiem.

— Siadajcie, jest nowa sprawa.

Miller pokręcił w odpowiedzi głową i powiedział coś po francusku do swego belgijskiego kolegi, który natychmiast wyszedł z gabinetu.

Siadając Miller wyjaśnił senatorowi:

— Kiedy jeden z nas jest w środku, drugi musi przebywać na zewnątrz. Co się stało?

Grainger streścił mu w paru słowach wiadomość przekazaną przez Bennetta. Australijczyk wysłuchał wszystkiego z uwagą i na koniec podsumował:

— To dobrze.

— Dobrze?!

— W naszej sytuacji — tak. Im więcej wiemy, tym lepiej możemy się przygotować.

Grainger nie sprawiał wrażenia specjalnie zaniepokojonego, ale widać było, że nad czymś się zastanawia. Wreszcie odezwał się:

— Bennett mówił, że tamci dysponują około tuzinem „żołnierzy”. Was jest tylko trzech.

— Pięciu, senatorze — poprawił go Frank z zadowoleniem. — Dwóch nowych dojechało do nas pod koniec ubiegłego tygodnia.

Na twarzy senatora odmalowało się zaskoczenie.

— Jeszcze ich nie widziałem.

— I nie zobaczy ich pan. Pilnują budynku od zewnątrz: to fachowcy od mokrej roboty.

— Creasy ich przysłał?

— Tak, i muszę przyznać, że są cholernie dobrzy. — Rozjaśnił twarz w uśmiechu. — Ucieszy pana zapewne wiadomość, że obaj mają nie więcej jak trzydzieści parę lat.

Grainger zrewanżował się uśmiechem i spytał:

— Czy to coś zmienia w naszym dotychczasowym postępowaniu?

— Nie. Jest pan pewny, że może pan spowodować odwołanie ochrony FBI?

— Najzupełniej. O siódmej mam spotkanie z prezydentem. Dam ci znać.

Australijczyk rozważał coś w myślach.

— Prawdę powiedziawszy pański przyjaciel Curtis Bennett mógłby nam pomóc w dwóch sprawach. Wiem dużo o mafii włoskiej, naprawdę dużo, ale niewiele o mafii amerykańskiej. Dobrze by było, gdyby Bennett zdobył materiały o rodzinie Moretti: cokolwiek jest w posiadaniu FBI, zwłaszcza zdjęcia samych braci Moretti i ich „żołnierzy”.

Senator zapisał w swoim notatniku.

— A druga sprawa? — zapytał.

— Skoro Bennett jest tak rozrzutny w gospodarowaniu agentami FBI, to mógłby posłać kilku do Detroit, żeby śledzili ruchy „żołnierzy” rodziny Moretti. Nie wątpię, że FBI już to zrobiło, nie zaszkodziłoby jednak, gdyby Federalni zwiększyli intensywność działań. Oczywiście, nie za bardzo, żeby tamci nie połapali się, iż na nich czekamy. W każdym razie chcielibyśmy być informowani o każdym nagłym wyjeździe z Detroit większej grupy „żołnierzy”. Do przeprowadzenia akcji będą przecież potrzebowali co najmniej dziesięciu ludzi.

Senator zrobił kolejną notatkę i rzucił okiem na zegarek.

— Załatwione — powiedział krótko. — No, a teraz muszę już jechać na obrady.

## 33

Michael bardzo szybko powracał do zdrowia. Po upływie trzech tygodni Creasy zawiózł go na Maltę do szpitala na przeprowadzenie ostatecznych badań. Doktor Grech był niebywale zaskoczony tak szybką poprawą zdrowia swego młodego pacjenta. Następnie Creasy udał się z Michaelem do Fort St. Elmo, gdzie Michael miał podjąć na nowo przerwane wypadkiem szkolenie.

W czasie nieobecności obu mężczyzn Leonie zaprosiła Laurę na lunch w restauracji ogrodowej hotelu „Ta Cenc”. Zająwszy stolik pod dużym platanem zamówiły włoskie potrawy i butelkę włoskiego wina. Po zjedzeniu dania głównego Leonie zaczęła zadawać Laurze pytania na temat Creasy’ego. Laura odpowiadała chętnie, zaznaczyła jednak, że jedynym człowiekiem, który tak naprawdę zna Creasy’ego, jest jej zięć Guido. Guido służył razem z Creasym w Legii Cudzoziemskiej i brał udział u jego boku w różnych wojnach na całym świecie. Potem Guido ożenił się z najstarszą córką Laury, Julią, i zamieszkał z nią w Neapolu, gdzie prowadzili *pensione* do czasu śmierci Julii w wypadku samochodowym. Guido nadal prowadził *pensione* i przyjeżdżał często na Gozo. Po katastrofie nad Lockerbie zawitał na wyspę i zamieszkał przez jakiś czas u Creasy’ego. Trudno było o większych milczków, łączyła ich jednak niezwykle nić duchowego porozumienia i zdaniem Laury nie sposób byłoby znaleźć dwóch bardziej zaprzyjaźnionych ze sobą mężczyzn.

Od Laury Leonie dowiedziała się, że Creasy poznał Nadię na Gozo, gdzie przyjechał leczyć rany postrzałowe, które odniósł próbując bronić pewną młodą Włoszkę przed porywaczami.

Dziewczynka zginęła z rąk porywaczy, Creasy zaś po przyjsciu do zdrowia wrócił do Włoch i stał z powierzchni ziemi całą rodzinę mafijną odpowiedzialną za tę zbrodnię. Szlak zemsty ciągnął się od Mediolanu na pomocy Włoch aż do Palermo na Sycylii.

I znów, tym razem w tajemnicy, powrócił na Gozo, by tak jak poprzednio leczyć odniesione rany. Laura wraz z Nadią pielęgnowały go. Niedługo potem Nadia zaszła w ciążę.

— Musiał ją bardzo kochać — szepnęła Leonie w zadumie.

— Jestem tego pewna. Chociaż nigdy wiele nie mówił i niewiele po sobie okazywał.

— Wiedziała jednak, że ją kocha?

— O, tak — potwierdziła Laura. — Gotów był oddać za nią życie. — Podniosła oczy na swą młodą rozmówczynię i dodała ledwo słyszalnym głosem: — I być może tak się stanie.

Creasy stał obok George'a Zammita na podwyższonej platformie ustawionej za strzelnicą z ruchomymi celami, która mieściła się w podziemiach Fort St. Elmo. Po obu ich stronach znajdowali się członkowie oddziału antyterrorystycznego. Oczy wszystkich skierowane były na stojącego w dole Michaela. Trzymał w prawej ręce pistolet maszynowy *Uzi*. Podniósł lewą rękę i na ten znak George wcisnął przycisk na ścianie za swoimi plecami. W jednej sekundzie przy ścianach i spod podłogi zaczęły wyłaniać się cele przedstawiające ubranych w maskujące mundury mężczyzn. Gdzieś tam pojawiała się sylwetka kobiety lub dziecka. Creasy nie patrzył na wyłaniające się sylwetki, lecz skupił wzrok na Michaelu, który przykłęknął na jedno kolano i strzelał krótkimi seriami. Opróżniwszy jeden magazynek, szybko wsadził następny. Kiedy i ten był już pusty, Michael wyjął go, sprawdził komorę zamkową, po czym odwrócił się w stronę zielonego monitora w tylnym prawym kącie sali. Creasy, George i cała reszta również patrzyli na ekran, na którym pokazały się cyfry oznaczające sześćdziesiąt pięć procent.

— Nieźle — mruknął George. — Za dwa, trzy tygodnie powróci do swego poprzedniego rekordu, czyli siedemdziesięciu trzech procent skuteczności.

Michael odłożył pistolet i dwa puste magazynki na metalowy stół i wszedł na górę po schodach. Spojrzał na Creasy'ego, który powitał go słowami:

— Bardzo dobrze się spisałeś.

Chłopak potrząsnął ponuro głową.

— Przedtem byłem dużo lepszy. Do tego trafiłem kobietę. Po prostu straciłem rytm.

— Było bardzo dobrze — powtórzył Creasy. — Powinieneś tylko popracować nad wymianą magazynka. Musisz to robić znacznie szybciej, w tym momencie jesteś najbardziej wystawiony na strzał.

— Już to kiedyś słyszałem — odezwał się jeden z członków oddziału antyterrorystycznego, uśmiechając się od ucha do ucha.

Creasy posłał mu uśmiech i odparł: — Przymknij się, Grazio. Jedyne, co sam potrafisz szybko zmieniać, to kondom.

Wszyscy gruchnęli śmiechem.

— Ćwiczyłeś kiedyś na tej strzelnicy? — spytał Michael Creasy'ego.

— Sam ją pięć lat temu zaprojektował — George wyręczył Creasy'ego w odpowiedzi. — Nauczył nas, jak z niej korzystać, i dużo, dużo więcej.

Po tych słowach zwrócił się do Creasy'ego:

— Masz ochotę na jedną kolejkę?

— Owszem — przytaknął Creasy. — Ale później chciałbym poświęcić trochę czasu na omówienie zasięgu pistoletów.

Zszedł po stopniach na strzelnicę. Młodzi policjanci jak jeden mąż stanęli przy barierce i nie spuszczali go z oka. Podniósł *Uzi*, rozłożył go i złożył na nowo. Wszystko nie trwało dłużej niż kilka sekund. Włożył magazynek, a zapasowy wsunął do lewej kieszeni dżinsów w taki sposób, że wystawał na zewnątrz. Podszedł do czarnego krzyża namalowanego na podłodze i podniósł lewą rękę. George wcisnął przycisk.

Michael zapamiętał, że to, co potem nastąpiło, przypominało balet. Cele pojawiały się nie dłużej niż na dwie sekundy. Creasy błyskawicznie przykucnął. Michael nawet nie dostrzegł wymiany magazynka, widział tylko, jak zużyty magazynek odbija się od betonowej podłogi. Pistolet strzelał niemal nieprzerwanym potokiem ognia. Creasy wrócił do metalowego stołu i rozładował pistolet. Położył magazynek na stole, sprawdził *Uzi* i obrócił wzrok w stronę monitora. Cyfrowy wynik na ekranie wskazywał na dziewięćdziesiąt sześć procent skuteczności. Na platformie panowała kompletna cisza. Po strzelnicy wciąż przesuwwały się cele.

— Nie do wiary! — mruknął jeden z niedawno przyjętych rekrutów.

— Lepiej w to uwierz — wtrącił Grazio. — Widziałem już, jak osiąga dziewięćdziesiąt osiem procent.

## 34

Senator Grainger i Frank Miller kończyli kolację, kiedy zadzwonił telefon. Senator poprosił Miguela, który właśnie podawał kawę, żeby podniósł słuchawkę.

— Jeżeli to Bob Holden, to mnie nie ma — zapowiedział.

Miguel odebrał telefon. Przez chwilę słuchał i nagle zaczął mówić szybko po hiszpańsku.

Grainger, który dobrze znał hiszpański, nadstawił ucha przysłuchując się uważnie rozmowie. Wstał od stołu. Miguel tymczasem odłożył słuchawkę i odwrócił się wzburzony.

— Chodzi o moją matkę — wyjaśnił. — Dzwonił mój brat, że miała atak serca. Stan jest ciężki.

Senator w jednej chwili znalazł się przy telefonie. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

— Francis, mówi Jim. Załatw mi miejsce na najbliższy lot do Mexico City. Nie, nie dla mnie, dla Miguela. Jego matka miała atak serca. . . Tak, poczekam. — Zakrywając dłonią słuchawkę zwrócił się do Miguela: — W ciągu paru godzin znajdziesz się przy łóżku matki. . . Nawet gdybym miał wyczarterować samolot.

Miguel przetarł dłonią twarz i wymamrotał:

— Dziękuję panu. Ale kto zajmie się domem?

— O to się nie martw. Wynajmę kogoś na ten czas za pośrednictwem agencji. Możesz zostać tak długo, jak długo będzie trzeba.

Miguel chciał coś powiedzieć, ale senator powstrzymał go ruchem dłoni. Słuchał przez chwilę rozmówcy po drugiej stronie linii, następnie spojrzął na zegarek i odparł:

— Przybędzie na lotnisko z kilkuminutową rezerwą. Dopilnuj, żeby samolot nie odleciał bez niego. Jeżeli będziesz musiał, zadzwoń do Harry'ego Robsona i powołaj się na mnie. Z sejfów w moim biurze wyjmij pięć tysięcy dolarów i wręcz je Miguelowi na lotnisku.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Miguela.

— Idź się spakować. Za czterdzieści pięć minut masz lot do Dallas, skąd prześiądziesz się na samolot do Mexico City. Za cztery, pięć godzin znajdziesz się na miejscu.



Miguel zaczął bełkotać słowa podziękowań. Senator przerwał mu energicznym machnięciem ręką.

— Szykuj się do drogi.

Kiedy Miguel opuścił w pośpiechu pokój, Grainger zwrócił się do Millera:

— Czy któryś z twoich ludzi mógłby odwieźć go szybko na lotnisko?

Miller pokręcił głową.

— To niemożliwe. Rene śpi i musi się wyspać, a Maxie jest moim zmiennikiem.

— A tamci dwaj, których jeszcze nie widziałem?

— Krążą gdzieś na zewnątrz i nie wolno im opuszczać swoich stanowisk.

Grainger chwycił znowu za telefon i wybrał numer. Kiedy po drugiej stronie odezwał się głos, rzucił do słuchawki:

— Witaj, Gloria, to ja, Jim. Mam pilną sprawę. Miguel otrzymał właśnie telefon z Mexico City, że jego matka przeszła atak serca. Zarezerwowałem mu miejsce na samolot, który startuje za jakieś czterdzieści minut. Sam nie mogę odwieźć go na lotnisko, a taksówką nie zdąży dojechać na czas. Może któreś z twoich dzieciaków jest w pobliżu? — Słuchał przez chwilę odpowiedzi, w końcu rzekł: — Świetnie, dziękuję. Będzie gotowy za dziesięć minut. Na lotnisku będzie na niego czekał Francis.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Millera:

— Czasem dobrze mieć uczynnych sąsiadów.

Kiedy Miguel odjechał Mercedesem 500 spod bramy rezydencji, senator udał się do kuchni, by zaparzyć jeszcze trochę kawy. Miller jak zawsze nie odstępował go na krok.

— Czuję się, jakbym miał brata syjamskiego — zauważył senator.

— Nie myli się pan — odparł Miller.

Nagle senatorowi przyszła do głowy pewna myśl.

— Przecież mogliśmy w trójkę odwieźć go na lotnisko: ty, ja i Maxie.

Miller pokręcił głową i przyłożył palec do ust. Na ścianie obok lodówki wisiał notatnik z ołówkiem. Zdjął go ze ściany i gestem wskazał krzesło przy kuchennym stole. Senator nie kryjąc ciekawości usiadł. Miller zajął miejsce naprzeciwko niego. Napisał coś pośpiesznie na kartce i przesunął ją w stronę senatora. Ten odczytał:

To może być podstęp. Możliwe, że zaczęli się na pana gdzieś na trasie między rezydencją a lotniskiem.

Senator podniósł na niego osłupiałe oczy i wziął głęboki oddech, żeby coś powiedzieć. Miller ponownie przyłożył palec do ust i wskazał na notatnik. Grainger w gniewie zdarł pierwszą kartkę, wziął ołówek i napisał coś szybko. Po chwili Australijczyk mógł przeczytać:

Miguel pracuje u mnie od ośmiu lat. Nie wahałbym się powierzyć mu własnego życia.

Miller chwycił ołówek i dopisał do kartki senatora dwa zdania:

A ja tak. Porozmawiajmy w ogrodzie.

Wyszli drzwiami koło basenu. Grainger zapytał, nie kryjąc sarkazmu:

— Mogę już mówić?

Miller odpowiedział mu, ścisząc głos:

— Tak, senatorze, ale szeptem.

— O co tu, do diabła, chodzi?

Stojąc blisko niego Miller wyjaśnił:

— Nie lubię, jak coś dzieje się zniechcane. Jeżeli bracia Moretti obserwują pana — a można bez ryzyka powiedzieć, że tak — to wiedzą z pewnością, że jest u pana tylko jeden służący i że nie trzyma pan stałego kierowcy na wieczór. Wiedzą też, że ma pan trzech ludzi ochrony i że zawsze porusza się pan w towarzystwie dwóch z nich, podczas gdy trzeci odpoczywa. Mogli również sprawdzić, jak można najszybciej dostać się z Denver do Mexico City, i tak zgrali w czasie telefon do Miguela, by w obliczu szybko uciekającego czasu skłonić pana do decyzji o osobistym odwiezieniu Miguela na lotnisko. Przy planowaniu zasadzki, senatorze, najważniejsze jest zgranie w czasie. Zaplanowali wszystko dokładnie z tolerancją nie większą niż pięć minut.

— Ale przecież telefonował do niego jego własny brat.

— Tak w każdym razie twierdził Miguel.

Grainger spytał po chwili namysłu:

— Myślisz, że jego matka nie miała ataku serca?

— Całkiem możliwe. Ale ja muszę sprawdzić każdą ewentualność... Jeśli więc mamy do czynienia z pułapką, to należy być pewnym, że Miguel zainstalował w rezydencji podsłuch. Dlatego rozmawiamy w ogrodzie. Kiedy wrócimy do środka, będziemy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Jeżeli wykryjemy pluskwy, zostawimy je na miejscu, żeby ich nie alarmować. Wyjął z kieszeni małe metalowe pudełeczko i dwukrotnie wcisnął przycisk. Maxie wyłonił się z kępy drzew w tyle ogrodu, z dobermanką u nogi. Miller podszedł do niego i zaczęli prowadzić przyciszoną rozmowę. Maxie skinął głową. Zaraz potem obaj wrócili do senatora.

— Domyślam się, że zna pan adres Miguela w Mexico City? — zwrócił się Miller do Graingera.

— Oczywiście.

Wskazując palcem na swego kolegę z Rodezji Miller objaśnił:

— Maxie ma przyjaciela Hiszpana, byłego najemnika, który po wycofaniu się ze służby poślubił Meksykankę i przeniósł się do Meksyku. Mieszka w małym

miasteczku jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Mexico City. Utrzymują ze sobą kontakt, Maxie zadzwoni więc do niego gdzieś spoza rezydencji i poda mu adres Miguela, jak również inne szczegóły, którymi pan dysponuje. Do jutra do wieczora będziemy wiedzieli, czy matka Miguela naprawdę dostała ataku serca.

Wykrycie wszystkich pluskiew zajęło Millerowi i Maxie’emu trzy godziny. Znalazienie dwóch z nich w aparatach głównych i sześciu ukrytych w telefonach wewnętrznych nie sprawiło im wielkiego trudu, za to podsłuchy rezerwowe okazały się trudniejsze do przechwycenia. Zostały ukryte w odległości trzech metrów od poszczególnych telefonów i mogły wylapywać każdą rozmowę prowadzoną w którymś z głównych pokoi. W przypadku likwidacji pluskiew telefonicznych, podsłuchy rezerwowe mogły również przekazywać jedną część rozmowy telefonicznej.

Było po północy, kiedy po zakończeniu poszukiwań wyszli nad brzeg basenu. Dołączył do nich Callard.

— Wprost trudno uwierzyć, by podsłuch miał być dziełem Miguela — odezwał się senator ścisząc głos.

— Sam ich nie zainstalował — odparł Miller. — Zrobił to profesjonalista, ale przecież ktoś go musiał wpuścić w czasie naszego wyjazdu do Waszyngtonu. Tym kimś mógł być tylko Miguel.

— Może się włamali — upierał się senator.

— Musieliby na samym wstępie zabić psa, pozostawiając tym samym dowód swego pobytu. Poza tym ma pan bardzo dobry system alarmowy — zarówno wewnątrz domu, jak i na zewnątrz.

— A jakże — przytaknął Grainger ponuro. — Kazałem go unowocześnić, kiedy po powrocie do domu pewnego wieczoru zastałem Creasy’ego siedzącego przy moim barku z kieliszkiem w ręku.

Miller uśmiechnął się.

— Jak sobie poradził z psem i Miguelem? — zapytał.

— Uśpił ich za pomocą strzałek ze środkiem usypiającym.

— Nauczył się tego w Rodezji — wyjaśnił Maxie. — Technika została doprowadzona do perfekcji w czasie wznoszenia zapory Kariba, kiedy rozległe obszary doliny rzeki Zambezi miały być zalane wodą. Zdołano wtedy uratować dziesiątki tysięcy zwierząt usypiając je uprzednio za pomocą strzałek. Creasy w czasie przepustek chodził pomagać leśnikom w akcji ratowniczej.

— I co w związku z tym robimy? — Grainger wrócił do sprawy podsłuchu.

— Nic — oznajmił spokojnie Miller. — Zostawimy pluskwy na miejscu, musi pan jedynie uważać na to, co będzie pan mówił. Ta sytuacja daje nam zresztą wyraźną przewagę.

— Jak to?

Miller dobierał teraz starannie słowa:

— „Zasadzka” czy „polowanie” przypominają działania wojenne. Mamy tu przecież do czynienia z napastnikami i obrońcami. Dla obrońców najważniejsze są dwa czynniki: wiedzieć gdzie i kiedy ma nastąpić atak.

— A w jaki sposób mamy się tego dowiedzieć? — zdziwił się senator.

— Sami ustalimy czas i miejsce ataku.

— Niby jak? — Senator nie ukrywał ciekawości.

Trzej ochroniarze wymienili uśmiechy. Rene pospieszył z odpowiedzią:

— Za dwa, trzy dni zadzwoni pan z domowego aparatu do młodej damy i umówi się z nią na spotkanie. . . Spotkanie bez towarzystwa goryli. . .

Senator popatrzył na twarze trzech mężczyzn i też się uśmiechnął.

## 35

— Zapuścisz sobie wąsy.

Michael odwrócił głowę i obrzucił Creasy'ego zaskoczonym spojrzeniem.

— Dlaczego?

— Statystyki wskazują, że ponad pięćdziesiąt procent młodych Palestyńczyków nosi wąsy. — Uśmiechnął się. — Podobnie jak całkiem niemała gromadka palestyńskich kobiet. Poza tym w wąsach będziesz wyglądał na jakieś dwadzieścia lat.

Siedzieli ramię przy ramieniu na skraju basenu, trzymając nogi w wodzie.

Przybierając na powrót poważny ton, Creasy rzekł:

— Za mniej więcej cztery miesiące będziesz już gotowy. Wtedy wyruszymy.

— Liczył coś w myślach. — Leonie za pięć tygodni wyjedzie i całe szkolenie przeniesiemy do domu. Urządę w jaskini strzelnicę do strzelania z pistoletu, a od George'a pożyczę karabin snajperski z tłumikiem. Możemy ćwiczyć na wzgórzach za hotelem „Ta Cenc”.

— George twierdzi, że karabin snajperski to mój najsłabszy punkt.

— To samo można powiedzieć o każdym z członków jego oddziału antyterrorystycznego, nie wyłączając George'a. Ma to swoją przyczynę.

— Jaką?

— Winny jest temperament południowców — odparł Creasy. — Lub, jak kto woli, niecierpliwość. W tej chwili radzisz już sobie świetnie z pistoletem i pistoletem maszynowym, muszę przyznać, że jesteś wprost stworzony do pistoletu maszynowego. Wyczuwasz odpowiedni rytm. Za cztery miesiące będziesz naprawdę dobry.

— Tak dobry jak ty?

— Nie, ale lepszy niż ja w twoim wieku. Żeby jednak zostać dobrym snajperem będziesz musiał dokonać zmian w mentalności. Musisz wypracować cierpliwość i umiejętność koncentracji. Musisz nauczyć się leżeć godzinami bez ruchu w ukryciu. Najlepszymi snajperami w świecie są Gurkhowie.

— Gurkhowie?

— Tak, mieszkańcy Nepalu. Do dzisiaj służą jako najemni żołnierze w armiach brytyjskiej i indyjskiej. To ludzie niewysokiego wzrostu, ale poza tym naj-

lepsi żołnierze, jakich kiedykolwiek widziałem. . . I najlepsi snajperzy. Kiedy Leonie wyjedzie, jeden z nich przybędzie do nas. Ma sześćdziesiąt lat i przeszedł już w stan spoczynku, ale wciąż chyba pozostaje najlepszym w świecie strzelcem wyborowym. Będzie twoim nauczycielem.

— A ty, jesteś dobrym snajperem?

— Tak — przyznał Creasy bez cienia wahania. — Ale daleko mi do Rambahadura Rai. Potrafi trwać w całkowitym bezruchu przez czterdzieści osiem godzin i jest potem w stanie z odległości czterystu metrów strącić kapsel butelki od piwa. Zawita do nas zaraz po wyjeździe Leonie i pozostanie przez jakiś miesiąc.

— Nie sądzę, by Leonie miała ochotę wyjeżdżać — wtrącił Michael cicho.

— Ale musi — odparł Creasy. — Takie są warunki umowy. Wiesz o naszej umowie.

Michael wierzgnął nogą, rozpryskując wodę w basenie.

— Zdaje się, że teraz układa się między wami coraz lepiej — zauważył. — Będzie mi brakowało jej kuchni. Tobie też.

Creasy wzruszył ramionami.

— Jest dobrą kucharką i wspaniałą kobietą. Cóż, muszę się przyznać, że przez pierwsze trzy miesiące nie traktowałem jej najlepiej. . . W każdym razie jeszcze pięć tygodni i będzie musiała wyjechać.

Jakby na zawołanie Leonie wyszła z kuchni z tacą. Postawiła ją na stole w cieniu pergoli i zawołała:

— Proszę na lunch!

Czekały na nich półmiski z zimnym mięsiwem, sałatki i sery, oraz butelka schłodzonego Soave. Jedząc Michael spojrzął na Leonie i spytał:

— Chciałbym wybrać się wieczorem do „La Grotta”. Nie masz nic przeciwko temu?

Nie patrząc nawet na Creasy’ego potrząsnęła głową i odpowiedziała:

— Możesz iść, jeśli mi obiecasz, że wypijesz nie więcej jak cztery butelki piwa. Jeszcze przez tydzień musisz brać lekarstwa.

— Obiecuję — odrzekł Michael uroczyście.

— Może wszyscy byśmy się wybrali? — zaproponował Creasy.

Leonie spojrzała na niego jak oniemiała.

— Wszyscy. . . na dyskotekę?

— Oczywiście. Dlaczego by nie? To dobra dyskoteka i dają tam fenomenalną pizzę.

— Brzmi zachęcająco. . . Będziesz ze mną tańczyć?

— Jak najbardziej.

— Ja też chciałbym z tobą zatańczyć! — krzyknął Michael z entuzjazmem.

Przerwał im głos telefonu. Michael poszedł do kuchni, a kiedy wrócił, oznajmił:

— Do ciebie, Creasy. Rozmowa zagraniczna. Facet nie przedstawił się, kazał ci tylko powiedzieć, że dzwoni Australijczyk.

Creasy zjawiał się z powrotem po dziesięciu minutach.

— Zabawmy się dzisiaj — zaczął. — Z samego rana będę musiał wyjechać. Nie będzie mnie przez jakieś siedem do dziesięciu dni.

## 36

— Nicole, skarbie, tęskniłem się za tobą jak diabli.

— Mnie też, kochanie, zżerała tęsknota — odpowiedział Frank Miller swoim tubalnym głosem zabarwionym australijskim akcentem.

Senator James S. Grainger gruchnął śmiechem. Siedzieli przy stoliku nad brzegiem basenu. Obaj trzymali w rękach kartkę papieru. Miller pouczył go surowym głosem:

— Panie senatorze, musi pan to powiedzieć jak najlepiej. Od tego wiele zależy. Dziś wieczorem musi pan zadzwonić i trzeba, żeby brzmiało to naturalnie.

Grainger uśmiechnął się od ucha do ucha.

— To znaczy mam udawać, że flirtuję przez telefon ze swoją kochanką?

— Właśnie. Zacznijmy jeszcze raz od początku.

Senator upił łyk whisky, zerknął w kartkę i powtórzył:

— Nicole, skarbie, tęskniłem się za tobą jak diabli.

— Mnie też, kochanie, zżerała tęsknota.

Senator znów wybuchnął gromkim śmiechem. Australijczyk westchnął w rozdrażnieniu.

— Frank, powiedz mi coś o tej dziewczynie — uspokoił się wreszcie Grainger.

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia siedem, osiem.

— Ładna?

— Bardzo.

— Hm — mruknął senator rozkładając ręce. — Gdyby siedziała teraz naprzeciwko mnie zamiast jakiegoś owłosionego mieszkańca antypodów, to może zdołałbym jakoś przebrnąć przez to dziadostwo bezśmichów chichów.

Australijczyk spojrział na niego z ukosa.

— To co, mam pójść kupić perukę i kazać sobie wstrzyknąć silikon?

Przeszkodziło im pojawienie się Maxiego MacDonalda, który wyłonił się z wnętrza domu.

— Mam dla pana niemiłe wieści, senatorze — oznajmił. — Parę sekund temu dzwoniłem do Meksyku. Okazuje się, że matka Miguela jest zdrowa i w doskonałej formie. W każdym razie czuje się na tyle dobrze, że mogła dziś rano wybrać się



do sklepu jubilerskiego w towarzystwie swego niedawno przybyłego i, jak widać, wcale zamożnego syna. Zafundował jej szalenie kosztowną bransoletę.

Senator w jednej chwili stracił dobry humor. Wbił oczy w stół i mruknął:

— A to łajdak! Tak mi się odplacił za dobre traktowanie.

Obaj ochroniarze nie odezwali się ani słowem. Ciszę przerwał w końcu cichy głos Maxiego:

— Chce pan, żebyśmy się tym zajęli?

— W jakim sensie?

Maxie wzruszył ramionami.

— Mam w Meksyku przyjaciela, który formalnie przebywa już na zasłużonej emeryturze, ale za skromną opłatą — z pewnością niższą niż cena takiej bransolety — chętnie rozwali Miguelowi głowę lub inną część jego anatomii.

Senator zastanawiał się, na koniec potrząsnął głową.

— Dziękuję, Maxie, ale nie. Zostawmy te rzeczy rodzinie Moretti.

— Jak pan sobie życzy.

— Przysuń swoje krzesło bliżej senatora — polecił Frank. — I jeśli znowu zacznie się śmiać, trzepnij go porządnie. — A zwracając się do Graingera, poprosił: — Bierzmy się wreszcie do roboty.

Grainger wziął kartkę z tekstem i odparł:

— No dobrze, jedziemy dalej.

— Nicole, skarbie, stęskniłem się za tobą jak diabli.

— Jim, kochanie, mnie też zżerała tęsknota.

Tym razem Maxie MacDonald wybuchnął głośnym śmiechem.

— Maxie, przejdź się i znajdź sobie jakieś pożyteczne zajęcie — warknął Miller.

Rodezyjczyk oddalił się, wciąż nie mogąc opanować śmiechu.

— Nie denerwuj się, Frank — odezwał się uspokajająco Grainger. — Wiem, że to ważne, postaram się skoncentrować. W koledżu występowałem w kółku teatralnym i byłem naprawdę niezły. — Uśmiechnął się rozbajająco. — Każdy dobry polityk musi być dobrym aktorem.

Przystąpili do kolejnej próby i tym razem poszło im zupełnie dobrze. Głos Graingera brzmiał niezwykle przekonująco:

— Nicole, skarbie, stęskniłem się za tobą jak diabli.

— Jim, kochanie, mnie też zżerała tęsknota.

— Nie mogę tak dłużej tego ciągnąć. Muszę się z tobą zobaczyć.

— Ale jak, kochanie? Twój goryle dzień i noc nie odstępują cię ani na krok.

Grainger westchnął i pozalił się rozdrażniony:

— Ach, skarbie, gdyby w grę wchodziło parę dni czy nawet parę tygodni, jakoś bym dał radę. Tylko że taki stan może trwać miesiącami... Ale coś wymyśliłem.

— Co takiego, Jim?

— Posłuchaj, malutka, wynajmę mieszkanie i będę raz na jakiś czas wymykał się tam do ciebie na kilka godzin.

— Ale jak to zrobisz, Jim?

— To już pozostaw mnie, dziecinko. Jak tylko znajdę odpowiednie lokum, przyślę ci pocztą klucz. Potem zadzwonię, żeby się z tobą umówić.

— Nie mogę się wprost doczekać, kochanie. . . Jestem taka samotna. . .

— Ja też, skarbie. Kicham na robotę i tych cholernych goryli. Potrzebny mi jest w końcu jakiś relaks.

Miller zdobył się na dziewczęcy chichot i dopowiedział:

— Tym ja się zajmę, kochanie.

Grainger uśmiechnął się, ale ciągnął dalej poważnym głosem:

— Nie mogę się doczekać, skarbie. No, muszę już lecieć. Odezwę się do ciebie, ciao.

— Ciao — odparł Miller i skinął głową z aprobatą. — Całkiem dobrze, senatorze, naprawdę nieźle. Przeciwczymy to jeszcze parę razy, a wieczorem zadzwonimy do ukochanej.

— Mam pytanie — przerwał mu senator ostrym tonem.

— Słucham.

— Kiedy wszyscy trzej przestaniecie nazywać mnie senatorem, a zaczniecie zwracać się do mnie po imieniu?

— Kiedy przestaniemy dla pana pracować, senatorze — odrzekł Australijczyk z powagą w głosie. — Wolimy, żeby tak pozostało. To już nie potrwa długo, w ciągu tygodnia sprawa się zakończy. — Wziął do ręki długopis i odwrócił swoją kartkę na drugą stronę. — Proszę mi teraz podać nazwy i adresy restauracji, w których jada pan regularnie.

— Dobrze, ale najpierw naszkicuj mi plan działań.

— Jak każdy dobry plan, nasz jest bardzo prosty — zaczął Miller. — Sprawdzimy wszystkie restauracje, których nazwy zaraz mi pan poda, i wybierzemy tę, która stwarza panu najlepszą możliwość wymknięcia się od tyłu. Następnie wynajmiemy mieszkanie w odległości pięciu minut drogi samochodem od restauracji. Zaaranżuje pan kolację z paroma kolegami i wyśle pan Nicole klucz wraz z numerem mieszkania. Ważne jest, żeby wybrany budynek miał kilka pustych mieszkań. Po południu, przed kolacją, zadzwoni pan do Nicole. W czasie rozmowy telefonicznej wspomni pan mimochodem o adresie, ale bez numeru mieszkania. Powie pan, że zatelefonuje do niej do wynajętego mieszkania. Doda pan, że nie potrafi pan podać dokładnej godziny przyjścia, ale że punktualnie o jedenastej będzie pan musiał wyjść. Maxie pójdzie z panem na kolację i usiądziecie przy jednym stoliku. Rene jak zawsze będzie czekał na zewnątrz restauracji. Ja będę w wynajętym mieszkaniu razem z Nicole. Po pierwszym daniu uda się pan do toalety i wymknie się tylnymi drzwiami. Tam będzie na pana czekał podstawiony

wcześniej samochód. Usiądzie pan za kierownicą i pojedzie do wynajętego mieszkania. To jeden z dwóch niebezpiecznych momentów, ale do tego wrócę później.

Sięgnął po szklankę i upił łyk wody mineralnej.

— O tym wszystkim Moretti dowiedzą się dzięki zainstalowanemu podsłuchowi. Znają adres, ale nie znają numeru mieszkania. Wiedzą dokładnie, o której godzinie ma pan wyjść od Nicole, ale nie mają pojęcia, kiedy pan do niej przyjdzie. Jeżeli mają choć trochę oleju w głowie, w co nie wątpię, będą chcieli porwać pana przed wejściem do budynku, kiedy tylko pan się pokaże.

— A dlaczego nie w samym budynku?

— Ponieważ w ciągu następnych dwóch, trzech dni wynajmiemy tam pod fałszywymi nazwiskami kilka mieszkań. Gdyby więc udało im się nawet wejść do budynku, to i tak nie będą znali numeru mieszkania Nicole.

Grainger skinął głową, po chwili jednak zauważył:

— Ale przecież skoro tylko podam Nicole adres budynku, to zaraz wezmą go pod obserwację.

— Słusznie, tyle że w dniu spotkania, począwszy od godzin popołudniowych, drzwi budynku przekroczy kilka młodych, atrakcyjnych dziewcząt, z których każda mogłaby być kochanką senatora. Nicole w tym czasie będzie już w mieszkaniu, poza tym nie mają pojęcia o jej wyglądzie.

Grainger przemyślał usłyszaną odpowiedź i zapytał:

— Mówiłeś o dwóch niebezpiecznych momentach: kiedy może wystąpić drugi?

— W chwili wyjścia z budynku o jedenastej wieczorem. Będę tuż za panem, ale przez kilka sekund będzie pan wystawiony na strzały snajpera. Po tych kilku sekundach znajdzie się pan z powrotem w budynku i zostanie tam, aż wszystko się skończy, co nie powinno potrwać dłużej jak pół minuty. — Spojrzał senatorowi prosto w oczy i dodał: — Pozwalam na podjęcie tego ryzyka tylko dlatego, iż jesteśmy na dziewięćdziesiąt pięć procent pewni, że planują porwanie, a nie próbę zabójstwa na miejscu.

— Czyli jest w tym element ryzyka? — zapytał senator.

— Oczywiście, jak zawsze w takich sprawach. Poznał pan już smak kul?

— Tak, walczyłem w Korei. Zostałem ranny.

— No więc jest to co prawda inny rodzaj wojny, chociaż niesie ze sobą równe ryzyko. . . Tak się dziwnie składa, że dzięki temu śmierdzielowi Miguelowi mamy teraz nad nim przewagę: możemy wybrać miejsce i czas. — Zerknął na zegarek. — Pora już odwiedzić pańską dobrą przyjaciółkę, Glorię.

— Po co?

— Żeby zatelefonować do Curtisa Bennetta. Muszę z nim zamienić słowo.

— Na jaki temat?

— Chodzi mi o śledzenie żołnierzy rodziny Moretti. Jeżeli w ciągu jednego dnia po pana pierwszym telefonem do Nicole wyjedzie z Detroit większa ich grupa,

będzie to dla nas znak, że chwycili przynętę. Podam mu też kilka zdań kodowych, z których będzie mógł skorzystać dzwoniąc do pana z informacjami. Jeżeli zatelefonuje, będę podsłuchiwał waszą rozmowę na wewnętrznym aparacie.

Senator wstał i przeciągnął się.

— W porządku. A tak przy okazji, skąd wzięłeś tę Nicole?

— Nie ja — wyjaśnił Miller. — Creasy ją załatwił.

— To jego dziewczyna?

— Nie pytałem.

Nazajutrz o ósmej wieczorem zadzwoniła Mary Bennett. Grainger, który siedział z Millerem przy barku, odebrał telefon.

— Witaj, Jim — usłyszał jej głos. — To ja, Mary. Co u ciebie?

— Wszystko w porządku, skarbie. — Dał znak Millerowi. Ten zsunął się ze stołka, poszedł spieszenie do kuchni i podniósł słuchawkę wewnętrznego aparatu.

— Chciałam cię zapytać — ciągnęła Mary — czy będziesz może piątego w przyszłym miesiącu w Waszyngtonie?

— Jak najbardziej, skarbie. Przyjadę pod koniec miesiąca i zostanę na jakieś trzy tygodnie. Planuję kupić mniejsze mieszkanie. A może pomogłabyś mi w doborze mebli i dekoracji wnętrz? Wiesz, że mam do tego dwie lewe ręce.

— Z prawdziwą przyjemnością. Chociaż mam inny gust niż Harriot.

— Masz wspaniały gust, Mary. Chcę, żeby w mieszkaniu dominowała prostota... A co ma być tego piątego?

— To jest akurat niedziela i chcemy urządzić przyjęcie z grillem. Nic wielkiego, na jakieś tuzin osób, ale ich obecność gwarantuje dobrą zabawę. To co, przyjdiesz?

— Nawet końmi by mnie nie odciągnęli — zażartował. — Przy okazji będziemy mogli porozmawiać o moim mieszkaniu. O której?

— Gdzieś na pierwszą. Ale wszystko może się trochę przeciągnąć, znasz przecież Curtisa. Zarezerwuj sobie lepiej czas do szóstej. W każdym razie zabawa będzie przednia, zaprosiłam gości różnego pokroju.

Roześmiał się.

— Tak, wśród twoich przyjaciół trafiają się rzeczywiście najdziwaczniejsze typy. Nie mogę się już doczekać. Do zobaczenia, moja droga.

Miller wyszedł z kuchni, trzymając w ręku kartkę, na której zanotował treść rozmowy. Położył kartkę na barku i obaj pochylili się nad nią. Miller podkreślił ołówkiem kilka zdań i dał znak senatorowi. Wzięli swoje kieliszki i wyszli do ogrodu.

— Ryba chwyciła przynętę — powiedział Miller z nie ukrywaną satysfakcją. — Wiemy już, że w dniu dzisiejszym między pierwszą a szóstą sześciu żołnierzy Morettich wyleciało z lotniska w Detroit w różnych kierunkach. — Uśmiechnął

się. Najwyraźniej dopisywał mu humor.

Obrzucił senatora szybkim spojrzeniem i dodał:

— Oczywiście, że nie chcą pakować się do tego samego samolotu i lecieć od razu do Denver. To wyglądałoby zbyt podejrzanie. Z drugiej strony, skoro wszyscy wylecieli w przeciągu pięciu godzin, to znaczy, że nie połapali się, iż FBI wzięło ich pod szczególną obserwację, w przeciwnym razie rozłożyliby wyjazdy na dwa, trzy dni. — Rzucił okiem na trzymaną w ręku kartkę i orzekł: — A więc za cztery dni licząc od dzisiaj umówi się pan na miłosną randkę z Nicole.

— Po co czekać tak długo? — zdziwił się Grainger. — Chciałbym mieć to jak najprędzej za sobą i wrócić do normalnego życia.

— Muszę poczekać na posiłki — odparł Miller. — Tamci mają tu już pewnie ze dwóch, trzech ludzi, co w sumie daje dziewięć do dziesięciu osób.

— To ile osób przyjedzie?

— Jedna.

Senator spojrział na niego i zauważył:

— Z tego wynika, że siły wynosić będą sześciu naszych na ich dziewięciu albo dziesięciu? Niezbyt równy układ, Frank.

Z twarzy Australijczyka nie schodził uśmiech.

— Wspaniały układ — zaprzeczył. — Trudno wymarzyć sobie lepszy.

James S. Grainger odczuwał napięcie, ale nie strach. Przemierzał właśnie pierwszą niebezpieczną strefę. Dwie minuty wcześniej wyślizgnął się z restauracji tylnymi drzwiami przez kuchnię, ukłoniwszy się uprzejmie po drodze zaskoczonemu szefowi kuchni. Znajdował się na dosyć szerokiej ulicy. Niebieski Ford stał zaparkowany dokładnie tam, gdzie według opisu Millera miał stać. Miller uprzedził go, że niebezpieczeństwo zacznie mu grozić z chwilą, gdy wjedzie na jezdnię, do tego momentu będzie miał zapewnioną ochronę. Założył białe bawełniane rękawiczki, które dał mu Miller.

Czuł w sobie narastające napięcie. Jadąc obserwował pozostałe samochody, a gdy zatrzymał się na światłach, nie spuszczał z oka przechodniów.

Potrzebował zaledwie trzech minut, żeby dojechać do budynku mieszkalnego, który znajdował się na cichej, porośniętej drzewami alei. Zgodnie z instrukcją zaparkował samochód pięćdziesiąt metrów za budynkiem. Był coraz bardziej spięty. Rozejrzał się dookoła. Po drugiej stronie ulicy spacerowała starsza dama z kunsztownie wyfryzowanym pudłem-miniaturką. Z naprzeciwka zbliżała się para młodych zakochanych trzymając się za ręce. Poczekał, aż znaleźli się przy samochodzie, błyskawicznie wysiadł, zamknął samochód i podążył ich śladem. Zakochani minęli budynek, a on szybkim krokiem ruszył ku drzwiom wejściowym.

W budynku zainstalowany był domofon. Stał na wprost przycisków i zasłaniając je przed niepożądanym wzrokiem wybrał numer dwieście cztery. Momentalnie odpowiedział mu głos Nicole.

— To ja, Jim, pięćset pięć — powiedział zgodnie z instrukcją. Drzwi otworzyły się.

Z uczuciem ulgi wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Na wprost znajdowała się winda, po prawej stronie schody. Zgodnie z poleceniem wspiął się po stopniach na drugie piętro. Miller stał w otwartych drzwiach mieszkania numer dwieście cztery, trzymając w prawej dłoni pistolet z lufą wycelowaną w sufit. Odsunął się, żeby przepuścić Graingera, ale pozostał jeszcze w progu przez dwie minuty i nasłuchiwał. Dziewczyna siedziała na sofie. Była rzeczywiście piękna: długie, ciemne, proste włosy, wystające kości policzkowe i szerokie czerwone

usta. Jej strój nie świadczył o tym, że jest kochanką wysoko postawionej osoby: miała na sobie dżinsową koszulę wpuszczoną w dżinsowe spodnie.

Nie wstała na widok Graingera. Senator zbliżył się i właśnie zamierzał coś powiedzieć, kiedy dziewczyna przyłożyła palec do swych czerwonych ust. Odwrócił się i zobaczył, że Miller nasłuchuje w otwartych drzwiach. Miał na sobie sięgający do kolan czarny płaszcz przeciwdeszczowy, który z przodu i po bokach był wyraźnie wybrzuszony. Zadowolony zamknął w końcu drzwi, podszedł do stołu, położył na nim pistolet i zdjął płaszcz. Pod spodem miał umocowane na piersiach parciane szelki na broń. Po lewej stronie przypiął śrutówkę o bardzo krótko obciętych lufach, po prawej bardzo mały pistolet maszynowy ze składaną kolbą, a tuż obok z ładownicy wystawały trzy zapasowe magazynki. Odpiął broń i położył na stole. Następnie wziął pistolet i wsunął go w kaburę zawieszoną pod lewą pachą.

— Jak na razie wszystko idzie dobrze — powiedział z uśmiechem.

Dziewczyna wstała. Wtedy Miller, zupełnie jakby prowadził dom schadzek, przedstawił ich sobie:

— Jim, poznaj Nicole. Nicole, to jest Jim.

Wyciągnęła rękę i senator uścisnął jej dłoń ze sztywną formalnością. Czuł się, jakby zapomniał języka w gębie, co w przypadku polityka jest nader niezwykle. Dziewczyna uśmiechnęła się i cofnęła rękę. Podeszła do kredensu w rogu pokoju.

— Słyszałam, Jim, że pijasz whisky z wodą sodową.

Pytając spojrzała na Millera. Ten podziękował i zwrócił się do senatora:

— Niech pan pije powoli, senatorze. Przez następne dwie godziny może pan wychylić nie więcej niż trzy szklaneczki.

Dziewczyna wręczyła senatorowi drinka, po czym usiadła na sofie, sięgnęła po leżący na stoliku magazyn kobiecy i zaczęła czytać.

Senator z kieliszkiem w ręku podszedł do Millera.

— Co dalej, Frank?

— Czekamy. Zobaczymy, jak mocno ryba nadziała się na haczyk.

— Skąd będziemy to wiedzieć?

Australijczyk wskazał na stół, na którym obok broni stało małe, czarne metalowe pudełeczko, z którym, podobnie jak dwaj pozostali ochroniarze, nigdy się nie rozstawał. Obok pudełeczka leżały notes i ołówek.

— Będziemy wiedzieć, kiedy zapika to małe pudełeczko.

Maxie MacDonald tymczasem odegrał w restauracji scenę przeszukiwania męskiej toalety. Zajrzał nawet do damskiej. Wypytał szefa kuchni i wybiegł w pośpiechu tylnym wyjściem. Rene czekał na niego w wynajętym samochodzie.



## 39

Grainger spostrzegł, że zarówno Nicole, jak i Miller noszą takie same białe bawełniane rękawiczki. Sącył właśnie drugiego drinka, kiedy małe czarne pudełeczko wydało pierwszy pikający sygnał. Przez kilka kolejnych minut nie milkło, a Miller skrzętnie notował. Gdy ucichło, wcisnął przycisk pięć razy w różnych odstępach czasu.

— Ryba mocno chwyciła haczyk — oznajmił, spoglądając z uśmiechem na Graingera.

Senator podszedł do niego i spojrział na zapisaną kartkę. Ujrzał na niej bezładnie rozrzucone rzędy liter.

— Alfabet Morse'a?

— Nie — zaprzeczył Miller. — Nasz własny szyfr.

— Co z tego wynika?

Miller wstał, przeciągnął się i poprawił kaburę.

— W myśl otrzymanej informacji ludzie Morettich czekają w dwóch samochodach. Jeden stoi na ulicy z trzema mężczyznami, wśród nich jest jeden z braci Moretti. Rozpoznaliśmy go dzięki zdjęciom policyjnym otrzymanym od Curtisa Bennetta. Musieli dostać kupę szmalu, skoro ryzykują wewnątrz rodziny. — Zbliżył się do okna wychodzącego na ulicę i wyjrzał przez szparę w zasłonie. Po chwili rzucił przez lewe ramię: — Stąd niewiele widać, w każdym razie stoi jakieś czterdzieści metrów na lewo. Czarny Pontiac. Nie widzę go, bo zasłaniają drzewa. Drugi samochód czeka na rogu z jedną osobą w środku. Pełni rolę wozu zapasowego na wypadek, gdyby pierwszy się zepsuł. O wszystkim pomyśleli.

— Jaki może być ich plan? — spytał Grainger.

Miller odwrócił się od okna i wrócił do stolika.

— W grę wchodzi trzy możliwości — zaczął. — Mogą na przykład pierwszy samochód zaparkować blisko pańskiego i czekać, aż zbliży się pan do samochodu, i wtedy dokonać porwania. Albo też, kiedy wyjdzie pan z budynku, ich samochód ruszy na pana, wjedzie na chodnik, i wyskoczą z niego napastnicy. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Grainger miał dziwne wrażenie, że Miller doskonale się bawi. Ten tymczasem ciągnął dalej: — Jednak naszym zdaniem najbardziej prawdopodobny jest trzeci wariant.

— To znaczy?

— Mniej więcej dziesięć, piętnaście minut przed jedenastą, czyli przed spodziewaną godziną pańskiego wyjścia z budynku, przed drzwiami wejściowymi zacznie się kręcić nieznamy. Może to być pijak albo dobrze ubrany biznesmen szukający adresu. Ktokolwiek by to był, będzie na pewno młody i wysportowany. Kiedy wyjdzie pan z budynku, podejdzie do pana z jakimś pytaniem. Może to będzie prośba o wskazanie drogi albo pijackie błaganie o dolara na kolejny kieliszek. . . Spróbuje jak najbardziej zbliżyć się do pana. Potem albo pana schwyci i przytrzyma, albo weźmie na muszkę do czasu, aż podjedzie samochód i wciągną pana do środka.

— To co mam robić? — chciał wiedzieć Grainger.

— Nie pozwoli pan, by zbliżył się do pana bardziej niż na cztery metry. Kiedy tylko przekroczy tę granicę, zawróci pan i ruszy prosto do drzwi, które będą lekko zablokowane, żeby się nie zamknęły.

— A jeśli tamten wyciągnie broń i strzeli mi w plecy?

— Tego nie robi — zapewnił Australijczyk. — W sekundę po tym, jak pan odwróci się, będzie już martwy. W chwilę później wybuchnie krótką, zaciekła strzelanina. Pan pozostanie w holu budynku do momentu, aż usłyszysz pan takie pukanie do drzwi. — Nachylił się i kostkami palców zastukał trzy razy w stół, przerwał i powtórzył ten sam sygnał. — Zaraz potem proszę szybko wychodzić.

Zaczął krążyć po pokoju, nie oddalając się jednak zbyt od stołu i leżącej na nim broni.

— Brakuje dwóch, trzech osób.

— Brakuje? Przecież wiemy, że mamy tylko sześciu.

Miller pokręcił głową.

— Chodzi o to, że nie mogę doliczyć się żołnierzy Morettich. Na dole w dwóch samochodach siedzi czterech, jeden będzie kręcił się w pobliżu drzwi wejściowych, to razem pięciu. Wiemy, że mają jeszcze trzech albo czterech, jeden z tej liczby na pewno kieruje usytuowaną gdzieś bazą operacyjną. Zatem dwóch lub trzech pozostałych będzie rozlokowanych gdzie indziej.

— Gdzie na przykład? — spytał Grainger.

Miller przerwał marsz po pokoju.

— Znając ich wiedzę i doświadczenie — zaczął — jesteśmy przekonani, że ustawią gdzieś grupę rezerwową. Logika podpowiada, że powinno to być na drodze prowadzącej do pańskiej rezydencji. — Spojrzał na zegarek. — Nie pojawią się tam pewnie wcześniej niż jakieś dwadzieścia minut przed jedenastą. Pańska rezydencja jest usytuowana w spokojnej okolicy i nie chcieliby pałętać się tam zbyt długo na oczach okolicznych mieszkańców. Samochody wszystkich mieszkańców są zawsze zaparkowane poza jezdnią, będziemy zatem szukać pojazdu stojącego przy jezdni. W każdym razie jesteśmy teraz na sto procent pewni jednego: planują porwanie, a nie zabójstwo.

Zwracając się do Nicole, poprosił:

— Mogłabyś zaparzyć kawę? Napije się pan, senatorze?

— Dziękuję, chętnie.

Nicole odłożyła czasopismo na stolik i poszła do kuchni.

— Skąd ta absolutna pewność? — spytał Grainger.

— Najlepszym świadectwem są ich przygotowania — odparł Miller wskazując przez okno na ulicę. — Gdyby planowali zabójstwo, użyliby nie więcej jak trzech osób: jedna miałaby pociągnąć za spust, druga stanowić rezerwę, a trzecia kierować samochodem. Może pan mi wierzyć, w grę wchodzi tylko porwanie. — Zerknął na zegarek. — Już kwadrans po dziesiątej, proszę się więc odprężyć i nalać sobie ostatnią szklaneczkę whisky.

— Doleję sobie do kawy.

Naraz małe czarne pudełeczko odezwało się serią sygnałów. Miller doskoczył do stołu, zaczął słuchać i robić krótkie notatki. Na koniec wcisnął dwukrotnie przycisk i wyprostował się.

— Rutynowy meldunek — poinformował Graingera. — Na razie nic nowego. Moi ludzie będą zgłaszać się teraz co dziesięć minut, chyba żeby coś się zaczęło dziać.

Nicole zjawiała się z tacą i podała im kawę. Grainger podszedł z filiżanką do kredensu z alkoholem i dolał do kawy sporą porcję szkockiej. Zbliżył się do stołu i zaczął przyglądać się leżącej na nim broni,

— Niezła siła ognia — orzekł.

— Zgadza się — przytaknął Miller i dodał klepiąc śrutówkę z obciętymi lufami: — To chyba najlepsza broń bliskiego zasięgu, jaką kiedykolwiek wymyślono.

— A ten pistolet maszynowy?

— *Ingram model 10* jego największą zaletą jest rozmiar. Można go bez trudu ukryć, tyle że ma zbyt dużą szybko-strzelność. Wolałbym *Uzi*, ale dla celów tego zadania jest zbyt nieporęczny.

Rozmowa zesłała na temat broni strzeleckiej. Grainger opowiedział o swoim pobycie w wojsku i o służbie w Korei. W pewnej chwili czarne pudełeczko znów się odezwało. Miller słuchał jednym uchem i wcisnął dwukrotnie przycisk na potwierdzenie odbioru przekazu.

— Rutynowe sprawdzanie — przypomniał i spojrzął na zegarek. — Zostało jeszcze pół godziny.

Znowu zaczął przemierzać pokój.

## 40

W dziesięć minut później czarne pudełeczko ponownie dało o sobie znać, ale i tym razem był to rutynowy meldunek. Po pięciu minutach odezwało się jeszcze raz i nadawało sygnały przez dwie minuty. Miller skrętnie wszystko notował. Nadał jak zwykle sygnał potwierdzenia i odwrócił się do senatora z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Zlokalizowaliśmy ich grupę rezerwową — oznajmił.

— Gdzie są?

— W odległości mniej więcej dwóch kilometrów od pańskiej rezydencji. Przyjechali małą białą furgonetką. Jest ich dwóch, a w tyle samochodu jest pewnie kolejnych dwóch.

— Skąd wiadomo, że to oni?

— Dwaj z przodu wysiedli, otworzyli maskę samochodu i zaczęli majstrować przy silniku. Jednym z nich był najmłodszy z braci Moretti.

— Co zamierzasz zrobić?

— Zajmiemy się nimi — odparł Miller zdecydowanie.

Zerknął na zegarek, po czym spojrzął na Nicole i powiedział:

— Zostało piętnaście minut.

Nicole skinęła głową, wstała i przeszła do sypialni. Po dwóch minutach wyszła stamtąd ubrana w granatowy płaszcz i z małą torebką w ręku. Położyła torebkę przy drzwiach i wróciła na sofę. Upłynęła kolejna minuta i czarne pudełeczko odezwało się serią dźwięków. Kiedy wreszcie umilkło, Miller wcisnął przycisk pięć razy w umówionym porządku.

— To policjant — oznajmił.

— Jaki znowu policjant? — nie zrozumiał senator.

— Mówię o mężczyźnie, który miał się kręcić w pobliżu drzwi wejściowych.

— Policjant? — powtórzył Grainger z niedowierzaniem.

— Raczej jeden z „żołnierzy” Morettich przebrany za policjanta.

— Skąd ta pewność?

— To stara sztuczka. Używały jej Czerwone Brygady we Włoszech i prawicowe oddziały uderzeniowe w całej Ameryce Środkowej i Południowej. Ludzie nie podejrzewają policjantów.

— Ale nie masz stuprocentowej pewności?

Miller wzruszył ramionami.

— Facet czai się pod osłoną drzewa, niecałe dziesięć metrów od budynku. Prawdziwi policjanci nie kryją się w cieniu. Chowa się w obawie, że może nadjechać patrol prawdziwych policjantów, a wtedy zawsze zdąży dać nura za drzewo. Bez wątpienia to człowiek Morettich. — Chwycił śrutówkę i przypiął ją do szelek na broń lufami do dołu. W ten sam sposób przypiął pistolet maszynowy. Narzucił na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, ale nie zapiął go na guziki: wisiał na nim luźno, zakrywając broń.

— Przećwiczmy wszystko jeszcze raz — zaproponował. — Przekracza pan próg drzwi i robi trzy małe kroki, następnie zatrzymuje się pan i nabiera w płuca wieczornego powietrza. Policjant ruszy w pana stronę, mówiąc coś pod pana adresem. Proszę go najlepiej w ogóle nie słuchać. Kiedy będzie dzieliło was nie więcej niż trzy metry, powie pan głośno: „Niech to licha! Zapomniałem o czymś”. Robi pan w tył zwrot i jak można najszybciej wraca do budynku. Poczekaj pan tam z Nicole, aż usłyszysz pan ten sygnał. — Zapukał trzy razy w blat stołu, odczekał i powtórzył umówiony sygnał.

— Nicole idzie z nami? — spytał Grainger.

— Nie do końca. Możecie się pożegnać w holu.

Przeczesał wzrokiem pokój upewniając się, czy niczego nie zostawili. Potem spojrział na zegarek i położył palec na przycisku czarnego pudełeczka. Przytrzymał przycisk przez, pięć sekund, po czym wsunął pudełeczko do kieszeni płaszcza. Spojrział na Graingera.

— No to ruszamy — zdecydował.

# 41

Kiedy znaleźli się w holu, Miller dał znak Nicole. Przesunęła się w bok i położyła torebkę u stóp. Sprawiała wrażenie spiętej. Na twarzy Graingera także malowało się napięcie.

Miller odchylił płaszcz, odpiął dubeltówkę i chwycił ją w lewą rękę. Przysunął się do drzwi, przywarł plecami do ściany i spojrzął na Graingera.

— Jest pan gotowy?

Grainger wziął głęboki oddech i skinął potakująco głową. Miller lufami dubeltówki pokazał mu drzwi i powiedział jak najspokojniej:

— No to w drogę. Proszę się nie spieszyć przy wyjściu, niech to wygląda naturalnie.

Grainger jeszcze raz nabrał powietrza w płuca. Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Zerknął szybko w lewo i zobaczył samochód zaparkowany około czterdzieści metrów dalej. Samochód senatora stał tuż obok tamtego. Powrócił spojrzeniem przed siebie i w tym momencie dobiegł go warkot zapuszczanego silnika. Silnik nabierał błyskawicznie obrotów. Policjant wyłonił się z cienia po prawej stronie. Był wysoki, młody, o śniadej cerze.

— Dobry wieczór! — krzyknął w stronę Graingera. — Jest pan może przypadkiem mieszkańcem tego bloku?

Szedł powoli w jego kierunku przybierając miły wyraz twarzy.

Grainger nie odezwał się słowem. Patrzył na zbliżającego się mężczyznę i mierzył dzielącą ich odległość. Osiem metrów.

— Mieliśmy meldunek, że coś się tam dzieje — ciągnął policjant. Sześć metrów. — Dlatego właśnie patroluję ten teren.

Cztery metry.

— Niech to lichy! Zapomniałem o czymś — rzucił szybko Grainger i obrócił się błyskawicznie na pięcie. Zrobił zaledwie jeden krok, kiedy usłyszał za sobą głucho plaśnięcie. Zaraz potem rozległ się pisk opon. Otworzył pchnięciem drzwi. Zerknął szybko za siebie: policjant leżał na wznak na chodniku, z drgającymi konwulsyjnie nogami.

W następnej chwili był już w holu. Miller zgięty w pół wypadł na ulicę krzycząc w jego stronę:

— Zamknij drzwi!

Czarny samochód zatrzymał się z piskiem opon. Wypadło z niego dwóch mężczyzn: jeden z przodu, drugi z tylnego siedzenia.

Miller dał ognia z obu luf. Pasażera z tyłu rzuciło na bok samochodu, drugi napastnik wylądował na masce. Miller wypuścił z ręki dubeltówkę, która zawisła luźno na szelkach. W mgnieniu oka chwycił pistolet maszynowy i oddał dwie serie w kierunku samochodu, którego silnik zwiększał gwałtownie obroty. Obie serie były wycelowane w opony i obie doszły celu. Samochód przejechał jeszcze dziesięć metrów i zjechał na bok. Kierowca wyskoczył i rzucił się do ucieczki. Miller spojrział w prawo, skąd z rogu ulicy rozbrzmiały kolejne strzały. Kierowca przebiegł zaledwie piętnaście metrów, gdy ścięły go kule.

W budynku w górze ulicy rozległ się krzyk kobiety i po chwili zaległa cisza. Miller przebiegał wzrokiem ulicę. W końcu sięgnął do kieszeni płaszcza i wcisnął szybko trzy razy przycisk metalowego pudełeczka.

Odpowiedział mu pojedynczy sygnał i po czterech sekundach zza rogu wyłonił się biały Lincoln Continental i skierował się majestatycznie w stronę budynku. Miller ruszył ku drzwiom wejściowym.

Stojący w środku Grainger usłyszał trzy krótkie stuknięcia i zaraz potem trzy następne. Otworzył drzwi.

Zobaczył martwego policjanta leżącego na chodniku. Dwa inne ciała spoczywały na ulicy, za nimi stał uszkodzony samochód, a za samochodem leżały jeszcze jedne zwłoki. Biały Lincoln podjechał. Przy kierownicy siedział Maxie MacDonald. Maxie otworzył tylne drzwi. Miller wciąż przeczesywał wzrokiem ulicę trzymając w prawym ręku pistolet maszynowy.

— Siadajcie oboje z tyłu! — rzucił ostro do senatora i Nicole.

Pokonali chodnik biegiem. Nicole wrzuciła torebkę do samochodu i nie zwlekając znalazła się w środku. Grainger podążył jej śladem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

W trzy sekundy później Miller siedział już obok kierowcy i Lincoln natychmiast ruszył.

Kiedy przejechali w całkowitym milczeniu trzy przecznice, senator spytał:

— A co z tamtym, który czekał w zapasowym samochodzie na rogu ulicy?

— Rene go załatwił — odparł Miller.

Za nimi słychać było odgłosy syren. Miller wcisnął przycisk czarnego pudełeczka, które odpowiadało mu serią sygnałów.

Po minięciu kolejnych dwóch przecznic wjechali na otwarty parking. Stały na nim tylko dwa samochody, zaparkowane jeden obok drugiego: zielony Datsun i czarny Ford. Za kierownicą Datsuna siedział mężczyzna.

— Zmienimy samochody — wyjaśnił Miller — i pożegnamy się z Nicole.

Wysiedli wszyscy z Lincolna. Nicole pocałowała każdego z trzech mężczyzn w policzki i zajęła miejsce na przednim siedzeniu Datsuna, który w tej samej

chwili ruszył z miejsca.

Grainger, wciąż oszołomiony, krzyknął za oddalającym się wozem:

— Dziękuję!

— Proszę zająć tylne miejsce, senatorze — ponaglił go Miller. — To jeszcze nie koniec.

Grainger posłusznie wsiadł. Maxie usadowił się za kierownicą, a Miller obok niego. Ruszyli w stronę rezydencji senatora.

Po ujechaniu mniej więcej kilometra zjechali do krawężnika i zatrzymali się. Maxie wyłączył światła i spojrzał na zegarek: było dokładnie dwanaście po jedenastej. Siedzieli w milczeniu, które przerwał senator:

— Na co czekamy?

Maxie podniósł rękę.

— Proszę cierpliwie czekać. Nie potrwa to dłużej jak dwie minuty.

Znowu zapadła cisza. Wreszcie zatrzymał się za nimi jakiś pojazd. Grainger odwrócił głowę, żeby go obejrzeć. Był to odkryty, mocno poobijany dżip, w którym znajdował się nie znany Graingerowi mężczyzna. Dżip mrugnął dwa razy światłami. Maxie zapalił światła Forda i włączył się do rzadkiego strumyka pojazdów. Dżip jechał tuż za nimi.

Wydarzenia ostatnich minut na zawsze zapisały się w pamięci Graingera. Podobnie to, co nastąpiło za chwilę, miało pozostać w nim do końca życia.

Mniej więcej dwa kilometry od rezydencji senatora od jezdni odchodziła ostrym zakrętem boczna droga. Kiedy od zakrętu dzieliło ich jakieś dwieście metrów, odezwało się czarne pudełeczko w kieszeni Millera. Maxie zjechał nieco na bok i zwolnił. Dżip minął ich z warkotem silnika. Maxie przyspieszył, utrzymując między pojazdami odległość około siedemdziesięciu metrów.

— Niech pan teraz uważa — rzucił do Graingera przez ramię. Senator nachylił się i, wyężając wzrok ponad plecami obu mężczyzn, patrzył przez przednią szybę. Kiedy skręcili, dostrzegł zaparkowaną na poboczu białą furgonetkę. Obok pojazdu stał mężczyzna i przypatrywał się dwóm nadjeżdżającym samochodom. W odległości pięćdziesięciu metrów od furgonetki dżip zwolnił i skręcił na środek jezdni. Z tylnego siedzenia dżipa wysunęła się odziana na czarno sylwetka z grubą rurą długości około półtora metra na ramieniu. Przednia część rury miała kształt grzyba. Grainger zobaczył, jak z tyłu rury błyska żółtobiały obłoczek. Przód w kształcie grzyba zaczął się odłączać jakby w zwolnionym tempie, i nagle, nabrawszy prędkości, pomknął na drugą stronę ulicy. Uderzył w furgonetkę, mijając zaledwie o centymetry lewe ramię stojącego przy niej mężczyzny.

Furgonetka zwała się na bok. Huk wybuchu odbił się echem w uszach Graingera. Kierowany przez Maxiego Ford poruszał się ślimaczym tempem. Z jego okien widzieli, jak furgonetka zamienia się w kulę ognia i wywraca się na dach.



Mężczyzna, który chwilę wcześniej stał obok wozu, leżał teraz nieruchomo na trawie. Nagle zaczął się gwałtownie ruszać. Senator przeniósł spojrzenie na drugą stronę ulicy. Mężczyzna na tylnym siedzeniu stojącego teraz dżipa mierzył z pistoletu maszynowego. Nie przestawał strzelać, aż wpackował cały magazynek w leżące na trawie ciało. Zaraz potem schował się szybko we wnętrzu samochodu, który odjechał nabierając błyskawicznie szybkości.

Grainger opadł na siedzenie Forda i wymamrotał:

— Muszę napić się szkockiej.

Maxie roześmiał się.

— W pełni sobie na to zasłużyłeś, Jim.

Minęli płonący wrak furgonetki i ruszyli spokojnym tempem w kierunku rezydencji senatora.

Od celu dzieliło ich kilka minut. W pewnej chwili Miller odezwał się:

— Gracko się spisałeś, Jim. Jak tylko dojedziemy do domu, zadzwonisz do swojego przyjaciela Curtisa Bennetta i powiesz, żeby przydzielił ci rutynową ochronę. Powtarzam — rutynową. Rodzina Moretti jest już skończona, a po tym, co się stało, nikt inny nie będzie miał ochoty brać zlecenia na zajęcie się twoją osobą.

— A ostatni z braci, który pozostał w Detroit? — dociekał Grainger. — Może zechcieć się mścić.

Obaj siedzący w przodzie mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

— Gino Moretti, najstarszy z całej trójki, jest już chodzącym trupem. Jeszcze trzy, cztery dni i pójdzie w ślady swoich braci.

— Chcecie się do niego dobrać? — zaciekał się Grainger.

— Nie my, ale Creasy.

— Creasy?!

— Tak, jest już w drodze.

— Jest teraz w Stanach?

— Jak najbardziej — odparł Miller. — To właśnie jego widziałeś przed chwilą w tyle dżipa. Obchodzi się z granatnikiem przeciwpancernym z równą czułością, jakby pieścił udo dziewczyny. Tak jak powiedział Maxie, Gino Moretti jest już chodzącym trupem,

Rene Callard czekał na nich w rezydencji. Stał na terenie posesji przy bramie frontowej, a obok niego leżały trzy czarne torby.

— Co z ich grupą rezerwową? — zapytał Millera.

— Mieli mały fajerwerk — odrzekł Miller przywołując na twarz szeroki uśmiech. — Usunąłeś wszystkie pluskwy?

— Załatwione — odpowiedział Belg.

Miller odwrócił się do senatora.

— Nie będziemy ci się więcej tu naprzykrzać, Jim. Praca dla ciebie była prawdziwą przyjemnością, podobnie jak twoje towarzystwo.

— Było to z pewnością nader pouczające doświadczenie — mruknął Grainger.  
— Tylko co mam powiedzieć Bennettowi? Będzie miał tysiące pytań.

Miller wzruszył ramionami.

— Powiedz mu prawdę. Wymknąłeś się ochronie, żeby zrobić sobie miłą randkę, i wpakowałeś się w sam środek wojny gangów.

— Przecież mi nie uwierzy.

Maxie, który zdążył już załadować trzy czarne torby do bagażnika Forda, podszedł uśmiechając się promiennie.

— Ale to święta prawda, Jim. Przecież właśnie to miało miejsce. Jutrzejsze poranne gazety ogłoszą grubym drukiem: „Wojna gangów w Denver”.

— Mam nadzieję, że nie pojawi się tam moje nazwisko — mruknął Grainger.

Cała trójka stała teraz na wprost niego.

— Bez obawy — zapewnił go Rene. — Ci, którzy wiedzieli, że tam byłeś, albo już nie żyją, albo lada moment przekroczą granice Stanów. Naprawdę nie ma powodu do obaw.

Grainger raptem zdał sobie sprawę, że od kilku minut zwracają się do niego po imieniu.

— Czyli już po wszystkim? — bąknął.

— Właśnie — potwierdził Miller. — Teraz nalej sobie solidną porcję mocnej whisky i zadzwoń do Bennetta.

Nazajutrz gazety opisały całą historię zamieszczając również zdjęcia martwych ciał i spalonych, zrytych pociskami samochodów. Nazwisko senatora nigdzie się nie pojawiło.

W cztery dni później gazety znów miały o czym pisać. Na pogrzebie dwóch braci Gina Morettiego było rojno od przedstawicieli świata zorganizowanej przestępczości. Wokół stały dziesiątki czarnych limuzyn, piętrzyły się piramidy drogich wieńców. Obie trumny, jedna obok drugiej, opuszczono właśnie do grobu. Gino Moretti zbliżył się z dużym wieńcem w ręku. Spojrzał na trumny i miał już rzucić na nie wieniec, kiedy pocisk trafił go w łędźwiową część kręgosłupa. Pocisk kalibru 8 mm wypełniony był ładunkiem rtęci, która eksplodowała w ciele Giną Morettiego, zanim wpadł do szerokiego grobu.

Według policji kula została wystrzelona z dachu najbliższego wysokościowca. Budynek stał jednak w odległości dobrych trzystu metrów, strzał musiał zatem być oddany przez wysmienitego snajpera.

## 42

Creasy spędził dwa dni w Brukseli, gdzie naradzał się z małomównym Korkociągiem juniorem. Doszedł do wniosku, że Korkociąg Dwa ma szansę dorównać swemu ojcu. Zgodnie z zaleceniami Creasy'ego zdążył już przygotować dwa bezpieczne domy na terenie Syrii i zadbał o to, by sprzęt dotarł na miejsce. Creasy poinformował go, że przystąpi do akcji najprawdopodobniej za jakieś trzy miesiące.

Zbliżała się teraz północ. Korzystając z gościny Blondyneczki, Creasy leżał w łóżku w tym samym pokoju co zwykle i oglądał wieczorne wiadomości CNN. Rano czekał go powrotny lot na Gozo.

Po raz pierwszy od pamiętnego dwudziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku jego umysł odpoczywał. Zapewniwszy Graingerowi bezpieczeństwo czuł się tak, jakby pokonał niebywale wysoką przeszkodę. Przygotowania w Syrii zostały zakończone i jeżeli wzbudziły jakiegokolwiek podejrzenia, to powinny się one rozwiać w ciągu nadchodzących tygodni. Jibril oraz wywiad syryjski spodziewają się teraz gwałtownej eskalacji działań, kiedy jednak nic się nie wydarzy, ich czujność ulegnie przytępieniu.

Przeciągnął się z lubością. Towarzyszyło mu rzadkie u niego uczucie senności zwiastujące zdrowy, wieczorny sen. Sięgał po pilota, żeby wyłączyć telewizor, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zgasił telewizor i złapał pistolet leżący na nocnym stoliku.

— Proszę! — krzyknął.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Nicole ubrana z prostą elegancją. Powitał ją uśmiechem i odłożył pistolet. Zamknęła drzwi i również z uśmiechem przysiadła na skraju łóżka.

— Kiedy wróciłaś? — spytał.

— Jakież dwie godziny temu.

— Czyli zrobiłaś sobie małe wakacje, jakie ci zalecałem? Skinęła głową z entuzjazmem.

— Tak, cztery dni. Pojechałam, to znaczy pojechaliśmy — na Florydę.

— „My”?

— No, tak. Maxie zawiózł mnie na lotnisko i nagle, pod wpływem chwili

postanowił, że pojedzie ze mną. Oczywiście lecieliśmy osobnymi samolotami.

Creasy obdarzył ją szerokim uśmiechem.

— Pod wpływem chwili, mówisz?

Zmieszała się nieco.

— Tak... W czasie tych paru wspólnie spędzonych dni w Denver trochę się zaprzyjaźniliśmy.

Creasy znowu się uśmiechnął.

— Gdzie jest teraz Maxie?

— Będzie tu jutro wieczorem.

— I co potem?

Skrzywiła twarz w grymasie.

— O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Z lotniska zadzwoniłam do Blondyneczki i dowiedziałam się od niej, że z samego rana wyjeżdżasz. No więc przyszedłam... — Była spięta ze zdenerwowania. Zobaczył, jak zerka w stronę narożnego stolika, na którym stała butelka szkockiej, butelka wódki, pojemnik z lodem i dwie szklaneczki.

— Śmiało, poczęstuj się — zaproponował, — ja poproszę trochę szkockiej z lodem.

Zbliżyła się do stolika i naląła dwie szkockie. Podała mu szklaneczkę i stanęła w nogach łóżka. Wyczuwał targające nią napięcie.

— Usiądź, Nicole — odezwał się spokojnym głosem. — Możesz mi o wszystkim opowiedzieć.

Przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła z wahaniem:

— No, więc chodzi o mnie i Maxiego.

— Domyślam się. — Uśmiechnęła się.

— No właśnie... Widzisz, na Florydzie dużo ze sobą rozmawialiśmy.

— Tylko rozmawialiście?

Uśmiechnęła się szerzej.

— W każdym razie przez większość czasu. Maxie doszedł do wniosku, że chciałby wycofać się z interesu. Postanowiłam, że zrobię to samo. Maxie zaoszczędził całkiem niezłą sumkę. Ja również, głównie dzięki pieniądzom, które mi dałeś w ciągu ostatnich paru tygodni.

— Nic ci nie dałem — zaprzeczył ostro. — Uczciwie zarobiłaś każdego centa.

Humor się jej poprawił i powiedziała raźniejszym już głosem:

— Planujemy otworzyć małe bistro i bar. Maxie zajmowałby się barem, a ja bistro: gotowanie i tym podobne.

Otworzył szeroko oczy.

— Gotowanie?!

— Jestem doskonałą kucharką — odparła wyzywająco. — Nauczyłam się od mojej babki.

— W porządku — podniósł rękę uspokajającym gestem. — Gdzie by to miało być?

— Tutaj, w Brukseli. Znam jeden lokal na sprzedaż, blisko rynku. Idealnie się do tego celu nadaje. Starsze małżeństwo, do którego lokal należy, przechodzi na emeryturę.

— W czym więc problem?

Westchnęła.

— Chodzi o ciebie i o Blondyneczkę...

— Nie rozumiem?

— Zacznę od ciebie. Maxie poważnie planuje zupełne wycofanie się z interesu, ale... Wiem, że gotów jest stawić się na każde twoje wezwanie. — Mówiąc to wbiła wzrok w koc leżący na łóżku. Podniosła głowę i dopowiedziała, patrząc mu prosto w oczy: — Nie mam co do tego wątpliwości. Jesteś dla Maxiego niczym świętość.

Creasy odezwał się, starannie dobierając słowa:

— Nie ma sprawy, Nicole. — Uśmiechnął się do niej i dodał: — Będziecie mnie widzieć jedynie wtedy, gdy przyjdę coś zjeść i wypić w waszym bistro. Jak chcecie je nazwać?

— „U Maxiego” — odpowiedziała jaśniejac na twarzy. — Maxie jest jednak przekonany, że operacja, którą teraz prowadzisz, nie jest jeszcze zakończona.

— To prawda — przytaknął Creasy. — Ale jego rola już się skończyła. A jaki problem macie z Blondyneczką?

Znowu spochmurniała na twarzy.

— Chodzi o mnie — szepnęła. — Kiedy Blondyneczką przyjmuje nową dziewczynę, to na samym wstępie wiadomo, że na okres nie krótszy niż rok. A ja pracuję u niej dopiero pięć miesięcy. Blondyneczką jest bardzo wpływową osobą w mieście i nie chciałabym zaczynać nowego życia mając ją za wroga.

— I chcesz, żebym z nią porozmawiał?

Skinęła głową.

— Dobrze, porozmawiam.

— Wszystko się dobrze skończy?

— Obiecuję. A teraz idź wreszcie i daj mi się przespać.

Wychyliła resztę szkoockiej, wstała i spojrzała na niego.

— Chcesz, żebym poszła z tobą do łóżka? — spytała. — To byłby ostatni raz.

Odpowiedział jej z powagą w głosie:

— W swoim życiu zrobiłem kilka głupstw, ale nie zamierzam powiększać ich liczby przez pójście do łóżka z dziewczyną Maxiego MacDonalda.

— Powiem mu to.

— Nie musisz.

## 43

Pod koniec października spadł na Gozo pierwszy deszcz i w ciągu dwóch tygodni z pozoru jałowa ziemia pokryła się dywanem zieleni.

Piękno przyrody spotęgowało tylko smutek Leonie. Jej sześciomiesięczna umowa dobiegała właśnie końca i jutro rano czekał ją wyjazd. Jechała do domu Schembrich, żeby się z nimi pożegnać, lecz wcale nie miała na to ochoty. Umyśliła sobie, że powie im — podobnie jak każdemu, kto by o to zapytał — że wyjeżdża i wróci po paru tygodniach. I tak będą wiedzieli, że jest inaczej.

Nie chciała wyjeżdżać, ale Creasy był nieugięty. „Umowa to umowa” — uciął zdecydowanie wszelkie dyskusje i, nie mówiąc słowa więcej, wręczył jej plastikowy portfel zawierający bilet dla niej i pismo od notariusza.

Jadąc teraz do domu Schembrich modliła się w duchu, żeby się przed nimi nie rozryczeć.

— Jesteś aktorką — upominała sama siebie. — Musisz odegrać swoją rolę do końca.

Pożegnanie przypominało w istocie starannie wyreżyserowaną scenę, w której wszyscy aktorzy znają swoje role, chociaż nie są nimi wcale zachwyceni. Joey i Maria również się zjawili. Leonie siedziała na patio z kieliszkiem czerwonego wina, patrzyła na zachód słońca i rzucała słowa, które ludzie zwykle mówią przy takich sztywnych okazjach. Dopiero kiedy odprowadzali ją do samochodu, emocje zaczęły brać górę. Przytrzymała Laurę w długim uścisku, czując bijącą od niej siłę i próbując zatrzymać część tej siły dla siebie.

— Zawsze będę o tobie pamiętać — zapewniła, przytulając się do jej policzka. — Nigdy nie zdołam ci się odwdzińczyć.

Laura odpowiedziała jej mocnym uściskiem i odrzekła cichym głosem:

— Na pewno prędko o mnie nie zapomnisz. Zamierzam namówić Paula, żeby w przyszłym roku zabrał mnie do Londynu na wakacje. Przez ten czas będę pisać. Niech cię Bóg błogosławi.

\* \* \*

Creasy odwiózł ją rano dżipem na przystań promową. Michael siedział na tylnym siedzeniu obok walizki. Jechali w milczeniu. Kiedy w Mgarr wysiedli, Michael zaniósł walizkę na prom i przekazał ją znanemu sobie członkowi załogi, po czym wrócił na molo.

Stali w milczącym trójkącie. Wreszcie Creasy przerwał ciszę:

— Po drugiej stronie będzie czekała taksówka. — Sprawdził godzinę. — Masz mnóstwo czasu, żeby zdążyć na samolot. Do widzenia i dziękuję. Spisałaś się lepiej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Położył jej ręce na plecach, nachylił się i pocałował ją w oba policzki, po czym dał krok do tyłu.

Odwróciła się i spojrzała na Michaela. Stał, wbijając wzrok w ziemię, z maską na twarzy.

— Żegnaj, Michael — szepnęła cicho.

Podniósł głowę i w jego oczach dostrzegła cierpienie. Podeszła szybko i wzięła go w ramiona.

Walczyła z uczuciami, powtarzając sobie w duchu: „Musisz odegrać swoją rolę do końca. . . Do samego końca”. Pocałowała go w policzek i powiedziała:

— Uważaj na siebie, Michael. Chcę być z ciebie dumna.

Odeszła, nie oglądając się za siebie. Przeszła po schodach rampy na górny pokład i zajmując miejsce przy balustradzie na rufie promu patrzyła na stojących obok dżipa dwóch mężczyzn. Pomachała im na pożegnanie. Odpowiedzieli jej tym samym. Kończono załadunek ostatnich samochodów.

— Popłynę z nią — zdecydował się nieoczekiwanie Michael. — Upewnię się, że szczęśliwie wsiadła w taksówkę. Nie czekaj na mnie, wróć do domu okazją.

Michael odwracał się już w stronę rampy, kiedy dobiegł go głos Creasy'ego:

— Poczekam na ciebie w „Gleneagles”.

Kiedy dopłynęli do Cirkewwa, Michael zaniósł walizkę Leonie do czekającej taksówki. Wcześniej przez całą drogę niewiele mówił, stał obok Leonie przy balustradzie i patrzył na oddalającą się wyspę. Taksówkarz schował walizkę do bagażnika i otworzył tylne drzwi. Leonie zwróciła oczy na Michaela. Dzieliło ich nie więcej jak półtora metra. Nie podszedł bliżej, rzucił tylko zdecydowanie:

— Do zobaczenia.

Po tym słowach wykonał w tył zwrot i wrócił na pokład promu.

Ahmed Jibril wyszedł z biura w dziesięć minut po otrzymaniu telefonu od pułkownika Jomaha. Pospiesznie przygotowano konwój i zgodnie z wydanymi instrukcjami załadowano ubrania, część archiwum i komputer Macintosh będący własnością Jibrila. Konwój składał się z czterech dżipów: dwa stanowiły przednią eskortę kuloodpornego Mercedesa Jibrila, dwa tylną.

Po minięciu rogatek Damaszku Jibril zaczął analizować sytuację. Kto jak kto, ale on, jeden z największych w świecie fachowców od szerzenia terroru, wiedział doskonale o możliwych następstwach. Przez całe swe dorosłe życie nie mógł ani na moment zapomnieć o zachowaniu maksymalnych środków bezpieczeństwa. Nauczył się żyć z obsesyjnym lękiem, że w każdej chwili kula czy bomba może wysłać go na tamtenświat.

Tym razem jednak było inaczej. Nie potrafił określić, na czym polegała owa różnica, ale kiedy pułkownik Jomah streścił mu przez telefon wszystkie szczegóły, poczuł jak oblewa go zimny pot. Czuł się jak ktoś zamknięty w ciemnym pokoju ze świadomością, że gdzieś obok niego czai się wąż niosący śmierć. W tej sytuacji podjął więc decyzję o przeniesieniu się do obozu szkoleniowego Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny w Ein Tazur, gdzie panowały jeszcze bardziej zastrzone środki bezpieczeństwa, niż w jego kwaterze w Damaszku.

Jadąc teraz rozmyślał nad przyjęciem odpowiedniej taktyki obrony. Oczywiście, najlepszą obroną jest atak: pytanie tylko, gdzie go przypuścić i jak? Przecież Creasy uważany był za martwego, co najwyraźniej mijało się z prawdą. Podobnie jak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest w stanie zapewnić sobie bez trudu pomoc najlepszej klasy fachowców i doskonale nimi pokierować.

Do obozu przyjechali wczesnym wieczorem. Za bramą czekał na nich syn Jibrila, Jihad. Objął Jibrila i z miejsca zapytał:

— Co się stało, ojcze?

Jibril wzruszył beztrosko ramionami, poklepał syna po policzku i odparł:

— Postanowiłem, że pobędę wśród bojowników. Po tak długim czasie tkwienia za biurkiem potrzebuję od nich inspiracji.

Jihad uśmiechnął się.



— To raczej od ciebie mogą oczekiwać inspiracji. Jak zawsze zresztą... Na jak długo przyjechałeś?

— Jeszcze nie wiem. Na pewno zostanę przynajmniej trzy tygodnie. Będę brał udział w szkoleniu, to mi dobrze zrobi. — Uśmiechnął się. — Dzięki temu odmłodnieję.

Wziął syna pod rękę i razem przeszli do dużego żelbetowego schronu, który stanowił centrum dowodzenia obozu.

Pułkownik Jomah przyjechał nazajutrz po południu. W zaciszu gabinetu Jihada, który Jibril zajął dla siebie, wręczył mu bez słowa grubą biurową teczkę. Jibril położył ją na biurku, lecz nie otworzył od razu. Nalał gościowi kawy i, tak jak każdy dobrze wychowany Arab, zaczął bawić go rozmową na różne tematy. Dopiero po chwili otworzył teczkę i wyjął z niej wycinki prasowe i zdjęcia. Obejrzał je uważnie. Kiedy doszedł do fotografii przedstawiającej szerniały, poskręcany wrak furgonetki, usłyszał ciche mruknięcie pułkownika:

— Użyli *RPG-7*.

Jibril podniósł wzrok na swego rozmówcę i spytał jakby od niechcenia:

— Są jakieś ślady prowadzące do tego Creasy'ego?

Pułkownik powoli pokręcił głową.

— Nic. Dawniej moglibyśmy poprosić o pomoc ludzi z KGB, ale teraz są całkowicie bezużyteczni. — Wstał i wziął z biurka obszytą galonem czapkę. — Długo tu planujesz zostać, Ahmedzie?

— Jak długo będzie trzeba.

Pułkownik uśmiechnął się lekko i już odwracając się dorzucił:

— Myślę, że dobrze robisz.

## 45

— *Dunga justo basne.*

Michael leżał na brzuchu z rozkrzyżowanymi rękami i nogami obok basenu. Odchylił głowę, żeby spojrzeć na drobnego, śniadego mężczyznę, który siedział kilka metrów dalej na krześle trzcinowym. Mężczyzna nosił spodnie z szarej flaneli z nienagannie zaprasowanym kantem, śnieżnobiałą koszulę i perfekcyjnie wypastowane czarne buty. Miał okrągłą twarz bez jednej zmarszczki, w której błyszczały małe czarne oczy. Krótko przycięte włosy były starannie uczesane. Patrząc na niego miało się wrażenie, że siedzi sobie wygodnie w skórzanym fotelu w wojskowym klubie oficerskim.

— *Dunga justo basne* — powtórzył raz jeszcze. — Te trzy słowa stanowią biblię snajpera z ludu Gurkhów. Można je przetłumaczyć jako „nieruchomy jak kamień”. To będzie właśnie początek twojego treningu. Przez najbliższe pół godziny będziesz leżał nieruchomo jak głaz. Musisz doprowadzić do tego, żeby twój mózg był w stanie wysyłać polecenia do każdej części ciała, nawet do pojedynczej cebulki włosów na głowie.

Michael starał się ułożyć wygodnie policzki na twardych płytach wapienia, przymknął oczy i zamarł w bezruchu. Drobnym mężczyzną nie spuszczał z niego oka. Po dziesięciu sekundach zakomunikował:

— Poruszyłeś się.

— Wcale nie.

— Ruszyłeś małym palcem lewej ręki i prawą stopą. Nawet tak drobny ruch oznaczać może dla snajpera śmierć. Wstań na chwilę.

Michael posłusznie wstał. Drobnym Nepalczykiem zrobił to samo, wziął Michaela pod ramię i razem przeszli na skraj basenu. W dole rozciągały się zielone pola. Nepalczyk wskazał na niebo i zaczął:

— Dla jastrzębia, który szybuje trzysta metrów ponad ziemią, wystarczy, by mysz ruszyła ogonem o centymetr, a zaraz ją wypatrzy. Snajper musi pamiętać, że cały czas wypatrują go oczy jastrzębia. To kwestia życia lub śmierci. Dzisiaj będziesz leżał jak kamień przez pół godziny. Jutro zaś przez godzinę, a pojutrze przez dwie. Będziesz leżał na kamieniach i kawałkach drewna i cierpiał wielką niewygodę. Zostanę tu trzydzieści dni. W dzień poprzedzający mój wyjazd musisz

wyleżeć *dunga justo basne* od świtu po zachód słońca. Jeżeli ci się nie uda, będę zmuszony przyznać się do porażki. Ty również.

— Zacznę kiedyś strzelać z karabinu? — spytał Michael z nutą sarkazmu.

— Tak. Wtedy, kiedy będziesz w stanie wytrzymać więcej niż cztery godziny.

Nepalczyk zjawił się u Creasy’ego dwa dni wcześniej. Creasy odebrał go wieczorem z przystani, a po przyjeździe do domu dokonał wzajemnej prezentacji: — Mój syn, Michael. Michael, poznaj mojego przyjaciela, kapitana Rambahadura Rai. Ostatnio służył w 10. Batalionie 2. Pułku Gurkhów. Będzie twoim nauczycielem.

Owego pierwszego dnia w czasie kolacji Michael skrycie obserwował niewysokiego gościa. Dałby mu nie więcej jak czterdzieści pięć lat. Nepalczyk siedział na krześle wyprostowany jak struna, każdy jego ruch w czasie posiłku był dokładny i kontrolowany. Michael wiedział od Creasy’ego, że Rambahadur Rai był siedmiokrotnie odznaczany przez Brytyjczyków: za udział w walkach przeciwko komunistom malajskim w latach pięćdziesiątych oraz za walki z Indonezyjczykami w północnym Borneo we wczesnych latach sześćdziesiątych. Wśród odznaczeń znajdował się Wojskowy Krzyż Zasługi ze wstęgą.

Leżąc teraz na wapiennej posadzce Michael koncentrował umysł i ciało na jednej myśli: nie ruszyć się. Miał na sobie tylko spodenki kąpielowe.

Na Gozo występuje odmiana much, których użądlenia bołą bardziej od użądleń moskita. Jedna z nich usiadła właśnie Michaelowi na kostce prawej nogi i ugryzła go. Noga drgnęła instynktownie.

— Poruszyłeś się! — wypomniał mu Nepalczyk.

— Bo muchy gryzą — odparł buntowniczo Michael.

— Ugryzienia much są gorsze od kuł? — spytał Rai.

Wstał i podszedł do kępy młodych drzew. Urwał długą, cienką gałąź i oberwał z niej liście. Przyniósł ją do Michaela, nie wypuszczając z prawej ręki giętkiej gałązki. Wreszcie usiadł i rzucił krótko: *dunga*, przypominając mu w ten sposób o „snajperskiej biblii”.

Michael leżał jak głaz przez kilka minut. Tym razem mucha ukąsiła go w prawe ramię. Skoczył mimowolnie. W chwilę później krzyknął, czując na pośladkach smagnięcie różgą. — *Dunga!* — powtórzył Nepalczyk.

Niewidoczny ze swego miejsca na balkonie gabinetu Creasy obserwował całą scenę z uśmiechem na twarzy. Cofnął się pamięcią dwadzieścia lat wstecz. Zdało mu się wówczas, że jest wytrawnym snajperem, wyszkolonym przez amerykańską piechotę morską i francuską Legię Cudzoziemską. Myślał tak do czasu, aż spotkał Rambahadura Rai i zdał sobie sprawę, że jest amatorem. Poddał się wtedy takiemu samemu treningowi jak ten, do którego przystępował właśnie Michael.

Przez następnych dziesięć minut gałązka spadała jeszcze trzy razy. Wreszcie

Michael nie wytrzymał. Przekreślił się na plecy, usiadł i krzyknął gniewnie: — Tego się nie da zrobić!

Creasy zszedł po schodach, minął basen, przeszedł do ogrodu i podniósł z ziemi trzy duże kamienie z wapienia. Podszedł do obu mężczyzn i ułożył kamienie obok Michaela w odległości około trzydziestu centymetrów jeden od drugiego. Potem wyjął z tylnej kieszeni plik banknotów, odliczył dziesięć i podłożył je pod jeden z kamieni. Skinął głową na Rambahadura.

Gurkha wstał i zdjął koszulę. Złożył ją starannie i umieścił na pobliskim wiklinowym stoliku. Następnie zdjął spodnie i upewniwszy się, że kanty są równo złożone, położył je obok koszuli. Porządnie ustawione buty i skarpetki trafiły pod stolik. Z wyjątkiem białych sportowych spodenek nie miał teraz na sobie nic więcej. Michael podniósł się i patrzył zaaferowanym wzrokiem. Rambahadur podszedł do trzech kamieni i ułożył się na nich: jeden miał pod podbródkiem, drugi pod splotem słonecznym, a trzeci pod krocem. Pozycja wyglądała na szalenie niewygodną.

Creasy wskazał Michaelowi krzesło i polecił: — Siadaj i uważnie go obserwuj. Jeżeli przez kolejne dwie godziny drgnie choćby o milimetr, sto funtów spod kamienia będzie twoje. Wolno ci go również skarcić różgą. Jeśli jednak nie ruszy się, pieniądze trafią do niego i będzie miał prawo wymierzyć ci sześć uderzeń różgą. Możesz mi wierzyć, w takich okolicznościach potrafi uderzyć naprawdę mocno.

Młodzieniec uśmiechnął się, usiadł i wziął do ręki różgę. Pochylił się i wyężając wzrok wpatrywał się uważnie w leżącego twarzą do ziemi mężczyznę. Creasy udał się do kuchni, wziął z lodówki piwo i wrócił do swojego gabinetu. Zaczął od napisania długiego listu do senatora Jamesa Graingera. Drugi list skierowany był do Korkociąga Dwa, a trzeci do Blondyneczki. Zaadresował trzy koperty i umieścił je wszystkie razem w większej kopercie. Miała trafić na adres poste restante w Brukseli, skąd listy zostaną przekazane właściwym adresatom. Zaklejał właśnie kopertę, gdy dobiegło go z dołu smagnięcie i towarzyszący mu krzyk. Podniósł głowę i wyczekiwał. Na dźwięk drugiego uderzenia i kolejnego krzyku zaczął się uśmiechać. Kiedy rozległo się szóste uderzenie, na jego twarzy gościł już szeroki uśmiech. Przez cały ten czas krzyk rozległ się tylko dwa razy. Spojrzał na zegarek: minęły dwie godziny i kilka minut. Schodząc po schodach zobaczył Rambahadura, który zmierzał do swojej sypialni niosąc ubranie i buty. Michael stał nad basenem pocierając sobie pośladki. Creasy podszedł i kopnął środkowy kamień: pieniądze wciąż leżały na miejscu.

Spojrzał na Michaela, który odpowiedział mu ponurym uśmiechem.

— Nie chciał ich wziąć — poinformował Creasy'ego. — Powiedział, żeby zostawić je na trzydzieści dni pod kamieniem. Jeżeli będzie zadowolony, pieniądze będą moje, ale za część będę musiał zafundować nam wszystkim kolację w najlepszej restauracji.

Creasy przesunął nogą kamień, zakrywając z powrotem pieniądze.

— Nie chciało mi się wprost wierzyć — ciągnął Michael. — Leżał jakby był jednym z tych kamieni.

— Wiem — odezwał się Creasy. — *Dunga justo basne*.

Michael podniósł na niego zaskoczony wzrok. — Znasz język Gurkhów?

Creasy potrząsnął głową.

— Nie, ale znam te trzy słowa. Wybito mi je na tyłku mniej więcej dwadzieścia lat temu. — Wskazując ponad ramieniem dom za swoimi plecami dodał: — Rambahadur szkolił mnie dokładnie w taki sam sposób.

— Naprawdę ma sześćdziesiąt lat? — spytał Michael. — Wcale na to nie wygląda.

— Ale tak jest. Opowiem ci o nim pewną historię. Słyszałem ją od jeszcze starszego brytyjskiego pułkownika, który dowodził 2. Pułkiem Gurkhów w czasie wojny malajskiej. Komunistyczni powstańcy napadali na miejscowe plantacje i wioski, żeby zdobyć jedzenie. Niedaleko granicy z Tajlandią znajdowała się duża, położona na odludziu, ferma drobiarska. Brytyjczycy otrzymali informację, że grupa partyzantów planuje napad na fermę. Usytuowanie gospodarstwa wykluczało możliwość urządzenia zasadzki, jako że partyzanci prowadzili już od jakiegoś czasu stałą obserwację fermy z pobliskich wzgórz. Pułkownik posłał Rambahadura i jeszcze jednego Gurkha nocą na fermę. Tam udzielili instrukcji malajskiemu gospodarzowi i jego rodzinie, a sami schowali się w największym kurniku. Ustawili karabin maszynowy jak najdalej od drzwi i czekali. Po jakimś czasie kurczęta uspokoiły się i przestały zwracać na nich uwagę. Najmniejszy ruch intruzów mogłyby narobić hałasu, ostrzegając w ten sposób partyzantów.

— Jak długo czekali?

— Trzy dni i trzy noce. I przez cały ten czas nie poruszyli się nawet o milimetr. Kurczaki zaczęły chodzić im po głowach i plecach, siadały na lufie karabinu maszynowego. Obaj byli *dunga justo basne*.

— A jak się załatwiali?

— Dwa dni przed akcją pościli, nie pędziło ich więc do kibla. A sikali przez nogawki spodni — zresztą po pierwszym dniu nie mieli już czym sikać. Panujący upał sprawiał, że temperatura w kurniku przekraczała w ciągu dnia czterdzieści stopni. Partyzanci zjawili się na trzeci dzień. Związali gospodarza i jego rodzinę, i poszli po kurczaki. Kiedy weszli w ośmiu do kurnika, Rambahadur otworzył ogień. Dostał wszystkich ośmiu, a potem Wojskowy Krzyż Zasługi.

Michael patrzył przez chwilę w zamyśleniu na dom. Wreszcie uśmiechnął się i zauważył:

— Przy okazji zaliczył też chyba parę kurczaków.

— Tak mi się zdaje. Założę się, że przez następne dwa miesiące w messie oficerskiej obżerano się kurczakami.

## 46

Powinno towarzyszyć jej uczucie radości powrotu do domu, ale było inaczej. Rzuciła walizkę przy drzwiach i przebiegła oczami pokój. Zobaczyła dobrze znane, zbierane przez lata, meble i przedmioty. Poszła do sypialni i patrząc na łóżko odczuła dziwne zadowolenie na myśl, że na czas jej nieobecności nie zachodziła konieczność odnajmowania mieszkania. Powinna być za to Creasy'emu wdzięczna, ale myśl o nim napawała ją jedynie goryczą. Podniosła słuchawkę telefonu stojącego na stoliku przy łóżku i zadzwoniła do Geraldine do biura, żeby umówić się z nią na kolację. Potem zafundowała sobie półgodzinną kąpiel w wannie i umyła włosy.

Geraldine przyszła do restauracji spóźniona o piętnaście minut i już siadając zaczęła się usprawiedliwiać:

— Na południowym Atlantyku zatonął jakiś cholerny statek, a ponieważ byliśmy jego towarzyszem ubezpieczeniowym, wszystkie związane z tym sprawy wylądowały na moim biurku na dziesięć minut przed wyjściem z biura. Nie zdążyłam nawet pójść do domu, żeby się przebrać. Przepraszam cię za ten zafajdany biurowy strój.

Geraldine miała na sobie prostą szarą spódniczkę i żakiet oraz jasnozieloną bluzkę.

— Wyglądasz wspaniale! — zapewniła ją Leonie. — Wprost bije od ciebie władzą.

Geraldine powitała tę uwagę szerokim uśmiechem i zapytała:

— To co, nagrywanie serialu już się skończyło?

— Nigdy się nawet nie zaczęło — odrzekła Leonie wręczając jej jadłospis. — Najpierw coś zamówmy, a potem ci o wszystkim opowiem. Boże, muszę komuś o tym powiedzieć, a ty jesteś moją jedyną przyjaciółką.

— Ale zapłacili ci? — spytała Geraldine z niepokojem.

— Zapłacili — odparła Leonie. — Jutro wysyłam pokaźny i ostatni już czek do firmy budowlanej. To będzie jedna z najwspanialszych chwil w moim życiu.

Geraldine pilnie studiowała jadłospis.

— Umieram z głodu — poskarżyła się.

W godzinę później Leonie płakała jak bóbr. Kazała przysiąc przyjaciółce, że dotrzyma tajemnicy. Wyjaśniła jej, że w jakimś stopniu łamie umowę, chociaż w sensie technicznym umowa już wygasła. Musi jednak wyrzucić to z siebie, pogrzebać na zawsze, by potem móc spróbować podjąć normalne życie. Jeżeli o jej życiu można w ogóle powiedzieć, że kiedykolwiek toczyło się normalnie.

Wylała więc z siebie wszystko. Dochodząc do miejsca, kiedy to Michael przy taksówce powiedział: „Do zobaczenia” i odwrócił się, opuściła głowę i wybuchnęła płaczem.

Geraldine nachyliła się, położyła rękę na jej dłoni i szepnęła:

— To brzmi zupełnie jak historia z filmu, i co teraz zrobisz?

Leonie opanowała się, wydmuchała nos i odrzekła gniewnie:

— Nic nie mogę zrobić. Papiery rozwodowe, zgodnie z postanowieniami umowy, zostały sporządzone miesiąc temu. Wszystko potoczy się prawie automatycznie, nie będę nawet musiała iść na salę sądową.

— To przecież zwierzę, nie człowiek!

Leonie pokręciła głową.

— Nie, raczej maszyna kierowana nienawiścią. Na zewnątrz potrafi być miły, a w niektórych sytuacjach okazuje się wspaniałym towarzyszem zabaw. Tańczyłam z nim kiedyś na weselu, słyszałam, jak sobie dowcipkuje. . . Naprawdę można było się pośmiać. Ale dwie godziny później był już na powrót tylko zimną maszyną.

Geraldine była coraz bardziej zaintrygowana.

— Powiedz mi, czujesz coś do niego?

— Nie, skądże. . . — zaczęła Leonie, lecz naraz urwała, wpatrując się w milczeniu w pustą filiżankę po kawie. Po chwili podniosła głowę, dała znak kelnerowi i zamówiła jeszcze po kawie i koniaku. Do czasu powrotu kelnera nie odezwała się ani słowem, chociaż dobrze widziała, że Geraldine skręca się z niecierpliwości. Wreszcie przemówiła:

— Przez kilka miesięcy spałam z nim w jednym łóżku, ale nawet mnie nie dotknął.

— No i?

— Nie mam pojęcia — Leonie wzruszyła ramionami. — Sama nie wiem, jak to jest w ogóle możliwe, żeby przy takiej bliskości do niczego nie doszło. To coś więcej niż obojętność.

— Jest przystojny?

Leonie uśmiechnęła się.

— Nie, ma twarz, na której odcisnęła się cała jego smutna przeszłość. Życie dało mu zdrowo w kość.

— A jego ciało?

— Również poobijane przez życie, ale jest nadal bardzo sprawny. Ma kondycję jak mężczyzna o dwadzieścia lat młodszy.

Znając dobrze swoją przyjaciółkę, Geraldine zaczęła ostrożnie badać grunt.

— Czyli czułaś jedynie obojętność? — spytała. — Nic poza tym? Bądź ze mną szczerą, Leonie.

Po dłuższej chwili namysłu Leonie odparła:

— Przez ostatnie dwa miesiące, kiedy był dla mnie miłszy, chyba rzeczywiście coś czułam. Może wynikało to tylko z...

— Z czego?

Leonie upiła łyk koniaku i odpowiedziała swojej młodszej przyjaciółce:

— Z uczucia. — Uśmiechnęła się smutno. — Uczucia, jakie wywołuje widok goryla miotającego się w klatce w ZOO.

— Miota się w klatce?

— Bez wątplenia. W każdym razie w znaczeniu emocjonalnym: miota nim nienawiść.

— Czułaś do niego fizyczny pociąg? — Na twarzy Leonie znowu zagościł smutny uśmiech.

— Tak, i wcale temu nie zaprzeczam. Coś w nim jest, roztacza wokół siebie jakąś specyficzną aurę. Działa z pewnością na wiele kobiet. Otacza go atmosfera tajemnicy i może właśnie czyni go fizycznie atrakcyjnym. No i ta jego twardość, to najtwardszy mężczyzna, jakiego widziałam w swoim życiu.

— A Michael?

Leonie najwyraźniej miała już wszystko dokładnie przemyślane.

— Michael jest na swój sposób inny, ale równocześnie w jakimś sensie taki sam. Jest również twardy, stara się trzymać uczucia na wodzy. Ale poznałam go od środka, kiedy był zupełnie bezbronny. Żywię wobec niego uczucia macierzyńskie i wiem, że jego stosunek do mnie jest podobny. Zanim się zjawiłam, nigdy nie zaznał matki, nie poczuł kobiecego ciepła. Stąd właśnie moja gorycz... Jestem mu potrzebna.

— Ale powiedział, że jeszcze się z tobą spotka.

— Tak.

— Wierzysz w to?

— Tak.

— Jak to zrobi?

Leonie upiła kolejny łyk koniaku i odrzekła wzruszając ramionami:

— Tego dobrze nie wiem, ale skoro tak powiedział, to na pewno dopnie swego. W pewnym sensie jest równie nieustraszony jak Creasy.



Michael przez cztery godziny leżał nieruchomo jak głaz. Było sobotnie popołudnie. Od czasu przyjazdu Rambahadura Rai mijały właśnie dwa tygodnie. Michael cztery godziny leżał rozciągnięty na piramidzie kamieni w ogrodzie między palmami nie wiedząc nawet, gdzie znajduje się jego nauczyciel z Nepalu.

Rambahadur Rai tymczasem siedział ze skrzyżowanymi nogami na płaskim dachu salonu wychodzącego na ogród. Jednak przez ostatnią godzinę nie obserwował swego młodego ucznia, lecz wybiegał wzrokiem na morze i błędził myślami zupełnie gdzie indziej. Wreszcie spojrzął na zegarek, wstał i zszedł z dachu. Michael nie usłyszał jego cichych kroków. Poczł tylko dotknięcie palca na ramieniu i usłyszał słowa: — Kamień może się ruszyć.

Tego wieczoru Rambahadur ugotował curry z baraniny. Dołożył do niej przywiezione ze sobą przyprawy i kiedy Michael skosztował pierwszej porcji, poczuł w ustach ogień.

— Dobrze? — spytał Gurkha.

Michael nabrał powietrza w płuca, zacisnął zęby i kiwnął głową. Rambahadur uśmiechnął się.

— Nadałem jej łagodny smak — wyjaśnił. — Wiem, że są ludzie, którzy nie lubią jej pod zbyt ostrą postacią. Brytyjski oficer przychodzący do batalionu Gurkhów dopiero po co najmniej roku jest w stanie jeść curry takie, jakie my lubimy. To już wśród oficerów pewna tradycja. Jeżeli okażą słabość, są uważani za mięczaków. Możesz mi wierzyć, pierwszy rok jest dla nich istnym piekłem.

Michael popił solidnym łykiem zimnego piwa i włożył do ust kolejną porcję curry. Zerknął na Creasy'ego: czoło pokrywała mu cienka warstwa potu, ale jadł dalej, jakby nic się nie stało.

Musiało go to wiele kosztować. Skoro jednak przeżywał katusze i potrafił to ukryć, to i on, Michael, nie może być gorszy.

— Będę mógł teraz zacząć strzelać z karabinu? — spytał Rambahadura.

Gurkha pokręcił głową.

— Jutro i w poniedziałek będziesz uczył się, jak należy karabin nosić i trzymać, jak o niego dbać i konserwować. Kochałeś się już kiedyś z dziewczyną?

Na twarzy Michaela odbiło się zaskoczenie. Zerknął na Creasy'ego, który przyglądał mu się z ciekawością. Czoło Creasy'ego pokrywały teraz duże krople potu, które zaczęły spływać mu po policzkach. Wytarł twarz serwetką nie odrywając spojrzenia od swego młodszego towarzysza.

— No więc... No tak... — wydukał Michael.

— Ile ich miałeś? — nalegał Gurkha.

Michael wiercił się na krześle.

— No... Nie za wiele.

— Ile?

Michael wbił wzrok w stojący pośrodku stołu garnek z curry i milczał.

— Odpowiedz swojemu nauczycielowi — skarcił go surowo Creasy.

Michael podniósł oczy na Rambahadura i wybąkał cicho: — Dwie.

Gurkha nie uśmiechnął się. Wprost przeciwnie, skinął głową z zadowoleniem.

— To dobrze. Bo to znaczy, że nowa kochanka, którą jutro poznasz, nie trafi na zepsutego chłopaka.

— Nowa kochanka?!

— Tak — przytaknął Gurkha. — Będziesz trzymał ją w objęciach, pieścił, traktował jak *rani* — jak królową. Będziesz nawet z nią sypiał.

Michael zaczynał rozumieć sens tego wywodu.

— Jak się nazywa? — spytał.

— *Heckler and Koch PSG1* — najlepszy karabin snajperski, z jakiego zdarzyło mi się strzelać. Nie jest najmłodsza: dzisiaj, zwłaszcza w Ameryce, mają naprawdę fantastyczną broń. Ale nasza pani jest solidna i precyzyjna, nigdy mnie nie zawiodła. I powiem ci coś, Michael: jest o niebo piękniejsza od twoich dwóch kochanek i od każdej, jaką będziesz kiedykolwiek miał.

— Kiedy zacznę z niej strzelać? — niecierpliwiał się Michael.

— Kiedy uda ci się ją uwieść — odparł Rambahadur. Nachylił się i przysunął garnek z curry do Michaela. — Weź sobie jeszcze. Zdaje się, że polubiłeś curry.

Michael jęknął w duchu i sięgnął po piwo.

Nie udało mu się jej uwieść, to ona go uwiodła. Rankiem Rambahadur wyszedł z sypialni niosąc w ręku długi, ręcznie wykonany futerał z czarnej skóry. Położył go na stole w cieniu pergoli, pomajstrował przy zamkach cyfrowych i uchylił wieko. Przypięta paskami, spoczywała wygodnie w zagłębieniu wymoszczonym miękką irchą. W pozostałych zagłębieniach leżały: celownik dzienny, noktowizor, miernik siły wiatru i cztery magazynki.

Rambahadur odpiął paski, dał znak Michaelowi i odezwał się zachęcająco:

— Poznaj swoją kochankę.

## 48

Creasy'ego rozboleły już oczy od ciągłego wypatrywania. Opuścił lornetkę, odwrócił się do stojącego obok Rambahadura i spytał:

— Jesteś pewny, że znajduje się w odległości blisko czterystu metrów na południowy wschód?

— Tak — odpowiedział Gurkha.

— Widzisz go?

— Tak, bo wiem, gdzie szukać.

Było późne popołudnie. Siedzieli obaj ze skrzyżowanymi nogami na dachu domu. Michael wyruszył z Rambahadurem na godzinę przed świtem. Rambahadur, który powrócił zaraz po wschodzie słońca, spędził resztę dnia na prowadzeniu obserwacji z dachu. Creasy zaś przybył dopiero pół godziny temu z Malty, gdzie pojechał na spotkanie z George'em Zammitem. Podniósł znowu lornetkę i badał uważnie teren rozciągający się przed oczami: konstrukcje z ciasno ułożonych kamieni bez zaprawy, niskie ogrodzenia z łupka, wapienne skały. Po dziesięciu minutach opuścił lornetkę.

— Doskonale się spisałeś, przyjacielu — pochwalił Rambahadura. — Kiedy odda strzał?

— Pięć sekund po ukazaniu się celu — odparł Nepalczyk, trącając trzymaną na kolanach pustą butelkę po piwie. Creasy spojrział w prawo, gdzie dwaj farmerzy oddaleni od nich o jakieś pięćset metrów orali ziemię za pomocą małej glebogryzarki.

— Karabin jest wyposażony w tłumik? — upewnił się.

— Tak — padła odpowiedź. — Chociaż jak wiesz, przy tej odległości utrudnia to celny strzał.

— Myślisz, że da radę?

— Tak sądzę. — Rambahadur odwrócił się do Creasy'ego. — On jest naprawdę dobry, przyjacielu. Bardzo dobry. — Uśmiechnął się, żeby złagodzić kolejną uwagę: — Jest lepszy od ciebie, a ty strzelasz po mistrzowsku.

— Jestem ci niezmiernie wdzięczny — mruknął Creasy, przeszukując ponownie teren lornetką.

— Odpłacam jedynie za dobroć, jakiej zaznałem — odrzekł Rambahadur.

— I na razie tylko w znikomym stopniu. Teraz postaram się zmniejszyć dług wdzięczności.

Ton głosu Rambahadura sprawił, że Creasy odjął lornetkę od oczu i spojrzał na Nepalczyka. Ten podniósł głowę i wskazując podbródkiem przed siebie, rzekł:

— Powiem ci coś o tym młodym człowieku. Może sam to już zauważyłeś, ale jeśli nie, powinienes się tego dowiedzieć.

Creasy słuchał w milczeniu. Gurkha mówił dalej cichym, jednostajnym głosem:

— Jest w nim pewna rysa. Dokonałeś bardzo dobrego wyboru i oddałeś go w ręce najlepszych nauczycieli, niemniej rysa pozostała.

Creasy chciał coś powiedzieć, lecz Gurkha przerwał mu podniesioną dłonią.

— Posłuchaj mnie, Creasy. Prawdą jest, że wyleżał dzisiaj cały dzień *dunga justo basne*. Wierzę też, że odda celny strzał. Na strzelnicy na Malcie przyglądałem się, jak sobie radzi z pistoletem i pistoletem maszynowym. Nie widziałem lepszego od niego, z wyjątkiem ciebie strzelającego z pistoletu maszynowego. — Uśmiechnął się lekko do wspomnień i poprawił: — Z wyjątkiem ciebie i Guida. Ale powiem ci szczerze, przyjacielu, nie chciałbym brać go ze sobą do wykonania zadania, gdyby miało nas iść tylko dwóch.

Creasy znowu próbował coś powiedzieć, ale Gurkha i tym razem przerwał mu podniesieniem ręki.

— Nic nie mów, przyjacielu. Posłuchaj człowieka starszego od siebie. Posłuchaj człowieka, który widział nie mniej wojen niż ty. Posłuchaj człowieka, który kocha cię miłością, jaką tylko mężczyzna może darzyć drugiego mężczyznę. Rysa kryje się w jego umyśle. I ty sam ją stworzyłeś, tak jak całe jego umysłowe i fizyczne jestestwo. — Pochylił się i położył mu lekko dłoń na ramieniu. — Tylko ty, przyjacielu, możesz usunąć tę rysę. Spróbuj, a jeśli ci się uda, to Michael stanie się ideałem żołnierza na miarę ludzkich możliwości. Będzie kimś, komu mógłbym zawierzyć swoje życie.

— Jaka to rysa? — spytał Creasy cicho.

Rambahadur Rai odparł równie cichym głosem:

— To ty go stworzyłeś. Powinien cię uwielbiać, a zamiast tego nienawidzi cię.

— Powiedział ci to?

Gurkha pokręcił smętnie głową.

— Nic mi nie mówił. — Sięgnął po butelkę po piwie, przechylił się w prawo i postawił butelkę na samym brzegu dachu.

Minęło pięć sekund i butelka rozprysła się na kawałki.

Tego wieczoru Rambahadur upił się. Michael zaprosił ich na kolację do restauracji w hotelu „Ta Cenc”. Gurkha jeszcze przed kolacją zaaplikował sobie w barze szesć dżinów z tonikiem. Michael zamówił do stolika butelkę wytrawnego, włoskiego białego wina. Dzień wcześniej zadzwonił do swojego znajomego, który pracował w restauracji jako kelner. Po tym telefonie znajomy kelner udał się do szefa kuchni z butelką whisky Chivas Regal. Szef kuchni przygotował wspaniałe curry z kurczaka, tak ostre, jak nigdy przedtem. Rambahadur wyrażał na przemian słowa uznania i wdzięczności. Osuszyli butelkę wina, po czym Michael zamówił następną. Gurkha pił najwięcej i chętnie odpowiadał na pytania Michaela o latach służby w wojsku. Creasy przez całą kolację niemal się nie odzywał. Słuchał tylko jednym uchem, niewiele jedząc i pijąc, i błędził myślami gdzie indziej.

Rambahadur wypił razem z kawą dwa duże koniaki. Michael odliczył odpowiednią sumę ze zwitku dziesięciofuntowych banknotów i zapłacił z dumną miną niebotyczny rachunek. Kiedy wstali, Rambahadur musiał oprzeć się o stół. Zanim Creasy zdążył się ruszyć, Michael był już przy drobnym Nepalczyku i podpierał go swoim ramieniem. Przeszli chwiejnym krokiem do samochodu, gdzie Michael wziął go na ręce niczym niemowlaka i usadowił na tylnym siedzeniu dżipa. Kiedy dojechali do domu, Rambahadur spał w najlepsze. Michael wysiadł i stał przyglądając się śpiącemu mężczyźnie.

— *Dunga justo basne* — powiedział z uśmiechem.

Creasy stał po drugiej stronie wozu i nie uśmiechał się.

— Co o nim myślisz, Michael? — spytał.

— Po prostu jest człowiekiem — odrzekł Michael bez chwili namysłu i schylił się do samochodu, żeby wyjąć śpiącego.

Kiedy wyszedł z sypialni Rambahadura, zobaczył, że Creasy stoi nad brzegiem basenu i wpatruje się w ciemną toń wody. Michael podszedł do ściany i pstryknął przełącznikiem. Woda rozświetliła się przybierając jasnoniebieską barwę. Stał przy Creasym i szepnął:

— Nadszedł czas.

— Na co?

— Na wyścig.

Creasy odwrócił się w jego stronę. Wyczuwał bijącą od chłopaka wrogość i chęć zmierzenia się.

— Ile długości basenu?

— Pięćdziesiąt.

— Co będzie stawką? Butelka tego samego wina, co przedtem?

Michael zaprzeczył ruchem głowy.

— Jeżeli ty zwyciężysz — zaczął — zrobię wszystko, co mi każesz... Wszystko.

— Pokonam cię — rzucił Creasy zdecydowanie. Głos miał twardy i zimny jak arktyczny wiatr. — Masz zbyt duże mniemanie o sobie — stwierdził z rosnącym gniewem. — Może jesteś minimalnie lepszym snajperem ode mnie — mówiąc to wskazał na dach górujący za ich plecami. — Ale jak na razie strzelałeś wyłącznie do tarczy albo do butelki po piwie. — Pokazał palcem na jasnoniebieską toń wody i zakończył: — W wodzie pokonam cię bez trudu.

— A jeśli nie?

Creasy zaczął rozpinać guziki koszuli.

— Podtrzymuję stawkę — odparł. — Jeżeli przegram, możesz mnie prosić, o co tylko zechcesz.

Przez czterdzieści dziewięć długości płynęli ramię w ramię. Creasy dwukrotnie próbował się oderwać, ale Michael za każdym razem zwiększał tempo i trzymał się tuż przy nim. Pod koniec czterdziestego dziewiątego okrążenia Michael wykonał bezbłędny nawrót, którego Creasy uczył go przez tyle miesięcy. Creasy był wolniejszy. Michael rozpoczął ostatni odcinek wysforowany o metr przed Creasym. I tak było do końca wyścigu.

Stali w płytkiej części basenu, gdzie woda sięgała im po pas. Obaj ciężko oddychali.

— Jaki popełniłeś błąd? — wysapał Michael.

Creasy zaczerpnął głęboko powietrza, odetchnął i burknął:

— Może sam mi powiesz!

— Miałem silniejszy motyw niż ty.

— Jaki motyw? Nienawiść?

Michael wyszedł z wody i usiadł na brzegu basenu, wciąż chwytając ustami duże hausty powietrza.

— Wprost przeciwnie — odparł. — I miało to związek z naszym zakładem.

— O co chcesz prosić?

Michael podniósł głowę, nabrał powietrza i wyrzucił z siebie:

— Chcę, żebyś sprowadził tu moją matkę.

— Twoja matka nie żyje.

Michael pokręcił głową.

— Moja matka jest dziwką z Malty. Moja matka to obraz na ścianie. Moja matka mieszka w Londynie. — Wskazując wyciągniętą ręką przed siebie dodał: — Leżałem tam dzisiaj przez dwanaście godzin niczym kamień. Łaziły po mnie jaszczurki, cięły mnie owady, dwa razy łapał mnie skurcz w palcach. Ale nie poruszyłem się. Tkwiąc tam przez dwanaście długich godzin myślałem o mojej matce. Tej z Malty, tej wiszącej na ścianie i tej mieszkającej w Londynie. I wciąż chodziło mi po głowie to jedno jedyne pytanie, jakie kiedykolwiek zadałem naszemu nepalskiemu gościowi odnośnie twojej osoby. Zapytałem go mianowicie, czy należysz do ludzi, którzy dotrzymują słowa. Odpowiedział: „Tak”. Pokonałem cię, Creasy.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Creasy mruknął:

— Tak, pokonałeś mnie. . . A ja honoruję swoje zobowiązania.

## 50

— Skąd w tobie tyle mądrości? — spytał Creasy.

Jechali dżipem do przystani promowej podskakując na wertepach. Na tylnym siedzeniu spoczywała walizka Nepalczyka. Rambahadur pomasaował obolałe czoło i zwrócił zdziwione spojrzenie na Creasy'ego.

— Co masz na myśli?

Creasy uśmiechnął się szeroko.

— Mówię o tym, co powiedziałaś o Michaelu. Dostrzegłeś w nim rysę, której ja nie widziałem.

Rambahadur skrzywił się.

— Jedyłą rysą, jaka przychodzi mi na myśl dzisiejszego ranka, jest moja obolała głowa i żołądek.

Creasy zaśmiał się.

— To już tradycja, przyjacielu. Po każdym udanym zadaniu zawsze się upijałeś.

— Co zamierzasz zrobić, żeby usunąć u niego tę rysę?

— Już to zrobiłem.

— Co mianowicie?

— Udało mi się minimalnie przegrać zawody pływackie.

— Kiedy się ścigaliście?

— Około północy, gdy ty chrapałeś w najlepsze w pijackim otępieniu.

— I co?

— Przegrałem zakład.

W oczach Nepalczyka błysnęło zrozumienie.

— A więc o to chodziło! To dlatego Michael zadał mi to pytanie, kiedy zostawiałem go wczoraj o świcie na skałach.

Na przystani promowej drobny Nepalczyk i jego postawny towarzysz objęli się w pożegnalnym uścisku. Rambahadur przeszedł z walizką na pokład promu, by wyruszyć w długą, powrotną drogę do wioski w południowych górach Nepalu. Creasy pojechał do „Gleneagles”, wypił dwa lodowato zimne piwa i zadzwonił do biura podróży.



## 51

Jadły w najlepsze kolację, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Leonie spojrzała na zegarek.

— Kto to może być? Mam nadzieję, że nie ten śmierdziel z naprzeciwka, co to przychodzi pożyczyć cukier albo wymyśla jakiś inny pretekst, byle tylko przekroczyć próg mojego mieszkania.

Geraldine odsunęła krzesło i wstała.

— Ja otworzę. Jeśli to on, przypomnę mu, że sklep na rogu jest otwarty do północy.

Poszła do przedpokoju znikając Leonie z oczu. Leonie dołała wina do obu kieliszków. Dobięły ją przyciszone głosy, a zaraz potem pogodny krzyk Geraldine:

— To nie ten śmierdziel z naprzeciwka.

— A kto?

— Goryl z Gozo.

Leonie rozlała wino na biały obrus i podniosła zbaraniały wzrok na Creasy'ego, który wszedł do pokoju w towarzystwie Michaela. Za nimi postępowała Geraldine z oczami błyszczącymi ciekawością. Leonie wstała czując mętlik w głowie. Michael przemknął obok Creasy'ego i już po chwili trzymał ją w mocnym uścisku. Zorientowała się, że łyżeczką leją jej na oczy.

— Zrobić panu drinka? — zaproponowała Geraldine swobodnym tonem.

Sytuacja unormowała się po kilku minutach. Geraldine przyrządziła Creasy'emu whisky z sodą, podała Michaelowi piwo, po czym zgrabnie wyniknęła się.

— Nie skończyłaś jeszcze jeść — przypomniała jej Leonie.

— Mniejsza z tym — odparła Geraldine zakładając płaszcz. Obrzuciła Leonie spojrzeniem, które wyraźnie mówiło: „Jak do mnie nie zadzwonisz, to cię zabiję” i wyszła.

Michael uniósł pokrywę rondla i poczuł zapach *coq au vin*.

— Jedzenie w samolocie było okropne — usprawiedliwił się z szerokim uśmiechem.

— Siadaj i jedz — zachęciła i przysunęła jeszcze jedno krzesło dla Creasy'ego. Nałożyła potrawkę z kurczaka: — Na szczęście ugotowałam tego na-

prawdę sporo. Zawsze robię tyle, żeby starczyło na parę dni. Ale powiedzcie, co tu robicie.

— Chcemy cię zabrać do domu — oznajmił Michael bez zbędnych słów.

Spojrzała na Creasy'ego. Ten skinął głową, nie wyglądał jednak na zbyt szczęśliwego.

— Ale po co? — zdziwiła się.

Nie uzgadniali wcześniej, co powiedzą Leonie. Creasy wzruszył ramionami i zażartował:

— Brakuje nam twojej kuchni.

Zaśmiała się bez śladu humoru.

— To idźcie do agencji i wynajmijcie sobie kucharkę. Mogą ją nawet przysłać do mnie, to nauczę ją przyrządzać pudding z Yorkshire.

Creasy uśmiechnął się, ale milczał. Michael posłał mu szybkie spojrzenie i przeniósł wzrok na Leonie.

— Wczoraj wieczorem pokonałem Creasy'ego w wyścigu na pięćdziesiąt okrążeń basenu — zaczął.

— I co z tego?

Tym razem Creasy pospieszył z odpowiedzią:

— Stawka wyścigu stanowiła, że zwycięzca ma prawo kazać pokonanemu zrobić to, co tylko zechce.

— Dlatego tu jesteś — wtrącił Michael. — Niewiele brakowało, ale jednak wygrałem.

Patrzyła na nich przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Zatrzymała spojrzenie na Creasym.

— A więc przegrałeś zakład i przyjechałeś mnie zabrać jak worek kartofli?

Michaelowi zrzęda mina.

— To wcale nie tak — zaprzeczył. — Obaj chcemy, żebyś wróciła.

Leonie nie odrywała oczu od Creasy'ego. Ten wpatrywał się uparcie w talerz. Podniósł w końcu głowę i wydusił:

— Właśnie, obaj chcemy, żebyś wróciła.

— Dlaczego?

— Bo tęsknimy za tobą... Już nie jest jak dawniej — wyręczył go w odpowiedzi Michael.

Wciąż patrząc na Creasy'ego powiedziała:

— Wiem, że Michael tęskni za mną. Mnie też go brakuje. Ale żadną miarą nie przekonasz mnie, że i ty za mną tęsknisz. Nie jestem w stanie uwierzyć, że chcesz mojego powrotu.

— Nie byłoby mnie tutaj, gdybym tego nie chciał — zapewnił.

— Dobrze, wierzę ci. Tyle że robisz to dla Michaela, nie dla siebie. — Odwróciła się do Michaela. — W chwili, gdy zobaczyłam cię tutaj, zrozumiałam, że kocham cię jak syna. Ale nie mogę powrócić na Gozo, żeby żyć jak przedtem.

Kochałam Gozo, ale nie życie, jakie tam wiodłam. — Mówiła teraz tak, jakby Creasy'ego nie było w pokoju. — Od mojego powrotu do Londynu minęło pięć tygodni i jestem całkowicie pewna, że nie mogłabym mieszkać z tym człowiekiem. Czuję się przy nim jak mebel albo robot kuchenny. Prawda, przez kilka ostatnich tygodni był dla mnie miły, ale była to sztuczna poza, narzucona mu pewnie przez Laurę.

Po krótkiej ciszy Creasy wymamrotał:

— Naprawdę coś do ciebie czuję.

Zaśmiała się ironicznie.

— Jeśli nawet, to jest to uczucie, jakim darzyłyś ulubionego psa.

Siedział znowu ze wzrokiem wbitym w talerz. Jedzenie na talerzu pozostawało nietknięte. Mruknął ledwie słyszalnym głosem:

— Nie miałem nigdy psa. . . Nigdy nie miałem żadnego zwierzęcia.

Mówiąc to podniósł głowę i spojrzał na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie. Patrzyła mu prosto w oczy i nagle jakby dostrzegła w nich otaczającą go klatkę. Odłożyła wolnym ruchem widelec i nóż na talerz.

— Gdzie się zatrzymaliście? — spytała.

— W hotelu „Gore” w Queensgate.

Wstała i przeszła do kuchni. Usłyszeli odgłos podnoszonej słuchawki, a potem kilka cichych, niewyraźnych słów. Wróciła i poinformowała Michaela:

— Zamówiłam ci taksówkę. Będzie czekała przed drzwiami wejściowymi za jakieś trzy minuty. Jedź do hotelu, jutro porozmawiamy.

Michael popatrzył na nią, a następnie spojrzał na Creasy'ego, który nie odezwał się ani słowem. Michael wstał.

— Rozumiem. Zatem do jutra.

Po wyjściu Michaela posprzątała ze stołu, zrobiła Creasy'emu kawę, wreszcie usiadła i zapytała cichym głosem:

— Co to według ciebie znaczy: „coś do kogoś czuć”?

Upił łyk kawy. Była w sam raz osłodzona.

— Nie wiem — zaczął. — Nie potrafię tego. . . Nie jestem zbyt dobry w dobieraniu słów. . .

Uśmiechnęła się życzliwie.

— Nie doceniasz sam siebie. W każdym razie musisz spróbować.

— A co to oznacza dla ciebie? — spytał z kolei.

Odpowiedziała mu po krótkim namyśle:

— To coś, co człowiek odczuwa naprawdę tylko wtedy, gdy jest odwzajemnione.

Zastanowił się nad jej odpowiedzią. Po chwili usłyszała druzgocące słowa:

— Z tego wynika, że nic do mnie do czujesz.

- W tym właśnie problem. Nie wiem dlaczego, ale nie jesteś mi obojętny.
- Przecież zgodnie z twoją definicją uczucie musi być odwzajemnione.

Westchnęła.

- Może jest doskonale kamuflowane.
- Rzadko coś po mnie widać.
- Miałeś w życiu dużo kobiet?

— Tak — odparł z zadziwiającą szczerością. — Miałem ich wiele w sensie miłości fizycznej. Z niektórymi byłem nawet dłużej, od kilku dni do paru tygodni. Ale kochałem tylko jedną. Może w tym właśnie tkwi przyczyna mojego zachowania w ciągu ostatnich miesięcy. Nie wiedziałem, co to miłość, dopóki nie spotkałem Nadii. Nie miałem pojęcia, czym jest szczęście, dla mnie było to jedynie puste słowo. Byłem przy narodzinach mojej córeczki. A potem... Widzę je codziennie... Widzę moją żonę i córeczkę, jak leżą w kostnicy, a dzień jest taki zimny. Mam je przed oczami, kiedy się budzę i kiedy zasypiam. Trudno mówić o uczuciach, gdy towarzyszy mi tylko ten jeden obraz. Nie potrafię myśleć o pokochaniu innej kobiety. Nie wiem, jak to jest w przypadku innych, ale wiem na pewno, że ja drugi raz nie umiałbym pokochać.

W małym pokoju zaległa cisza, którą przerwało dopiero pytanie Leonie:

- Czy po śmierci żony spałeś z innymi kobietami?
- Tak.

— Poza popędem płciowym czułeś coś do nich?

Upił trochę kawy z filiżanki i wyznał z tą samą rozbijającą szczerością:

— Lubię cię bardziej niż którąkolwiek z nich. Z każdym dniem twojego pobytu na Gozo lubiłem cię coraz bardziej. Ale nie wierzę, bym mógł pokochać jeszcze raz. To uczucie rozsypało się bezpowrotnie wraz ze szczątkami tamtego samolotu,

— Rozumiem cię. A teraz bądź ze mną do końca szczery. Chcesz ich zabić, prawda?

— Tak.

— I użyć do tego celu Michaela?

— Jeżeli będę musiał.

— Czyli traktujesz to jako kontrakt, podobny do tego, jaki zawarłeś ze mną? Michael jest dla ciebie jedynie narzędziem zemsty?

Skrzywił twarz w uśmiechu.

— Tak na początku myślałem. Ale moja obecność u ciebie oznacza, że początkowe założenia nie zawsze się sprawdzają. Bardzo dobrze wiesz, że kiedy mówię, iż to nie tylko Michael chciałby cię widzieć z powrotem w domu, to naprawdę tak myślę. Nie będziesz traktowana jak powietrze. Otaczać cię będzie... to, co chyba nazywasz uczuciem.

Na długo zapadła cisza. Wreszcie Leonie zapytała:

— Gdzie miałabym spać?

— Mam nadzieję, że w moim łóżku.

- Będziesz mnie dotykał?
- Jeżeli będziesz chciała.
- A ty czego chcesz?
- Chciałbym cię dotykać.

Nadszedł ranek. Przyniosła mu kawę i obudziła go. Siadając obok niego na łóżku oznajmiła:

— Przed chwilą dzwoniłam do Michaela. Powiedziałam mu, że wpadniemy po niego za jakąś godzinę i pokażemy mu Londyn.

Podniósł się na łóżku, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— A co na to Michael? — spytał.

Uśmiechnęła się i potargała mu fryzurę.

— Powiedział, że jutro jest niedziela i chce pójść na mecz Tottenham Hotspur. Zdaje się, że portier hotelowy może załatwić bilety.

— I to wszystko?

Potrząsnęła głową.

— Nie, dodał jeszcze parę innych rzeczy. Ale to już są sprawy między matką a synem.

Blondyneczka za pomocą maleńkiego pędzelka wprowadziła ostatnie poprawki przy oczach i odsunęła się, żeby krytycznie ocenić swe dzieło. Zadowolona z wyniku oględzin wskazała na lustro. Leonie wstała, by się przejrzeć. Otoczone jaskrawo świecącymi lampkami lustro mogło z powodzeniem stanowić element charakterystyczny w każdym studiu filmowym czy telewizyjnym. Spojrzała na swe odbicie i dech zaparło jej w piersiach. Zobaczyła twarz pięknej kobiety, która mogła mieć nie więcej jak dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat.

Wpatrywała się długo w swe odbicie, wreszcie odwróciła się i powiedziała:

— Musiałś chyba zajmować się tym zawodowo?

Blondyneczka uśmiechnęła się. W przeciwieństwie do Leonie jej makijaż był mocny i rzucający się w oczy.

— Byłam w branży filmowej — wyjaśniła. — Tuż przed wojną pracowałam w Rzymie jako podrzędna aktoreczka, robiliśmy filmy propagandowe dla Mussoliniego. — Podniosła kokietyjnie brwi i dorzuciła: — Raz nawet z nim spałam. „Spałam” to właściwie za dużo powiedziane, w pięć minut było po wszystkim. Taki właśnie był, wiedziałś o tym? Potrzebował dziennie cztery, pięć kobiet, i z każdą było tak samo: pięć minut i koniec pieśni. Po wojnie często sobie żartowałyśmy, że gdyby wojna toczyła się tylko przez pięć minut, to miałyby szansę wygrać.

Leonie uśmiechnęła się.

— A co się działo z tobą później? Pracowałeś dalej w branży?

Blondyneczka wzruszyła ramionami.

— Czasy były ciężkie. Opuściłam dom jako szesnastoletnia dziewczyna i nie mogłam już wrócić. Kiedy skończyła się wojna, miałam dwadzieścia pięć lat i żadnego zajęcia, bo z kręceniem filmów było krucho. W końcu udało mi się dostać pracę, szorowałam podłogi w messie oficerskiej. Zaszłam w ciążę z jednym z oficerów, ale facet nie chciał się do tego przyznać. — Ponownie wzruszyła ramionami. — Zresztą dziecko i tak zmarło przy porodzie, to była dziewczynka.

— Bardzo mi przykro — odezwała się Leonie. — Ja także straciłam dziecko. Co potem robiłaś?

Starsza kobieta zerknęła na zegarek i podeszła do barku z alkoholem.

— Creasy i Michael wrócą za jakieś pół godziny — zaczęła. — Opowiem ci przy kieliszku. Co pijesz?

— Poproszę whisky z wodą.

Blondyneczka przygotowywała drinki, a Leonie znów wpatrywała się w swe odbicie w lustrze zadając sobie pytanie, czy przypadkiem to wszystko jej się nie śni. Przylecieli wczoraj nocnym lotem z Londynu i już na lotnisku Creasy opowiedział jej o Blondyneczce i Pappagal.

— Czy to znaczy, że będziemy mieszkać w burdelu? — zdziwiła się.

— Tak, ale w burdelu bardzo wysokiej klasy — odparł z uśmiechem. — Jeżeli ci to przeszkadza, mogę załatwić ci pokój w hotelu.

— A ty i Michael?

— Zatrzymamy się obaj w Pappagal. Blondyneczka to moja stara przyjaciółka, byłaby niemile zaskoczona słysząc, że przyjechałem do Brukseli i zatrzymałem się gdzie indziej.

— A Michael? Chcesz go zaprowadzić do burdelu?

— Nie martw się o Michaela, będę miał na niego oko. Poza tym musi poznać się z Blondyneczką i paroma innymi osobami stamtąd. Nie przejmuj się, znajdę ci jakiś dobry hotel w pobliżu.

Zastanowiła się nad tą propozycją i wreszcie potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, idę z wami. Pod warunkiem, że ta twoja Blondyneczka nie będzie próbowała gonić mnie do roboty.

— Tego nie zrobi — zapewnił ją Creasy uroczyście. — Ale na pewno proponuje ci coś innego.

— Co?

— Poczekaj, to sama zobaczysz. Spodoba ci się.

Do Pappagal pojechali taksówką. Kiedy przemierzali ulice Brukseli Michael kręcił bez przerwy głową na wszystkie strony, żeby nie stracić nic z widoków. Ostatnie kilka dni były dla niego prawdziwą rewelacją. Lata spędzone na Gozo nie przygotowały go do życia w wielkich miastach. Zadziwił go ruch uliczny, ludzie i tempo otaczającego go świata. Dopiero na meczu Tottenham Hotspur z drużyną Chelsea wróciła mu pewność siebie. Znał się doskonale na piłce nożnej i podobnie jak większość jego rówieśników na Gozo śledził z zapałem rozgrywki angielskich drużyn. Creasy i Leonie, którzy z kolei mieli blade pojęcie o futbolu, słuchali przy wtórze ryku trzydziestu tysięcy kibiców jego objaśnień na temat bardziej złożonych zasad gry. Tego samego wieczoru Leonie zabrała go na przedstawienie „Starlight Express”. Znając niektóre z występujących artystek, zaprowadziła go w czasie przerwy za kulisy. Tam przedstawiła go kilku aktorkom strojnym w skrzące się kostiumy, a on stał, jakby zapomniał języka w gębie.

Jadąc ulicami Brukseli zastanawiała się, jakie myśli mogą mu krążyć po gło-

wie. Ostatnie dni musiały jawić mu się jako nieustanny kalejdoskop wrażeń zakończony noclegami w najprawdziwszym w świecie burdelu. W jej głowie zresztą panował podobny chaos. Creasy zaproponował jej najpierw, by z Londynu leciała prosto na Malte, podczas gdy on z Michaeliem uda się na kilka dni do Brukseli w interesach.

— Jeżeli będziesz nalegać, to zgoda — odrzekła. — Chociaż prawdę powiedziawszy wolałabym zostać z wami. Obiecuję, że nie będę wchodzić w drogę. Zresztą nie chciałabym tym razem wracać sama na Gozo; później będzie mi to bardziej obojętne, ale teraz jest dla mnie ważne, żebyśmy wrócili razem.

Przystał na to z zadziwiającą łatwością.

Tak więc wprowadzono ją do kapiącego od luksusu burdelu i przedstawiono kobiecie, która wyglądała jak postać żywcem wyjęta z makabrycznego filmu. Jednak już po paru minutach Leonie zupełnie się uspokoiła. Została przedstawiona Raoulowi pełniącemu rolę wykidajły i kilku dziewczynom, które wybierały się akurat do domu. Ich zjawienie się przypominało nieco spóźnione przyjście na przyjęcie, które właśnie dobiegło końca. Przeszli do baru, gdzie Raoul nalał wszystkim po drinku i wyszedł zabierając na górę ich bagaże.

Creasy udzielił wyjaśnień Blondyneczce w kilku zwięzłych słowach:

— To Leonie, moja żona, a to mój syn, Michael. . . Poznajcie Blondyneczkę, moją starą przyjaciółkę i właścicielkę tego lokalu. — I zwracając się do Michaela przestrzegł: — jeżeli będziesz rozrabiał, to tak cię zdzieli, że nie obudzisz się wcześniej jak na Boże Narodzenie.

Michael uśmiechnął się, ale nie przestawał wodzić wzrokiem po pokoju.

— Chcielibyśmy zatrzymać się na dwie noce — Creasy wyjaśnił Blondyneczce. — Jutro po południu idę z Michaeliem na spotkanie z Korkociągiem Dwa, a potem jeszcze mamy coś do załatwienia. Wrócimy gdzieś koło szóstej. — Wskazał Leonie i poprosił: — Mogłabyś zaopiekować się moją żoną? Obiecałem jej, że nie będziesz jej zmuszać do pracy.

— Oczywiście, że nie — zapewniła z uśmiechem Blondyneczka.

— Ale chciałbym, żebyś się nią zajęła — rzekł Creasy poważnym tonem.

— W jakim sensie?

— Kiedy będziemy jutro na mieście, postaraj się zrobić z niej kobietę o dziesięć lat młodszą i — jeśli to możliwe — jeszcze piękniejszą.

Leonie spojrzała na niego zbaraniałym wzrokiem, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, starsza pani ujęła ją delikatnie pod brodę i przesunęła jej twarz pod światło. Wpatrywała się wnikliwie w oblicze młodej kobiety badając je pod różnym kątem. Na koniec uśmiechnęła się.

— Mogę odjąć jej lat i bardziej podkreślić jej urodę, jeżeli tego chcesz.



— Właśnie tego chcę — potwierdził Creasy.

Zjawiała się Blondyneczka z drinkami. Usadowiły się obie w wygodnych fotelach i gospodyni podjęła swoją opowieść.

Po stracie dziecka wpadła w prostytutkę. Nie szło jej jednak najlepiej. Nie była już młoda, a przecież nawet za swych najlepszych lat nie wyróżniała się specjalnie urodą. We Włoszech zaś w owym czasie roiło się od młodych, pięknych kobiet. Staczała się coraz bardziej. Aż pewnego dnia prostytutka, z którą pracowała, powiedziała jej o naborze dziewcząt do słynnego burdelu dla żołnierzy Legii Cudzoziemskiej w Sidial-Barres w Algierii. Praca była ciężka, ale pieniądze stały.

Praca była naprawdę ciężka. Burdel, który zatrudniał ponad dwieście dziewcząt, prowadzony był niczym pułk wojska. Każda z dziewcząt miała swój pokój, do którego regularnie jak w zegarku przychodzili legionieści. Opisała Leonie całą scenę, wyjaśniając, że dziewczęta pracowały w systemie zmianowym, czasem do ośmiu godzin dziennie. Życie było to ogłupiające, a nierzadko przynoszące ból.

— To właśnie tam poznałaś Creasy'ego? — spytała ją łagodnie Leonie.

— Nie w burdelu — odpowiedziała leciwa gospodyni. — Creasy nie chodził do burdelu. Poznałam go w szpitalu.

— W szpitalu?

— Tak. Był wtedy w randze starszego sierżanta. Jeden z ludzi w jego kompanii, Hiszpan z pochodzenia, przyszedł do burdelu i przydzielono go do mojego pokoju. Był pijany i niewiele lepszy od zwierzęcia. W pokojach dziewczęta miały przyciski, takie jak tutaj, na wypadek kłopotów. Drań okazał się cholernie kłopotliwy. Wyciągnął na mnie nóż, a ja nieco za późno sięgnęłam po przycisk. Z kolei legionieści, do których należała ochrona dziewcząt, zbyt późno dotarli do mojego pokoju. Zranił mnie poważnie w brzuch i w piersi, i wylądowałam w szpitalu. Jak powiedziałam, Hiszpan służył w kompanii Creasy'ego. Został skazany na dwa lata służby w batalionie karnym, ale wcześniej Creasy tak go pobił, że drań omal nie wyzionął ducha. O tym jednak dowiedziałam się później.

Creasy odwiedził ją w szpitalu. Był ogromnie zażenowany, że jeden z jego ludzi posunął się do czegoś takiego. Przyniósł ze sobą kwiaty i czekoladki.

— I tak oto poznałam Creasy'ego — zakończyła z uśmiechem swą opowieść.

Leonie wstała na widok otwierających się drzwi. Wygładziła na sobie niebieską, sięgającą aż do kostek spódnicę z aksamitu i obciągnęła złocistą bluzkę z naturalnego jedwabiu o grubym splocie. Podniosła oczy i napotkała wzrok Creasy'ego, który uśmiechał się z uznaniem. Michael stał jakby go zamurowało.

Zjedli w trójkę kolację w bistro „U Maxiego”. Leonie, która miała nadal na sobie długą spódnicę i jedwabną bluzkę, wśród reszty gości sprawiała wrażenie przesadnie wystrojonej. Nie przejmowała się jednak tym ani trochę. Znajdowała przyjemność w pożądlivych spojrzeniach, jakimi obrzucali ją przybyli samotnie mężczyźni bywalcy lokalu. Creasy obserwował ją i uśmiechał się.

— Nie, Leonie, odpowiedź brzmi: nie — powtórzył. — Nie możemy zabrać Blondyneczki ze sobą na Gozo.

Wybuchnęła śmiechem.

— To dziwne, ale dzięki niej naprawdę czuję się o dziesięć lat młodsza.

Rozejrzała się po wnętrzu niewielkiego bistro. Stało w nim tylko osiem stolików przykrytych obrusami w biało-czerwona szachownicę. Siedem było zajętych. Przez całą długość sali ciągnął się bar z dwunastoma wyściełanymi skórą stołkami. Z głośników dobiegała muzyka z końca lat pięćdziesiątych i wczesnych lat sześćdziesiątych. Z kuchni wyszła Nicole. Zarzuciła Creasy’emu ramiona na szyję i objęła go w długim, mocnym uścisku. Była niezwykle piękna i Leonie poczuła przez moment ukłucie zazdrości.

Kiedy zapoznano je ze sobą, Nicole powitała Leonie promiennym uśmiechem i czułym uściskiem.

— Jesteś tu zawsze mile widziana — powiedziała. — Zapraszamy również do domu, na piętro nad lokalem. Nie musicie zaglądać do jadłospisu. Kiedy zadzwoniliście dziś rano, postanowiłam, że przygotuję coś specjalnego.

I pomknęła chyżo do kuchni.

Zjawił się Maxie z butelką wina bez etykiety i z dużym talerzem *biltongu*.

— Dostałem to wino od Lamonta — wyjaśnił i dodał posyłając Creasy’emu szeroki uśmiech: — *Biltong* pochodzi z rancza mojego siostrzeńca, z okolic Bulawaya.

Leonie w czasie pobytu na Gozo chodziła wiele razy na kolację z Creasym i Michaeliem, a przez kilka ostatnich dni okazja taka zdarzyła się jej dwukrotnie w Londynie — dziś jednak po raz pierwszy czuła, że stanowią jedną rodzinę.

— Mam kilka pytań — wtrąciła się.

— Ja też — odezwał się Michael.

— No to śmiało — zachęcił Creasy, żując z ukontentowaniem kawałek *biltongu*. — Tak przy okazji, to nie wołowina, ale prawdziwa dziczyzna, najpewniej gnu.

— Kim są Maxie i Nicole? — przerwała mu Leonie.

— Maxie to stary i bardzo dobry przyjaciel. Walczyliśmy razem w Rodezji. Gdyby któryś z was miało kiedyś kłopoty, a mnie nie byłoby w pobliżu, śmiało do niego dzwońcie.

— A Nicole?

— Zasiliła niedawno grono przyjaciół. Stanowią parę zaledwie od kilku tygodni, ale możecie mi wierzyć, sam Bóg przeznaczył ich dla siebie.

Michael wskazał butelkę z winem i zapytał:

— A Lamont?

— Jeszcze jeden stary przyjaciel, były legionista. Ma małą winnicę w dolinie Renu. Pewnego dnia, kiedy będzie już po wszystkim, wybierzemy się tam na trochę.

— Ostatnie pytanie — włączyła się Leonie. — Dlaczego jestem tak elegancko ubrana i wyglądam o dziesięć lat młodziej?

Creasy nalał wina, spróbował i kiwnął z uznaniem głową.

— Dla próby — powrócił do wyjaśnień. — Pamiętasz, co mi powiedziałaś w swoim mieszkaniu w Londynie, kiedy Michael wrócił do hotelu?

— Mówiłam wiele rzeczy.

— Powiedziałaś, że chciałabyś uczestniczyć w pełni w tym, co robimy. Kiedy już zasnęłaś, przemyślałam to sobie i doszedłam do wniosku, że istotnie jedynym sposobem gwarantującym powodzenie naszego związku jest wprowadzenie cię we wszystko. Dlatego zaraz nazajutrz zadzwoniłem do adwokata i unieważniłem rozwód. Również dlatego przystałem na twój przyjazd z nami do Brukseli i nalegałem, żebyś poznała moich przyjaciół.

Na moment zaległa cisza. Położyła rękę na jego dłoni i spytała:

— Ale dlaczego chciałaś, żebym tak wyglądała?

— Z powodu człowieka nazwiskiem Khaled Jibril. — Kiedy wymawiał to imię, rysy jego twarzy stwardniały. Zerknęła na Michaela i z jego miny poznała, że jest w pełni wtajemniczony w sprawę Khaleda Jibrila.

— Opowiedz mi o tym.

— To syn Ahmeda Jibrila, człowieka, który kazał podłożyć bombę na pokładzie samolotu Pan Am.

Przedstawił jej w skrócie organizację Jibrila i jej strukturę. Kiedy skończył, jeszcze raz powtórzyła swoje pytanie:

— Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego chciałaś, żebym tak wyglądała?

— Khaled Jibril znany jest z fascynacji, powiem nawet obsesyjnej fascynacji, blondynkami pochodzenia skandynawskiego. Przez ponad dwa lata prowadził

w Szwecji komórkę Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i żył ze Szwedką, piękną blondynką. Ale rzuciła go, gdy odkryła, że jest terrorystą. Istnieje szansa, że mogę dotrzeć do Ahmeda Jibrila wykorzystując obsesję jego syna.

Przetrawiła to w sobie i po chwili zauważyła:

— Ale nie jestem piękna i nie jestem blondynką.

Posłała mu uśmiech i dotknęła swoich długich, prostych czarnych włosów.

— W każdym razie nie jestem blondynką.

— Ale jutro po południu już będziesz — odparł Creasy. — Będziesz wyglądać jak najbardziej rasowa ze skandynawskich blond piękności. Zaraz po lunchu Nicole zabierze cię do fryzjera. I jeszcze jedno: staraj się jej nie wypytywać, co robiła przed poznaniem Maxiego.

— Dobrze. A możesz mi to sam powiedzieć? Zastanowił się nad odpowiedzią.

— Trudniła się zajęciem podobnym do tego, które ja wykonywałem — wyjaśnił.

— Była najemnikiem? — spytał Michael nie kryjąc zaskoczenia.

— Kimś w tym rodzaju.

Z kuchni wyłoniła się młoda kelnerka, siostra Nicole, niosąc duży, czarny metalowy rondel. Postawiła naczynie na środku stołu i zdjęła pokrywkę.

— Co to jest? — zapytał Michael wciągając w nozdrza smakowity zapach.

— *Pot-au-feu provenal* — oznajmiła z dumą. — To przepis mojej babki. Gotowało się na bardzo małym ogniu przez całe popołudnie.

Pochłaniali jedzenie w niemal absolutnej ciszy. Po *pot-au-feu* przyszła kolej na sałatkę, ser i wreszcie *sabayon niois*.

— Wszystko domowego wyrobu — zapewniała kelnerka serwując kolejne potrawy.

Creasy zwrócił się z uśmiechem do Leonie:

— Wyobraź sobie, że zanim otworzyli ten lokal, spytałem raz Nicole, czy potrafi w ogóle gotować.

— Nicole to prawdziwy geniusz — orzekła Leonie. — Jak sądzisz, zdradzi mi przepis na *pot-au-feu*?

— Jeżeli nie, to nie zapłacę rachunku.

— Do tego jest bardzo ładna — włączył się Michael. — Podobnie jak jej siostra.

Kiedy bistro już opustoszało, Maxie i Nicole przysiedli się do ich stolika. Podczas gdy obaj mężczyźni zatopili się w rozmowie o starych przyjaciółach i bieżącej polityce, Nicole zapisała przepisy na *pot-au-feu* i *sabayon*. Michael nie odzywał się słowem, wodząc bez przerwy wzrokiem za młodą kelnerką zajęta sprzątaniami stolików. Wreszcie i ona dołączyła do reszty towarzystwa. Nalała sobie

brandy i zapytała o coś siostrę po francusku. Nicole w odpowiedzi pokręciła głową. Dziewczyna próbowała się sprzeczać, i wtedy wtrącił się Creasy. Odwracając się po chwili do Michaela wyłuszczył, w czym rzecz:

— Niedaleko stąd jest dyskoteka i Lucette chce się tam wybrać, ale po północy zaglądają tam czasem różne nieciekawe typy i mogą być kłopoty. Powiedziałem Nicole, że pójdziesz z Lucette i będziesz się nią opiekował. Masz dopilnować, żeby przed drugą wróciła do domu. I nie zapominaj, że jest pod twoją opieką, możesz sobie pozwolić najwyżej na dwa drinki.

Twarz Michaela rozjaśniła się w uśmiechu. Creasy wypowiedział do niego kilka szybkich zdań po arabsku. Młodzieniec przytaknął uroczyście, wziął Lucette pod rękę i razem wyszli z restauracji.

— Co mu powiedziałeś? — zainteresowała się Nicole.

— Żeby się nie popisywał.

— Po co miałby się popisywać?

— Michael dobrze wie, że żaden z dyskotekowych twardzieli nie miałby przy nim najmniejszych szans. Nawet we dwóch czy trzech nie daliby mu rady. Do tego towarzyszy mu piękna dziewczyna, pokusa jest więc oczywista.

Pewnego wiosennego popołudnia senator James S. Grainger został wezwany do Białego Domu.

Wprowadzono go do Gabinetu Owального. Prezydent serdecznie go powitał i osobiście nalał mu whisky z wodą. Obecny na spotkaniu Curtis Bennett popijał wolno drinka z poważnym, pełnym wyczekiwania wyrazem twarzy.

Kiedy zajęli miejsca, prezydent odezwał się:

— Jim, mamy już końcowy raport stwierdzający jednoznacznie, że odpowiedzialność za katastrofę nad Lockerbie ponosi Naczelne Dowództwo Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Posłużyli się oczywiście innymi: zaangażowali Libańczyków, Syryjczyków i pewnie też kilku wolnych strzelców. Ale za wszystkim stali właśnie sami Palestyńczycy. — Prezydent nachylił się i ciągnął zdecydowanym głosem: — Wiesz doskonale, Jim, że wyegzekwowanie nakazów aresztowania nie jest sprawą łatwą. Pamiętaj również o tym, co mi obiecałeś, kiedy zadzwoniłeś do mnie kilka miesięcy temu z prośbą, żebym nakazał dyrektorowi FBI zdjęcie z ciebie ochrony. Zrobiłem, jak chciałeś. Złożyłeś wtedy obietnicę, że gdy poproszę cię o współpracę z FBI, nie będziesz oponował.

— Zgadza się, panie prezydencie.

— Zatem proszę cię o to teraz, Jim.

— Dotrzymam złożonej obietnicy.

— To dobrze. — Prezydent zwrócił się z kolei do Bennetta. — Co do mnie, to ja o niczym nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia, że senator jest w jakikolwiek sposób wmieszany w tę sprawę. I dzisiejsza rozmowa w ogóle nie miała miejsca, jasne? Nic chcę żadnych Watergate, Irangate czy innych afergate. Rozumiemy się?

Bennett skinął zdecydowanie głową.

— Tak, panie prezydencie.

— Nie chciałbym, żeby po CIA krążyły wewnętrzne memoranda wymieniające nazwisko moje czy senatora. Zależy mi jedynie na tym, żeby pewnego dnia na moim biurku wylądował raport stwierdzający, że winni zostali albo aresztowani, albo wyeliminowani przez niezidentyfikowanych sprawców.

— Rozumiem, panie prezydencie.

Prezydent kiwnął głową, po czym odwrócił się do Graingera z marsową miną i spytał słodkim głosem:

— Powiedz mi, Jim, jak zamierzasz jutro głosować w sprawie ustawy podatkowej?

Grainger uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście za, panie prezydencie.

W godzinę potem Grainger i Curtis siedzieli w zaciszu biura mieszczącego się w podziemiach Białego Domu. Ostatnie pół godziny Grainger spędził na studiowaniu ostatecznego raportu CIA na temat zamachu bombowego nad Lockerbie. Czytał i sporządzał notatki.

Skończywszy, podniósł oczy znad notatnika i zapytał:

— Jesteś pewny, że Mossad dostarcza wam komplet danych?

Bennett wzruszył ramionami.

— Mogę być jedynie pewny tego, że trafia do nas wszystko, co wpływa od nich do FBI.

— A jeśli chodzi o BND i MI-6?

— To samo, z tą tylko różnicą, że bardziej ufam MI-6. Anglicy mają silniejszy bodziec do działania, jako że katastrofa wydarzyła się nad ich terytorium, a wśród ofiar byli też obywatele Wielkiej Brytanii. Współpracujemy ze sobą w tej sprawie. A teraz proszę mi opowiedzieć o Creasym i o waszych zamierzeniach.

Grainger zamknął raport i przejrzał sporządzone notatki. Kiedy skończył, odpowiedział Bennettowi:

— Przez ostatnie miesiące Creasy zajęty był tworzeniem swojego zespołu. Nie wiem, co to za zespół, ani kto wchodzi w jego skład; jeżeli jednak jest choć trochę podobny do grupy, którą przysłał dla zapewnienia mi bezpieczeństwa, to uważam, że mają spore szansę na wyegzekwowanie sprawiedliwości.

— Trudno się z tym nie zgodzić — mruknął Bennett. — Wiesz może, jaki ma plan?

— Nie mam pojęcia, jak chce się do tego zabrać i kiedy. Moje rola sprowadza się do dwóch rzeczy: zapewniam połowę funduszy i przekazuję wszystkie informacje, jakie do mnie trafiają. — Trącąc swoje notatki dodał: — Kongres funduje nam przejażdżkę do Europy. Wylatujemy w czwartek. Skorzystam z okazji i umówię się z Creasym na spotkanie, żeby dostarczyć mu te informacje. Natomiast kiedy przystąpi do gry, to już trudno przewidzieć. Zgodnie z przedstawionym raportem Ahmed Jibril przeniósł się do obozu szkoleniowego poza Damaszkiem, gdzie przebywa także jego syn, Jihad. Drugiego z synów, Khaleda, widziano po raz ostatni trzy tygodnie temu w Trypolisie. Posłuchaj, Curtis, muszę być na bieżąco informowany o rozwoju sytuacji. Nie chcę, żeby Creasy myślał, że jest zostawiony sam sobie.

— Nie będzie pozostawiony sam sobie — zapewnił zdecydowanie Curtis, zbierając swoje papiery.



Ahmed Jibril z natury był cierpliwym człowiekiem, co w przypadku terrorysty jest cechą zgoła niezbędną. Jednak po dwóch miesiącach spędzonych w obozie Ein Tazur jego cierpliwość zaczynała się wyczerpywać. Brakowało mu już kosmopolitycznego klimatu Damaszku i okazjonalnych spotkań z dwiema kochankami. A skoro żołnierzom nie wolno było trzymać w obozie kobiet, nie mógł dawać złego przykładu łamiąc ten zakaz. Wreszcie doszedł do wniosku, że reaguje zbyt przesadnie na istniejące zagrożenie i postanowił wrócić pod opieką uzbrojonej eskorty do swej kwatery głównej w Damaszku. Towarzyszył mu syn, Jihad. Drugi z synów, Khaled, kilka dni wcześniej powrócił z Libii. Przybywszy do swej kwatery Jibril zaczął bezzwłocznie od zwołania zebrania, na którym — poza nim samym — obecni byli jego obaj synowie oraz Dalkamouni, szef sztabu Jibrila. Zapoznał ich po raz pierwszy z pełną sytuacją oraz pokazał im materiały dostarczone przez pułkownika Jomaha.

Khaled nie przejął się za bardzo całą sprawą.

— Jeden człowiek — rzucił kpiąco. — Mossad i połowa zachodnich agencji wywiadowczych próbują od lat bez powodzenia pozbawić cię życia. Co może zrobić jeden człowiek?

Jihad kiwnął potakująco głową, Dalkamouni jednak był bardziej zaniepokojony. Kartkował okazane materiały i uważnie oglądał zdjęcie.

— Ten właśnie człowiek zdołał nam skutecznie przeszkodzić w porwaniu senatora Graingera — zauważył. — I nie działał w pojedynkę. Nie ulega wątpliwości, że współpracujący z nim ludzie toświetnie wyszkoleni fachowcy.

Ale Jihad nie dawał się przekonać. Machając ręką na papiery odezwał się:

— Mieli przeciwko sobie bandę zwykłych kryminalistów. Nie można porównywać jakiegoś mafijnego gangu z Naczelnym Dowództwem Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. — Odwracając się w stronę ojca powiedział na poły przeprasząco: — Powinniśmy byli sami przygotować tę operację, przy pomocy naszych ludzi.

Jibril w odpowiedzi potrząsnął głową i odparł stanowczo:

— Zajęłoby to nam zbyt dużo czasu. Poza tym nasza siła skupia się na Bliskim Wschodzie i w Europie. — Spojrzał na swego szefa sztabu. — Zgadzam

się z Hafezem, to zagrożenie trzeba potraktować jak najpoważniej. Wszyscy dobrze wiemy, że czasami jeden człowiek może zdziałać więcej niż cała armia. Sami też wysyłaliśmy pojedynczych bojowników do walki z armią izraelską. Osiągali cel, choć przypłacali to życiem, bo powodowały nimi nienawiść i patriotyzm. — Wskazał na materiały, które znalazły się już z powrotem przed nim na biurku. — Creasy kieruje się podobnymi pobudkami i szczerze mówiąc jest bardziej doświadczony i lepiej wyszkolony niż którykolwiek z naszych żołnierzy. Mam wrażenie, że nie obchodzi go własne życie, chociaż jest przecież niewierzący i nie myśli o raju. — Powiódł wzrokiem po twarzach trzech rozmówców i zapytał: — Macie jakieś propozycje?

Khaled odrzekł bez namysłu:

— Tak. Musimy go pierwsi dopaść i zabić.

— A jak mamy tego dokonać? — spytał spokojnie Jibril. — Nie wiemy, gdzie mieści się jego baza operacyjna, ba, nie mamy nawet pojęcia, na którym kontynencie ją założył. Wiadomo jedynie, że właśnie teraz może być w Damaszku.

Po tych słowach zapadła cisza. Przerwał ją Dalkamouni, który zaczął z namysłem analizować sytuację.

— Musi przecież mieć jakąś bazę. Wątpię, żeby zamierzał działać w pojedynkę. Musimy zapoznać się bliżej z jego biografią i znaleźć jakieś punkty zaczepienia, wpaść na ślad jego byłych i obecnych przyjaciół, oraz współpracowników. Wiemy co nieco o jego przeszłości, trzeba tylko dobrze w niej poszperać i znaleźć odniesienie do teraźniejszości.

— Jak to zrobić? — spytał Jihad.

— Dzięki cierpliwości i dokładności — odpowiedział Dalkamouni i zwracając się do Jibrila poprosił: — Możesz mi to zostawić na dzień lub dwa? Chciałbym sobie wszystko dobrze przemyśleć. Być może trzeba będzie wysłać kogoś do Europy, najpewniej do Paryża. Jeżeli tak, to pošlę Dajaniego. Jest doświadczony, inteligentny i cierpliwy. Ale w takim razie należałoby zapewnić sobie współpracę pułkownika Jomaha.

— Załatwię to — stwierdził Jibril. Przeniósł spojrzenie na Khaleda i dodał: — Planuję jeszcze jedno posunięcie: zamierzam poświęcić obu Libijczyków, którzy pomogli nam w podłożeniu bomby.

Na twarzy syna odbiło się zdumienie.

— Ale dlaczego?

Jibril uśmiechnął się mdło.

— Żeby stworzyć fałszywy trop. Pozwolimy, by ich nazwiska i część dowodów przeciekły do naszych łączników we francuskim SDECE. Francuzi natychmiast przekażą te informacje policji brytyjskiej i FBI, a Grainger dzięki swoim znajomościom dowie się o wszystkim od FBI i przekaże wiadomość temu psu Creasy'emu. Może Creasy zmieni front i zamiast mnie weźmie na muszkę Kadafiego? Nigdy nie lubiłem tego zadufanego w sobie pyszałka.

— Ale Kaddafi nie miał o niczym pojęcia — zaprotestował Khaled. — Tamtych Libijczyków sami przekupiliśmy na Malcie bez jego wiedzy.

— Cóż, będzie miał pecha. — Jibril wzruszył ramionami.

Khaled otwierał już usta, żeby dalej oponować, lecz dojrzał w oczach ojca coś, czego nigdy przedtem nie widział: strach. Zdusił w sobie protest i wymamrotał:

— Zajmę się tym od razu.

Jibril kiwnął stanowczo głową i zwrócił się z kolei do Jihada:

— Wrócisz do obozu. Chciałbym ruszyć z operacją KUMEER — postaraj się, żeby można ją było rozpocząć przed końcem miesiąca. Nie chcę, żeby ludzie mówili, że jesteśmy bierni. — Przeniósł z powrotem wzrok na Khaleda. — A ty zostaniesz tutaj i obejmiesz osobisty nadzór nad moimi ochroniarzami.

Na koniec odezwał się do Dalkamouniego:

— A to zadanie dla ciebie, drogi przyjacielu. Masz znaleźć tego Creasy'ego i wysłać go na tamten świat.

## 56

Wysiłki Georges'a Laconte'a na niwie beletrystyki kończyły się kompletnym fiaskiem, do czego nie chciał się nigdy przed sobą przyznać. Toczył więc nieustannie walkę sam ze sobą i jednocześnie z dyrektorem banku, który zresztą był jego wieloletnim przyjacielem,

— Wybij sobie z głowy napisanie wielkiej powieści — powtarzał mu dyrektor banku z surową cierpliwością, — Jesteś jednym z najlepszych dziennikarzy-tropicieli w całej Francji. Wszystkie poważne gazety i magazyny w kraju błagają cię o przyjęcie ich zleceń dając w zamian lukratywne zyski, a ty zaszywasz się na całe tygodnie w głuszy Bretanii marnotrawiąc czas na coś, co nigdy się nie uda.

Georges Laconte skończył już jednak pięćdziesiąt pięć lat i doskwierało mu przeświadczenie, że powieść jest dla niego niczym rak, którego trzeba raz na zawsze wyciąć. I dlatego tkwił w swojej maleńkiej wiejskiej chacie stukając w klawisze zdezelowanej starej maszyny do pisania firmy Royal, z którą nie rozstawał się od trzydziestu lat.

Ale i pisarze muszą jeść, a jedzenie wymaga pieniędzy. Kiedy więc agent Laconte'a zadzwonił do niego z Paryża wzywając go na pilne spotkanie, nie miał innego wyjścia jak wsiąść w swojego starego, poobijanego Citrona.

— Coś mi tu śmierdzi — to były jego pierwsze słowa. — Skoro zbierają materiały do książki o dawnych i obecnych formacjach elitarnych na świecie, to powinni raczej zwrócić się do historyków wojskowości i ekspertów, a nie do mnie?

— Zależy im na tobie, bo chcą dołączyć rozdział o najemnikach — odparł agent z wyćwiczoną cierpliwością. — A tak się składa, że jesteś ekspertem w dziedzinie oddziałów najemnych. Twoja książka „Wilki wojny” uchodzi za pozycję obejmującą całość zagadnienia. Poza tym, płacą naprawdę dobrze.

Westchnął i rozkładając ręce zakończył:

— Pięćdziesiąt tysięcy franków plus pokrycie wszystkich kosztów to niezła forsa za robotę, która nie powinna zabrać więcej niż miesiąc.

— To prawda — zgodził się Laconte. — Ale nie mogę wyzbyć się podejrzeń: po pierwsze, książkę ma wydać jakieś zupełnie nieznanne wydawnictwo z Jordanii, a po drugie, rozdział poświęcony najemnikom jest ograniczony do trzech na-

zwisk: „Mad” Mike Hoare, John Peters i Creasy. Dlaczego nie wspomnieć o paru Francuzach, jak choćby o Denardzie, czy o Maxie MacDonaldzie z Rodezji? Obaj nadal żyją. O Creasym krążą jedynie pogłoski, że wciąż żyje, a mimo to chcieliby, żebym skupił się właśnie na nim. Do tego chcą otrzymywać informacje z tygodniową regularnością. Dlaczego?

— Kto to może wiedzieć? — odrzekł retorycznie agent. — I czy to takie ważne? Dostajesz dwadzieścia pięć tysięcy franków na początek plus dwadzieścia tysięcy tytułem kosztów, a resztę w chwili ukończenia pracy. Co do Petersa i Hoare’a, to masz już w ręku wszystko, co trzeba, wystarczy więc tylko, że pójdziesz śladem pogłosek o żywym Creasym. Jeśli rzeczywiście żyje, spróbuj go odnaleźć i przeprowadzić z nim wywiad. Jeśli nie żyje, ukręcisz raz na zawsze łeb plotkom. Stać cię na odrzuceniu takiej oferty?

Laconte z goryczą potrząsnął głową.

— Dobrze wiesz, że nie. Muszę przynajmniej zredukować stan zadłużenia na koncie bankowym. — Spojrzał na zegarek i wstał. — Do piątku przyślę ci opracowanie w ilości dziesięciu tysięcy słów na temat „Mad” Mike’a Hoare’a i Johna Peresa. Potem wybiorę się do Brukseli. Jeżeli Creasy jest wśród żywych, to właśnie tam należałoby zacząć jego poszukiwania.

Odwrócił się w stronę drzwi, kiedy zatrzymały go słowa agenta:

— Nie wierzysz w pogłoski o Creasym?

Laconte wzruszył ramionami.

— Nie jestem aż takim niedowiarkiem. Choćby z tej prostej przyczyny, że nigdy nie wierzyłem, by ktokolwiek był w stanie go zabić. Chyba że takie byłyby wyroki boskie.

Rambahadur Rai nie mylił się w ocenie Michaela. Z chwilą usunięcia wykrytej rysy umysł chłopca i zdolność koncentracji stopiły się w doskonałej harmonii z wrodzonymi zdolnościami i wyuczonymi umiejętnościami.

W osiemnaste urodziny Michaela Creasy kupił mu džipa Suzuki, a Leonie podarowała mu stalowego Rolexa Oyster. Cała rodzina Schembri zjawiała się na lunch przynosząc w prezencie starą, lecz wciąż bardzo dobrą strzelbę, z której mógłby strzelać wczesnym latem do turkawek przelatujących nad Malta w trakcie ich wędrówki z Afryki do Europy. Przynieśli również kilka litrów wina własnego wyrobu. Popołudnie upłynęło im w miłej i odprężającej atmosferze. Creasy przygotował na grillu duże poście mięsa, kotlety baranie i smażone w całości ryby. Michael ugotował ziemniaki w mundurkach i przyrządził ogromną salaterkę sałatki. Leonie zabroniono dotykać się czegokolwiek, pozwalając jej jedynie na rozlewanie wina. Gawędziła więc sobie beztrąsko z Laurą i Marią w cieniu pergoli, podczas gdy panowie ustawieni wokół grilla podpowiadali sobie nawzajem, co i jak robić.

Po lunchu Creasy ustawił wyrzutnię do rzutków i czwórka mężczyzn popisywała się po kolei celnym okiem. Paul i Joey radzili sobie doskonale strącając mniej więcej siedemdziesiąt procent glinianych rzutków. Creasy i Michael osiągnęli wynik stuprocentowy.

— Coś nieprawdopodobnego! — skomentowała oniemiała z podziwu Maria. — Moi bracia ćwiczą strzelanie przez okrągły rok, nawet poza sezonem, a nigdy nie udało im się tak celnie trafiać.

Każde echo wystrzału pogłębiało depresję Leonie. Tego ranka kochała się z Creasym. Za każdym razem było im coraz lepiej, w przypadku Leonie początkowe uczucie przekształciło się w głęboką miłość. Ale zaraz potem Creasy wyjawiał jej, że za kilka dni on i Michael wyjeżdżają z Gozo.

Michael wraz ze swoim arabskim nauczycielem miał pojechać na dwa, trzy tygodnie do Tunezji, by uczyć się tam żyć jak prawdziwy Arab: jedząc arabskie jedzenie, modląc się jak Arabowie i chłonąc ich zwyczaje. Creasy wyruszał do Europy, gdzie czekało go spotkanie z senatorem Graingerem, po którym miał przystąpić do ostatecznej fazy operacji. Kiedy leżeli tak na dużym łożu splece-

ni ze sobą, zapytała:

— Kiedy wrócisz?

Pogładził ją po ramieniu.

— Kiedy będzie po wszystkim. A to może oznaczać wiele tygodni.

— Mogę w jakiś sposób pomóc?

— Tobie przypada najcięższa rola: będziesz tu wyczekiwać na nadejście ewentualnych wiadomości. Jeżeli miałyby przyjść, to zawsze za pośrednictwem Blondyneczki. Możesz mi być później potrzebna. — Mówiąc to pogłaskał ją po jej długich, ufarbowanych na blond włosach. — Będę starał się znaleźć sposób na wystawienie cię Khaledowi Jibrilowi, A to może być ogromnie niebezpieczne i fizycznie nieprzyjemne.

— Chcesz powiedzieć, że być może będę musiała pójść z nim do łóżka?

Spojrzał jej prosto w oczy i odparł cicho:

— Mam nadzieję, że nie, chyba że to będzie konieczne.

Pocałowała go i zapewniła:

— Zrobię, co będzie konieczne.

— Sola jest przygotowana — zauważył Creasy. — Szkoda, bo Montrachet jest przednie. — Podniósł kieliszek i wypił połowę bursztynowego płynu.

— Odeślij rybę do kuchni — zaproponował senator Grainger. Zajmowali stół przy oknie w restauracji „Riverside” w hotelu „Savoy”.

Creasy potrząsnął przecząco głową i uśmiechnął się.

— Oszczędzę raczej apetyt na tacę z serami i parę szklaneczek ich własnego portu. Ostatni raz piłem je tutaj dziesięć lat temu, teraz powinno być jeszcze lepsze.

Minione miesiące zbliżyły ich do siebie.

Senator Grainger przekazał Creasy’emu najświeższe dane od FBI. Poinformował go także, że kilka godzin wcześniej zadzwonił do niego Curtis Bennett z nową informacją. Do francuskiego SDECE wpłynął przeciek z bliskowschodniego źródła, według którego bezpośrednio odpowiedzialni za podłożenie bomby na pokładzie samolotu byli dwaj Libijczycy, obaj określani jako agenci wywiadu libijskiego. Jeden z nich, nazwiskiem Fhimah, w czasie zamachu nad Lockerbie pełnił funkcję dyrektora oddziału libijskich linii lotniczych na Malcie i zaraz potem powrócił do Libii. Było wielce prawdopodobne, że bomba rozpoczęła swą podróż właśnie na Malcie.

— Całkiem możliwe — przyznał Creasy. — Obaj dranie mogli z nim współpracować, ale mózgiem wszystkiego był Jibril. Nie płaciłby przecież całej tej forsy Rawlingsowi, gdyby za zamachem stał Kaddafi lub ktoś inny. Nie, moim celem pozostaje Jibril.

— Też tak sędzę — zgodził się Grainger. — Jaki masz plan?

Creasy wyjaśnił mu, że operacja została już rozpoczęta, a Jibril zostanie zabity w ciągu czterech do sześciu tygodni. Kiedy podano sery i porto, senator zapytał Creasy’ego, jak zamierza dokonać zamachu.

— Jibril zginie od kuli — odparł Creasy. — Tyle ci mogę powiedzieć, poza tym, że stanie się to w Damaszku.

— Ile osób liczy twoja grupa?

— Trzy: ja, pewna aktorka i jeden młody człowiek. Mówiąc dokładniej, to moja żona i mój syn.



Senator podniósł zdziwiony głowę. Creasy przytaknął.

— Tak, moja żona. Poślubiłem ją, bo tylko w ten sposób mogłem zdobyć syna, mam na myśli adopcję.

Grainger nie przestawał się dziwić.

— Ale dlaczego angażujesz właśnie ich? Dlaczego nie skorzystasz z pomocy Franka, Maxiego czy Rene? Jezu, przecież to najlepsi fachowcy, nawet FBI musiało to przyznać.

— Są ku temu dwa powody — zaczął Creasy. — Po pierwsze, to sprawa bardzo osobista, a moja żona i syn stali się teraz dla mnie kimś naprawdę bliskim i szczególnie osobistym. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie, ale tak się stało. Po drugie, nie planuję walnej bitwy, ale chcę wszystko rozstrzygnąć jedną kulą, do pociągnięcia za spust potrzebna jest więc tylko jedna osoba. — Tracił czerwoną biurową teczkę leżącą między nimi na stoliku. — Mam tu informacje, że Jibril cztery dni temu wyjechał z obozu w Ein Tazur pod ochroną uzbrojonego konwoju i przybył do Damaszku. Pewnie życie na pustyni śmiertelnie go znudziło. Z Libii do Damaszku powrócił także syn Jibrila, Khaled. Co do mnie, następne trzy, cztery tygodnie spędzę w Syrii i poza Syrią, żeby uwiarygodnić swój kamuflaż. Znasz numer telefonu, pod który będziesz przekazywał najświeższe informacje w miarę ich napływania do służb wywiadowczych.

— Będziesz w pełni poinformowany — zapewnił Grainger. — Sam prezydent tego dopilnował. Chce widzieć Jibrila martwym, szczegóły go nie interesują. Wie z dobrze poinformowanego źródła, że twoja osoba rokuje największe szansę na powodzenie, i o niczym więcej nie chce słyszeć.

Creasy upił łyk porto.

— Mogę ci jeszcze powiedzieć tylko jedno, Jim: Ahmed Jibril umrze od jednej kuli. Harriot, Nadia i Julia zginęły niemal natychmiast w chwili eksplozji. Niektórzy mówią, że szybka śmierć jest znacznie łatwiejsza, nie ma czasu na roztrząsanie myśli o jej nieuchronnym nadejściu. — Opróżnił kieliszek i podniósłszy wzrok na senatora dokończył zimnym głosem: — Ahmed Jibril nie będzie miał lekkiej śmierci. Umierając będzie wiedział, dlaczego odchodzi. Jego drogę do piekła rozświetlać będą łuki lamp. Już z daleka zobaczy szalejące płomienie.

## 59

*Moules marinières* było wyśmienite, podobnie jak podane w następnej kolejności *coq au vin*. Zasiadłszy później w barze Georges Laconte obsypał Maxiego MacDonalda gorącymi komplementami. Gospodarz poczęstował go w zamian kieliszkiem koniaku na koszt firmy.

— Rzeczywiście odszedłeś z zawodu, Maxie? — spytał Francuz.

Maxie potwierdził stanowczym ruchem głowy.

— Odszedłem, i cholernie się z tego cieszę.

Laconte rozejrzał się po małym, pełnym gości bistro, po czym pochyliwszy się zniżył głos.

— Jestem w mieście od kilku dni i wpadam to tu, to tam, odwiedzając stare śmieci. Trochę to smutne, jak człowiek widzi tylu podstarzałych najemników kręcących się w oczekiwaniu na pracę, która nigdy nie nadejdzie. Tak, Maxie, to koniec pewnej ery. Dobrze zrobiłeś wycofując się w odpowiednim czasie. — Wskazał na salę za swoimi plecami. — Masz ładny lokal. Serwujesz bardzo smaczne jedzenie, masz wspianą żonę. Wpadają tu czasami twoi starzy kumple?

Maxie był zajęty polerowaniem kieliszka. Odwrócił się i stawiając kieliszek na wiszącej za nim półce potrząsnął głową i odparł:

— Nie, bynajmniej ich do tego nie zachęcam. Pozostawiłem to wszystko za sobą.

— Czyli nie masz z nimi żadnego kontaktu?

— Wcale. I jeśli mogę cię prosić o grzeczność, to wolałbym, żebyś nie rozgłaszał, gdzie jestem i co porabiam. — Dolał koniaku do kieliszka Francuza.

Laconte podziękował ruchem głowy, upił łyk i odrzekł:

— Mogę ci to obiecać, Maxie, Ale może mógłbyś również wyświadczyć mi pewną przysługę?

— Mianowicie?

Francuz nachylił się jeszcze bardziej w stronę gospodarza.

— Będąc teraz w Brukseli słyszałem kilka razy pewną plotkę. Maxie zabrał się do polerowania kolejnego kieliszka.

— Co to za plotka? — zapytał.

— Mówi się, że Creasy żyje.

Maxie przestał czyścić kieliszek. Podniósł głowę i popatrzył Francuzowi prosto w oczy, po czym wzruszył ramionami i odpowiedział beztróskim tonem:

— Sam wiesz, jak to jest z plotkami. Creasy umarł pięć lat temu we Włoszech. Powinieneś to wiedzieć, jesteś przecież ekspertem. — Powrócił do polerowania szkła.

Laconte uśmiechnął się.

— Raczej byłem, bo od kilku lat nie jestem na bieżąco. — Opróżnił kieliszek i ześlizgnął się ze stołka. — Cóż, gdyby ktoś miał znać prawdę, to któż inny, jak nie ty. Wygląda mi to rzeczywiście na zwykłe plotki. — Sięgnął po portfel, żeby zapłacić rachunek, ale Maxie powstrzymał go przyjaznym ruchem ręki.

— To na koszt firmy, Georges. Miło cię było znowu widzieć.

Po wyjściu z bistro Georges Laconte przemierzał wolnym krokiem drogę do hotelu oddając się rozmyślanom. Jego uwadze nie uszło, że na samo wspomnienie o Creasym, Maxie MacDonald przerwał na moment pucowanie kieliszka, co w oczach Laconte'a było swoistym potwierdzeniem prawdziwości pogłosek. Dwa poprzednie wieczory dziennikarz spędził w trzech barach odwiedzanych przez byłych, jak i wciąż czynnych, najemników i mógł się przekonać, że wieści o żywym Creasym stanowiły tam główny temat rozmów. Mówiono również o tym, że Maxie MacDonald wspólnie z Callardem i Millerem z Australii wykonali właśnie bardzo dobrze płatne zlecenie. Czy było zbiegiem okoliczności, że wszyscy trzej byli w przeszłości bardzo bliskimi współpracownikami Creasy'ego?

W tej sytuacji Laconte rozgłosił wśród bywalców trzech barów obietnicę sowitej nagrody dla każdego, kto będzie w stanie potwierdzić prawdziwość plotek. Liczył zwłaszcza na pomoc pewnego mieszkańca Republiki Południowej Afryki oraz Włocha, którzy w przypadku, gdyby Creasy wciąż żył, chętnie ujrzeliby go martwym.

Po powrocie do kuchni Maxie zatelefonował do Blondyneczki. Przekazał jej treść rozmowy z Lacontem i wysłuchawszy jej odpowiedzi, zaznaczył:

— Nie musisz, po prostu przekaż mu to, kiedy się zjawi. Nie wydaje mi się, żeby coś się za tym kryło, możliwe jednak, że Laconte myszkuje na czyjeś zlecenie.

Odwiesił słuchawkę, pocałował Nicole i wrócił do baru.

W ciągu dziesięciu dni Creasy i Korkociąg Dwa dwukrotnie zjawiali się w Damaszku. Sprawdzili kryjówki i sprzęt zgromadzony w Damaszku i Latakii. Creasy był w pełni zadowolony ze stanu przygotowań. Odbyli także spotkania z małymi syryjskimi firmami importowo-eksportowymi w sprawie rozpoczęcia kilku handlowych przedsięwzięć. Creasy pod osłoną solidnego przebrania dwukrotnie przeprowadził rekonesans kwatery głównej Ahmeda Jibrila i kilku innych budynków w mieście.

W tym czasie jego główna baza w Europie mieściła się u Blondyneczki. Jednak po drugim przyjeździe z Syrii i po otrzymaniu wiadomości od Maxiego postanowił przenieść się do Londynu, do mieszkania Leonie. Zgodnie ze swoją naturą zadzwonił najpierw na Gozo, żeby uzyskać jej pozwolenie. Zgodziła się ze śmiechem i zaproponowała, żeby korzystał z jej poobijanego Forda Fiesty oszczędzając w ten sposób na taksówkach. Rozmawiali przez dziesięć minut i kiedy odłożył słuchawkę długo jeszcze stał i wpatrywał się w telefon, przywołując obraz Leonie w domu na wzgórzu. Zaraz potem poddał się impulsowi chwili: chwycił znowu słuchawkę i zadzwonił po raz drugi.

— A może przyjechałabyś do Londynu na kilka dni? — zapytał. — Moglibyśmy wybrać się na parę przedstawień i trochę się rozerwać.

— Kiedy? — zdecydowała się bez chwili namysłu.

Roześmiał się.

— Potrzebuję cztery, pięć dni na załatwienie kilku spraw. Spróbuj zarezerwować sobie bilet na weekend. Jutro po południu przylatuję do Londynu, możesz, zadzwonić do mnie wieczorem i powiedzieć mi, kiedy przyjedziesz.

Odłożył słuchawkę, a potem zatelefonował na lotnisko, żeby zarezerwować bilet na swój samolot.

## 61

Michael obmył ręce i nogi i podążając za swoim nauczycielem wszedł do meczetu pełnego ludzi. Ułożyli modlitewne dywaniki jeden przy drugim i uklękli zwróceniem twarzą do Mekki. Nauczyciel słuchał uważnie, jak Michael intonuje słowa modlitwy.

W godzinę później siedzieli już przy kramie z jedzeniem i nauczyciel bacznie obserwował Michaela, który próbował tuzin różnych potraw.

Był zadowolony ze swego ucznia. Jeszcze kilka dni i Michael będzie mógł pojawić się w każdym arabskim meczecie czy targowisku i być wziętym za rodowitego Araba — tyle że takiego, który większą część swego życia spędził w kulturze europejskiej. Znając wiek ucznia nauczyciel nie mógł wyjść z podziwu nad jego pewnością siebie. Michael nosił się i zachowywał jak trzydziestolatek, który zjeździł świat wzdłuż i wszerz.

Zgodnie z warunkami umowy, po wyjeździe z Tunisu nauczyciel nie miał już nigdy zobaczyć swego ucznia. Nie polubił go, żywił jednak wobec niego ogromny szacunek. Creasy powinien być zadowolony.

Przez dziesięć lat, obejmujących lata sześćdziesiąte i wczesne siedemdziesiąte, Pięt de Witt był agentem BOSS, cieszącej się ponurą sławą Południowoafrykańskiej Służby Bezpieczeństwa. Jako agent terenowy działał głównie w Angoli i Mozambiku, dokonując także od czasu do czasu w samej Afryce Południowej skrytobójczych zamachów na życie ultraliberałów, komunistów i wszystkich innych, do których jego przełożeni nie pałali specjalną sympatią. Cała ta działalność skończyła się jednak, gdy przyłapano go na wymuszaniu haraczu na własną rękę. Wyrzucony ze służby, naturalną koleją losu został najemnikiem, operując najpierw w Afryce Zachodniej, a następnie w Azji Południowo-Wschodniej.

Bezwzględny i bezlitosny, lubił zadawać ludziom ból. Lubiał też pieniądze, lecz o te było ostatnio coraz trudniej. Podobnie jak o pracę. Jedyna propozycja, jaką otrzymał w ciągu ostatnich trzech miesięcy, mówiła o przyłączeniu się do bandy podejrzanych typków w celu obrabowania niewielkiego banku w Luksemburgu. Nie spodobał mu się plan, a może ludzie, i nie przyjął oferty.

Tymczasem doszły go słuchy, że Denard zbiera w Paryżu ludzi do jakiejś roboty: chodziło o przejęcie kontroli nad którąś z wysp na Oceanie Indyjskim. Postanowił pojechać do Paryża, żeby to sprawdzić.

Jednak na lotnisku w Brukseli zmienił zamiar. Miał właśnie wysiąść z taksówki przy terminalu odlotów, kiedy nagle tuż przed nim przemknął mężczyzna o znajomej sylwetce. Rozpoznał go natychmiast. Był wysoki, postawnie zbudowany i miał charakterystyczny chód: stawiał na ziemi stopy najpierw zewnętrznymi krawędziami. Mężczyzna wszedł do budynku terminalu z płócienną torbą w ręku. Przypomniał sobie francuskiego dziennikarza, Georges'a Laconte'a, i ofertę ogłoszoną przez niego trzy dni temu wśród bywalców baru „U Bluma”.

Wślizgnął się ostrożnie do budynku terminalu i zaczął przeczesywać wzrokiem halę dworcową. Dostrzegł go przy stanowisku biletowym linii Sabena. Schował się za kolumną, stawiając na ziemi zniszczoną skórzaną walizkę.

W miarę, jak patrzył, wzbierała w nim mieszanina uczuć: nie dająca się wymazać nienawiść, strach i zderająca go ciekawość. Korzenie nienawiści sięgały wydarzenia sprzed wielu lat w Wietnamie, kiedy to stojący teraz przy stanowisku biletowym mężczyzna upokorzył go fizycznie. Strach rodził się na wspomnienie

ciągów, jakie otrzymał z jego rąk i po których wylądował na wiele tygodni w szpitalu z połamanyimi kośćmi. Ciekawość zaś powodowana była faktem, że pogłoski okazały się prawdziwe: Creasy istotnie żył. Dokąd się udawał? Co zamierzał? Za odpowiedziami na te pytania kryły się pieniądze.

Odczekał, aż Creasy przejdzie z kasy do stanowiska kontroli paszportowej i zaraz potem podszedł do tej samej urzędniczki Sabeny. Uśmiechnął się do niej. Był wysokim mężczyzną o jasnorudawych włosach i gęstej brodzie takiegoż koloru. Jego uśmiech krył w sobie wiele czaru.

— Zdaje się, że przed chwilą mignął mi na odprawie paszportowej mój przyjaciel. Nie widziałem go całe lata, może pani będzie mogła mi pomóc? Szedł właśnie od strony pani stanowiska, kupował może tutaj bilet? — Podał również rysopis Creasy'ego. Kobieta kiwnęła głową i wyjaśniła:

— Tak, kupił bilet do Londynu na drugą czterdzieści pięć.

— W klasie pierwszej czy turystycznej?

— W pierwszej.

De Witt spojrział na tablicę odlotów. Poza lotem o drugiej czterdzieści pięć, do Londynu leciał również samolot o czwartej trzydzieści.

— Hm, a ja lecę do Londynu tym o czwartej trzydzieści. Nie dałoby się mnie przesunąć na drugą czterdzieści pięć?

Wcisnęła parę przycisków na konsoli, odczytała uważnie ekran i skinęła głową.

— Zostało jeszcze parę miejsc, ale w klasie turystycznej.

— Nie szkodzi — ucieszył się i sięgnął po portfel.

Prom zacumował do nabrzeża. Szczęknięta opadająca rampa i Michael zbiegł z promu prosto w ramiona Leonie.

Kiedy siedzieli już w samochodzie, westchnął z zadowoleniem.

— Jak to dobrze być znowu w domu... Co na kolację? Mam dosyć tych arabskich smakołyków.

Wybuchnęła śmiechem.

— Zapraszam cię do restauracji. Zjemy „U Sammy’ego”. To szczególna okazja. Sammy trzyma specjalnie dla nas świeżego homara.

— Co to za szczególna okazja?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, nie mogąc się nadziwić, jak szybko wydorosłał.

— Jutro po południu jadę do Londynu — wyjaśniła. — Creasy dzwonił przed kilkoma dniami.

— Cieszę się — zapewnił ją. — Są jakieś wiadomości?

— Nic. Creasy powie mi o wszystkim w Londynie, przekaże ci po powrocie. Mówił też, że powinieneś być gotowy za jakiś tydzień do drogi. Pojedziesz na parę dni na Malte, żeby się lepiej zaprzyjaźnić na strzelnicy ze swoją starą znajomą *Heckler and Koch*. Uzgodnił to z George’em.



## 64

Przyjechał po nią na lotnisko Heathrow jej zdezelowanym Fordem Fiastą.

Kiedy torowali sobie drogę w gęstym potoku pojazdów zmierzających do Londynu, poinformował ją:

— Zamówiłem stolik w „Lou Pescadou”. Mają tam doskonałe owoce morza, zwłaszcza skorupiaki.

Roześmiała się.

— Wieczorem byliśmy z Michaeliem „U Sammy’ego” na homarze.

— Rozpieszczasz go — powiedział surowo, uśmiechając się jednak przy tym.

— To gdzie byś chciała pojechać?

— Co powiesz na hinduską restaurację przy Gloucester Road? Lubię zjeść dobre curry.

— Bardzo proszę. — Spojrzał na zegarek. — To pojedźmy teraz od razu do restauracji, a stamtąd do domu. Mam dla ciebie małą niespodziankę.

— Jaką?

— Po prostu niespodziankę.

Patrzyła na jego duże ręce trzymające niewielką kierownicę. Po raz kolejny jej uwagę zwróciły wielobarwne blizny na grzbietach dłoni. Dotknęła jego lewej ręki i spytała:

— Skąd masz te blizny?

Reakcja Creasy’ego była natychmiastowa. Wyrwał jej rękę i samochód skręcił gwałtownie w prawo nieomal uderzając w ciężarówkę jadącą sąsiednim pasem.

Zszokowana, wyrzucała sobie w myślach swoje zachowanie, Creasy tymczasem wyrównał kierunek jazdy.

Spojrzała na niego, miał lodowaty wyraz twarzy.

— Powiedziałam albo zrobiłam coś nie tak? — spytała ostrożnie.

— Nie, nic — mruknął. — Tylko że...

Wyraźnie coś go dręczyło. Widziała, że stara się usilnie znaleźć właściwe słowa. Dodała więc łagodnie:

— Jeżeli nie chcesz o tym mówić, zrozumieć to.

Potrząsnął głową.

— Nie o to chodzi. Widzisz, kilka lat temu ktoś siedzący tak jak teraz ty przy mnie w samochodzie, dotknął mojej ręki i zadał mi to samo pytanie.

— Kobieta?

— Nie, dziewczynka.

Przeciskali się w milczeniu przez strumień pojazdów. Wreszcie spytała go niepewnie:

— Ta we Włoszech? Ta, która zginęła?

— Tak.

Ponownie dotknęła jego dłoni.

— Tak mi przykro, Creasy.

Zdjął rękę z kierownicy i popatrzył na blizny. Zaczął cicho opowiadać:

— To było wtedy, gdy służyłem w Legii w Wietnamie. Przegraliśmy bitwę pod Dien Bien Phu. Tak jak wielu innych trafiłem do niewoli. Gnali nas wiele kilometrów przez dżunglę do obozu dla jeńców wojennych. Niektórzy zmarli po drodze, ja przeżyłem. W obozie przesłuchiwał mnie młody kapitan z komunistycznego Viet Minh, który zdobył wykształcenie jeszcze we Francji. Pytaniom nie było końca. Miałem ręce przypasane do stołu. Nie udzielałem odpowiedzi, a kapitan dużo palił. . . i nie używał popielniczki.

Zapała cisza. Pobiegł wzrokiem w jej stronę. Miał nieodparte wrażenie, że już to wszystko kiedyś przeżył. Nagle dotarło do niego, że wypowiada słowa, które mówił przed laty do młodej Włoszki:

— Czasem na tym świecie zdarzają się smutne rzeczy.

Jej odpowiedź sprawiła, że wrażenie powtarzalności całej sceny nabrało dramatycznego wymiaru. Posłała mu ciepły uśmiech, dotknęła jego ręki i szepnęła:

— Dobre rzeczy też się zdarzają.

## 65

Leonie zadzwoniła do Geraldine i umówiła się z przyjaciółką na lunch i wyprawę po sklepach.

Creasy ubrał się, wykonał kilka krótkich międzynarodowych rozmów telefonicznych, po czym zasiadł do studiowania notatek i map.

Wyszła z łazienki w jedwabnej bluzce i granatowych spodniach, kończąc jeszcze zakładać na siebie kremowy zakiet z kaszmiru. Promieniowała urodą. Nachyliła się nad nim i powiedziała całując go w ucho:

— Wrócę o czwartej. Obiecuję, że nie wydam fortuny.

Uśmiechnął się.

— Co to za perfumy?

— „Oscar de la Renta” — odparła. — Dostałam je od Michaela. Kupił je w sklepie wolnoctwowym w drodze z Tunisu. Podobają ci się?

— Jeżeli zaraz stąd nie znikniesz, to zedrę z ciebie ubranie i zaciągnę cię z powrotem do łóżka.

Pocałowała go ze śmiechem w policzek i ruszyła do frontowych drzwi.

— Odwołam spotkanie z Geraldine, jeśli chcesz — zapewniła. — Powiedz słowo, a zrezygnuję z zakupów.

Odwzajemnił pocałunek i mruknął burkliwie, wskazując na zarzucony papierami stół:

— Jedź jak masz jechać, i zjedz dobry lunch. Kup sobie jakąś nową sukienkę na dzisiejszy wieczór.

Pocałowała go jeszcze raz. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nią, po czym doszedł do okna i odsunął białą koronkową firankę. Widział, jak Leonie przechodzi jezdnię i wsiada do poobijanego niebieskiego Forda Fiesta. Był słoneczny, jasny dzień. Ford ruszył z miejsca i jechał ulicą nabierając szybkości. Odwracał się już od okna, kiedy raptem spostrzegł żółtobiały dym dobywający się spod samochodu. Kłęb dymu pęczniał wzbijając się nad przednią maskę. Dał instynktownie nura na podłogę i w tej samej chwili usłyszał brzęk roztrzaskującego się szkła i poczuł napór ciśnienia w uszach. Po ulicy przetoczył się grzmiący huk eksplozji.

Potrzebował niecałych dwóch minut, żeby spakować płócienną torbę i opuścić mieszkanie. Przepchał się przez gęstniejący tłum. Niektórzy stali jak skamieniali,

inni płakali i krzyczeli. Maszerował szybko przez dziesięć minut, słysząc dobiegające za plecami zawodzenie syren. Dotarł do stacji metra i wsiadł w pociąg zdążający na lotnisko Heathrow.

Ahmed Jibril przeczytał sprawozdanie i obrzucił gazetę krytycznym spojrzeniem. Znowu poczuł strach skręcający mu wnętrzności.

— Miał szczęście — wymamrotał.

— Nie — zaprzeczył Dalkamouni. — To raczej IRA popełniła błąd. Powinni byli zaryzykować i użyć bomby sterowanej drogą radiową. W ten sposób prędzej czy później by go dostali.

— Kim była ta kobieta? — spytał Jibril.

— Na razie nie wiemy — odparł Dalkamouni. — Brytyjskie służby bezpieczeństwa nakazały milczenie w tej sprawie.

— Brytyjskie służby bezpieczeństwa? Myślisz, że Angole biorą w tym udział? Dalkamouni wzruszył ramionami.

— Kto to może wiedzieć... Wiemy natomiast jedno: ten pies chce cię zabić. Niewykluczone, że Amerykanie i Brytyjczycy też o tym wiedzą. Coś mi się zdaje, że przysiedli wygodnie z boku i czekają, aż zrobi swoje, gotowi udzielić mu każdej możliwej pomocy nie wymagającej ich bezpośredniego udziału. Bo dlaczegoż mieliby nie pomóc? Ta kobieta może być śladem prowadzącym do niego, ale nie puszczą pary z ust, jak długo to będzie możliwe.

Jibril przyglądał się prasowym fotografiom ukazującym wrak samochodu.

— Szkoda — mruzczał. — Wielka szkoda.

— To jeszcze nie koniec — ciągnął jego współpracownik. — Ten Francuz, Laconte, zerwał kontrakt. Mówi, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Możesz być pewny, że poinformował już francuskie SDECE, a Francuzi przekażą wszystko Brytyjczykom.

— Czego jeszcze możemy być pewni? — spytał Jibril z nieukrywanym sarkazmem.

Dalkamouni skrzywił się.

— Tego, że ten pies Creasy jest już w drodze do Damaszku.

— Zatem tutaj szczególnie — warknął Jibril.

Złożona biała chusteczka wylądowała na kolanach Michaela.

— Wystarczy — dobiegł go ostry głos. — Otrzyj łzy.

Michael podniósł głowę. Na jego mokrej od łez twarzy malował się ból.

Siedzieli w pokoju w „Pensione Splendide”, pensjonacie położonym wśród wzgórz górujących nad Neapolem. Zgodnie z krótkimi instrukcjami otrzymanymi czterdzieści osiem godzin wcześniej od dzwoniącej do niego Blondyneczki, Michael spakował torbę, zamknął dom na wszystkie spusty, wsiadł na nocny prom do Neapolu, a później wziął taksówkę do „Pensione Splendide”. Podróż promem należała do bardzo udanych: poznał młodą, podróżującą z plecakiem Amerykankę, która początkowo planowała przespać się na pokładzie, ale zamiast tego spędziła noc w jego kajucie. W pensjonacie powitał go Guido, milczący mężczyzna w średnim wieku. Zaprowadził Michaela do jego pokoju i zapowiedział:

— Creasy zjawi się lada moment. Kazał ci tu czekać do swojego przybycia.

W rzeczywistości Creasy zjawił się dopiero po trzech godzinach. Wszedł z kamienną twarzą do pokoju, rzucił torbę na łóżko i poinformował krótko:

— Twoja matka nie żyje. Zginęła w Londynie od bomby podłożonej w samochodzie, która była przeznaczona dla mnie. Najpewniej to robota Irlandzkiej Armii Republikańskiej działającej na zlecenie Jibrila.

Kiedy naszkicował mu szczegóły tragedii, oczy Michaela wypełniły się łzami.

Wytał twarz chusteczką i spytał:

— Nie wróciłeś, żeby sprawdzić? Nie upewniłeś się, że nie żyje?

— Nie. Widziałem wybuch, nie miała najmniejszej szansy — zapewnił i dodał nieco łagodniejszym głosem: — Michael, to była jedna chwila, nie zdążyła nawet o niczym pomyśleć.

Michael wbił wzrok w podłogę. Wziął głęboki oddech i podniósł oczy.

— W wieczór poprzedzający jej wyjazd byliśmy razem na kolacji „U Sammy’ego”. Jedliśmy homara.

— Wiem.

— Mówiła o tobie. Wiedziałaś, jak bardzo cię kochała?

— Tak sądzę.

— A ty? Kochałeś ją?

— Tak... I miała tego świadomość, zanim zginęła. — Creasy wstał. — Wytrzyj łzy, Michael. Myśl teraz o tym, kto to zrobił... Pomyśl o Jibrilu.

Kolację zjedli na otwartym tarasie pensjonatu razem z Guido, przy stoliku oddalonym od reszty gości.

W dole migotały światła Neapolu, dalej rozciągały się wody zatoki. Obsługiwał ich stary kelner, który najwyraźniej znał Creasy'ego od dawien dawna.

Kiedy usiedli, Creasy wskazał na Guida i przedstawił go Michaelowi:

— To twój przyjaciel i przyjaciel twoich przyjaciół. Możesz mówić mu wszystko, co chcesz. Możesz rozmawiać z nim jak ze mną. Jeżeli będziesz czegośkolwiek potrzebował, powtarzam: czegośkolwiek — to wal do niego jak w dym.

Młodzieniec odzyskał już spokój i panowanie nad sobą. Spojrzał na Włocha i nie omieszkał spytać Creasy'ego:

— Co w nim takiego wyjątkowego?

Creasy uśmiechnął się, Guido zrobił to samo.

— To mój najbliższy przyjaciel — wyjaśnił. — Był mężem siostry Nadii, czyli jest moim szwagrem. Nie zdołałem zliczyć, ile razy uratował mi życie.

Michael zerknął na Włocha. Był niski, przysadzisty, o czarnych, siwiejących na skroniach włosach. Między szerokimi ustami i wszystkowiedzącymi oczami wystawał nos o rzymskim profilu.

— Był pan również najemnikiem? — zainteresował się Michael.

Guido przytaknął z namaszczaniem głową.

— Przez większość swego życia. Ale jeszcze przed śmiercią Julii obiecałem jej, że nie będę już więcej walczył ani zabijał. I dotrzymałem słowa. — Machnął z uśmiechem ręką w stronę gości siedzących przy stolikach i dodał: — Prowadzę więc teraz pensjonat i oglądam mecze piłki nożnej w telewizji.

Michael obrzucił Włocha uważnym spojrzeniem. Odwrócił się do Creasy'ego i zapytał:

— Był tak dobry jak ty?

Creasy skinął głową.

— Tak. A jeśli chodzi o pistolet maszynowy, to trudno o lepszego.

— A jako snajper? — dopytywał Michael z uśmiechem.

Creasy poprzedził odpowiedź wzruszeniem ramion.

— Pierwsza klasa.

— Tak dobry jak ja?

Creasy powoli pokręcił głową.

— No nie, ale jego nie szkolił Rambahadur Rai.

Na twarzy Guida odbiło się zdziwienie.

— Chcesz powiedzieć, że tego dzieciaka szkolił Rambahadur Rai?

Amerikanin przytaknął ruchem głowy i rzekł:

— Miał go przez miesiąc pod swoją opieką i na koniec był z siebie bardzo zadowolony.

Guido popatrzył na młodzieńca ze wzrastającym szacunkiem. Michael mruknął nie kryjąc rozdrażnienia:

— I nie jestem dzieciakiem!

Guido uśmiechnął się przyjmując z pokorą reprimendę.

Sędziwy kelner przyniósł na stół trzy olbrzymie talerze z potrawą z młodych kalmarów podaną z ryżem i sałatką oraz czerwone wino w nie oznakowanej butelce.

— Musisz zjeść wszystko — zwrócił się do Creasy'ego — bo inaczej kucharka gotowa cię zabić. Dobrze wie, że przepadasz za kalmarami i specjalnie kazała je dla ciebie kupić.

Przez następne dziesięć minut cała trójka jadła w milczeniu. Michael pierwszy przerwał ciszę. Wytarł usta chusteczką, spojrzął na Guida i zadał Creasy'emu pytanie:

— Jaki będzie kolejny krok?

— Jest dziewięćdziesiąt pięć procent szansy na to, że w przyszłym tygodniu Ahmed Jibril weźmie udział w odbywających się w Damaszku uroczystościach rocznicowych z okazji powstania państwa palestyńskiego. Uroczystości odbędą się na świeżym powietrzu. Będzie silnie strzeżony, ale istnieje możliwość oddania z daleka pojedynczego strzału.

— Jaka odległość?

Creasy westchnął.

— Jakieś pięćset pięćdziesiąt metrów.

— O jakiej porze dnia? — dopytywał ponagląjąco Michael.

— Tuż przed zachodem słońca.

— Rambahadur Rai — skomentował krótko Michael.

Creasy podniósł gwałtownie głowę.

— Nie mam najmniejszego zamiaru posługiwać się Rambahadurem.

Michael pokręcił głową i odparł lakonicznie:

— Wcale tak nie myślałem. To sprawa osobista. I nie zapominaj, że dla mnie ma także osobisty wymiar. Nie masz przecież monopolu na zemstę. Wspomniałem jego nazwisko z powodu wyrażonej przez niego opinii, że jestem lepszym snajperem niż ty.

— To sprawa dyskusyjna — Creasy przybrał obronny ton. — Może jesteś lepszy na strzelnicy, ale w terenie nie masz żadnego doświadczenia. Mnie go nie brakuje, zapytaj Guida.

Włoch przytaknął i dorzucił:

— To wielka różnica. Człowiek to nie papierowa tarcza. Świadomość, że strzela się do żywego człowieka może wpływać na sprawność umysłu i oka.



— Jibril nie jest człowiekiem — zripostował Michael. — Będę zimny i spokojny, i nic nie zmąci mojego wzroku i jasności myślenia. Nie chybię celu — zapewnił i zwrócił się z pytaniem do Creasy'ego: — Ile karabinów masz w Damaszku?

— Dwa.

— Oba *Heckler and Koch!*

— Tak.

Michael nachylił się i powiedział z mocą w głosie:

— W takim razie ja strzelam, ty zabezpieczasz. Zrozumiałeś, Creasy?

Po tych słowach wstał i rzucił serwetkę na stół:

— Idę spać — oznajmił i dodał zwracając się do Creasy'ego: — To była moja matka. — Następnie spojrzął na Guida. — Dziękuję za wyśmienity poczęstunek. Miło mi było pana poznać. Posłucham Creasy'ego i będę pana traktował jak przyjaciela. Mam nadzieję, że spotka się to z wzajemnością.

Odwrócił się i przeszedł między stolikami do wyjścia.

— Gdzie go znalazłeś? — spytał Guido z uśmiechem na ustach.

— W sierocińcu — odburknął Creasy.

— Naprawdę jest tak dobry, jak sam uważa? Jest lepszym snajperem niż ty? Sam widziałem, jak z sześciuset metrów trafiłeś faceta między oczy.

Creasy wzruszył ramionami.

— Rambahadur Rai jest najlepszym ze wszystkich strzelców wyborowych, jakich kiedykolwiek znałem. Jego zdaniem Michael wcale mu nie ustępuje. Chłopak ma do tego prawdziwą smykałkę. Z tym trzeba się już urodzić, by potem doskonalić się drogą ćwiczeń. Michael ma wrodzony talent i ćwiczył pod okiem najlepszego na świecie nauczyciela.

— Jak sobie radzi z innymi rodzajami broni? — pytał dalej zaciekawiony Guido.

— Doskonale. Zamieniłem tego dzieciaka w istną maszynę do zabijania. I w pewnym sensie ma rację: nie posiadałem monopolu na zemstę. Kochał Leonie, i na swój sposób kochał też Nadię i Julię. Być może wiedę go na pewną śmierć... — głos Creasy'ego przybrał ponurą nutę. — Wygląda na to, że cięży nade mną przekleństwo śmierci.

— Zawsze nam towarzyszyło — wtrącił cicho Guido. — Urodziliśmy się z piętnem śmierci.

Obie kolacje odbywały się w miejscach oddalonych od siebie o dwa tysiące kilometrów, ale toczony przy stole rozmowy obracały się wokół tego samego tematu.

Ahmed Jibril spożywał kolację w swojej kwaterze głównej w Damaszku, w towarzystwie dwóch synów, Dalkamouniego i pułkownika Jomaha.

W nocnym pociągu z Rzymu do Paryża Creasy jadł kolację w wagonie restauracyjnym z synem Michaeliem.

— Nie mam zamiaru zmieniać stałych zwyczajów — upierał się Jibril. — Jutro jadę do obozu, żeby pożegnać naszych bojowników wyruszających do operacji KUMEER. Idą na niemal pewną śmierć! Nie mogę wysłać ludzi na śmierć, a sam chować się w myszą dziurę.

— Kwatera główna Jibrila jest twierdzą nie do zdobycia — zauważył Creasy. Pociąg zwolnił bieg, dojeżdżając do podnóża Alp. — Można w niego uderzyć tylko wówczas, kiedy opuszcza mury kwatery.

— Jesteś pewny, że ruszy się z miejsca? — spytał Michael.

Wagon restauracyjny był zaledwie w połowie wypełniony gośćmi. Stoliki przed nimi i za ich plecami pozostawały puste. Obaj wybrali *steak au poivre* jako danie główne. Creasy odczekał, aż steward poda im jedzenie, i dopiero wtedy odpowiedział:

— Jestem pewny na dziewięćdziesiąt pięć procent, że weźmie udział w obchodach rocznicy powstania państwa palestyńskiego, które odbędą się pod koniec przyszłego tygodnia. — Przeniósł wzrok na swego młodego rozmówcę i zapytał: — Wiesz, co oznaczają słowa: *Saabat el Chouhaada*?

Michael przełknął kęs mięsa i popił sporym łykiem wina.

— Plac Męczenników — odparł. — Tam właśnie będą miały miejsce uroczystości rocznicowe?

— Właśnie.

— A pięćset metrów dalej mieści się twoja dziupla?

— Tak. Z odsłoniętym widokiem na plac. Michael, nie pij tak szybko. To dobre wino, delektuj się smakiem, nie wlewaj go w siebie jak wodę.

Khaled Jibril zachowywał całkowity sceptycyzm. Nachylił się nad parującą wazą, wyjął kawałek baraniny i włożył mięso do ust.

— Nie ma powodów do obaw — wymamrotał. — Jesteśmy na własnym terytorium. Nawet Mossad nie jest tu w stanie przeniknąć. — Spojrzał na ojca i podkreślił: — Nie po to tak długo żyłeś, żeby miał cię zabić jeden człowiek.

Pułkownik Jomah jako jedyny z całej piątki nie odmawiał sobie alkoholu. Obracając w rękę szklanę whisky z wodą, zauważył:

— Istnieje teoria, w myśl której Mossad nie planował nigdy zabójstwa żadnego z najwyższych rangą przywódców palestyńskich.

— Co za głupota — zirytował się Jibril. — Przecież to prawdziwi eksperci od zabójstw.

— Rzeczywiście — przyznał pułkownik. — I prawdą jest, że mają na swoim koncie wielu ludzi. Agenci Mossadu zabili niemieckich naukowców pracujących dla Nasera w Egipcie nad rozwojem pocisków kierowanych, uśmiercili francuskich i szwajcarskich naukowców, którzy pracowali w Iraku dla Saddama Husajna nad jego programem nuklearnym. A niedawno wyeliminowali w Brukseli kanadyjskiego eksperta od balistyki, który przekonał Saddama Husajna, iż potrafi zbudować dla niego działo artyleryjskie o takiej mocy, że będzie można wystrzelić na dowolną część Izraela pociski z bronią chemiczną. Jednak przez ostatnie piętnaście lat Mossad nie dokonał ani jednego zamachu na któregoś z przywódców palestyńskich.

W ciszy, jaka zaległa, wszyscy obecni zastanawiali się nad sensem usłyszanym przed chwilą słów. Pierwszy odezwał się Khaled:

— Ale dlaczego?

Pułkownik rozłożył ręce.

— Izraelczycy są przekonani, że działalność terrorystyczna wymierzona przeciwko niewinnym, postronnym jednostkom, przyczynia się do poparcia sprawy Izraela wśród społeczności zachodniej. Krótko mówiąc uważają, że ludzie tacy, jak twój ojciec czy Abu Nidal, działają w rzeczywistości na rzecz Izraela.

— Chce pan przez to powiedzieć, pułkowniku — włączył się Jibril — że nasz system bezpieczeństwa nie został tak naprawdę nigdy wystawiony na próbę.

— W samej rzeczy — przytaknął Jomah.

Michael zapatrzył się na strzelające w górę, ośnieżone szczyty Alp. Miał okazję po raz pierwszy widzieć śnieg. Po kilku minutach na powrót skupił uwagę na omawianej sprawie.

— Gdzie będzie stanowisko strzeleckie: wewnątrz budynku?  
— Na dachu — odrzekł Creasy.  
— Czyli będziemy zupełnie odkryci.  
— Przez krótką chwilę. Rzecz w tym, że wszystkie budynki w promieniu trzystu metrów od Placu Męczenników będą dokładnie sprawdzane. Na każdym dachu zostanie rozlokowany oddział wojska i policji.  
Zjawił się steward z deserem w postaci kremowych ptysi.  
— I dlatego strzał musi zostać oddany z odległości pięciuset metrów — uważał po przełknięciu ostatniego kęsa. — Spoza pasa bezpieczeństwa.  
— Właśnie.

Khaled wyjął notes i długopis.  
— Muszę wiedzieć o wszystkich twoich ruchach na najbliższe dni — wyjaśnił i sporządzając pierwszą notatkę zapytał: — O której planujesz jutro wyjazd do obozu?  
— Kiedy wyruszają bojownicy? — zwrócił się Jibril do Jihada.  
— W godzinę po zachodzie słońca — odparł syn.  
— W takim razie zjawię się w obozie na godzinę przed zachodem słońca — postanowił Jibril.  
Khaled zapisał i podniósł oczy znad notesu. Jibril machnął z rozdrażnieniem ręką.  
— Jutro podam ci resztę szczegółów.  
Dalkamouni włączył się do rozmowy:  
— Będziesz uczestniczył w przyszły piątek w uroczystościach na cześć państwa palestyńskiego?  
— Oczywiście — potwierdził Jibril. — Jakże mogłoby być inaczej?

Po kolacji Creasy i Michael wrócili do przedziału sypialnego w wagonie pociągowym. Michael zajął górne łóżko. Sen jednak nie przychodził.  
— Nie śpisz? — spytał cicho Creasy'ego.  
— Nie — padła odpowiedź. — O co chodzi?  
— Nie mogę zasnąć.  
— To sprawa przyzwyczajenia. Jeżeli chodzi o mnie, to nigdzie nie śpi mi się tak dobrze, jak w pociągu.  
Kotylali się w milczeniu w rytm jazdy pociągu. Michael odezwał się pierwszy:  
— Domyślam się, że wymyśliłeś sposób na dostanie się na dach?  
— Oczywiście.  
— I wiesz, jak stamtąd zejść już po oddaniu strzału?

— Jedna ściana budynku wychodzi na wąską, rzadko uczęszczaną uliczkę. Weźmiemy ze sobą liny i kiedy będzie po wszystkim spuścimy się za ich pomocą z dachu. George Zammit wspominał, że radzisz sobie z tym całkiem dobrze.

Dobiegł go stłumiony śmiech Michaela, a zaraz potem jego kolejne pytanie:

— Wokół kręcić się będą tłumy agentów ochrony. Jak w ogóle dotrzemy do Damaszku?

— Ja zjawię się na pokładzie statku płynącego z Cypru do Latakii, ty przyjedziesz z Turcji jako uczestnik zbiorowej wycieczki. Będziesz studentem archeologii, a Syria to przecież istny raj dla archeologów. Twoja wycieczka skończy się w Damaszku. Po odłączeniu się od reszty spotkasz się ze mną w naszej kwaterze.

Po chwili ciszy Michael spytał:

— Co będziemy robić w Paryżu?

— Spotkamy się z Korkociągiem Dwa. Zapozna nas z najnowszą sytuacją w Damaszku, wręczy nam paszporty, dokumenty i naboje.

— Naboje?

— Tak, naboje szczególnego rodzaju. No, a teraz spróbuj zasnąć.

Siedzieli w salonie apartamentu w hotelu „Meurice” w Paryżu. Korkociąg Dwa przekazał im paszporty, bilety oraz napisany na maszynie plan podróży dla każdego z nich. Wręczył również Creasy’emu małą drewnianą szkatułkę o rozmiarach osiem centymetrów na osiem. Creasy uchylił wieczko. Wewnątrz spoczywały cztery naboje z posrebrzanymi pociskami, naciętymi w kształcie krzyża.

Widząc, że Creasy uważnie je ogląda, Korkociąg Dwa zauważył:

— Ich działanie będzie tym silniejsze, im wcześniej zostaną użyte.

Michael przyglądał się z zaaferowaną miną.

— Co to takiego? — zapytał w końcu.

— Pociski — odparł zwięźle Creasy. — Specjalne pociski dla Jibrila. Później ci wszystko wyjaśnię.

— Masz całkowitą pewność co do odległości? — spytał Creasy’ego Michael.

— To odległość szacunkowa, przed akcją zmierzę ją dokładnie krokami. Sprawdzę również kąt nachylenia. Potem będziemy mogli skalibrować celowniki na obu karabinach.

Michael odwrócił się w stronę Creasy’ego i powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy:

— *Dunga justo basne.*

Creasy odwzajemnił uśmiech, ale czuł mętlik w głowie. Michael rozmawiał z nim jak równy z równym. Nie był już młodszym stopniem podwładnym, ale równoprawnym partnerem. W chwilę później znowu to udowodnił.

— Będziemy mieli na górze wskaźnik siły wiatru? — zwrócił się z pytaniem.

— Tak — przytaknął Korkociąg Dwa. — Model *Jasker 3*, znany z ogromnej dokładności.

Michael opuścił głowę w zamyśleniu, analizował słowa wypowiedziane kiedyś przez Rambahadura Rai. Podniósł oczy na Creasy’ego.

— Będziemy używać tłumików?

— Tylko w warunkach optymalnych — burknął Creasy.

Michael zastanawiał się jeszcze chwilę, wreszcie orzekł:

— Jeżeli wystąpi wiatr boczny o prędkości większej niż osiem kilometrów na godzinę, tłumiki trzeba będzie zdjąć. Przy strzale z tłumikiem z odległości

pięciuset metrów pocisk za bardzo by zniósł, współczynnik tłumienia jest zbyt duży.

Creasy zerknął na Korkociąga Dwa. Ten nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Zdaje się, że chłopak ma wszystko w małym palcu — zauważył.

Creasy odwzajemnił uśmiech.

— Lubi się wymądrzać, ale w tym wypadku ma rzeczywiście rację.

Korkociąg wyszedł o ósmej wieczorem, rzucając na pożegnanie:

— Życzę powodzenia.

Michaela o północy czekał jeszcze lot do Ankary.

Creasy zawiózł go na lotnisko. Zjedli ostatnią kolację w restauracji należącej do sieci Maxima, z okien której rozciągał się widok na pas startowy i kołujące samoloty. Jedli niemal w absolutnym milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Na początek zaserwowali sobie po tuzin ostryg, po których przyszła kolej na pulpety z młodej baraniny nadziewane orzechami laskowymi. Creasy zamówił butelkę La Croix Pomerol rocznik sześćdziesiąty pierwszy. Kelner przelał wino do karafki i zaczął napełniać nim kieliszki.

— To wino to prezent od niejakiego Jima Graingera — oznajmił Michaelowi. Ten obrzucił go pytającym spojrzeniem.

— To przyjaciel, bardzo dobry przyjaciel — wyjaśnił Creasy. — I ktoś bardzo znaczący w Ameryce.

— Dlaczego miałby nam kupować wino tej marki? — dociekał Michael.

— Jego żona leciała na pokładzie samolotu Pan Am lot sto trzy. Grainger jest wtajemniczony w nasze poczynania, przez cały czas służył nam pomocą. Poznasz go, kiedy będzie już po wszystkim. — I, sam nie wiedząc dlaczego, dorzucił: — Żona Graingera nosiła imię Harriot. Nie mieli dzieci.

Creasy nie odprowadził Michaela do hali odlotów. Objęli się w mocno i pożegnali przed drzwiami restauracji.

## 70

Michael obudził się wcześniej rano po dobrze przespanej nocy, jeśli nie brać pod uwagę pełnego wilgoci powietrza i bezustannego bzykania moskitów w pokoju. Ubrał się i owiązał głowę pasem płótna, by ochronić się przed żarem lejącym się z nieba.

Poprzedniego dnia autokar wycieczkowy przekroczył granicę Turcji z Syrią i po kilku godzinach jazdy piaszczystą drogą dotarł do hotelu „Baron” usytuowanego na obrzeżach Aleppo.

Grupa młodych studentów archeologii z Sorbony i różnych podparyskich uniwersytetów zebrała się w holu hotelowym. Michael po raz kolejny pochwycił spojrzenie młodej Francuzki. Wypatrzył ją zaraz po wyjeździe z Paryża i postanowił sobie, że musi ją poznać, zanim wycieczka dobiegnie końca.

Syryjski przewodnik zaczął omawiać plan zwiedzania, Michael tymczasem powrócił myślami do czekającej go misji. Nadchodzące dni miały być dla niego ostatnim okresem odpoczynku i zabawy wobec coraz bliższej perspektywy śmierci.

Przewodnik rozdał mapy miasta wycieczkowiczom w autokarze, który przemierzał teraz trójpasmowe ulice mijając parki i ekskluzywne restauracje. Wysiedli przy cytadeli, skąd na dalszą wycieczkę mieli wyruszyć wczesnym popołudniem. Do tego czasu mogli zwiedzać miasto na własną rękę.

Widząc, że Francuzka o kasztanowatych włosach odłącza się od reszty grupy, Michael postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji.

— Urodziwa Europejka nie powinna chodzić samotnie po tutejszych ulicach — zagadnął ją.

Sprawiła wrażenie zaskoczonej, dobrze jednak wiedział, że jest zadowolona z zaczepki. Po kilku minutach rozmawiali w najlepsze.

Miała na imię Natalie.

Ruszyli niespiesznym krokiem przed siebie. Czuli się tak, jakby znali się od dawna.

Na straganach rozległego bazaru można było znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie, poczynając od żywności i perfum, po biżuterię ze złota i srebra. Nad kramami z przyprawami korzennymi unosiła się woń kardamonu i goździków,



orzeszki pistacjowe pękały pod ich stopami. Poranne powietrze wypełniały pokrzykiwania kramarzy i właściciele straganów na kółkach.

Patrzył z lekka oszołomiony na Natalie, która przemykała z gracją od jednego kramu do drugiego, powiewając białą lnianą sukienką bez rękawów. Jej śmiech rozbrzmiewał echem po targowisku, gdy podziwiała piękne ozdoby jubilerskie oraz kolorowe wyroby z jedwabiu i bawełny. Dał się ponieść jej egzaltacji i przyłączył się do jej radosnego śmiechu.

Nazajutrz udali się do Crac des Chevaliers przez wybrzeże Latakii, porośnięte sadami i wysokimi cyprysowymi żywopłotami. Osiemsetletni zamek stanowił jedną z głównych atrakcji Syrii, a Michael odczuwał satysfakcję z faktu, że wie na temat zabytkowej budowli dużo więcej niż ich przewodnik.

— Opowiadasz znacznie ciekawiej, Michael — pochwaliła go Natalie. — Zaczyna mi się podobać to zwiedzanie.

Niebo przecięły trzy nisko lecące myśliwce wojskowe, przypominając swą obecnością, że Liban oddalony był zaledwie o kilka kilometrów. Weszli trzymając się za ręce na górną kondygnację zamku, do Wieży Córki Królewskiej, skąd po stronie południowej rozciągał się widok na pokryty śniegiem wierzchołek Kornet as Saouda w Libanie, a na wschodzie rozpościerała się dolina Nahr al-Kabir.

Michael był tak pochłonięty zwiedzaniem, że czekające go zadanie zeszło tymczasem na plan dalszy. Wkrótce, o wiele wcześniej, niż by tego pragnął, siedzieli z powrotem w autokarze wracającym do Damaszku.

Leżąc w pokoju hotelowym przeżywał jeszcze raz wydarzenia dnia i ledwie usłyszał szelest otwieranych i zamykanych drzwi. Zobaczył Natalie, która zbliżała się do niego z dwoma piwami w ręku.

— Wykończyło mnie to dzisiejsze łażenie — pożałowała się. — Mówiłeś, że nie będziesz wychodził, przyniosłam ci więc coś dla ochłody.

Podeszła bliżej i przysiadła na łóżku.

Nagle wróciła mu czujność. Usiadł, a w głowie huczało mu od podejrzliwości. Po raz pierwszy zaczął odsuwać od siebie niemal pewną perspektywę romansu. Choć dziewczyna go pociągała, to widział w niej teraz agentką wywiadu znającą dobrze jego plan. Pomyślał o Creasym, o gniewie, nienawiści i motywach, jakie pchnęły go na drogę zemsty. Na pamięć przyszła mu Leonie i ostatnia wspólna kolacja „U Sammy’ego”. Była jedyną kobietą, która darzyła go matczyną miłością i traktowała jak rodzzonego syna. Jibril roztrzaskał jego świat marzeń. Teraz on, Michael, sprawi, że życie Jibrila pięknie niczym mydlana bańka.

Spojrzał na Natalie, jego twarz i oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

— Nie możesz zostać — powiedział lodowatym tonem. — Moja wycieczka dobiegła końca i więcej się nie zobaczymy. Spędziłem miłe chwile, zapewniam cię, ale o nic więcej nie pytaj.

Wstał, podszedł do drzwi i gestem nakazał jej wyjść. Na jej twarzy wyraz zmieszania ustąpił miejsca wściekłości.

— Cholerny pedał — warknęła i oddaliła się majestatycznym krokiem.

# 71

Prom z Cypru zacumował przy nabrzeżach Latakii wczesnym popołudniem. Przedstawiciele syryjskiego urzędu imigracyjno-celnego weszli na pokład i rozpoczęli odprawę. Minęły dwie godziny, zanim Creasy zszedł po trapie z płócienną torbą w rękę. Nocny rejs upłynął mu całkiem przyjemnie. Jedzenie było do przyjęcia, a w ciągu paru godzin pobytu w małym kasynie prowadzonym przez młodych londyńczyków udało mu się wygrać trzysta funtów. Jeszcze przed wejściem na pokład promu zmienił swój wygląd, farbując na czarno włosy i doklejając wąsy.

Taksówką dojechał na bazar, a stamtąd pokonał pieszo trzysta metrów dzielące go od kryjówki. Było to mieszkanie z jedną sypialnią, położone na trzecim piętrze nowoczesnego pięcio-kondygnacyjnego budynku. Wszedł do małej kuchni, otworzył drzwi szafki wiszącej nad zlewozmywakiem i wyjął konserwy z jedzeniem. Następnie wyciągnął drewnianą ściankę z tyłu szafki, odsłaniając wgłębienie kryjące zgromadzony sprzęt. Wyjął karabiny i dokonał ich starannego przeglądu, po czym schował je na miejsce i ustawił z powrotem konserwy.

W pół godziny później wsiadał do klimatyzowanego autobusu jadącego z Karnaku do Damaszku. Na miejsce dotarł tuż po dziesiątej. Przed pójściem do kryjówki postanowił dokładnie obejrzeć budynek usytuowany na El Malek. Stanął na rogu ulicy, w odległości około dwustu metrów od miejsca, gdzie El Malek łączyła się z ulicą Suk Sarudża. Interesujący go budynek był mocno podniszczonym, dziesięciopiętrowym biurowcem. Na parterze mieściła się duża restauracja ze stolikami rozstawionymi na chodniku. Usiadł przy pustym stoliku i zamówił kawę. Zbadał wzrokiem wysokość budynku notując w myślach długość liny, jaką będzie musiał kupić. Restauracja i przyległa do niej ulica były wciąż pełne życia. Wśród przechodniów przeplatały się sylwetki ludzi w wojskowych i policyjnych mundurach. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się szereg eleganckich sklepów oferujących pełny asortyment towarów od dodatków aż po kompletne ubrania. Na jezdni panował duży ruch.

Dopił kawę i przeszedł kilkaset metrów dzielących go od kryjówki w pobliżu bazaru.

Mieszkanie składało się również z jednej sypialni i mieściło się na drugim piętrze starego budynku. Zaczął od odsunięcia komódki w sypialni i sprawdzenia

broni ukrytej w schowanej za komódką wnęce.

Zadowolony z wyniku oględzin poszedł do kuchni. Otworzył puszkę gulaszu, podgrzał mięso w rondelku i zjadł. Przez cały czas błądził myślami wokół wydarzeń nadchodzących dni. Zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro o dziewiątej rano Michael powinien zadzwonić do drzwi.

Michael spóźnił się pięć minut. Zgodnie z instrukcją przyniósł jajka, chleb i mleko oraz świeżego kurczaka, ziemniaki, marchew, pół kilograma polędwicy wołowej i główkę kapusty. Kupił także dwie butelki libańskiego czerwonego wina, co wykraczało poza ramy instrukcji, jednak Creasy nie oponował. Kiedy prowiant wylądował na stole, objęli się mocno. Następnie sprzątnęli jedzenie, wyjęli całą broń i sprawdzili wszystko dwukrotnie. Michael obchodził się z karabinem snajperskim niczym z kobietą: czule go ścisnął, muskał pieszczotliwie, przystawiając do ramienia i przytulając policzek do połyskującej czernią kolby.

Creasy przyglądał mu się, po czym mruknął: — Odległość jest naprawdę spora.

Michael odłożył bez pośpiechu karabin na łóżko i zapewnił z ponurym uśmiechem:

— Nie chybię, Creasy, zaufaj mi, na pewno nie chybię. . .

Na lunch upiekli kurczaka i otworzyli jedną z butelek wina. Przy posiłku Creasy wypytywał Michaela o wrażenia z podróży, zwracając uwagę na pozostałych uczestników wycieczki. Michael opowiedział mu o młodej Francuzce, puentując całą historię momentem wyproszenia dziewczyny z pokoju wczorajszej nocy.

Creasy przyjął to z zadowoleniem. Podniósł kieliszek i powiedział: — Poczekajmy z tymi rzeczami, aż będzie po wszystkim. Jeżeli tylko wydostaniemy się z Syrii cali i zdrowi, pojedziemy na Cypr i zrobimy sobie wakacje.

— Jak oceniasz nasze szansę? — spytał Michael pełnym powagi głosem.

— Pół na pół — padła zdecydowana odpowiedź. — Co jest zupełnie przyzwoitą proporcją.

Po lunchu wyszli oddzielnie z mieszkania i udali się każdy w swoim kierunku: Creasy na Plac Męczenników, Michael zaś poszedł obejrzeć budynek na El Malek.

Stojąc na Placu Męczenników Creasy obserwował, jak robotnicy wnoszą trybunę, przed którą miała odbywać się prezentacja wojsk. Ustawił się tak, by mieć przed sobą w linii prostej trybunę i budynek na rogu E! Malek. Widział narożnik dachu, który wydawał się istotnie bardzo odległy. Za pomocą palca wskazującego spróbował ustalić z grubsza kąt szczytu budynku względem trybuny — szacunkowy wynik wskazywał na dwadzieścia, dwadzieścia pięć stopni. Dane te miały mu

się przydać przy kalibrowaniu celownika karabinu.

Michael w tym samym czasie siedział w restauracji na parterze obserwowanego biurowca. Dokończywszy kawę ruszył niby od niechcienia i wszedł do holu budynku. Obok drzwi wejściowych stało duże drewniane biurko, przy którym zasiadał stary portier. Od Korkociąga wiedział, że portier schodzi ze stanowiska o osiemnastej. Frontowych drzwi nie zamykano na klucz, bo po cóż je zamykać, skoro do holu można było wejść bez przeszkód od strony restauracji. Na wprost drzwi znajdowała się winda, a na prawo od niej biegły w górę schody. Na samym szczycie biurowca były drzwi prowadzące na dach, również nie zamykane na klucz. Michael opuścił budynek i udał się na Plac Męczenników. Creasy'ego już nie było — odmierzał właśnie krokami przestrzeń między trybuną a kryjówką. Doliczył się około pięciuset dwudziestu metrów. Michael ustawił się między trybuną a El Malek i zmierzył orientacyjnie odległość, by również dojść do wniosku, że jest ona istotnie spora. Ruszył z powrotem El Malek do dziesięciopiętrowego biurowca, by następnie, zgodnie z instrukcją, zmierzyć krokami odległość między biurowcem a ich kryjówką. Droga wyniosła nieco ponad pięćset metrów, których pokonanie zajęło mu szybkim marszem równe sześć minut.

Po powrocie zastał Creasy'ego już w mieszkaniu. Reszta popołudnia zeszła im na powtarzaniu ustalonych procedur, kodów i postępowania w razie nieprzewidzianych wypadków.

Wieczorem Michael przygotował kolację, na którą złożyły się steki z ryżem i warzywami. Długo trwało, zanim Leonie zdołała go wreszcie przekonać, by nie jadał nadmiernie wysmażonego mięsa, do którego przywykł w sierocińcu. Szykując teraz średnio wysmażone steki nie mógł przestać o niej myśleć.

Kolacja miała im wystarczyć na następne czterdzieści osiem godzin. Jedli w milczeniu. Michael był głodny, zrelaksowany i pewny siebie. Creasy'ego z kolei ogarnął dziwny nastrój. Zerkając na niego Michael zadawał sobie pytanie, co też może mu dolegać.

Jedynie Guido byłby w stanie zrozumieć teraz Creasy'ego. Przed walką Creasy zawsze zachowywał się tak samo: był cichy, zamyślony, oddający się samoobserwacji. Wracał do przeszłości, rozamiętywał chwile niebezpieczeństw. Widział trupy... wiele, wiele trupów.

Myśląc teraz o Michaelu starał się odrzucać od siebie obawę, że Michael mógłby stać się jednym z nich. Istniało dużo prawdopodobieństwo, że uda im się zabić Jibrila, jednak szansę na wyjście z tego z życiem były doprawdy bardzo niskie. Rozumiał teraz jasno, że chociaż stworzył maszynę do zabijania, to przecież maszyna ta stała się nieodłączną częścią jego samego. Nie było już Nadii, Julii ani Leonie. Musi zrobić wszystko, żeby Michael nie podzielił ich losu. Przyszło mu do głowy, by zostawić Michaela w kryjówce i samemu wykonać zadanie, szybko jednak odrzucił tę myśl. Michael miał rację: nie istniało nic takiego jak monopol na zemstę. Rację miał także Rambahadur Rai: Michael był lepszym snajperem.

Creasy wiedział jedno: jeżeli będzie trzeba, poświęci własne życie, by ratować tego, którego sam stworzył.

Nazajutrz spędzili cały dzień w mieszkaniu, nic nie jedząc i pijąc tylko z rzadka wodę. O siódmej wieczorem spakowali długą płócienną torbę. Przedtem jeszcze wyłożyli na łóżka i dokładnie sprawdzili cały zabierany ekwipunek: dwa karabiny snajperskie z celownikami teleskopowymi i tłumikami, wiatromierz model *Jasker 3*, czterdziestometrowe liny, plastikowe butelki wypełnione wodą z glukozą, tabletki Dexedrine, które ustrzegą ich przed zaśnięciem, oraz butelkę Pyronu, który, zażyty przed oddaniem strzałów, miał uciszyć ich nerwy i zapobiec drżeniu rąk — środek używany czasem, wbrew wyraźnemu zakazowi, przez najlepszych w świecie graczy w snookera i strzelców wyborowych. Zabrali również kilka różnej wielkości klinów z czarnej gumy, dwa grube wełniane koce, małą, ale silnie powiększającą lornetkę, dwa czarne wełniane swetry, dwie pary cienkich, czarnych rękawiczek z bawełny, dwie nieduże latarki, osiem zapasowych baterii, mierzący blisko cztery metry kwadratowy brezent maskujący, i wreszcie niewielką drewnianą szkatułkę mieszczącą cztery szczególnego rodzaju naboje. Ich strój miał się składać z galabii, długich po kostki arabskich szat, które skrywać będą broń i owinięte wokół talii zwoje lin — stanowiące jedyny sposób na zejście z dachu budynku.

Krótko po dziesiątej wyszli oddzielnie z mieszkania. Creasy ruszył pierwszy. Zanim otworzył drzwi, przytulił Michaela i powiedział:

— Cokolwiek się stanie, pamiętaj, jesteś moim prawdziwym synem i nic już tego nie zmieni.

— A ty moim ojcem — odparł Michael wtulony w ramiona górującego nad nim wzrostem mężczyzny.



Noc była jasna. Creasy pił kawę w restauracji na parterze ośmiopiętrowego biurowca. Zajął miejsce blisko drzwi.

Wypatrując między przejeżdżającymi samochodami dostrzegł Michaela, który siedział po drugiej stronie ulicy przy stoliku na zewnątrz małej kawiarenki. Płócienna torba leżała u jego stóp. Niektórzy goście w wypełnionej restauracji nosili tradycyjne stroje arabskie, inni mieli na sobie eleganckie garnitury. Jeźdźnią przejechała odkryta, pełna żołnierzy ciężarówka. Po drugiej stronie ulicy spacerował leniwie policjant z pistoletem w kaburze wiszącej przy prawym biodrze. Creasy obserwował główne wejście do budynku. Przez pół godziny wyszło z niego kilka osób. Zamówił jeszcze jedną kawę i popijał ją małymi łydkami. Minął kolejny kwadrans i w drzwiach budynku nie pojawił się nikt więcej. Creasy podniósł lewą rękę i kilka razy przeczesał włosy. Widział, jak Michael wstaje i chwyta torbę. Potem przeszedł ulicę, lawirując między przejeżdżającymi samochodami, i nie patrząc na Creasy'ego, wszedł do biurowca bocznym wejściem restauracyjnym.

W pięć minut później Creasy pokonał bezgłośnie w butach na gumowych podszewkach dziesięć pięter biurowca. Michael czekał na samej górze, obok drzwi prowadzących na dach. Płócienna torba leżała u jego stóp. W prawej dłoni trzymał pistolet *Colt Browning 1911*. Creasy uniósł połę galabii i wyjął swojego *Colta*. Skinął na Michaela, który nacisnął klamkę i otworzył drzwi na oścież. Creasy wbiegł skulony na dach z wycelowanym przed siebie pistoletem. Wciąż przykucnięty, rozejrzał się na wszystkie strony. Po jego lewej ręce wznosiła się cementowa konstrukcja mieszcząca szyb windy, a obok niej znajdował się duży, okrągły zbiornik na wodę. Przebiegł szybko wzrokiem przestrzeń ponad dachem, w najbliższej okolicy nie było żadnych wyższych budynków. W promieniu trzystu metrów nie groziło im, by ktoś ich wypatrzył. Dał znak za siebie i Michael wbiegł pochylony na dach, niosąc w ręku torbę. Zamknął za sobą drzwi i błyskawicznie rozsunął suwak torby, po czym wydobył z niej czarne gumowe kliny. Trzeci pasował idealnie. Wbił go nasadą dłoni pod drzwi. Przygotowania zajęły im trzy minuty. Najpierw rozłożyli czarne koce, kładąc je jeden obok drugiego na skraju dachu. Następnie wyjęli karabiny snajperskie i resztę sprzętu. Zdjęli z siebie wierzchnie szaty i odpięli pistolety, umieszczając je na kocach obok ka-

rabinów. Odwinęli liny oplatające im talie, przeszli na tyły budynku i zapuścili wzrok w spowitą w ciemnościach uliczkę. Tuż pod dachem biegła gruba rura wodociągowa. Przywiązali bezszelestnie jeden koniec liny do rury i starannie zwinęli resztę. Następnie powrócili do stanowiska strzeleckiego.

Ułożyli się na kocach twarzą do dołu i naciągnęli na siebie brezent maskujący, którego barwa zlewała się idealnie z piaskowym kolorem powierzchni dachu. Creasy zdjął z ręki Rolexa i położył zegarek przed oczami: wskazówki pokazywały dziesiątą pięćdziesiąt pięć. Wziął karabin do ręki, odchylił brezent nieco do tyłu i przez celownik spojrzął na ulicę. W szkłe teleskopu wyraźnie jak na dłoni widział drewnianą trybunę. Za mniej więcej czterdzieści godzin Ahmed Jibril przyjmować będzie z niej defiladę.

— Popatrz przez chwilę — szepnął do Michaela. — Potem będziemy leżeć nieruchomo jak kamień. *Dunga justo basne.*

Ahmed Jibril miał słabość do krzykliwych zachodnich ubiorów: włoskich garniturów i jaskrawych sportowych marynarek, jednak na dzisiejszą okazję założył na siebie wypłowiałe polowy mundur, ten sam, który nosił jeszcze jako młody bojownik.

Wyjechał z kwatery głównej na tylnym siedzeniu dżipa w towarzystwie swego syna Khaleda i uzbrojonego po zęby bojownika, który siedział obok kierowcy. Samochód z Jibrilem był wciśnięty między dwa inne dżipy wypełnione ochroniarzami. Ulice obstawione były wojskiem i policją. Zbliżając się do Placu Męczenników zauważył, że na dachach niemal wszystkich budynków czuwają strzelcy wyborowi.

Na placu powitał go pułkownik Jomah. Oddawszy sobie honory wojskowe objęli się w uścisku i pocałowali w oba policzki. Następnie wspięli się po stopniach trybuny, a tuż za nimi wszedł Khaled. Na trybunie zgromadziło się już tuzin mężczyzn w mundurach, którzy reprezentowali różne frakcje palestyńskiego ruchu oporu. Wszyscy powitali Ahmeda Jibrila ciepło i z należnym szacunkiem. Zaledwie trzy dni wcześniej czterej bojownicy Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny przedostali się przez granicę z Izraelem i zabili trzech osadników izraelskich, zanim sami zostali zastrzeleni przez izraelskie siły bezpieczeństwa. Zebrani zrobili miejsce pośrodku trybuny dla Jibrila, Khaleda i pułkownika Jomaha.

Creasy oddalony o pięćset dwadzieścia metrów od trybuny wysunął rękę z wiatromierzem spod maskującego brezentu. Przyrząd składał się z trzech osadzonych na wrzecionie czasz wielkości naparstka i z wskazówki pomiarowej. Wskazówka zarejestrowała czternaście kilometrów na godzinę. Schował wiatromierz z powrotem pod brezent; odkręcili tłumiki z karabinów. Obaj byli zeszywniali od wielogodzinnego bezruchu. Kilkakrotnie przelatowały im nad głowami śmigłowce, zwiększając przez ostatnie dwie godziny nasilenie lotów. Pierwszego dnia, gdy przycisnęła ich potrzeba, oddawali moc w nogawki spodni. W czasie drugiej doby Creasy'ego chwycił trzykrotnie bolesny skurcz nogi.

— Zobaczmy, co się dzieje — szepnął teraz do Michaela. Spod krawędzi bre-

zentu wysunęły się otwory luf, a za nimi celowniki. Zbadali sytuację na Placu Męczenników.

— Jest w samym środku — odezwał się przyciszonym głosem Creasy. — Widzisz go?

— Tak, mam jego głowę w nitkach celownika.

— Dobrze. Ustawmy teraz celownik: wiatr boczny z lewej o sile czternastu kilometrów na godzinę; odległość: pięćset dwadzieścia metrów; kąt nachylenia: dwadzieścia siedem stopni... Nie, zwiększmy nieco kąt, lepiej trafić niżej, niż przemieść.

Zajęli się obaj ustawianiem przyrządów celowniczych.

— Strzelasz pierwszy, ja zaraz za tobą — przypomniał Creasy.

— W głowę czy w serce? — spytał szeptem Michael.

— Ani jedno, ani drugie. Tak jak stoi, celuj w okolice prawego ramienia, nieco powyżej brodawki...

Michael odwrócił raptownie głowę i obrzucił Creasy'ego zdziwionym spojrzeniem.

— W ramię!? Myślałem, że mamy go zabić!

Głos Creasy'ego był cichy, lecz stanowczy:

— Rób, co ci mówię! Celuj w prawe ramię.

— Ale dlaczego?

— Nie pytaj dlaczego, potem ci wyjaśnię... Masz go trafić w okolice prawego ramienia. Poczekaj tylko, aż zacznie się parada. Będzie oddawał honory swojemu oddziałowi, wtedy strzelisz... Zrób to, o nic nie pytaj.

Młodzieniec jęknął i starannie wycelował.

Reprezentacyjna orkiestra syryjskich sił powietrznych, ustawiona pięćdziesiąt metrów od trybuny, grała palestyński hymn narodowy. Creasy i Michael schowali karabiny na dźwięk nadlatującego śmigłowca. Lufy wysunęły się na powrót, kiedy warkot zaczął się oddalać. Kolumny bojowników zgromadzone na Placu Męczenników rozpoczęły marsz przed trybuną, potrząsając trzymanymi w górze karabinami i skandując hasła.

Na widok zbliżającej się kolumny bojowników z Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny Ahmed Jibril dźwignął się z miejsca i stanął wyprostowany jak struna. Duma rozsadzała mu pierś. Michael wyciągnął rękę i dokonał mikroskopijnej poprawki celownika. Ustawił siatkę celownika na piersi Jibrila. Rozległ się terkot nadlatującego śmigłowca.

— Strzelaj! — syknął Creasy. — Na co czekasz! Nie zaprzataj sobie głowy śmigłowcem. . . Prawe ramię!

Śmigłowiec był już nad ich głowami młócąc łopatom powietrze.

— Jest dokładnie nad nami — powiedział Creasy, przekrzykując hałas. — Załoga nie może więc nas widzieć. . . Pamiętaj, prawe ramię.

Michael bardzo powoli przesunął siatkę celownika na prawe ramię Jibrila. Wziął głęboki oddech. Pęd powietrza ze śmigłowca rozwiewał mu włosy. Jego umysł był wolny od myśli. Karabin stał się częścią jego ciała: ręką, nogą, mózgiem, sercem.

Oddział bojowników z Naczelnego Dowództwa Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny dotarł do trybuny. Z oczami promieniejącymi radością wykrzykiwali hasła lojalności pod adresem swego przywódcy. Ten uśmiechnął się z dumą i uniósł prawą rękę w sztywnym salucie.

Michael niemal pieśczośliwie musnął palcem język spustowy. W ułamek sekundy później Creasy uczynił to samo.

Pocisk Michaela doszedł celu: Jibril okręcił się i zwałił na plecy. Kula Creasy'ego trafiła go w rękaw.

Na trybunie rozpełtało się istne piekło. Przez trzy sekundy obserwowali całą scenę przez celowniki. Po chwili Creasy mruknął pod nosem stare myśliwskie powiedzenie zrodzone w Rodezji.

— Martwy na amen — ocenił. — Zwijamy się.

Zostawiając wszystko pobiegli do lin. Warkot śmigłowca szybko oddalał się w kierunku Placu Męczenników.

Przepasali się linami i zaczęli spuszczać się po ścianie budynku, odpychając się nogami od muru. Michael był już blisko ziemi, kiedy popełnił pierwszy błąd: w ferworze ucieczki opuścił się zbyt raptownie i uderzył twardo o cementowe podłoże, lądując tylko na lewej nodze i skręcając sobie kostkę.

Creasy wylądował miękko na obu nogach. Usłyszał tuż obok siebie syk bólu. Nie zwracając jednak na to uwagi sięgnął najpierw po pistolet i przebiegł wzrokiem zaułek aż do głównej ulicy. Terkot śmigłowca znów rozlegał się nad ich głowami. Poza nimi w zaułku nie było żywej duszy.

Nachylił się nad Michaeliem.

— Złamana?

— Chyba nie, raczej zwichnięta.

— Możesz iść?

Michael dzwignął się z wysiłkiem i spróbował stanąć na nodze.

— Mogę, ale bardzo wolno.

Creasy szybko podjął decyzję.

— Idź pierwszy. Trzymaj się głównej ulicy i kieruj się w stronę placu. Udawaj, że idziesz za tłumem gnany ciekawością. Potem odłączysz się, skręcisz w boczną uliczkę po twojej lewej ręce i wrócisz do naszej dziupli. Będę szedł jakieś pięćdziesiąt metrów za tobą. Gdybyś miał kłopoty, zwracaj szybko w moją stronę...

— W jego cichym głosie pojawiła się twarda nuta. — Nie wezmą nas żywcem. Jeśli nie będzie można inaczej, zastrzelę cię. A potem siebie... Ruszaj!

Michael pokuśtykał powoli przed siebie.

Kiedy dochodził do głównej ulicy, przemknęła obok niego kolumna samochodów policyjnych z włączonymi syrenami i światłami. W kierunku Placu Męczenników płynęły tłumy ludzi. Wmieszał się w ciżbę. Creasy podążał za nim, starając się nie stracić go z oczu. Pod lewą pachą ścisnął zawinięty w fałdy ubrania pistolet, skierowany kolbą do przodu.

Widział, jak Michael kulejąc skręca w lewo ku bocznej uliczce. Creasy przejechał się przez tłum i poszedł za nim.

Nagle przed Michaeliem wyrosło trzech policjantów z formacji paramilitarnej. Jeden z nich wykrzykiwał coś do niego. Cała trójka trzymała w rękach pistolety.

Creasy zobaczył, jak Michael przypada na prawe kolano i wyciąga spod gablacji pistolet. Zdążył posłać na ziemię dwóch napastników, kiedy trafiła go kula wystrzelona przez trzeciego z nich.

Przy akompaniamencie dochodzącego gdzieś z tyłu kobiecego krzyku Creasy wyrwał pistolet spod pachy i wpakował kulę prosto w twarz policjanta.

Michael leżał na boku. Poruszył się, próbując się podnieść. Po drugiej stronie ulicy wysiadał właśnie z zielonego Fiata starszy mężczyzna. Creasy podbiegł

i przystawił mu pistolet do głowy.

— Kluczyki! — syknął po arabsku. Przerażony staruszek pokazał ręką na tablicę rozdzielczą. Creasy wyciągnął go z samochodu i warknął:

— Uciekaj albo już po tobie!

Staruszek nie zwlekając wziął nogi za pas.

Creasy obejrzał się. Michael stał na nogach, przyciskając lewą rękę do prawego ramienia. Jeden z policjantów dźwignął się na kolana. Creasy strzelił mu w pierś, policjant opadł z powrotem na ziemię bez znaku życia. Syreny zawodziły niczym stado kocurów. Michael ruszył kuśtykając do samochodu. Creasy otworzył drzwi od strony pasażera, po czym podbiegł i wzięwszy go dosłownie na ręce wrzucił na siedzenie. W pięć sekund później Fiat pędził już ulicą.

— Gdzie dostałeś? — krzyknął Creasy. Skręcił błyskawicznie kierownicą, cudem unikając zderzenia z nadjeżdżającą ciężarówką.

— W prawe ramię. . . Albo trochę niżej. . .

Creasy rozejrzał się na obie strony i zwolnił. Wyglądało na to, że wszystkie pojazdy zmierzały w przeciwnym kierunku.

— Plan jest bardzo prosty — zaczął. — Wysadzę cię jakieś sto metrów od dziupli, musisz do niej dotrzeć o własnych siłach. Ja z kolei postaram się wywieźć samochód co najmniej o kilometr od kryjówki. Upłynie więc trochę czasu, zanim wrócę. Jeśli w ogóle wrócę. . . Jeżeli zdołasz dojść bezpiecznie do kryjówki, zrób sobie z czegoś opatrunek i uciśnij nim ranę. Gdyby. . . Gdyby nie było mnie dłużej niż godzinę. . . zastrzel się. Lepsze to niż śmierć w męczarniach w syryjskiej izbie tortur.

Panował już zupełny mrok. Creasy zatrzymał samochód na rogu ulicy. Mdle światło ulicznych latarni wydobywało sylwetki zaledwie kilku przechodniów. Wskazał przez szybę i powiedział:

— To tam, na lewo. — Wyciągnął rękę i otworzył drzwi od strony Michaela.

— No, ruszaj! — mruknął.

Jęcząc z bólu Michael wytoczył się z samochodu. Creasy zatrzaskał drzwi i szybko odjechał.

Powrót do kryjówki zajął Creasy'emu trzy kwadranse. Kiedy znalazł się w budynku spostrzegł plamy krwi na drewnianej podłodze i na stopniach schodów. Wyjął chusteczkę i starł je najdokładniej, jak umiał.

W mieszkaniu było więcej śladów krwi, prowadziły wprost do sypialni. Drzwi od sypialni były otwarte. Dobiegł go stamtąd wąty głos:

— To ty, Creasy?

— Tak, to ja.

Podszedł do drzwi sypialni i zajrzał do środka: Michael leżał na łóżku i trzymał w lewej dłoni pistolet. Wolnym ruchem opuścił broń na łóżko i przeniósł rękę na zwinięty ręcznik przyłożony do prawego ramienia. Creasy dostrzegł w jego oczach ból.

— Nie widział cię nikt, jak wchodziłeś? — spytał szorstko.

— Chyba nie.

— Poczekaj.

Poszedł do kuchni, napełnił wodą rondelk i postawił na gazie. Wyjął z szuflady nożyczki.

Wróciwszy do sypialni przysiadł na łóżku obok Michaela i odciął górną część galabiji i materiał koszuli.

Zbadał dokładnie miejsce trafienia. Rana znajdowała się tuż pod obojczykiem, była niewielka i sączyła się z niej krew. Nacisnął kciukiem kość obojczyka. Michael wciągnął gwałtownie powietrze, ale nie wydał żadnego odgłosu. Creasy chrząknął.

— Muszę cię trochę unieść, będzie bolało.

Podłożył mu lewą rękę pod kark i pociągnął do góry, usłyszał syczący oddech Michaela. Drugą ręką zaczął badać plecy poniżej prawej łopatki. W końcu mruknął coś do siebie i opuścił głowę rannego z powrotem na poduszkę.

— I dobrze, i źle — ocenił. — Kula nie przebiła żadnej arterii i nie naruszyła układu kostnego. Ale też nie wyszła na zewnątrz, tylko zatrzymała się w mięśniu ramienia. Nie możemy jej tak zostawić. Zobaczmy, co my tu mamy...

Wstał i udał się ponownie do kuchni. Woda w rondelku już się gotowała. Zostawił ją na gazie, wyjął z kredensu apteczkę i przejrzał jej zawartość. Następ-



nie otworzył szufladę i obejrzał zgromadzone w niej noże. Wybrał nóż z ostrym czubkiem i kciukiem zbadał ostrze. Wrzucił nóż do wrzątka i z apteczką wrócił do sypialni.

Michael powitał go spojrzeniem pełnym bólu i niepewności.

— Mogło być gorzej — zaczął uspokajająco Creasy i położył apteczkę na łóżku. — Mamy tu nowokainę, morfinę, masę innych lekarstw i opatrunki. Ale nie mamy skalpela.

— Czyli?

— Czyli będę musiał otworzyć ranę kuchennym nożem. Novokaina nieco znieczuli, ale i tak będzie boleć jak wszyscy diabli.

— Nie można by z tym poczekać, aż się stąd wydostaniemy? — zaproponował Michael. — Zabandażujesz mi ranę i jakoś wytrzymam do wizyty u lekarza.

Creasy przysiadł na łóżku i potrząsnął głową.

— Musimy tu zostać co najmniej tydzień, aż sprawa trochę przycichnie. Nie możemy zwlekać tak długo z wyjęciem kuli.

— Robiłeś to już kiedyś?

— Jasne, i to nie raz — odparł Creasy pogodnym głosem. — Poza tym natrzyłem się, jak zabierają się do tego naprawdę dobrzy lekarze. Przeszedłem w Legii szkolenie medyczne. To żadna filozofia, tyle że będzie bolało. Nawet po zastosowaniu nowokainy. . .

Ból był nie do zniesienia. Creasy zaaplikował mu najpierw zastrzyki z nowokainy i morfiny. Odczekał, aż zaczną działać, po czym za pomocą kuchennego noża poszerzył ranę nacinając ją poziomo, żeby jak najmniej uszkodzić mięśnie. Michael leżał z kawałkiem złożonego prześcieradła między zębami i rzucał się spazmatycznie, kiedy palce Creasy'ego zagłębiały się w ranę w poszukiwaniu kuli. Obaj byli zbroczeni krwią, podobnie jak i całe łóżko.

Creasy znalazł kulę po kwadransie. Trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym powiedział:

— Całe szczęście, że to kaliber dziewięć milimetrów. Gdybyś dostał większą, byłoby już po ramieniu.

Kolejne katusze Michael przeżył przy zaszyciu rany i wiązaniu opatrunku. Na koniec Creasy przyniósł miskę ciepłej wody, umył go i przełożył na sąsiednie łóżko. Zaaplikował mu lekką dawkę morfiny i siedział przy nim, aż Michael zapadł w sen.

Czuwał nad nim przez całą noc, wycierając mu twarz mokrą szmatką i modląc się do Boga, którego nie znał ani nie pojmował.

Pytanie padło po dwóch dniach. Michael siedział w łóżku i pił z kubka zupę jarzynową.

— Jak to jest? — zaczął się zastanawiać. — Trafiłem Jibrila w ramię i sam również oberwałem w to samo miejsce. Jest jakaś różnica?

— Jest, ale wyjaśnię ci to później.

— „Później”, to znaczy kiedy?

— Kiedy się stąd wyrwiemy.

— Dokąd pojedziemy?

— Najpierw do Latakii, a potem promem na Cypr, gdzie zbada cię jakiś dobry lekarz. I wreszcie do Stanów, na spotkanie z Jimem Graingerem. Będziesz mógł doliczyć do szczupłego grona swoich przyjaciół jeszcze jednego...

Dobermanka leżała u stóp Creasy'ego posapując z zadowoleniem przez sen w ciepłych promieniach słońca. Siedzieli nad basenem i popijali miętówkę z lodem.

— Bardzo udana próba — mówił Grainger. — Napędziliście mu takiego strachu, że drań nie zapomni do końca życia. Będzie przynajmniej wiedział, że nie jest nietykalny.

Senator Grainger siedział naprzeciwko Creasy'ego, Michael zasiadał pomiędzy nimi.

— To coś więcej niż udana próba — odrzekł Creasy i schylił się, żeby podrapać sukę za uchem. — Odnieśliśmy stuprocentowy sukces.

— Jak to? — zdziwił się senator. — Widziałem przecież raport CIA: został trafiony, ale żyje, chociaż nie będzie mógł się już nigdy posługiwać prawą ręką.

Creasy spojrział na Michaela, którego prawa ręka przypasana była ściśle bandażem do klatki piersiowej.

— To nie ręka będzie mu przysparzać najwięcej cierpień — zaczął cichym głosem — ale mózg.

— Mózg?

— Tak, mózg — powtórzył Creasy, pochylając się ku senatorowi. — Pocisk, którym Michael trafił Jibrila, nie był standardowy. Mówiłem ci przecież wcześniej, że drań nie będzie miał lekkiej śmierci.

— Co to więc było? — zainteresował się Grainger.

— Po pierwsze, był to pocisk dum-dum, który rozszczepia się w momencie trafienia, dlatego rozerwało mu całe ramię. Po drugie, wewnątrz pocisku znajdowała się trucizna o nazwie tak skomplikowanej, że trudno nawet spamiętać, znana pod skrótem TTK. I tak krew Jibrila została już zatruta.

Nastąpiła cisza. Creasy dalej drapał sukę za uchem. Grainger zapytał cicho:

— Co powoduje ta trucizna?

— Daje objawy nieco podobne do bardzo ciężkich przypadków powikłań mózgowych w malarii wywołanej przez *Plasmodium falciparum*. Wraz z krwią trucizna dostaje się do mózgu. Człowiek zaczyna z czasem przypominać bezwolną roślinę. Zanim przyjdzie śmierć, mogą upłynąć miesiące, a nawet całe lata. Za to

zniszczenia w mózgu postępują błyskawicznie. Nie miną dwa tygodnie, a Jibril będzie już niezdolny do planowania jakichkolwiek akcji terrorystycznych.

Tymczasem pojawił się nowy dzbanek schłodzonej miętówki. Przyniosła go niewysoka pulchna blondynka o pogodnym usposobieniu.

— To ostatni — oznajmiła senatorowi. — Za pół godziny będzie lunch.

Odpowiedział jej nieobecny spojrzeniem, a gdy odeszła, spytał Creasy'ego:

— Jibril wie?

Michael pospieszył z odpowiedzią:

— Tak. Na wypadek, gdyby jego lekarze nie poznali się na chorobie, wysłaliśmy mu z Cypru pocztówkę sugerując, żeby kazał sobie zrobić dokładne badanie krwi.

Grainger obserwował uważnie wyraz twarzy swego młodego rozmówcy. Michael wytrzymał jego wzrok bez mrugnięcia powieką. Senator odwrócił głowę i spojrzał prosto w oczy Creasy'emu. Dostrzegł w nich ten sam chłód, który przebiegał ze spojrzenia Michaela. Przyszły mu na myśl słowa Curtisa Bennetta, wypowiedziane przed wielu miesiącami: „Lepiej nie spotkać takiego na swojej drodze”.

Dobermanka przewróciła się na grzbiet. Creasy podrapał ją po brzuchu i dodał wyjaśniającym tonem:

— Pocztówkę podpisaliśmy: „Pan Am lot sto trzy”.

Grainger patrzył w milczeniu ponad wodą basenu. Dobięło go ciche pytanie Creasy'ego:

— Dręczą cię wyrzuty sumienia?

Senator potrząsnął głową.

— Nie, myślałem o Harriot. Może ją sumienie by dręczyło... — Wzruszył ramionami i pokręcił stanowczo głową. — Nie, drań dostał to, na co zasłużył... I co teraz zamierzacie robić?

— Wracamy do Europy. Michael jedzie prosto na Gozo, ja będę musiał zostać parę dni w Anglii.

— Co potem?

Creasy odpowiedział po dłuższym namyśle:

— Postanowiliśmy zająć się interesem.

— Co będziecie robić?

— To, co potrafimy najlepiej.

W zapadłej teraz ciszy senator przypatrywał się bacznie obu mężczyznom. Z pewnością nie byli do siebie podobni, niemniej mieli w sobie ten sam zimny spokój. Obu otaczała trudna do zdefiniowania aura, wiało od nich bliżej nieokreśloną groźbą.

— Chcesz powrócić do zawodu najemnika? — spytał Creasy'ego.

— Niezupełnie. Ale jeśli trzeba będzie coś dla kogoś zrobić, coś naprawić, to jesteśmy do usług... Oczywiście za pewną opłatą.

— Mam wrażenie, że za całkiem sowitą opłatą.

Creasy wzruszył ramionami.

— Zależć będzie od tego, kto jest zleceniodawcą i jakimi środkami dysponuje. Nie zamierzamy pracować dla przestępców ani dla rządów.

Grainger uśmiechnął się.

— To chyba niewielka różnica... No cóż, jeśli usłyszę, że ktoś poszukuje dywizji pancерnej, to odpowiem, że mogę taką załatwić za pół ceny.

Wszyscy roześmiali się. Senator dolał miętówki.

— Mam do ciebie jeszcze prośbę, Jim — zaczął Creasy.

— Słucham.

— Za kilka miesięcy chciałbym przysłać Michaela do Stanów, może na jakieś parę miesięcy. Gozo to tylko mała wyspa, Michael musi poszerzyć swoje horyzonty i nauczyć się zachowywać między ludźmi.

— Wiem, jak się należy zachowywać — bąknął gniewnie Michael.

Creasy odwrócił się w jego stronę.

— To wiesz pewnie, jak należy się zachowywać na oficjalnej kolacji dla setki gości? Wiesz, którego noża i widelca używać? Kiedy trzeba się odezwać, a kiedy milczeć?

Michael nic nie odpowiedział, Grainger zaś z uśmiechem na twarzy odparł:

— Nie ma sprawy, Michael może zamieszkać u mnie. Wezmę go pod swoje skrzydła, przedstawię komu trzeba, zarówno tu, na miejscu, jak i w Waszyngtonie. Będzie mi towarzyszył w podróżach, również zagranicznych, w charakterze sekretarza. Będzie spotykał ważne osobistości, chodził na ciekawe koncerty i do dobrych teatrów.

— A dziewczyny? — spytał Michael.

— Dziewczyny?

— No właśnie... Poznam jakieś dziewczyny?

— Jak najbardziej — zapewnił rozbawiony senator. — Nazajutrz po twoim przyjeździe wydam przyjęcie u siebie w domu. — Wpadł nagle w zadumę. — Tak dawno nie było tu żadnego przyjęcia... — Znowu wyjaśniał na twarzy. — Sprowadzę orkiestrę jazzową. I możesz być pewny, że zjawi się cała plejada naszych piękności z Kolorado. Wiesz co? — dodał zwracając się już do Creasy'ego. — Cieszę się, że będę miał go koło siebie. Jak to kiedyś powiedziałeś? Smutek to samotność.

Creasy przytaknął na znak zgody i uśmiechnął się.

— Kiedy tak słuchani o tych przyjęciach, orkiestrach jazzowych i pięknych dziewczynach, to przyszło mi do głowy, że może zostawię Michaela w domu, a sam przyjadę zamiast niego?

Podrapał dobermankę po brzuchu.

# Epilog

Foster Dodd spał w najlepsze w ciepłe domowego łóżka u boku swojej połowicy. Był śmiertelnie zmęczony.

Tuż przed świtem rozszczękały się owczarki. Foster Dodd obudził się, a wraz z nim jego żona. Poruszył zeszywniałe kości i zaklął pod nosem.

— Nie denerwuj się — mruknęła zaspana żona. — To pewnie tylko lis, psy go odpędzą.

Ujadanie psów zaczęło się oddalać. Farmer przewrócił się na drugi bok, poprawił poduszkę i próbował ponownie zasnąć. Ale sen odszedł na dobre. Wreszcie wstał, naciągnął na siebie ubranie i buty, i wyszedł.

Ujadanie psów ucichło, szedł jednak przez pola kierując się ku miejscu, skąd dochodziło po raz ostatni. Sponad wzgórza wychylała się właśnie czerwona kula słońca. Ziemię zasnuwała lekka, biała mgła wciskając się w pofałdowania terenu i szczeliny. Na pokrytej rosą trawie pasło się już kilka owiec. Jagnięta cisnęły się do brzuchów matek w poszukiwaniu mleka. Jego trzy psy podbiegły do niego merdając ogonami. Jeden z nich, stara, mądra suka Lisa zatrzymała się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, przysiadła i patrzyła na niego. Rozpoznając charakterystyczne zachowanie suki, ruszył w jej kierunku. Odwróciła się i pobiegła przed siebie, a on za nią.

Zbliżywszy się do kępy krzaków Lisa przystanęła. Podeszedł bliżej i zajrzał ponad najbliższymi krzakami. I wtedy je zobaczył.

Na trawie leżał duży bukiet biało-czerwonych róż o długich łodygach. Pamiętał to miejsce. Kwiaty zostały położone dokładnie tam, gdzie znalazł małą dziewczynkę w jasnoczerwonym kombinezoniku.

Rozejrzał się, ale nikogo nie było. Tylko owce, jagnięta i trzy wpatrzony w niego psy.

Wtedy przypomniał sobie mężczyznę, który zjawił się i powiedział, jak bardzo mu przykro z powodu straty owiec.

*KONIEC*